

Sztuka to najwyższy wyraz  
samouświadomienia ludzkości  
/.../  
Dzieło sztuki — mikrokosmos  
odbijający epokę.

Józef Czechowicz



Cena 8 zł



a

3

3 (81) 2000

akcent

literatura i sztuka • kwartalnik



AKCENT nr 3 (81) 2000

Czytanie Ukrainy  
Poezja i proza najbliższych sąsiadów

**akcent**

3 (81) 2000

**akcent**

**literatura i sztuka**

... (faint, mostly illegible text)

... (faint, mostly illegible text)

... (faint, mostly illegible text)

002-8605 425 JV

17225 1282025 88

... (faint, mostly illegible text)

*kwartalnik*



Na pierwszej stronie okładki:  
Elsa van der Weyer: *Diwne owce*, fotografia, 1999.  
Fot. Piotr Maciuk

Na czwartej stronie okładki:  
Zhang Ou Xu: *Pierś, drzeworyt*, 1996.  
Fot. Piotr Maciuk

Adres redakcji:  
20-112 Lublin, ul. Grodzka 3, III piętro  
tel. (081) 532-74-69

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.  
Redakcja zastrzega sobie prawo dekretowania skrótów.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają  
urzędy pocztowe, „Ruch” SA, „Jed-Press” SA, „Ars Polona”.

Cena prenumeraty krajowej na II półrocze 2000 r. wynosi 14 złotych,  
na cały rok 2001 – 32 zł.

Pieniądze można wpłacać także bezpośrednio na konto wydawcy:  
„Edytor Press” Ltd., BOG Bank SA Lublin 11501156-3900001  
lub przekazem pocztowym pod adresem redakcji,  
podając wyraźnie adres prenumeranta  
i zaznaczając na odwrocie przekazów „prenumerata Akcentu”.

W USA „Akcent” rozprowadzany jest przez następujące księgarnie:

Polish American Bookstore, „Nowy Dziennik” – Polish American Daily News,  
21 West 38th Street, New York, NY 10018

Sewede Slavic Books, 2233 El Camino Way, Palo Alto, CA 94306

Mira Pausz, „Polonia” Bookstore, 2886 Midway Ave., Chicago, IL 60618

W Francji sprzedawcą prowadzi:

Librairie Polonaise (Księgarnia Polska), 123 Bd St. Germain, 75006 Paryż

Wydawca: EDYTOR PRESS Ltd.  
20-081 Lublin, ul. kł. Str. Staszica 20

Oddano do druku we wrześniu 2000 r.  
Druk: Multidruk S.A., Lublin, ul. Unicka 4

Cena zł 8,-

## SPIS TREŚCI

- Dmytro Panłyćko: *wiersze* / 7  
Włodzimyr Jawoski: *Płdienne liły z Diamentowego Cesarstwa*  
i *Księstwa Ziemi Północnej. Epopeja* / 13  
Halyna Petrosianik: *wiersze* / 34  
Mykoła Rybczuk: *Od „Malarusi” do „Indoowosy”, Ukraińskie*  
*stereotypy* / 38  
Włodzimyr Cybulko: *wiersze* / 53  
Oleksandr Iwanec: *Zaginęcie Golana* / 60  
Jewhen Brusnywskyi: *Kalendarz 1996 / 74*  
Siergij Zadan: *wiersze* / 100  
Ludmiła Siryk: *Adam Mickiewicz w krytyce i przekładach Maksyma*  
*Rylyskiego* / 108  
Wasyl Machno: *wiersze* / 116  
Roman Mnich: *Ukraińsko-polskie stosunki literackie na kartach*  
*tomu „Ukraińskiej encyklopedii literackiej”* / 120  
Ludmiła Taram: *wiersze* / 125  
Dmytro Panłyćko: *Moja antologia poezji polskiej* / 128

## PLASTYKA

- Lechostaw Lametki: *VI Międzynarodowe Triennale Sztuki*  
*Majdanek 2000* / 131  
Magda Opoka: *Wiedza sztuki tkwi w naturze* / 140

## MUZYKA

- Joanna Biegalska: *Za każdym razem ten pierwszy raz (opowieść o Bohdanie*  
*Giergielu)* / 142

## PRZEKROJE

Pocci, pocci...

- Pawel Gembał: *Językowa projekcja świata wewnętrznego*; Ewa Dunaj: *Znów*  
*zaczynam wiersze*; Henryk Puszkowski: *Czy poeci można być po pięćdzie-*  
*siątych?*; Marian Janasz Kawalko: *Niepokoi i nadzieja*; Wacław Wierchoch:  
*Chłycyżki mimo wszystko* / 153

## Z różnych stron...

Bogusław Biela: *Świadoctwo poety, czyli literatura ukraińska w kręgu zainteresowań paraskaj „Kallury”*; Ludmila Siryk: *Od mitu do prawdy*; Tadeusz Czarzowski: *Tomasz Oskar Sosnowski według Lechosława Lametkiego*; Ewa Zabrotowicz: *Mitofel do polki*; Wiesław Sładkowski: *Polscy dorpaczy*; Maria Wrzeszcz: *„Lepiej, żebyś pozostał...”*; Bantek Kruk: *Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o Słowackim, a baliście się zapytać* / 162

## FILM

Arnold Deč: *Mariaż doskonały* / 182

## PODRÓŻE

Mariusz Dziągiewski: *Stara Praga, Kafka i czeskie diuco-polo* / 187

## NOTY

Waldemar Michalski: *O współczesnej poezji ukraińskiej tłumaczonej w latach dziewięćdziesiątych* / 194  
Urszula Oltrowska: *„Tam, gdzie lwy srebrne fale płyną...”* / 203

Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o Słowackim, a baliście się zapytać

Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o Słowackim, a baliście się zapytać

DMYTRO PAWŁYCZKO

## Naparstek

W Pradze,  
w Złotym Zaulku,  
wapiłkiem zamknięty, jak naparstek,  
kapilem naparstek  
i ucieczyłem się,  
jak dziecko.

Moja matka,  
gdy byłem mały  
zgnubiła naparstek  
i kazała mi go  
szukać w plewach na podwórzu,  
ale go nie znalazłem...

Pokazywała  
pokluty opuszek palca  
w który zaszła czarna ziemia  
i skarzyła się na mnie,  
że nie znalazłem naparstka.

Mojej matki już nie ma  
i mnie już prawie nie ma,  
ale jest w mojej ręce naparstek,  
gorący, pełen ciepła,  
jakby go zdjęła przed chwilą z palca  
moja matka.

Ona nigdy nie była w Pradze,  
w Złotym Zaulku,  
ale spoglądał w okna  
cudzych domów,  
tak jakby zaraz miała się  
pokazać w jednym z nich  
i powiedzieć:

"Nareszcie znalazłeś  
mój naparstek, a mówileś,  
że go nie ma!"

## Na bosaka

Mój dziadek powiedział: jak umrę,  
nie obuwając mnie,  
chcę wejść na tamten świat bosą.  
Kiedy leżał na łóżku  
patrzyłem na jego stopy.  
Były czarne, grube, miejscami poprzębiane.

Skóra na palcach i piętach była  
zółta, jak wosk,  
ale po bokach w szczelinach czerniały smugi,  
napelnione naszą ziemią.

Kolące ścierniska i pokosy  
na tych stopach nie zostawły żadnego śladu  
naznaczone miejsca - to były ślady gwoździ,  
jakie wbijali się w dziadkowe nogi,  
kiedy mieszał glinę, żeby nią  
wysmarować drewniane ściany naszej chaty i stajni...

Skąd brały się te gwoździe w glinie,  
nie wiedział nikt, ale były tam,  
wielkie, żardzewiałe, ostre,  
jak przeznaczane na ukrzyżowanie.

Mój dziadek wierzył w Boga,  
chciał na tamtych świecice  
pokazać swoje stopy,  
podobne do nóg Zbawiciela,  
i mu się udało.

## Lalka

Lalka od urodzenia nie miała serca,  
Pierwszy odkrył to chłopczyk,  
który bawił się nią.  
Rozebrał ją,  
potrzył rękę na piersi,  
opukał się, przekonał się -  
jest pusta.  
Chciał odkręcić głowę,  
zajrzedo do wnętrza ciała,  
ale zrobiło mu się jej żal,  
bo powtarzała  
zależnym głosem: „Mamo! Mamo!”

Lalka dorosła,  
przesiadła się z wózeczka do limuzyny,

zaczęła zarabiać na luksusowe życie  
różnymi sposobami  
i ponieważ była pozbawiona serca,  
najła się do zabijania ludzi.  
Kiedy przyszła kolej by zabić chłopczyka,  
który bawił się z nią w dzieciństwo,  
a teraz stał się dorosły, Lalka zapłakała.  
Strzelała do niego i mówiła: „Mamo! Mamo!”

## Pamięć

Kamienny posąg w zapuszczonym parku  
Wszystko posiada. Oto jego pamięć -  
Obita do łokcia ręka, szczeliny, szramy od kul,  
Mech w zagłębieniach, żrzenie wypolnione brudem,  
Sandaly zarosłe trawą - oto jego pamięć,  
Podjęć, dośknij jej.

A w co zamienią się moja pamięć  
Pamięć o świecie, który przechodził koło mnie,  
Jak pijany żołnierz z odbezpieczonym karabinem.  
Gdyby moja pamięć zamieniła w postument,  
Gdyby wyrzeźbił w nim karby czasu,  
Ślady bicia wyciorami słów,  
Powstałaby kamienna, pokalczona postać,  
Cudem trzymająca się kupy,  
Ale tam, na czole, gdzie matka kładła rękę,  
Gdzie pulsuje lektura myśli,  
Lśniłaby łagodna i równa powierzchnia,  
Cudem ocalony wymiar zdrowia i czystości.

## Na weselu

Mój ojciec  
tańczył z parubkami w kółeczko,  
Kółko wirowało  
z szaloną prędkością;  
prześiątko potem koszałe  
świcyły, jak rozkręcone stalowe zamachowe koło.

Jezus ze smutkiem patrzył ze ściany,  
ale byłem przekonany, że  
z zachwytem śledzi ruchy ojca.  
Spoglądałem to na ojca  
to na Jezusa,  
i cieszyłem się, jak dziecko,  
a byłem już uczniem,

który właśnie dowiedział się o cudzie  
w Kanie Galilejskiej.

Muzycanci przestali grać,  
„kolo” się zatrzymało.  
Spragnieni tancerze  
ruszyli do studni.  
Pili wodę kieliszkami,  
pucharami, garnkami, dzbanami,  
prosto z wiadra, jak konie,  
i pijanieli od wody.

Powiedział do ojca: „Tato  
W Stopczatowie powróżył się cud  
z Kany Galilejskiej –  
woda w studni zamieniła się w wino!”

Ojciec napil się z wiadra,  
wytał zmoczone wasy:  
– Wino, chłopcze, wino!  
Będziemy prosić Jezusa,  
żeby jutro zaniemleł je w wodę,  
bo czym będziemy pić krew,  
na czym gotować będziemy kaszę?

Whięgnął do domu,  
przekazał Jezusowi ojcowską prośbę,  
a Zbawiciela się uśmiechnął.

Na weselu w Stopczatowie  
jeden raz w życiu  
widziałem uśmiechniętego Jezusa,  
ale później miliony razy  
ogładałem jego smutną twarz,  
i już nie wiem, czy uśmiechnął się wtedy,  
czy nie.

## Arystoteles

Aleksander Macedoński umarł –  
Arystoteles zapłakał.

Łzy nie kapaly, nie ciekły strumieniami,  
chowaly się za jabłkami oczu  
i pobykskiwały na krawężnikach powiek.

Uczniowie filozofa udawali  
że nie widzą tego błędnika  
Arystoteles udawał opanowanego,  
jakby nie ponurzyła go smutna wiadomość.

Zapytał uczniów:

– Czyja władza jest lepsza – najlepszego męża  
czy doskonałych praw?  
Uczniowie nie odpowiedzieli.  
Arystoteles odpowiedział: Wspólna ucza na wspólny rachunek  
jest lepsza niż zwyczajny obiad  
zamówiony przez jedną osobę... naród sądzi lepiej niż jeden człowiek,  
kimkolwiek by był.

Uczniowie się zdziwili: A czemuż nie nauczyłś swojego  
wychowanka Aleksandra Macedońskiego takiej demokratycznej  
mądrości?

Arystoteles milczał:  
Przypomniał sobie jasnowłosego chłopca  
którego kiedyś uczył czytać  
grać na flecie i pisać wiersze.  
Przypomniał sobie, że ten chłopiec  
uczył jego, Arystotelesa, strzelania z łuku  
przebijania mieczem deski grubej na dwa palce.

Moja nauka nie była mu potrzebna  
powiedział mędrzec  
tak samo jak jego nauka  
nie była potrzebna mnie.

## Talenty

Poszedłem do banku  
i oddałem pięć talentów,  
które dał mi Pan.  
Miałem nadzieję, że moje talenty  
pomnożą się, z pięciu  
będę miał dziesięć.

A mój towarzysz, dobry sługa  
mojego Pana,  
też dostał pięć talentów,  
ale nie zamógł ich do banku,  
tylko zakopał.

Tymczasem bank  
zbankrutował.  
Pan poprosił mnie,  
bym oddał mu talenty,  
a ja tylko rozłożyłem ręce –  
oszukiwałem go.

A mój towarzysz  
oddał Panu pięć talentów,

które wykopal.  
I choć zasniedziały w ziemi  
wyszycił je i ponownie  
zainilny.

Ale Pan nie rozgniewał się na mnie  
a skrzyżzał  
mego towarzysza.

Trudno mi zrozumieć  
czemu ten kto zwrócił talenty  
został ukarany  
a temu, kto stracił je w banku  
nie powiedziano nic.

## Skrzypce

Skrzypce patrzyły na mnie  
bлагalnym wzrokiem.  
Wisiły na ścianie  
u naszego ślepego sąsiada  
i czekały aż je zdziejmie  
i zagra na nich,  
a robił to bardzo rzadko –  
tylko na Boże Narodzenie i Zielone Świątki.

Skrzypce nie wiedziały,  
że jest ślepy  
patrzyły nań  
i prosiły: „Zagraj, dotknij  
moich strun, czekam!”  
Ale on nie widział ich oczu,  
a one mogły przemówić  
dopiero w jego rękach!  
To była tragedia  
skrzypiec  
i pierwsza tragedia w moim życiu.

Patrzyłem przez okno na skrzypce,  
byłem małym chłopcem,  
nie umiałem grać,  
ale dobieżałam  
dźwięk brzdący na ich twarzy,  
widłkie piwne oczy,  
lśniące włosy  
i wszystko to we łzach.

Dmytro Pawłyczko  
przełożył Bohdan Zadara

WOŁODYMYR JAWORSKI

## Półsennie listy z Diamentowego Cesarstwa i Królestwa Ziemi Północnej. Epopeja (fragment)

### 25. Kapryśny aniołek kompozytora Awesaloma

Już wówczas, gdy Diamentowym Cesarstwem władał cesarz Baltazar Pierwszy – ojciec obecnego cesarza, już nawet wówczas nadworny kompozytor Awesalom znany był ze swego byskotliwego talentu do tworzenia szczególnie subtelnych a zarazem walców, którymi zachwycały się wszystkie damy. Upłynęło od tego czasu ponad trzydzieści lat, a Awesalom nie zmienił pozostawał pierwszym kompozytorem Cesarstwa i zajmował posadę dyrygenta cesarskiej orkiestry, dla której pisał też muzykę. Niektóre jego symfonie, zwłaszcza dwadziestą, zatytułowaną „Trumf lilii wodnych”, wykonywano nawet w Królestwie Ziemi Północnej.

Przez sześćdziesiąt dwa lata Awesalom nie znalazł czasu, aby założyć rodzinę, i dlatego mieszając samotnie w dwóch komnatach, położonych wysoko pod sklepieniem cesarskiego Błękitnego Pałacu, całą swoją energię i czas poświęcał komponowaniu utworów. Muzyka stała się dla niego wszystkim i poza nią nie widział świata. Muzyka stała się dla niego całym światem i niekonsekwentnie wziętym słowniki. Nie istniał dla niego ani wybitni ludzie, ani niekonsekwentnie wziętym słowniki. Nie istniały wydarzenia, które niepokoiły wszystkich, dobre i złe uczonki, ani krwawe wojny, które nieustannie toczyły się między Diamentowym Cesarstwem a Królestwem Ziemi Północnej, ani sam cesarz i jego północne państwo. Cały wszechświat przyjmował jako bezkresny ocean stale zmieniających się dźwięków. Za tym nieprzebrzytm oceanem dusza Awesaloma wyczuwała niewidzialną odwieczną harmonię, którą przez całe życie pragnął nadserdem zrozumieć. Ciągłe i wszędzie waldujące się w nią, zanurzone w czynie tajemniczych dźwięków, niczym lunatyk, żył na tym świecie jakimś nieczalnym życiuniem, w związku z czym prawie wszyscy dworzanie, którzy zajmowali się w pałacu oprócz swych obowiązków również rozmaitymi intrzykami, nazywali kompozytora pomysłowym i w wolech chwilach opowiadali o nim mełstwo docieplących anegdót.

Pierwszy pokój Awesaloma był pomieszczeniem, gdzie spał, jadł i przyjmował przyjaciół. Przyjaciół, prawdę mówiąc, nie miał, bo malarz Melchior i poet-



ka Laura, którzy jako jedyny z rzadka odwołali mieszkanie Awesalom, robili to bynajmniej nie z przyjaźnielskich uczuć wobec kompozytora. Melchior nie zmienił przychodził pijany i tylko dźwięki, aby trochę pospać na kanapie obok starego, pościelnego od czasu lustra, a Laura dobrze zdając sobie sprawę z talentu Awesaloma, próbowała zainteresować go swoimi sonetami, chociaż nie z tego nie wychodziło, bo Awesalom, ledwie tylko zaczynał słuchać jej dźwięcznej deklamacji, od razu zapominał o sensie słów i rozkoszował się samą melodią dźwięków.

Jeśli drugi pokój, nazywany muzycznym, był dużo większy i prawie całkiem pusty. Oprócz wielkiego koncertowego fortepianu, stolica i stolika ze stertą czystego papieru nutowego, nie było w nim żadnych mebli. Gole ściany, w tym lokalu wapnem, nadawały temu pomieszczeniu jakąś sterylność czystość. W pokoju Awesalom spędzał większość czasu, tworząc swe wspaniałe symfonie i sonaty. Nikt nie miał prawa tu wchodzić, z wyjątkiem samego Awesaloma. Właśnie to dawało naczelnikowi Tajnych Szub Teodorowi podstawy do podejrzewania kompozytora o jakies tajemne związki ze światem przestępczym.

W swej twórczości Awesalom miał jedną tajemnicę: Był nią małeńki biały aniołek, prawie niewidoczny dla oka, który od czasu do czasu pojawiał się w muzycznym pokoju, siedząc na wku fortepianu. Jego obecność była niezmiernie ważna, bo to właśnie od niego zależała cała twórczość kompozytora. Więcej nawet, bez niego Awesalom nie był w stanie zapisać nawet jednej nuty.

Aniołek zjawiał się nieoczekiwanie o jakiej bądź porze i tak samo nieoczekiwanie znikał. Był bardzo płochliwy, kiedy tylko posyłał jakies kroki zbliżające się do mieszkania Awesaloma, natpniem przepadał i potem trzeba było długo czekać na jego powrót. O właśnie dlatego Awesalom niktogo nie wpuszczał do muzycznego pokoju, ale o tym chyba mógł wiedzieć: naczelnik Tajnych Szub?

Awesalom zawsze był bardzo płodnym twórcą, jednak w ostatnich latach aniołek stał się nazyby płochliwy, i nowe utwory spod pióra kompozytora zaczęły spływać znacznie rzadziej, bo coraz trudniejsze stawało się uchwycenie tej chwili, gdy kapryśny aniołek siedzi na wku fortepianu. Czasami musiał czekać na to całymi tygodniami. Pewnego razu aniołka nie było ponad miesiąc i Awesalom w rozpaczy omal nie zamknął swych rachunków z życiem.

Wszystko to doprowadziło do tego, że kompozytor musiał zrezygnować z wielkich utworów i zaczął pisać wyłącznie krótkie pieśni na poszczególne instrumenty. Jego zdrowie przez te ostatnie lata bardzo podupadło, nerwy miał zszarpane do grania, a nieustannie konieczność czatowania na aniołka tak wysuszył jego ciało biedaka, że stał się bardziej podobny do przeybrzysa z tamtego świata niż do żywego człowieka.

Pewnego dnia, kiedy na dworze śnipl jesienny deszcz, Awesalom głęboko zatkroknął wszedł do muzycznego pokoju i wychyliwszy się do fortepianu. Wyparzył się łokciami na tlnących czarno-białych klawiszach postanowił nie wychodzić z pokoju, dopoki nie zobaczy aniołka. „Lepiej umrzeć z głodu, niż zmoczyć takie nieludkie męki” – myślał, ogarnięty rozpaczą.

W ten sposób, bez najmniejszego ruchu, Awesalom przesiadził przy fortepianie aż do następnego rana. O brasku w pokoju zabyło słońce i jego pierwsze promienie padły na twarz Awesaloma. Była ona tak zmarszczona i bleda, jakby była twarzą trupa, wykropanego z grobi miesiąc temu. Awesalom słysząc niesucho na okragim stoloczku myślał o swojej śmierci i czuł, że jego zdrwielałe ciało staje się dla niego coraz bardziej obce.

Nagle w powietrzu gdzieś za fortepianem rozległ się cudowny śpiew

i właśnie w tej chwili zjawił się aniołek. Ale Awesalom nawet nie zdążył chwycić ołowika i zapisać kilka nut, kiedy aniołek znikł. Potem znów się pojawił i znova znikł, jakby złączając się nad starym kompozytorem. Powtarzało się to przez jakiś kwadrans. Awesalom z zimnym potem na ciele cały aż trząsł się z gniewu.

— Dokąd będziesz się tak zwał nad moim szlachetnym sercem? — zawołał straszcy na koniec cierpliwość i z całej siły rzucił lewym pantoflem w otwarte okno, skąd, jak sądził, przychodził jego biały, jak światło, drzewiciel.

A aniołek tymczasem znów się pojawił i zaczął hałasować po pokoju, przeskakując z głupim wyrazem twarzy przez fortepian i tańcząc po stole i nagich ścianach. Awesalom, bosy, z otwórkami w rękach, biegł za nim. Udało mu się zamknąć okno i teraz zamierzał złapać aniołka i wsadzić go do polzającej klauki, w której kiedyś był kanarek, podarowany mu przez księżniczkę Niobe.

— Nie uciekniesz, nie uciekniesz! — szaleniecy wykrzykiwał kompozytor, miotając się po całym pokoju z wyciągniętymi rękami. To szalone polowanie trwało do chwili, gdy gardłem Awesaloma poszła krew i on straciwszy resztkę sił zwał się na podłogę.

Leżąc z szeroko otwartymi oczyma na podłodze koło fortepianu Awesalom w bezsilnej rozpaczy słyszał, jak wokół rozbrzmiewa boskiej piękności muzyka, którą nigdy już nie zdoła zapisać.

## 26. Kucharz, ląbędź i poetka Laura

Schwycić najpiękniejszego białego ląbędza, którego kiedyś tak lubiła zmarła księżniczka Niobe, nie było łatwo i główny nadworny kucharz Jafet kilka razy wypadł z płaskodennej łódki do stawu, ryżując, że się utopi, zanim wreszcie udało mu się chwycić wystrzonego ptaka za prawe skrzydło i skrócić mu sztyc. Surowy rozkaz cesarza Baltazara Drugiego, żeby podać dziś na obiad smacznego ląbędzia, trzeba było wykonać za wszelką cenę, tak więc zadowolony z siebie kucharz triumfalnie niosł pod pachą martwego ptaka, którego głowa wisiała nienaturalnie, dyndając z tyłu. Na schodach spotkał się z poetką Laurą, która zobaczawszy udzonego ląbędzia, skrzywiła z bólu usta i powiedziała ze smutkiem:

— O piękny biały ląbędziu! Ciebie nie ominęło nieszczęście!

Jafet od dawna nienawidził rozmazanego poetki, która zła jakimisć całkiem innymi sprawami niż reszta dworzan. Uważał ją za bezwstydną dziewczę, która diabli wiedzą po co otacza się mgłą tajemniczości. Jęknął więc obraźliwie i patrząc z wysoka na Laurę, powiedział:

— Dzwisz się, że Jego cesarska wysokość jesszecz nie przegrał z palacą wraz z innymi darmożadkami, których z dobroci serca przegrągnęła kiedyś biedna nieboszczka-księżniczka!

— Jak śmieś tak do mnie mówić? — wybuchnęła zdumiona niespodziewanym zachowaniem Laurą.

W odpowiedzi kucharz zaimiał się sztydlerczo i dumnie niosąc martwego ląbędzia ruszył dalej schodami w górę.

Dziesiątych dzień wydawał się poetce i bez tego ciężki i pełen praktycznych zdarzeń. A nieprzejrzanie starcie z głównym nadwornym kuchaczem całkiem ją dobiło. Drząc na całym ciele, chorobliwie chodziła tam i z powrotem pod zamkniętym oknem w swoim pokoju i czuła, że wszystko na tym świecie ją drażni i zadaje ból.

W takim nerwowym rozdrażnieniu pozostała w swym pokoju do wieczora, a kiedy na niebie pojawił się w srebrnej poświacie księżyc, włożyła na siebie ciemnobłękitną jedwabną suknię i siadła do karty. potajemnie opuszcila palec. Miała zamiar pojedźcie trochę po nocnych ulicach Sediolamu, stolicy Cesarstwa, aby w taki sposób choć trochę uspokoić swoją zatruwoną duszę, a po północy odwiedzić profesora filozofii Dagestala, który już nie jeden rok się do niej zalecał i niejednokrotnie zapraszał, żeby odwiedziła jego dom.

## 27. Radosny psalm odludka Efrema

Nie minęło jeszcze pół godziny od czasu, kiedy odludek Efreem udał się z pustym koszykiem na drugą stronę kamiennego górskiego grzbietu zbierając grzyby, jak na leśną polanę, na której stała jego chatka, wyszło pięciu obdartych młokoszy z mieczami i krótkimi rusznicami. By to niedobitki rozbójniczej bandy księcia Ojajana. Uciekali kilkanaście doń, tropieni przez obarską policję po tym, jak podjęli nieudaną próbę ogwiebania willi kapitana Lewitka.

A wszystko zdarzyło się dlatego, że żona kapitana Stiroja, rozkładając sobie wieczorem karty do czarnej magii, niespodziewanie odkryła przestępczy zamiar Ojajana. Nie zwlekając ani chwili zatelefonowała do męża do stolicy Cesarstwa Sediolamu, gdzie ten przebrałaj swój dwudziesty specjalny legion i za jego radą urządziła sprytną zasadzkę z sześciu jeźdźców i specjalnego oddziału policji miasta Brajbinar.

Bandytci wpadli w zasadzkę w grusowym sadzisz z północnej strony willi. W potyczce trzech z nich zostało zabitych od razu jednoczesnymi strzałami rusznic jeźdźców, a reszcie udało się uciec, wyronząc na rękach jednego ciężko rannego. Ale w ciągu czterech dni, kiedy w księżycowym świetle rozbójnicy zbliżyli się do porośniętych nieprzebytymi lasami gór Smoczyc, czekał na nich specjalny oddział policji z opancerzonym, stalowym niewodem, którym w Diamentowym Cesarstwie od dawna łapano rozbójników.

Tu, koło starego młyna, w walce wręcz Ojajana stracił jeszcze trzech rzeźmięzków, z których jeden trafił żywcem do policyjnego niewodu. Kłnąc wiecześnie z bezsilnością, księżę własnorecznie zastrzelił ciężko ranne, a potem rzucając pięć zwyczajnych w peczęk granatów, przetrwał się z czterema ocalamymi bandytami przez szczyt kordon policjantów i wycofał się w góry.

Przeżył ty dzień przedzielał się przez leśne chaszczce, przechodząc górskie grzbiety i doliny rwących rzek, i nie zatrzymawszy się ani razu ramię pewnego dnia, zmierzając zmęczony, wyszedł na polanę, gdzie od czterech lat w ciszy mroczych ciałów żył odludek Efreem.

— Do diaska, czyżby ktoś tu mieszkał? — wykrzyknął zdziwiony księżę, uważnie oglądając chatę Efrema.

— Na to wygląda — mrknął bandyta, którego wszyscy nazywali Sarkofagiem. Chatka okazała się pasta. Rzeźmięzki wyniosły z niej całą ubogą żywność: woreczek przemieńczej kaszy, wianuszek czosnku i garnek suszonych oliwek. Wszystko to wrzucił do niedzielnego koka, rozpalił pod nim ognisko i zaczął gotować kaszę. Kiedy wrzeczki już była gotowa, każdy bandyta wyjął żywkę i zgraża chętnie rzuciła się na jedzenie. Za chwilę kocioł był pusty.

— Od urodzenia nie jadłem tak smacznej kaszy — powiedział Sarkofag i obdarł tustie wargi.

— Żeby tak jeszcze repęte — wycedził przez zęby inny rozbójnik i wszyscy, z wyjątkiem Ojajana, wyciągnęli się na trawie.

— Nie możemy tu długo zostawać, jeśli nie chcemy kołysać się na szubienicach! — rozdrażniony powiedział księżę, a potem złośliwie zauważył:

— W tej budzie, zdaje się, mieszka odludek Efreem. Na pewno sam Bóg gdzieś go posłał, żebyśmy nie wyjął z niego duszy!

Rzeźmięzki zarchotały głośno, wykrzykując twarze w brzydkiem grymasie i podmięśli się z złości. Na pozegnanie podpalili chatę, która spaliła się jak ogromna pochodnia i przedziurawili mieczem miedziany kocioł. A potem wzięli w ręce broń i opuścili polanę, mając zamiar przejść przez góry i zejść w zbawienne doliny północnych prowincji Diamentowego Cesarstwa.

Odludek Efreem wrócił na polanę długo po południu z pełnym koszykiem grzybów. W miejscu, gdzie stała jego chatka, zobaczył tylko czarne pogorzelisko, koło którego leżał dziwny kocioł. Na początku Efrema zatkało z zakoczenia, lecz potem złożył ręce do błogosławieństwa i powiedział cicho:

— O Panie, wszystko jest dobre, co dla mnie dobre!

Po czym zawrócił i poszedł ścieżką precz, ledwie słyszalnie wypiewując swój ulubiony psalm, który zaczynał się od słów: „Błogosławionyś Ty na wysokości // i wieczna radość Twa na ziemi!”

## 28. Przygotujące myśli lekarza Sawadoka

— Ale mordal! — rechotał nadworny lekarz króla Rafanala Sawadok, kończąc drugą porcję makaronu z pieczonymi bułkami. Trzy dni temu przyplął podwójnym statkiem z Diamentowego Cesarstwa, dokąd jeździł na międzynarodową konferencję medyczną i teraz, powróciwszy do Królestwa Ziemi Północnej, siedział przy obiedzie w swej ulubionej restauracji „Srebrny Behemot”, wypełniony wspomnieniami z niedawnego pobytu za granicą.

Błąkając się w wolnym czasie po ulicach stolicy, gdzie w pomieszczeniach cesarskiego cyrka właśnie odbywała się konferencja, Sawadok, dotarwszy do Głównego Rynku, przypadkiem wstąpił do dyktowej budki garbusa Salazajca, który handlował kolorowymi zasuszczonek twarzą i niezwykłą postacią garbatego kramarza głęboko zapołą mu w pamięć, i oto teraz, przy pominięciu sobie, jak garbus nieporuszony siedział na stołku koło gabloty ze swoimi do niczego się nie nadającym towarem, nie mógł powstrzymać się od wybuchów głośniego rechota.

— Oczy, jak dwa wygaście krateru wulkanów. A ten dziwny garb! — wykrzyknął Sawadok, całkiem zapominając, że jest nie sam w restauracji i tak trząśniętym ze śmiechu, że na stole aż pobrząkały butelki z lemoniadą, a goście oglądali się zdziwieni.

Po pewnym czasie, skończywszy swój pyszny, jak uważał, obiad, Sawadok zadzwonił wyszedł z restauracji, zatelefonował do służby transportowej, żeby przysłała mu pospieszną bryczkę, i kiedy ona po dziesięciu minutach przybyła, pojechał z szerokim uśmiechem na twarz do kulałego generała Leona, który już ponad miesiąc cierpiał od ciężkiej choroby. General mieszkał w luksusowej willi wśród kasztanowych gajów siedem kilometrów od Rafagedomu, stolicy królestwa, pod opieką pięknotki-córki o poetyckim imieniu Anzita i w otoczeniu wielkiej liczby czeladzi.

Przybywszy do willi lekarz zastał generała nieprzytomnego. Chory leżał nieświeżo na kanapie, obłożony poduszkami, z niewiarygodnie żółtą twarzą, rozłożony gęsto wyszczerzę z sztywnymi zębami.

Sawadok nie zwlekając otworzył swój brązowy sakwojczak z lekarskimi przy-

borni i starannie zaczął poddawać swego nieszczęsnego pacjenta różnym bardzo mądrym zabiegom, z którymi zresztą nie wiązał żadnych nadziei, bo generalnie wedle wszelkich oznak stał już na skrajku grobu. Przy tym lekarz od czasu do czasu myślał o zym, demonicznym charakterze młodego księcia Osjana, który niedawno okradł skarbiec swego ojca króla Rafanalia i uciekł za granicę.

Tak, spędzwszy wiele czasu przy umierającym generale, Sawadok wrócił do Rafagodoa już o zmroku. Do domu, do samotnej siodzby w królewskim pałacu nie chciało mu się iść, w dodatku wieczer był taki cichy i zdumiewająco piękny, że postanowił pojechać do swego przyjaciela, królewskiego krawca Esjeja. Po całym dniu spędzonym w świetnym humorze, wieczorem Sawadok nagle popadł w jakies przygnębienie, a przy domu krawca zaczął się czuć całkiem źle, pogryzłszy się w wierz przygniatąjacych myśli.

– Dobry wieczór, przyjacielu! – powiedział szczerze na powitanie, kiedy Esjaj w zielonej kamizelce, trzymając w dłoni rewolwer –zabawkę otworzył mu drzwi.

– Wchodź, wchodź – wymamrotał w odpowiedzi krawiec z lekkim rozdrażnieniem.

Niedawno wrócił z Komendy Głównej królewskiej policji, dokąd zwał go inspektor Embrión w związku z śmiercią zony nadwornego dramaturga Weniamina i teraz odczuwał trwogę, bo policja wiedziała już, że nieboszcza była jego kochanką. Oczy krawca były rozbiegane i wszystko wskazywało na to, że czuje się nie bardzo pewnie i że wizyta przyjaciela nie wywołuje wcale jego zachwytu.

– A czemuż masz taką kwaśną minę? – drwiąco, ukrywając własny stan, zapytał Esjaj.

– E – rozpaczałem machnął ręką Sawadok, wchodząc do pokoju, gdzie obaj przyjaciele już od wielu lat spędzali ciche wieczory, grając w karty i opowiadając jeden drugiemu wszelkie brednie o wspólnych znajomych.

Po chwili Esjaj zapalił świecę w pięknym świeczniku kształtu siedmiogłowej gwiazdy, wyjął z czarnej polakotowanej szafy kilka butelek drogiego zamorskiego wina, niedopalone cygaro, dwie talie nowiurek kart i przyjaciele jak zwykle zastąpił do prefasera przy małym stoliku na prawo od białego kominka.

Grali bez zawzięcia, niechętnie, każdy myślał o czymś swoim, popijając wino z kryształowych kieliszków i prawie nie rozmawiali. Sawadok prowadził grę w jakimś na pół snem stanie. To była jego dawna, wypracowana przez wiele lat maniera – zatrząsnąć się na myśli o chemizycznej i niecierpkości życia. A Esjaj brał i kładł karty, wysuszczał z ust pasma dymu i nieustannie trapił się budzącymi myślami o słodkiej i tykającej śmierci kochanki, jakie prowadził jego osobisty wróg inspektor Embrión.

Tak w ciszy, w której słychać było tylko szelest kart i tykanie wielkiego ściennego zegara, mijają godzina po godzinie i zdawało się, że panujące w tym pokoju spokoju nic nie może naruszyć.

Mimo to o północy między przyjaciółmi wybuchła straszna, brutalna kłótnia. – Obiecywaście, gdzie podumaleń trzęść karty? – burknął rozdrażniony Esjaj, niespodziewanie i bez należytých podstaw otkarżając Sawadoka o szachrajstwo.

– To twoja karta – wzdrygnął się zaskoczony Sawadok.

– Natychmiast ją zabieraj! – wrzasnął niesamowitym głosem, zerwawszy się z miejscza, Esjaj.

– Znalazłeś sobie dumia – też rozlecił się Sawadok i zgwałł wszystkie karty na kupkę.

Esjeja to bezgranicznie rozsierdziło. Od złości żyły nabrzmiły mu na czole i nerwowo drżał podbródek. Chwył pustą butelkę i zamachnąwszy się, wrzasnął na całej gardło:

– Precz z mojego domu, oszuście, albo rozbiję ci głowę!

Sawadok tak się przestraszył, że nie namyślając się długo wyskoczył przez okno i upadł na piękny klomb z pachnącymi żółtymi różami, na wewnętrzny podwórku budynku. Na szczęście okno, z którego skoczył, było narko-byt wysoko od ziemi i nic mu się nie stało. Oprzytomniawszy po swym karłowatym skoku, Sawadok, choć czuł dokuczający ból w prawej nodze, szybko się podwał, otrząpiał z grubszą ubranie, i jak kula wyleciał na ulicę, gdzie po chwili zatrzymał jakas karetę, którą dostał się do swego mieszkania w królewskim pałacu.

Nie chciał budzić w nocy swego sługi, więc sam sobie pościelił, zrzucił z siebie wierzchnie ubranie i położył się spać. Jednak zbawienny sen nie przychodził. Wszystkie wysiłki by zasnąć były daremne, serce lekarza tukało się w chorobliwym smutku i nie dawało spokoju duszy. Całą noc Sawadok przeleżał na łóżku z otwartymi oczami i cały czas z goryczą rozmyślał, starając się zrozumieć, czemu w wieku czterdziestu lat wciąż jeszcze nie udało mu się ożenić.

## 29. Stolica Diamentowego Cesarstwa nocą

– Zatrzymaj się tutaj – powiedział poeta Laura do woźnicy, który w sennej zadumie powoli kosił.

Konie stanęły i Laura wyszła z karety. Nocna, bezludna ulica, porośnięta z obu stron niewyrokami akacjami, cała była zalana księżycową poświatą. Piękno nieporozanej ciszy, która panowała dokoła, natychmiast oczarowało wrażliwe serce poetki i Laura całkiem oślepła z poczucia zachwytu, ostatecznie zapomniała o wszystkich przykrościach kilku ostatnich dni...

– Możesz jechać precz – powiedziała do woźnicy z lekkim drżeniem w głosie.

Woźnica bez słowa machnął batem, konie ruszyły i po chwili kareta znikła za najbliższym zakrętem. Kiedy stukot kołskich kopyt całkiem roztopił się w nocnej ciszy, Laura lekkim krokiem podszła do zardzewiałej żelaznej bramy dwupiętowego budynku, w którym mieszkał sławny profesor filozofii Dagetla i nacisnęła przycisk elektrycznego dzwonka. Nad bramą zapaliła się lampa, z domu wyszedł wysoki zaspany służący w czerwonej koszuli i po kilku chwilach rozmawiała już z profesorem, siedząc w przestronnym sześciokątym pokoju wśród bezliku książek, pijąc czarną kawę i z rzadka spoglądając na ekran telewizora, gdzie nadawano nocne wydanie wiadomości poświęcone długotrwałej wojnie Diamentowego Cesarstwa z Królestwem Ziemi Północnej, w szczególności trudnemu położeniu cesarskiej armii na półwyspie Mityryda.

Profesor Dagetla był mężczyzną pięćdziesięcioletnim, miał siwe skronie, bladą opuchniętą twarz i wyblakłe oczy, w których nie malowało się nic prócz straszliwego zmęczenia. Cieszył się wśród uczonych cesarstwa wielkim autorytetem, był jednym wśród filozofów, który posiadał tytuł cesarskiego medyka. Ządzielił temu czysto zaprzeczano go do Buckinghamu pałacu cesarza Baltazara Drugiego, jeśli trzeba było rozwiązać jakiś wyjątkowo złożony państwowy problem.

Miał kiedyś żonę o imieniu Luna, ale ponad dziesięć lat temu rzuciła go, banalnie zszedłszy się z kapralem dwudziestego szóstego legioni Friranem, który podbił jej serce tym, że potrdził licznych innych odznaczę miał na piersi i zamieniony złoty medal bitywy bejbaszkiej. Od tego czasu profesor mieszkał w swym wielkim domu sam, mając do dyspozycji tylko kilkoro służby.

Przez całe życie profesor wyrażał pracował nad poznaniem istotnych praw bytu. To był główny cel jego życia. Dokładną nadbudkę wysiłków i cierpliwości, żeby ten cel osiągnąć i po mniej więcej dwudziestu latach wyteżonej pracy, pełnej niepowodzeń, rozpaczy, przykrych błędów i najrozmaitszych nieprzewidywalnych przeszkód, jego potężnemu umysłowi wreszcie udało się odkryć te subtelne, trudno uchwytnie prawa i ukłoty je w gigantyczny, cudowny spójny system filozoficzny, wypełniony nowymi naukowymi definicjami. System ten profesor dokładnie przedstawił w pięciotomowym dziele zatytułowanym „Piramidalna struktura wyższej jedności”. Niezrozważane pozostały tylko pewne drugorzędne kwestie, nad którymi nie chciał mo się pracować, bowiem były, jak sądził, mało istotne.

– Dalem ludziom to co najwazniejsze – stworzyłem podstawę, a doskonaleniem i ulepszeniem pewnych nieistotnych spraw niechaj zajmują się moi następcy – z samozadowoleniem mówił profesor Dagetel innym uczonym cesarstwa, kiedy spotykał się z nimi na stołeczym uniwersytecie, gdzie pojawiał się z wzorcowymi wykładami dla studentów.

A kiedy ostatni tom jego dzieła ukazał się drukiem, porzucił wszelkie filozoficzne rozważania, zrezygnował z wykładów i osamotniono w swym domu, wiódł spokojnie, apokryficzne życie. Stannie unikając wszelkich życiowych konfliktów, nie utrzymując przyjacielskich związków z kolegami filozofami i w ogóle starając się jak najrzadziej wychodzić z domu, Dagetel codziennie zanurzał się w swoim sześciokątym pokoju w szczęśliwości wszechjędnej pustki, która z takim trudem udało mu się odkryć.

Jednak po kilku latach profesor uwidomił sobie z goryczą, że jego radość z odkrycia prawa bytu zatruta jest nieodczuwalną żurą Luny, z rozczuleniem najgłębszych procesów rozwoju wszystkich rzeczy doprowadziło go jedynie do nieznośnej mudy, bo teraz nie na świecie nie wywoływało w nim ani zdziwienia ani ciekawości. Jego życie stopniowo zmieniło się w piekło. To już było właściwie nie życie, a bezce leniwe umieranie, jego duszy i ciała. Przez całe dni Dagetel prawie bez ruchu przysiadawał w swoim zielonym fotelu, rozbity paralizem bezczynności, i tylko z rzadka, kiedy nagle przypomniał sobie swoją żonę Lune, w jego duszy pojawiała się coś na kształt ożywienia. W ogóle – kobiety, tylko one z pewnością jeszcze choć trochę wzruszały profesora. I kiedy, bywało, z rzadka spuszczał swój dom, to tylko wtedy, kiedy miał spotkanie w takim miejscu, gdzie z wielkim prawdopodobieństwem mógł spotkać urodziwą osobę słabszej płci.

W ostatnie lata swego martwego istnienia Dagetel marzył i wyściskał prosta w oczach, z każdym dnem było z nim coraz gorzej. W nocy, trapiący bezczynnością, nie mógł spać i dlatego do samego rana przysiadawał koło telewizora, na którym nadawano całonocny program.

Właśnie w jedną z takich nocy, kiedy wyczerpany na ciecie i duszy profesor siedział nieruchomo w fotelu i beznamiętnie patrzył w ekran telewizora, przybyła do niego poetka Laura. Zasił ją od dawna, w kiedyś czegoby był w cesarskim pałacu, gdzie mieszkała, i jeszcze wtedy wpadła mu w oko i nieraz ją zapraszał, by odwiedziła go w domu. Mimo to Laura w ciągu wielu lat ani

razu nie skorzystała z profesorskich zaproszeń, choć stale obiecywała, że na pewno do niego przyjdzie.

I oto, kiedy po tylu latach nieoczekiwanie zjawiła się w środku nocy, serce Dagetela zadrało radością i o nic nie pytając zaprosił ją do swego sześciokątnego pokoju, nieustannie rozpykując się w wyszukanym komplementach. Jej pojawienie się wywołało w nim swego rodzaju szok, który natychmiast wyprowadził go z duchowego otępienia.

Teraz, siedząc koło telewizora z filiżanką czarnej kawy, Dagetel z nienaturalnie uważnym wyrazem twarzy słuchał, jak Laura z zachwytem opowiada o niewymownym piękności ulic, skwerów, placów i budynków nowego Sediolanu, o tym, jak fantastycznie błyszczą księżycy i gwiazdy w ciemnych wzdach Sedy, która tajemniczo i majestatycznie nicie swoje drzące fale przez całą stolicę do Zatoki Róż, aby potem polączyć się z bezkresnym Oceanem Hiacyntowym. Stuchaj jej dziwną, spójną, chimerzytymi poetyckimi wyrażeniami mowy, zachwycał się czującym blaskiem jej cudownych oczu i śmiał o jej powabnym sprężystym ciele, o przepięknej rozkosz nocy, jaką spędzi, obejmując to ciało na szerokiej skórzanej kanapie obok półek z dziełami zebranymi samego Augustyna.

– Och, profesoro, gdyby pan widział nabrzeże Sedy! To rzeka marzeń... Wszystko jest całkiem inne niż w dzień. Księżyce świeła nawet kamieniem płyty zamienia w fantazję... To naprawdę istny cud, profesoro! – mówiła Laura, której słowa płynęły i płynęły niepowstrzymanym strumieniem.

### 30. Śmierć Moawity

Zdawło się, że huraganowy wiatr z deszczem i śniegiem nigdy się nie uspokoi. Niewielki handlowy bryg „Astra”, który ponad trzy tygodnie temu wypłynął z Sediolanu i kierował się do Brajbinaru, głównego portowego miasta na północnym wybrzeżu Diamentowego Cesarstwa, już piaty dzień nie mógł wydostać się z Deszczowego Zatok, dokąd zawiązał, aby wrócić Tunar zapotrzebował się w prowiant i słodką wodę. Wydawało się, że brygowi długo jeszcze przyjdzie stać na półwyspie. Za każdym razem, kiedy jedynochy kapitan Aljeimadasi dawał komendę, by podnieść niższy żagiel i uruchomić silniki, zrywał się taki szalony wicher, że trzeba było natychmiast zrzucić kotwice, aby statka nie poniosło i nie zrucilo na zalegobetonową tunarską wyspę. Tylko jeden jedyń raz Aljeimadasi udało się nieco zbliżyć do wyspki z zatoki, ale półgłose porwy z Oceanu Północnego zepchnęły statek z powrotem do portu.

Tak więc kapitanowi nie pozostaowało nic innego, jak czekać, aż się wyopodki, tym bardziej że marynarze już zaczęli skrycie utyskiwać i w każdej chwili mogli podnieść bunt. I nic dziwnego, bowiem z burzy statka każdy wyraźnie widział w oddali miejsce budynki z cerkwiemi, hotelami, licznymi sklepami, tanimi kinami i innymi instytucjami rozrywki, jak kasyna czy palnioniki, a także restauracje, niewybredne gospody i zacinne kawiarnie, gdzie można było nie tylko dobrze zjeść, napić się wina, piwa, rumu i gorącego poncza, rozkoszując się towarzystwem umalowanych tunarskich piękności, ale i zapalić fajkę z liściem mowy, dym której natychmiast rozwiewa smutek nawet najniezależniejszego człowieka na świecie. Był to ten sam sławny liść, wyrosły na zamkniętych mewowych plantacjach za jezierzem Wesolym u podgoża Gór Diamentowych, którego tajemnicy uprawy strzegł cesarz Baltazar Drugi przy pomocy dwóch tysięcy konnych i pieszych ochotników, tak zwa-

nych mewokorów. Na uprawę i handel liściem mewowym cesarz miał wyłączny monopol.

Moawita była jedynym pasażerem na „Astrze”. Siedziała w ciasnej kajucie, przesyconej zapachem solonych ryb i przez maleńkie okienko patrzyła na wzburzone fale, które, spienione, wysokimi grzebieniami wznosiły się jedna nad drugą. Moawita tuliła do serca niebieskie pudełeczko, w którym znajdował się purpurowy motyl – że złotymi kółkami na skrzydłach. Tego motyla kupił jej legionista Wuzcypilon w stolicy Cesarstwa Siodlanie podczas ich ostatniego spotkania wiosną minionego roku. Podarunek Wuzcypilona był dla niej najdroższą relikwią, z którą nie rozstała się nigdy. W drzewiu wysuszonych morych skrzydeł słyszała bicie serca swego ukochanego, wychłytywała melodie jego głosu i nawet widziała błękitny ocean, z którego mogła godzinami przyglądać się różnokształtym złotym centkom na jego purpurowej powierzchni.

Mińło prawie siedem miesięcy od czasu, jak Moawita otrzymała od Wuzcypilona pierwszy list po jego wyjeździe na wojnę, jaka wybuchła na północy Diamentowego Cesarstwa, gdzie nocą zmiennaka wyładował ogromny morski desant armii króla Rafanilla. Wuzcypilon donosił, że po zaciętych dwutygodniowym boju o miasteczko Justar, które zakotwił się tragicznym odwrótem cesarskich wojsk i zajęciem przez nieprzyjaciela półwyspu Mitydata, a wkrótce potem całego północno-wschodniego wybrzeża, na froncie zapanało wymuszające uspokojenie.

Linia frontu rozciągała się na wiele kilometrów. Poczynając od Czerwonej Zatok i ciągnąc się przez porosłe zagajniki równiny aż do nieprześcypnych błot, za którymi wznosiły się niedostępne północne pasma Gór Diamentowych.

Siedząc w okopach, zakopawszy się w ziemię jak kryty, to dla jakiegokolwiek żołnierza, a tym bardziej dla cesarskich legionistów było istne piekło. Dni i noce wypełnione były piękną nudą nie do zmieszenia, która przesłaadowała żołnierzy nawet w snach, a praktycznie nie było przed nią ratunku.

Z początku dochodziło jeszcze niekiedy do pojedynczych strzel między wrogimi stronami, walk między niewielkimi grupkami, zwłaszcza harców woynowych strzelców, ale stopniowo wszystko się uciszyło i większość żołnierzy cesarskiej armii ostatecznie straciła nadzieję, że w najbliższym czasie mogą rozpocząć się jakies aktywne działania wojenne.

Wybrał sobie, kochana – pisał niemal z rozpaczą Wuzcypilon – w niektoóre dni można nie usłyszeć żadnego wystrzału, żadnego nawet dalekiego wybuchu ręcznego granatu, nie mówiąc już o artyleryjskiej kanonadzie czy lotach bombardowania. „A zwiadowcy tymczasem dostarczali dowódcy frontu generałowi Bajzelowi coraz to nowych potwierdzeń, że nieprzyjacielska armia całkowicie zajęta jest pracami fortyfikacyjnymi i nie planuje żadnego natarcia.

Trwały brak walki nieuchronnie demoralizował żołnierzy cesarza. Na całej długości frontu w cesarskim wojsku zatracających rozmiarów nabierało pułnistwo, coraz częściej zdarzały się niedorzeczne bójki, zabójstwa, buntury przeciwko oficerom, samobójstwa, kwitły wszystkie formy homo seksualizmu i innych płciowych zбочек, a także, co najgorsze, zaczęła szerzyć się żelazna febra, szczególnie niebezpieczny rodzaj szalenstwa wśród żołnierzy.

Coraz więcej żołnierzy samowolnie opuszczano front. Zandarmeria wojskowa niemal codziennie aresztowała dezertorów na dworcach przyfrontowych miasteczek Ufianu, Otwaru, Dizinu, a szczególnie dużo wojskowych uciekinierów podczas nocnych oblów w domach publicznych Brąjbinaru. I nie mogły

temu zaradzić nawet najokrutniejsze kary, do jakich uciekał się general Bajzel, w szczególności i tu, zgodnie z ostatnim rozporządzeniem cesarza, kiedy dezertera publicznie wieszano, przepisywano mu do piersi tabliczkę z napisem „baba”, potem przebijano w czterech miejscach zaostrzonymi mieczami rękami, rozrywano ciało na osiem części, wrzucano każdą kawalek do kotła z kwasem solnym, reszki spalano w ognisku i wrzeszcz, ogłaszano nazwisko straconego we wszystkich gazetach, a także w radu i w telewizji. I mimo wszystko dezercje wciąż się nasilały.

Wuzcypilon także nie wytrzymał przeważając frontowej nudy i porzucił bojowy posterunek, zostawiwszy swojego przyjaciela kaprala Firana samego w okopie kole przonośnej armaty i telefona. Dwa dni na piechotę przedzierał się piaszczystymi polami i rzadkimi zagajnikami, unikając spotkania z zandarmerią, aż szczęśliwie dostał się do Brąjbinaru. Tu, w swoim skrajnym, jeśli chodzi o słonce, miejscu już tydzień mieszkał w mieszkaniu brata Moawity Koriantra (czterdziestoletniego zdziwaczalnego kawalera, który niczego nie umiał na świecie prócz szachów), całe dni spędzając w jego bibliotece na czytaniu wierszy siedmiu sławnych cesarskich poetów, znamienitych klawyków liryki miłosnej. W liście co trzy linijki skazywał się Moawicze, że spłonie z tęsknoty za nią i błagał, żeby jak najwcześniej przyjechała do niego do Brąjbinaru.

Moawita w kajucie do późnej nocy przyglądała się wzburzonemu morzu, pograżona w słodkim marzeniu o przyszłym spotkaniu z Wuzcypilem. Przebiegła w pamięci każdą najmniejszą rysę jego twarzy, przypomniała sobie najdrobniejsze szczegóły każdego z min spotkań, unilaowała wkręście każde poruszenie uszu, jakie budowały się w ich stosunkach. I im bardziej myślała o swoim ukochanym, tym bardziej wydawał się jej ugrasany, piękny, spowity aurołą prawdziwej szlachetności. Po prostu, nie mogła spać i całą noc przesiedziała kole okna z niebieskim pudełeczkiem w dłoni, od czasu do czasu wyjmując z niego motyla i chowając go z powrotem.

Nad ranem wiał całkiem ciepły i mójże się uspokoiło. Ale nad zatoką zawisła taka gęsta mgła, że nawet siorące kole jednego masztu nie można już było zobaczyć drugiego. Wszyscy wokół było zalane jak mlekiem.

Kiedy Moawita wyszła z kajuty zobaczyła kapitaną Almondasa, który stał na mostku i ochryplym basem wykrzykiwał komendy. Silniki już pracowały i statek powoli stawał żagle. Głowa kapłana była przeczczana czerwona chustką, a w ustach sterczała mu duża obrotowa fajka, jak zawsze zgładzi.

– Wesczes naszany, panie kapitanie? – radośnie spytała Moawita, gdy wychając pełnią piersi morznie powietrze.

– O, wiec już pani wstała, panienko! – odpowiedział kapitan – Jakas pani bardzo blada. Czy to nie morskie koszmary nie dawały pani spać? Na pani miejscu nosa bym nie wychylał z tej stolicy. I czemu się pani zachłania w tąka dół?

– To wszystko przez moje serce, to ono jest winowajcą – i fałszywym ognikiem w oczach spojrziała na niego Moawita.

– Ech – kapitan Almondasa machnął niepewnie dłonią i wyjęwszy z kieszeni dokładną mapę zatoki, zaczął wodzić po niej palcem. Potem przystanął prawie oko do grubej liny, przyćmowiane do barierek na mostku, jakby naprawdę w tej mgle można było cokolwiek zobaczyć.

Moawita wzruszyła ramionami i poszła wąskimi schodkami na górę, na górny pokład. Tu owinąwszy się z głową w długą listą szubę umościła się na stosie zwiniętych lin za ratunkową szalubą. W tym zakątku, kiedy pozwalała na to pogoda, spędzała prawie cały czas swojej podróży.

Z rufy dobiegaly krzyki marynarzy, którzy rozciągali liny na rejach i przystawiali dodatkowe wzmacnienia masztów. „Astra” płynie prując fale powoli wypływała z zatoki. Za burta nie było widać nic, tylko słychać było monotony plusk fal.

Już przy pierwszych armatnich salwach Moawita ociekła się z drzemki. Z początku nie mogła zrozumieć, co się dzieje i w odrętwieniu słyszała tylko liczne krzyki marynarzy i bezładną bieżącą na pokładach. Następnym kilka salw, które ścieły górną połowę jednego masztu i ta zwisała, objawiając się o popłatane wanty, przywiodło Moawitę do świadomości. Zrozumiała, że bryg otrzewniając całym artyleryjskim ogniem. Ale skąd pochodzi ten ostrzał, nie można było zrozumieć, bo mgła nie zrzedała ani trochę.

Dziewczyna zrobiła kilka kroków. Z mgły wyłonił się kapitan Alejmondas z rewolwerem w ręce. Na głoswie miał wielką ranę, z której płynęła krew. — Nędznicu, po prostu nas rozstrzelaliuj! — burknął ze złością i znikł w pomieszczeniu radiotelegrafisty.

Gwałtowny podmuch wiatru nagle wytrącił z rąk Moawity niebieskie pudełeczko z mydełem i poniół je po pokładzie. W niedziach dziewczyna coś zażądało. Wytęła jej się, że za moment straci coś najdroższego i rzuciła się jak szalona łapał pudełeczko. Ale w tej chwili wiałeń chłodziło się kilka oguszających armatnich wyrzάλów. Na dziebie statku pojawił się słup ognia, zapalił się żagiel. W ciągu sekundy jeden z pocisków trafił prosto w szalupę i kalkowicie ją roztrzaskawszy zmłół w morze, zabierając ze sobą i Moawitę. Nikt na brygu nie zobaczył, jak fale pochłaniały Moawitę na zawsze.

Później okazało się, że „Astrę” przy samym wyjściu z zatoki pomyłkowo ostrzelała nadbrzeżna artyleria.

Właśnie tego samego dnia armia króla Rafanaila rozpoczęła zmasowany atak na Brajmar i wojskowy garnizon, który bronił wejście do Deszczowej Zatoki, otrzymał sztyfrogram, że do północno-zachodniego wybrzeża Cesarstwa zdała królewska flotyła złożona z ośmiu fegat pod dowództwem admirała Drakuli. Zolnierze garnizonu nie spalili kilka nocy w oczekiwaniu na nieprzyjacielskie okręty. Nerwowy nastrój wśród nich nasilały również liczne pogłoski o kolejnej porażce cesarskich wojsk i nawet o rzekomych poddaniu Brajmaru. Te pogłoski przynosiło do Tunaru i innych okolicznych miasteczek dezertery. Nic więc dziwnego, że kiedy tytuł pułkownika artylerii brzozej Emanuła powiadomiono o szumie siałników jakiegoś niewiadomego okrętu, on nie zwlekając dał rozkaz strzelania ze wszystkich armat.

Poza Moawitę nikt na „Astrze” nie zginął. Statek ze zlamany masztami, osmalony i z kilkoma dziurami w poszyci nad liną wodną został odholowany do tunarskiej przystani na remont. Kapitana Alejmondasa głęboko poraziło wojskowie przystani na remont. Kapitana Alejmondasa głęboko poraziło wojskowie przystani na remont. Kapitana Alejmondasa głęboko poraziło wojskowie przystani na remont. Kapitana Alejmondasa głęboko poraziło wojskowie przystani na remont.

### 31. Jeszcze jeden niespodziewany problem naczelnika Tajnych Służb

Luksumowy srebrzysty Cadillac już stał koło masywnej żeliwnej bramy pomalowanej na ciemno niebiesko. Na jego wymyśle śliskiej masie podskakiwał młodzieńcki szczygiełek, wypiewkując swoje urwane fralu-fralu i pić-pić. Naczelnik Tajnych Służb Teodor wyszedł ze swego domu w nadzwyczaj

dobrym humorze, bo przyniósł mu się dzisiaj, że udało mu się odkryć wielki spisek oficerów artylerii trzech północnych nadmorskich miast: Hulpekusa, Gyzela i Zosilana i że to cesarz Baltazar Drugi obiecował mu nadać wymarzony tytuł Cesarzkiego Kawalera Pierwszego Stopnia.

Teodor przeszedł asfaltową ścieżką do bramy i zauważywszy na samochodzie szczygiełka, pochłomiał. To mógł być zły znak. Przecież po tym, jak umarła księżniczka Nioba i zwłaszcza po ostatniej wielkiej wojnie z Królestwem Ziemi Północnej, która miała nie zakończyła się klęską Cesarstwa, cesarz Baltazar Drugi zmienił się prawie w szaleńca, jego samopoczucie i nastroje zmieniły się co chwila i zupełnie nie można było przewidzieć żadnego jego nowego kroku.

Teodor szybkim ruchem ręki zgolił szczygiełka, który sfrunął na rozłożystą katalpę, jeszcze głośniej wypiewkując tam pi-pi, picpi, po-pię i wsiadł do samochodu. Kierowca, czerwonołyk młodzik Partenon uruchomił silnik i samochód ruszył ulicą Krzywą, obsadzoną katalpami. Serce Teodora było niespokojne. Kiedy minęli czasowo zamkniętą w związku z remontem ulicę Porządku i wyjechali do soboru św. Elżbiety, Teodor zaczął nerwowo skąpcić nie w lewo, jak zazwyczaj, a w prawo w ulicę Kongregacji.

— Do Pałacu Letniego? — zapytał szofer Partenon.  
— Nie, jedziemy do Pałacu Błękitnego, ale inną drogą — odpowiedział Teodor, nie odwracając głowy.

Patrzył przez szybę na wysoką kobietę z dużymi udami, która powabnie przeżyła się pod czarną spódnica. Kobieta rwała szybko po chodniku, podzwaniając wysokimi obcasami. Cała była w czerni i jej krótkie białe włosy mocno kontrastowały z ubiorem. „Hm, taka sobie ślicznotka, dziewczyna” — pomyślał Teodor i przypomniał sobie Riodette, pulchnego milicjanta pączkarsza z rudym warkoczem i małymi pierśmi, która co piątek późnym wieczorem regularnie nawiedzała jego dom u dziewczynki lat.

Na placu Zachodnim cadillac trafił w uliczny korek. Przejazd zablokowała duża kolumna autobusów, które wiozły do szpitala ostatnie partie rannych legionistów przywiezionych pociągami z północnych prowincji Cesarstwa, gdzie całkiem niedawno zakończyła się wojna.

Kiedy szofer Partenon z zadowolaniem liczył niebieskie autobusy ze srebrnymi cesarskimi emblematami na drzwicach, Teodor wysiadł z samochodu i przyczepczy się do tłumy siedziałaczyków, którzy w umiesieniu witali okrzykami kolumnę, zapalił aromatycznego papierosa. Powołał wypuszczając z ust dym, usiłował pozbryć się łęku, jaki z samego rana zasiał się w jego sercu. Papieros, w którym było troszkę mewowego ziela, jakos zblił jego niepokój, ale, oczywiście, nie mogło to trwać długo.

Kiedy kolumna wreszcie przejechała, Teodor wsiadł do cadillaca. Szofer z miejsca nabral sztybkości i wóz pomknął ulicą Gibonów, potem szeroką ulicą Wiosny. póki ostro nie zahamował na placu Cesarzskim przed wielkim otoczonym ciężkimi granitowymi kolumnami Pałacem Błękitnym, główną rezydencją cesarza Baltazara Drugiego.

Na początku Teodor zjrzał do swego urzędu, Tajnej Służby. Tu wszyscy pracownicy byli na miejscu, toczyła się zwykła praca. Przejrzawszy agendralne raporty z minionej nocy i zrobivszy kilka drobnych uwag co do formy przedstawiania materiałów oznaczonych wyrazami „Tajne”, wyszedł na wewnętrzne podwórze pałacu, gdzie rosły cieniste kasztany i stały lawaski. Nierazko można tutaj było spotkać licznych dzwornów, ale teraz, ku zaskoczeniu, podwórze było zupełnie puste. Teodor nie spiesząc się przeszedł po

szereżkich kamiennych płytach, którymi była wyłożona ziemia, omiódł spojzeniem ławki, kasztany, okna palca i zawrócił. Kiedy już podchodził do drzwi, z boku na niewielkim kamieniu z niebieskimi centuriami zauważył jakiś niezwykły przedmiot. Serce zabiło mu szybciej w preczarczu czegoś złego. Pochylił się i podniósł męski pantofel. Był to stary zszonowany pantofel z popękanyim skórzanym wierzchem i na pół oderwanyim zmienszeniem z kończyią sprzączką. W takim obuwii w cesarstwie dawno już nikt nie chodził, bo wyszło z mody jakieś trzydziści lat temu.

— Co to może znaczyć? — wymamrotał zmieszany Teodor, wycierając z czoła krople potu. — Nic innego, jak tylko nowe podstępny tego królewskiego fagasa Jurama.

Zawinął pantofel w czystą gazetę i jeszcze nie zdolał schować zawiązanką do kieszeni, gdy z otwartego okna na najwyższym piętrze rozległ się nieprzytomny kobiecy krzyk. Teodor zbladł i zaskoczony omal nie wypuścił pantofela. Opamiętawszy się wyciągnął zza pasa swój molibdenowy pistolet ze skorpionem na rękojeści, z którym nie rozstawał się nawet w łóżku i zadął głowę do góry. Okno, z którego dobiegał krzyk, wychodziło z mieszkanka kompozytora Awesaloma. „Kochanku! dasi stary marazmatyk, czy co?” — spontanicznie pomyślał Teodor.

Kiedy Teodor wszedł do palca i wszął się na drugie piętro, gdzie mieściła się Tajna Służba, w korytarzu zerknął się z malarzem Melchiorom. Jechało od niego tak śmierzdzącym winnym odorem, że jedna z sosenkich dam, która właśnie przechodziła obok, zemlała i służba musiała ją wynieść.

Malarz miał na sobie nowy modny surdut, rozdarty na plecach, na nogach wy-czyszczone do połysku buty. Trochę się zataczał, ale zobaczywszy Teodora od razu zaczął go obejmować, jakby spotkał najbliższego człowieka na świecie.

— Boże! Słyszał pan, panie Teodorze, umarł Awesalom. Już nie ma Awesaloma! Nie ma geniusza naszej muzyki! O Boże, po śmierci boskiej księżniczki Nioberyżem tylko dzięki jego muzyce! Boże, Boże! Już nie ma wielkiego Awesaloma!

— Kiedy to się stało? — przerwał mu Teodor.

— Pięć godzin temu. Poetka Laura znalazła kompozytora martwego w jego mieszkaniu. Leżał na podłodze koło fortepianu. Dookoła wstrzędzie porozrzucane kartki zapisanego papieru nutowego. Wszystko w strasznym nieładzie. Wie pan, Laura jest przekonana, że Awesaloma zabito. Wszyscy w palacu tak uważają. Nawet cesarzowi już doniesiono.

Teodor odechnął Melchiora i prędko pobiegł do Tajnych Służb wydać niecierpiące zwłoki polecenia w związku z nagłą śmiercią kompozytora Awesaloma. Zgodnie z jego nakazem wszystkie wejścia i wyjścia do palca zostały zablokowane. Pod ostrą policyjną nadszkie wzięto stoletnicę dworzec, port i lotnisko. Na ulicach i placach Siedlamiu pojawiły się setki agentów Tajnej Służby, którzy mieli instrukcje, żeby łapać każdego choć trochę podejrzanego człowieka i natychmiast doprowadzać go na przesłuchanie do centralnego więzienia, gigantycznej budowli w kształcie litery L, położonej na rogu ulic Szczęśliwa i Gibonów.

Dokładnie o dwunastej naczelnika Tajnych Służb Teodora zaważwał do siebie cesarz Baltazar Drugi, był zrefereował mu wewnętrzną sytuację w państwie. Cesarz przyjął go w sali białej, siedząc na niskiejkanie kanapie, obitej łwiał skórą. W ręce trzymał pustą szklankę z przemyślnie wygrawerowanymi na ściankach zimowymi pejzazami i tępo patrzył na owalnego kształtu basen, wyłożony białym marmurem, w którym pływały dwa królewskie karpie, oba

połmetrowe. Z lekkiego drżenia jego ręki Teodor od razu wyniosłokom, że Baltazar Drugi dopiero co przeżył ciężki napad histerycznego gniewu i teraz przebywa w bardzo obwignym stanie między nowym napadem szaleństwa i głębokim przycignieniem. Za plecami cesarza stała jego ulubiona służąca Solucia, chuda dziewczyna o płaskich piersiach i zielonych oczach, która trzymała na srebrnej łące długoszyją butelkę z sorgowym balsamem. Uśmiechała się bezmyślnie, polubyskując białymi zębami.

— Do pana usług, wasza Jasność — skłonił się Teodor, czując, że zastycha mu w gardle.

Cesarz nie odpowiedział i nawet nie odwrócił głowy. Nastalo gniotące milczenie, które trwało blisko dziesięć minut. W końcu Baltazar oddał szklankę Solucji i wciąż jeszcze nie odwracając głowy krzyknął:

— Zabijają w naszym palacu! Wszystkie korytarze roją się od najeknijnych zabójców króla Rafanama! Dżis rano mieli zabić mnie, a nie Awesaloma! Mnie! Rozumie pan? Gdzie pańscy agenci? Gdzie tajna ochrona palca? Nikomu już nie wierzę. Wszyscy mnie okłamują, wszyscy! Ale niech pan ma świadomość, że potrafie pana wyprawić na tamten świat wcześniej, niż się pana wydaję!

— Wasza Wysokość — odpowiedział Teodor — zabić nie wyłżynie się z naszych rąk. Moji agenci już trafili na ślad. Oto dowodem rzeczony.

Rozwinął zawiąnięty i podał cesarzowi znalezione rano pantofel. Baltazar Drugi z obrzydzeniem wziął go, pokręcił nim tam i siam i powiedział:

— W takim obuwii rzeczywiście może chodzić tylko zwierzę w ludzkiej skórze. Żaden porządny człowiek nie wstaje na nogę takiego paskudztwa! Zostawił pantofel i jakby oddawał ostatnie tchnienie, wyciągnął się na kanapie. Jego prawa noga w jedwabnej skarpoczce zsunęła się na dywan i lecnitko podrygiwała. Przez parę sekund cesarz się nie poruszał, a potem ukrywszy twarz w dłoniach, wyszedł z rozpaczą:

— Wszyscy przeciwko mnie. Dokola same żmieje! Czyżnake na moją duszę? Wiedziecie, że ja cesarz Baltazar Drugi nie boję się śmierci. A jednak, jak gorzko umierać w tej pustyni!

Solucja nalala do szklanki sorgowego balsamu i podała cesarzowi. Wtedy wstał, przeszedł się po sali i zatrzymawszy koło marmurowego basenu z królewskimi karpiami powiedział:

— Masz trzy doby na zalenie zabójcy. Idź precz.

Teodor skłonił się do niego i bez słowa wyszedł z sali.

Przechadzawszy do domu północy, Teodor do samego rana sławet nie zmrużył oczu. W sadzie za oknem szalicyzno cwiertkaly świwerszce, zachycające promienie posyłał do pokoju księżyc w pełni, a on wciąż chodził z karta w kąt swojej spjalnoli i niustannemu myślał o tym, jaką wybrać dla siebie forme egzekucji, kiedy za trzy dni zabijącego Awesaloma nie zostanie wykryty. Zgodnie z prawami Diamentowego Cesarstwa urzędnicj najwyższej rangi mieli prawo wybrać sobie dowolny rodzaj pozbawienia życia, z wyjątkiem powieszzenia. Wyreki śmierci, czas i miejsce jego wykonania wydal tylko cesarz.

Rankiem następnego dnia jadąc Cadillacem do Błękitnego Palca, gdy samochód akurat skręcał w ulicę Życia Wiecznego, Teodor niespodziewanie przypomniał sobie, że wczoraj był piątek, a jego Riodetta czerniał się nie żyła i nawet do niego nie zadzefonowała. To było wyjątkowo dziwne, bo przez dziesięć lat nie pozwoliła sobie na coś takiego.

— Co za czoł! — głośno się zbeżształ.

— Proszę wybaczyć, nie dosłyszałem — powiedział szofer Partencjon.  
— Jedź na północno-zachodnie przedmieście, na ulicę Błkitnych Pomarańczy. I uprzedzam, nie pytaj za dużo, jeśli nie chcesz, żebyś się rozgniewał.

Na ulicę Błkitnych Pomarańczy, gdzie w starej willi z plaskocerkubami przedstawiającymi dziwaczne morskie ryby mieszkała Rodzina, Teodor był tylko dwa razy. Pierwszy raz — kiedy kupował tę willę, a drugi, kiedy wracał do niej Riodette, która zgodziła się zostać jego utrzymaną i opieką nad rodzicami z dalekiego miasteczka Marzusk w Górach Smoczych. Teraz Teodor jechał tam po raz trzeci. Pogrzeba oszarniał Baltazara Drugiego całkiem wyliciała mu z głowy.

#### 48. Krzyk puchacza nie daje zepchnąć się ze szlaku

Kiedy poeta Achim przyjechał na ulicę Rodziny Aktorów, przy której mieścił się Królewski Teatr, Lia czekała na niego koło blaszanej budki sprzedawcy lodów. Achim natychmiast zobaczył jej smukłą postać w długiej szkarłatno-złotej brokatowej sukni i brązowym kaftanku z białymi koronkami i niebieskimi kokardami. Kaftanik był rozpięty i spod szerokiego dekoltu rukiemki wyczały kuszące owale maszynnych piersi.

Achim zeskokczył z podnóżka szybkojezdnej bryczki, która przyjechała, i nagle poczuł, że zakrecoło mu się w głowie. Żeby nie upaść przywał plecami do stupa latarni. Potem spojrział na Lię. Cała jej postać promieniła ledwie widocznym bładym blaskiem. „Jest zachwycająca” — wyszeptał. Lia patrzyła na niego i uśmiechała się. Jej długie blond włosy równymi pasmami spadały na plecy. Achim niepewnie ruszył ku niej.

— Uroda przypomina mi pani gwiazdę wieczorną — powiedział z ukłonem.  
— Doprawdy? A ja myślałam, że słofce! — roześmiała się Lia. Wzięła Achima pod ramię. — Chodźmy. Mój mąż jest już na sali. Zaraz zjedzą.

Tego wieczora w teatrze miała się odbyć premiera komedii dramaturga Weniamina „Zgubiona broszka”. Achim do ostatniej chwili nie wiedział, czy przyjdzie do teatru, chociaż dął słowo Weniaminowi, że na pewno będzie. I gdyby nie zona Weniamina, Lia, która godzinę temu zatelefonowała do niego do domu i oświadczyła, że osobiście będzie na niego czekała przed teatrem, Achim by się nie pojawił.

Sala była przepelniona. Wszystko dokoła błyszczało i lśniło. Spektakl miał się zacząć łąda chwila. Kiedy Achim z Lią weszli do bocznej łądy drugiego balkonu, Weniamin zwrwał się z krzesła i radośnie wykrzyknął.

— Włec przyszedles! Zuch! A już myślałam, że cię nie będzie!  
Śmieśnie zamiatając połami swego czarnego surduta podskoczył do Achima i chwycił go w objęcia.

— Tak się cieszę, że cię widzę! — pocałował Achima w policzek. — Gdzie się podziewasz? Czemu nie pokazujesz się ludziom? Wszyscy w Rafadegone tylko o ciebie pytają!

— Odczuwam większą potrzebę samotności — Achim uwołał się z objęć Weniamina i stał trochę szponymy tym zrydlonym powitaniem. — Calego mnie zaślifles — mruknął burkowiec.

— No, no, nie gniewaj się — Weniamin poklepał Achima po plecach. — Przyjomy mi sobie lepiej, ile wesolych wieczorów spędziłymy w winiarniach i szynkach. Do rzeczy, dalej mieszkaż w tym pięknym pokoiku z okrągłymi oknami na ulicy Króla Jelenia?

— Tak.  
— I dotąd się nie ożeniłeś?  
— Nie.

— No, to nie nieszczęście — zdziwił się Weniamin. — Prawda, kochanie? — przyciągnął do siebie Lię i mocno pocałował ją w usta.

— Wariacje, patrz na nas — jęknęła Lia i przyłożyła mężowi parasolkę po głowie.

Ten odlatił od niej i rozucierając głowę powiedział:  
— Jeszcze nie wiadomo, kto z nas jest większym wariatem.

Do królewskiej łądy, która była tu obok, weszli król Rafanali, królowa Sigurda i książę Osgan. Król był w białofioletnej kamizeli ze złotymi galonami, a królowa w różowej satenowej sukni z licznymi rozetkami, galantami, kokardkami i koronkami. W odróżnieniu od ich przysnego stroju książę miał na sobie surowy ciemnoniebieski surdat bez żadnej ozdoby (jeśli nie liczyć złotych guzików) i waskie spodenki — pończochy.

Gdy tylko się pojawili, zagrała wesola muzyka, kurtyna się podniosła i na jaskrawo oświetloną scenę wyszli aktorzy. Weniamin natychmiast siadł na krzesło i wpatrzył się w scenę. Zapomniał o całym świecie i widział tylko aktorów, którzy ruszali się gorączkowo i wymachiwali rękami, wykrzykując napisane przez niego słowa. Lia usiadła koło męża, a Achim usadowił się koło Lię. Patrzył na aktorów, ale niczego nie widział. Tu, co się tam dzieło, nie interesowało go. Nagle przypomniała mu się rodzina wyspa Amos, miesiąc, gdzie się urodził i dorósł i natychmiast w jego wyobraźni pojawiły się skały, porośnięte czarnymi jalościami i karłowatymi brzoźkami, kiedy wiatr na cichej morskiej równinie i oślepiające słofce, jakie tonie w bezkresnych przestrzeniach Oceanu Północnego. W tych wspomnieniach było coś smutnego. Ale za każdym razem, kiedy przypominał sobie dzieciństwo, tylko takie obrazy pojawiały się w jego pamięci.

Do powrotu do rzeczywistości zmusił go ból. Coś strasznie piekło go w udo. To była dłoń Lia. Była gorąca, jak ogień. Achim spojrział na Lię. W zachwycie patrzyła na aktorów i zdawała się całkowicie pochłonięta przez przedstawienie. Achim nie odważył się ani odsunąć jej dłoni, ani się do niej odezwać: i do końca spektaklu przesiadział nieruchomo jak mumijs.

— Kiedy spadła kurtyna i sala wybuchła burzliwymi owacjami, do łądy, w której siedzieli Weniamin, Lia i Achim, weszli królewski sługa w adamaszkowym płaszczu-ikordati i czworonogi czapek.

— Król pragnie natychmiast widzieć pana dramaturga — powiedział z bezczelnym uśmiechem i zmilk.

— Królówi spodobała się moja komedia — oczy Weniamina radośnie zabłysły. — Być może zostanie u króla na długiej. Dlatego wracaj do domu sama, moja droga — Weniamin pocałował żonę, uściśniętą kłiką rąk z roztargnieniem dłoń Achima i wybiegł z łądy.

Pod teatrem jaskrawo płonęły latarnie, slychać było gwar i zarty. Widzowie rozchodzili się, wsiadając do karet, rydwanów, tarantasiów i brzyceć wszelkich możliwych typów. Samochodów nie było, bo rafagodożczy uważali, że nie wypada jeździć samochodem do teatru. Achim i Lia też wyszli na ulicę. Przyšlo im dobrze poprzepychać się w tłumie, zanim znaleźli karetkę Lia. Był to biały z czarnym skórzonym wierzchem powóz na potężnych resorach, zaprzęgniemy w dwójkę gniazdych koni. Jeździł takimi karetkami wśród ludzi średnich stanów w stolicy Północnego Królestwa uchodzilo za prawdziwy zysk.

— Proszę — Achim otworzył drzwi karety, pomagając Lię wstać do środka.



- Ty także wsiadaj - Lia schwyła Achima za rękę i wciągnęła go do karety. - Chcę pojechać do ciebie.

- A co powie Weniamin? - Achim siadł na miękkie siedzenie, obite zielonym aksamitem. W twarz wionęły mu perfumy Lii - delikatny zapach fiołków.

- Niech to ciebie nie martwi - powiedziała i krzyknęła do woźnicy.

- Na ulicę Króla Jelenia.

Kareta ruszyła. Achim odchylił jedwabną zasłonę i zaczął patrzeć przez okno. Lia podsunęła pod plecy poduszkę z wiewiórczego futra i odchyliła się do tyłu i zamknęła oczy. Tak w milczeniu przejechali ulicą Rodziny Aktorów, skręciły w prospekt Bojowego Ducha, minęli Komendę Policji i wreszcie zatrzymały się na placu Królewskim, który cały jaśniał, bo był wyłożony szlifowanymi bazaltowymi płytami. Tu, koło palaca króla, Achim z okna karety zobaczył ohydną scenę. Agenci Szługi Bezpieczeństwa łapali jakiegoś mężczyznę i wciągali go do czarnego samochodu z przekreślonym znakom krzyżem na drzwiach.

- Puśćcie, puśćcie! - rozpaczliwie krzyczał niebókar. - Jestem pułkownikiem królewskiej armii, pułkownikiem Benchalem!

Krzyczał, drapał i zapierał się nogami, ale trójka w szerokich długich płaszczach nie zważała na jego lament i mocno trzymając wkłosa go do samochodu, gdzie stał ich zwierzchnik - posepy, z czarną brodą i w kapeluszu na głowie. Trzymał w ręce kij i patrzył czumnie nie na swoich podwładnych, ale gdzieś całkiem w inną stronę, jakby go w ogóle nie interesowało, co oni robią.

- Widzisz tego brodacza z kijem - Lia przysunęła się do Achima. - To komisarz królewskiej Szługi Bezpieczeństwa. Juram, Cieszę się wielką przychodnością króla i zgubił już niedawno niewiuna duszę.

- Sztysalem o nim. Naprawdę robi groźne wrażenie - Achim wzruszył głowę do Lii i jego usta lekciutko dotknęły jej policzka. Poczuł na ustach słodkawą smak pudru. Lia stwierdziła niemal przycięnięta do niego. W sercu Achima coś zakłócało.

Tymczasem kareta przejechała plac Królewski i wjechała na Prospekt Decydującego Natarcia. Przejechawszy trochę tym prostepkiem, woźnika skreślił w prawo na ulicę Króla Jelenia i wkrótce zatrzymał się przed sześciopiętrowym budynkiem, wyłożonym niebieskimi płytkami, na fasadzie którego koło schodów w szerokich ceramicznych czyszach rody nizinie strzyżone tuje. Tu na ostatnim piętrze pod samym dachem mieszkał Achim.

- Przejechalismy - Achim podał rękę Lii, pomagając jej wysiąść z karety.

- Naprawdę chcesz wejść do mnie?

- Tak - Lia podtrzymując fałdy sukni ruszyła do budynku.

Winda nie działała i i przyszło im wspinać się na szóstę piętro pieszo.

- Nie mogłeś sobie wybrać mieszkania trochę niżej? - pytała Lia, oddychając ciężko i zatrzymując się co kilka dziesiąt schodów.

- Szkałem mieszkania, z okien którego można oglądać zachód słońca.

- Jaka dziwna zachcianka - zawołała Lia. - Czy wieszysz poeci są tacy kapryśni?!

- To nie zachcianka, to potrzeba mojej duszy - powiedział Achim i w jego głosie zabrzmiał jakiś smutek.

Wreszcie weszli na szóstę piętro i Achim otworzył drzwi swego mieszkania. Składowo się ono z prostego pokoju i malusieńkiej kuchni. W tym mieszkaniu Achim żył zupełnie sam. Nie miał nawet służącego. Tu, patrząc przez wielkie okragłe okna na zachodzące słońce, napisał wiewiórczymi słowami wierszy, zwłaszcza znany w kręgu znawców poemat „Kwiat mirtu”.

- Niczego tu sobie, zaczniesz - powiedziała Lia, wchodząc za Achimem do pokoju, gdy on zapalił światło.

Na środku pokoju stał okrągły stół, na którym leżała jakaś opasła książka, arkusz białego papieru, miedziany kalamarz i dziesiątka gęsiej piór. Papier i pióra waleły się także na aluminiowym krześle z wysokim wypukłym oparciem i nawet na podłodze.

- Nie ma tu ci mieszkać samemu? - Lia podeszła do wysokiej starej szafy, która stała w kącie. Na jej rzeźbionych drzwiach pomiędzy płaskorzeźbami lwów pobłyskiwało lustro.

- Nie jestem sam - Achim siadł na aluminiowym krześle. Lia stała tyłem do niego i mógł widzieć kawałeczek jej szyi, jaki białal pomiędzy pasmami włosów. Jakie subtelne połączenie odcieni - jasnie włosy na tle białej szyi! - podkreślił w myśli.

- Marz przyjaciółkę? - Lia zrzuciła kaftanik i rzuciwszy go na fotel, który stał obok półki z książkami, odwróciła się do Achima.

- Marza na myśl, czy mam kochankę? - zapytał Achim. Jego szare wyblakłe oczy uważnie przyglądały się Lii.

- Czy masz kogoś, z kim spłasz, to mam na myśli! - zachichotała Lia.

- Nie - Achim dalek patrzył na Lię.

- Biodaczek - Lia rozpięła wierzchnia suknie i powoli zaczęła ją zsuwać. Achim przesuwał wzrokami po jej gołych plecach i rękach. Miękkie zaokrąglenia pleców przechodziły w piękne podłuzne kontury rąk. „Jakie piękne linie!” Nie odrywał oczu od Lii. Za oknem w gęstej koronie wysokiego jawora coś jakby wnetrzało. To był łowiec słyszalny tęskny dźwięk, który bardzo przypominał krzyk pachacza.

Lia podeszła do okna, gdzie było łódko, zakryte wlochatym czerwono popielatym kocem. Podała doń na na pociemniałym brązowym kabłąku poczemnicę i zapytała:

- Tutaj śpiasz?

- Tak - cicho odrzekł Achim.

Lia zsunęła suknię do samego dołu i zostawiwszy ją na podłodze, siadła na łódko. Tam zrzuciła ładną halkę i zaczęła rozpinąć malusieńkie perłowe guziczki stanika.

- Pomóż mi zdjąć

Achim podeszedł do Lii i ostrożnie zdjął z niej stanik.

- Gdzie go?

- Daj - Lia wzięła stanik i rzuciła obok łódko. - A teraz rozsunuruj golest - odwróciła się plecami.

Achim zaczął rozwiązywać sznurówki. Palec go się nie słuchały.

- Taki jesteś niezgrabny - Lia odwróciła się do niego twarzą. - No już. Teraz ja sama.

Achim odszedł i znnowo siadł na krześle. Lia wzięła gorset za górny brzeg i zdjęła go przez głowę, odsoniwszy piersi. Achim zobaczył jej wielkie, doskonale kulifisze uformowane piersi z ciemnoczerwonymi sterzącymi sutkami. Stała przed nim z zadolowanym uśmiechem w błękitnych jedwabnych podczochach i białych koronkowych pantalonach.

- Naprawdę są ładne, nawet mnie się podobają - Lia poklepała się dłonią po piersiach. - Czyż nie tak? - obłudnie spojrzała na Achima. Wtedy pochylwszy się zaczęła rozpinąć dołny wążutki pas i podwiązała na pończochach.

- Tak, bardzo ładne - Achim z zachwytem patrzył, jak kółkują się piersi Lii,

jak ich cień pięści wypukłą powierzchnię jej brucha z ciemnym wklęśnięciem pępka.

– A Lia niecierpliwie zdjęła pończochy i całkiem naga stała przed Achimem.  
– No jaka jestem? – wryżająco popatrzyła na Achima i zmuszawszy oczy przesunęła dłońmi po bruchu i udach.

– Twoja uroda po prostu oślepia – Achim patrzył na biel jej skóry, na ówitelone i zacienione zakątki jej szyi, płeców, pleców, na linie ud, która kręto wyginała się przy posładkach, na proste nogi, na wzgórki między nogami ze zlocitymi włoskami i zdawało mu się, że ogląda nie kobiece ciało, a potężną wężbraną rzekę, która niepostrzeżenie wabi go w swoje wody, obiecując podarować niezamane rozkosze. Achim był oczarowany i siedział na krześle, wstrzymując oddech. Widział każdą zmianę na ciele Lii, każdy cień, każdą fałdkę, jaka się na nim pojawiała.

– Na co czekasz? Chodź do mnie – Lia kiwnęła głową.

Achim wstał z krzesła i ruszył do niej. Za oknem znów rozległ się dziwny dźwięk, podobny do westchnienia. Ale teraz był całkiem wyraźny: Achim nie miał najmniejszych wątpliwości, tak mógł wołać tylko puchacz. „Dziwnie, nigdy wcześniej nie było tu tego ptaka”.

– Połóż się koło mnie – Lia już leżała na łóżku. Posunęła się trochę, by zrobić Achimowi miejsce. – Tylko nie zapomnij się rozebrać – figlarnie błysnęła oczami.

– Zaraz – Achim zdjął surdut, białą koszulę z różowym krzyżowym kołnierzem, potem spodnie i zostawił tylko w lnianych spodniach, położył się koło Lii.

– No, może mnie obejmiesz – Lia śmiejąc się przesunęła palcem po jego bruchu.

– „U-hu-hu” – już całkiem głośno dobiegł krzyk puchacza zza okna. Ten krzyk jakby coś przypominał Achimowi, przypominał coś bardzo jasno. Próbował sobie przypomnieć, zrozumieć co, ale wszystko na próżno, jego rozum milczał, a w sercu czuł tylko niewyrażalny śmiech. Zwrócił twarz do Lii. Przed oczami miał przyjemne zaokrąglenie jej płeców.

– Niczego mi się nie chce – wyszeptał.

– Nie podniecam cię jako kobieta? – uniosła nogę i pomachała nią w powietrzu.

– Nie wiem.

– A więc, wychodzi na to, że niepotrzebnie do ciebie przyszedłem? – Lia siadła na łóżku podkulając pod siebie nogi.

– Być może – Achim niewzruszenie patrzył na Lię.

Lia bez słowa wstała z łóżka i zaczęła się ubierać. Achim dalej leżał. Śledził każdy jej ruch.

– Wiesz, od dawna podejrzewałam, że z tobą coś nie tak – Lia już była w pończochach i zapinała gaziki stanika. – Teraz rozumiem, skąd te twoje dziwactwa.

– To nie to, co myślisz. – Achim z zachwytem patrzył na nogi Lii w błękitnych pończochach. Ich proste linie, zbiegające od ud do kostek, w niektórych miejscach rozpadały się na kilka ukochanych zmarszczek i gubiły się w ciemnoniebieskich skrzytkach kolan, łydek, pięt.

– Nie muszę myśleć, widzę – Lia włożyła sukienkę, potem kaftanik.

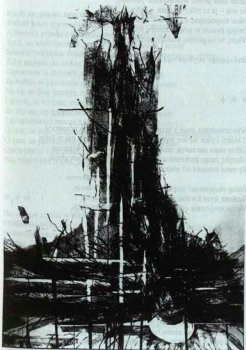
– Odprowadzić cię? – Achim wstał z łóżka.

– Nie, sama trafię – Lia szybko odwróciła się i wyszła z pokoju.

Achim zgasił światło i położył się na łóżku. Nie chciało mu się spać. Nie-

raczono leżał na plecach z otwartymi oczami. Z okna świecił księżyc. Jego blade światło potrzebnyło wszystkie przedmioty w pokoju. Nawet miedziany kalamarz i grzebie piana na stole pobłyskiwały srebrzem. Było cicho. Achim leżał i słuchał ciszy. Tak minęło kilka godzin. A gdy księżyc schował się za dachem sąsiedniego budynku i w pokoju zrobiło się ciemno, Achim wstał z łóżka i podszedł do okna. Na jednej z gałęzi jawora zobaczył ciemną plamę. „To na pewno puchacz. Ale czemu się nie rusza, czemu się nie rusza?” – myślał Achim.

Włodzimierz Jaworski  
przełożył **Boldan Zadara**



Andrzej Antoni Wódkowski. *Raf*, rysunek, 1999.  
Fot. Płow Maszick (VI Triennale Sztuki w Magdalenku 2000)

## HAŁYNA PETROSANIAK

\* \* \*

W tym mieście, gdzie morze panuje, w którym  
Wszyscy są obcy i dlatego – wolni,  
Gdzie czas płynie wyrozumiale powolny,  
Bo wie – ja tu tylko do jutra, a góry  
Takie niepodobne do moich – szukając  
Twojej twarzy w przechodniów tłumie  
Wiem, że na próżno szukam, nie znajduję –

Brakującego atrybuta raju.

\* \* \*

Wyprowadzasz mnie z kręgu zbędnych myśli, poza przestrzeń  
Z której i ptak się nie wyrwie – skrzydła zamarną mu w locie.  
Gdzie mnie nie ratują znaków Cyryla kombinacje najlepsze  
Muzykę mego przymierza ze światem słyszę w twoim głosie  
Ty mnie ratujesz od wspomnień, każesz marzyć.

W.G.

Sen zachwyca –  
Szałone trysy kwitną w stepach Pakistanu suchych.  
Twoje spojrzenie odnawia światło w mych źrenicach.

\* \* \*

Niebawem już ćwierć wieku, jak ze mną chleb mego czasu  
Dzieli świat nieodczytanych znaków, niewysłuchanych postłów,  
Pora dojrzewania słów, napełniona ich gorzką  
Albo słodką cierpkością sensu, pora ptaków,  
Które jako pierwsze lecą w wyraj, wiedząc czemu  
Nie mogą tu pozostać, przeżywszy surowość zim,  
Pora, gdy uderzenie wiatru w plecy pierwszy raz doceniasz  
Po tym, jak się już nieraz twarz stykała z nim.  
Jesień patrzy na księżą oborę, Nieko koloru stali.  
Te dni przynioszą chłód od podziemnych rzek.  
Pora, by odejść od miłości do nienawiści i dalej.  
Od wybaczenia znowu do początku. Jeśli masz sprostac jej.

34

\* \* \*

Fale godzin rozwijają się o skalę marności.  
Sikorki nie utrzymasz w ręce, a pomysły  
Karawany dni trumnyj mojej przyszłości  
Wiozą w pustyni wczoraj, nie wiadomo dokąd.  
Zaden cud nie powtórzy bluesa karawanu tego,  
Niki drugi raz nie zagra, jakby o to nie prosić  
Bo ploną muzykanci szczęśliwi, kiedy się rozlega,  
I ploną do cza instrumenty, i nuty, i głosy...

\* \* \*

Kiedy zaczną się tutaj deszcze i na Stefaniplatu  
Zwinie kram sprzedawca komических marionetek,  
A droczki pojedą z podniesionymi budami i prażą  
Tych, co ulice sprzątają, stanic się składsniejsza i jesien  
Stworzy porządek świata, wtedy na pewno na odwagę się zbiorę  
Zeby napisać do ciebie, nie wypadła bowiem  
Zapominać o dobrych znajomych. I ci opowiem,  
Na to, że Bóg istnieje, najlepszym są dowodem  
I o tym, że co rano ulicą Faworytów chodzę,  
Ze sny mi się śnią brzmące po niemieccku, że urody  
I szlachetności miasta nie da się w słowach odtwierzyć.  
O tym, że jego mieszkańcy potrafia śmiać się do nieznanomych,  
O tym, że publiczność w operze zabawia teraz Weber  
Opowiem ci o prosta, nawet jednym słowem  
Nie napomnę o tym, jak smutno mi bez ciebie.

\* \* \*

Na zawsze zostać w szkole dominikanek pod Wiedniem,  
Modlić się wyłącznie po ukraińsku, siostrz budząc zdziwienie i podziw.  
Po kolacji czasami pisać orędzia do krewnych,  
Próżaj, jak ich zdrowie, i jak obrodziły ogrody.  
Codziennie na rynek przy Schlossbergstrasse chodzić,  
Przywyknąć do dostawki, własnym jeździć autem,  
Żyć w zgodzie z sobą, dziękując Zbawicielowi  
Za to, że wszystko poszło tak dobrze. I raptem  
Po jakichś dwadziestu latach, kiedy nikt już nie będzie  
Widział w tobie obcej, zbrodzivszy się o poranku  
Pomodlić się po ukraińsku budząc zdziwienie znowu wszędzie  
I, nie zdejmując z siebie habitu dominikanki,  
Wiedząc dobrze, co zamieniasz i na co,  
Wynuszyć w drogę, nie mając zamiaru wracać wcale  
Dziwiąc tych, którzy nie myśleli, że słowo „ojczyzna” ma taką  
Niezgłębioną pojemność.  
I zdziwić się samej.

35

z cykła *Ułubieni bogowie i bohaterowie*

## Pan

Głos sternika ogłosił nam o Twojej śmierci, boże zaróśli.  
Krótka wiosna przeszła w upalne lato,  
zakwitły cyklameny na arkadyjskich łąkach i przynosił  
wiatr ich zapach. Potworny, przegrany staruch  
który nie wyrzekł się towarzystwa Bachusa, który  
nieszczęśliwą miłość przemienił w melodyjne dźwięki,  
teraz w cieniu platana niemy i bez duszy  
leżysz i fujarka wypadła z twej wychudłej ręki.  
Zaden wiatr nie zdola donieść jęku menad  
do twoich uszu, Panie. Wszystkie obmyślił i zwazył,  
I odszedłeś, bo w żaden z arkadyjskich pejzaży  
nie wpytywała się już Twoja złamana sylwetka.

## Narcyż

Wsluchaj się w głos, który wtrąca Ci, Narcyzie.  
Tak szeleści trawa, która pod nasze stopy się kładzie.  
(Co prawda to nieprzekonujące potównanie, ale  
nikt nie potrafi ocenić jej ofiary). Popatrz  
w oczy tej, od łaski której uciekasz tak uparcie –  
w ich głębi, przez delikatności, smuku i tęsknotę,  
zobaczysz, nierozumny chłopcze, najdoskonalsze  
odzwierciedlenie tego, kogo tak bardzo kochasz.

## Tezeusz

Białe żagle leżą w skrzyni. Narodzone wczoraj  
gwiazdy wianka Ariadny oświetlają smutną drogę powrotu.  
Moi szczęśliwi towarzysze podryły wciąć o zwycięstwo plotu.  
Wszystko, co związane z tobą, zostało po tamtej stronie morza.  
Teraz, wsluchując się w lamanaą linię rytmu  
fał wierszy, od soli których zmienia się kolor włosów,  
myślę, że naprawdę potworem był nie ten z labiryntu,  
a ten, co mi się przeynił w naszą noc na Naksos.

## Kraków

Miasto ptaków i zakonników, jego kontury – mniej światowe  
a bardziej mityczne – przechowują średniowiecze.

I rzeka tu płynie tak wolno, że wbrew Heraklitowi  
dwa razy można wstąpić do tej samej rzeki.  
Lecz wołę zostać na brzegu, rozpuścić się zaraz  
w atmosferze ulicy Floriańskiej albo Świętej Anny  
zobysy Ty, jeśli kiedyś byś się tutaj znalazł,  
wdechął niepotrzebną moją delikatność, kochany.

*Halyna Petrosianak*  
przełożył *Bohdan Zadurka*



Wladyimir Majakowski. *Mosfil'mo*, farba olejna, papier, 1993.  
Fot. Piotr Mastak (IV Triennale Sztuki Mądszdek 1994)

MYKOŁA RIABCZUK

## Od „Małorusi” do „Indoeuropy” Ukraińskie stereotypy

Podstawowe dla tego zdżen jest uznanie faktu, że wszelkie społeczne stereotypy to produkty złożonego wzajemnego oddziaływania zbiorowej świadomości i niewiadomości, czyli „ideologii” (w najszerszym rozumieniu) i „zbirowej niewiadomości” (w interpretacji Junga). Etniczne stereotypy mają w ten sposób dwa aspekty: ideologiczny z większym czy mniejszym elementem intelektualnej refleksji oraz propagandowy i manipulacyjny, i mitologiczny – a więc naiwny, instynktowy, spontaniczny, nieracjonalny.

Skłonność do tworzenia mitologicznych, podświadomych stereotypów przypisana jest, naszym zdaniem, wszystkim ludziom bez wyjątku, wszystkim wspólnotom, gdyż u podstaw takiej po podświadomego mitotwórczości (czy, właściwie, tworzenia stereotypów) leży ksenofobiczny instynkt – niewiadomości przypisywał każdej bez wyjątku istocie ludzkiej. Wzrędnie, zwłaszcza w drugim rozdziale tej książki<sup>1</sup>, już wspomnianie, że ksenofobia (dosłownie – lęk przed obcem, podejrzliwość i odpowiednio wrogość do tego, co obce i nieznane) jest tylko częściowym przejawem znaczącego przetrzasko i fundamentalnego instynktu – instynktu samozachowawczego. Jak każdy instynkt, ksenofobia jest ambiwalentna: sama w sobie nie może być oceniana ani pozytywnie, ani negatywnie – z jednej strony obecność obcego może być dla nas żywym organizmem i ich wspólnotom możliwość obrotu siebie, zachowania się tożsamości, podtrzymywania różnorodności życiowych form (w tej liczbie i kulturalno-cywilizacyjnych). Z drugiej strony, jak każdy inny „ślepy” instynkt, ksenofobia może być świadomie wykorzystywana w rozmaitych ideologicznych manipulacjach, nakładki nawet jako podstawowy komponent całej ksenofobicznych „projektów” – w naszym, na przykład (nieświadomie do innych etnów), bolszewicko-niemieckim do „wroga klasowego”), fundamentalistycznie religijnym (nieświadomie do innowierców, niewierzących, herezyków) itp.

Stąd druga podstawowa teza, która polega na tym, że na poziomie podświadomości nigdy nie zdolamy do końca pozbyć się ani ksenofobicznych instynktów ani narodowych stereotypów – ponieważ byłoby to sprzeczne z samą ludzką (biologiczną) naturą. Jedyną funkcją świadomości (oświaty, kultury, intelektualnej refleksji) możemy instynktu te kontrolować i neutralizować albo przynajmniej maksymalnie ograniczać ich wpływ na nasze myślenie i postępowanie.

Nie ma potrzeby wyjaśniać, że tylko taka droga jest społecznie konstruktywna i tylko tak można zapobiec przeciwnym tendencji – utwierdzeniu podświadomej ksenofobii i obyczajowych stereotypów na poziomie świadomości, ideologii, polityki. Densyfikacja świadomości, ujawnianie narodowych stereotypów i dążenie do ograniczenia w ten sposób ksenofobicznego wpływu podświadomości – oto ogólna strategia intelektualnych wysiłków, w ramach której starałem się zbadać cząstkowy aspekt znaczącego szerszego problemu – aspekt odnoszący się do autostereotypu Ukraińców.

<sup>1</sup> Encyklopedia z książki *Od Małorusi do Ukrainy: paradoksy opóźnionego formowania się narodu*, która ukazała się w Kijowie nakładem wydawnictwa „Kyjytki” w 2000 roku.

Każdy naród ma pewne stereotypowe wyobrażenia nie tylko o innych (przede wszystkim o sąsiadach), ale i o samym sobie. Ten autostereotyp (self-image) nigdy nie bywa wierny, choćby dlatego, że rzeczywisty obraz narodu to też pewna abstrakcja, dość nieokreślona, zmienna i nie poddająca się badaniom precyzyjnymi metodami. Jednak nie jest on tak absolutnie błędny, chociażby dlatego, że wywiera zwrótny wpływ na postępowanie, na rzeczywisty obraz narodu, który świadomie lub podświadomie dostosowuje się do swego wyobrażonego self-image'a!

W zasadzie autostereotyp każdego narodu w umiarkowanych dawkach łączy cechy pozytywne i negatywne, a przeważa, so zrozumiałe, pozytywnych. Europejczycy mogą uważać Amerykanów za pyszałków i podważaczy, podczas gdy podobne cechy u siebie traktują jako dumę i poczucie godności; Ukraińcy uważają Rosjan za nierobów i kłamców, podczas gdy siebie – za po prostu powolnych, walkoniowych i sprytnych. Anglicy nazywają Irlandczyków zgorzkniałymi pijakami, siebie tym, którzy błąd po prostu wypić itp. W zdrowym narodzie pozytywne cechy nigdy nie są absolutyzowane i nie prowadzą do bezgranicznego samowzniebiaenia, ale i negatywne też nigdy nie ustają do „amerykańskich grzechów”, ograniczają się jedynie do drobnych i w zasadzie wybaczalnych „grzechów”. Jednym słowem, autostereotyp, ma z reguły półpoważny, półhumorystyczny charakter i jako wytwór myślenia mitycznego należy do tego świata, do „kosmosu”, podczas gdy stereotyp „innych” tradycyjnie należy do świata chthonicznego, do „chaosu”. W ramach „kosmosu” „kumenizacji”, „cywilizowanego świata” autostereotyp zgodnie się harmonizuje, „cywilizuje” cechy negatywne miękka, łagodniejsza, „amalgamuje” łącząc się z pozytywnymi. I przeciwnie, w ramach „chaosu”, „łun tej strony” „świata barbarzyńców” stereotyp „obcego” ekstrahuje się do cech negatywnych wystraszająco jak karykaturalnie, a pozytywne, nawet jeśli się je przeznaje, mimo wszystko nabierają negatywnego, groźnego dla „tutejszej” cywilizacji zabarwienia (Europczycy, powiedmy, gotowi są przyrównać Rosjanom pewną witalną energię, szaleństwo, „tajemniczość duszy”, jednak uważają te w zasadzie pozytywne czy ambiwalentne cechy przede wszystkim za zagrożenie dla własnej cywilizacji – w kontekście rosyjskiego ekspansjonizmu), podobnie też odwołuje się do pozytywne wartości świata muzułmańskiego, nawet pozytywne cechy cywilizacji japońskiej przyrównane są w Europie i Ameryce z pewną ostrożnością, dominującą jest mimo wszystko chthoniczny stereotyp „azjatyckiego okrucieństwa” i zewnętrznej ekspansji.

Zrozumiałe, że w społeczeństwach otwartych, jakimi są kraje Zachodu, wszystkie te relikty archaiczne myślenia mitycznego nie stanowią wielkiego niebezpieczeństwa już ze względu na samą się utraconych tych społeczeństw. Swobodny przepływ informacji, dominacja wartości liberalno-demokratycznych, świadomości prawna i w szczególności, priorytet praw człowieka, odpowiedzialność nauka, kultura ograniczają negatywny wpływ stereotypu na ideologię i politykę, marginalizują je w świadomości społecznej, ograniczają ich funkcjonowanie nawet na poziomie życia reglamentowanego przez pojęcie political correctness (politycznej poprawności).

Niestety, sytuacja jest zupełnie odmienna w społeczeństwach zamkniętych, jakimi do niedawna były komunistyczne kraje bloku komunistycznego i szczególnej Ukraina. Ideologia wyżytkowa ksenofobiczna i stereotypowa. Jej główną silną podporą stanowi „święta klasowa nieświadomość”, formalnie wyznaczona w „klasie

<sup>2</sup> Powiedziałem, że nie lubię kłusa, ale jako przybysz ze Lwowa starałem się tego nie ujawniać wobec innych kijowskich znajomych, aby nie wybudzić ich zdziwienia i głupich pytań. Był może w podobny sposób i wielu Bessarabczuków musiał udawać miłośników ptwa, wielu mieszkańców musiał udawać dywersyjny kawalerów, a Bratkiwiczow musiał udawać – a więc grę oczekiwania od nich nie odpowiadać do istniejących stereotypów. Przy należytym poczuciu humoru i ironicznym nastawieniu takie obyczajowe stereotypy mogą być zupełnie aszokodowym elementem „kanarawizacji” naszego codziennego życia.

wyzyskaczy", jednak praktycznie rozszerzona na wszystkich, „kto nie z nami” – „kulałów” i „średników”, „szkodników” i „kleryków”, „burżujznych nacjonalistów” i „zgrabił liberaków”, „ameryklistów” i „ajonistów”, poza tym na „formalistów”, „abstrakcjonistów”, „dżazistów” itd, itp. Ksenofobiczna nienawiść do „innych” była w komunizmie głównym źródłem społecznej energii i sposobem konsolidacji społeczeństwa, a tworzenie rozmaitych stereotypów – podstawową funkcją panującej ideologii (oświata, mass media, pseudonaukowe badania „seksyjna” propaganda itp.).

Interesze bardziej sytuacyjne skłaniały ta okoliczność, że ZSSR był imperium, w którym zdefiniowanie przez kolonizatorów stosunków międzykulturowych doznawały dodatkowej deformacji ze strony totalitaryzmu: ksenofobiczna nienawiść i intolerancja wobec „innych” rozszerzały się nie tylko na „wrogów klasowych” (zewnątrznych i wewnętrznych), ale i na „nacjonalistów”, do których zaliczano każdego, kto w ten czy inny sposób starał się zachować swoją tożsamość, przeciwstawiając się radziecko-rosyjsko-komunistycznej unifikacji. To energia „klasowej” nienawiści i rozmaitych etnicznych fobii, impliците różnana w sowieckim społeczeństwie, stworzyła wybuchową mieszaninę, która po upadku totalitaryzmu spowodowała lawrę strasze w różnych rejonach ZSSR i inne dramatyczne wydarzenia.

### Internalizacja cudzego „zbirowego cienia”<sup>1</sup>

Ukraina, podobnie jak każda kolonia, doznała wszechstronnego wpływu ze strony metropolii, jednym z następstw (i celem) którego było narzucenie „aborygenom” negatywnego self-image'a, negatywnego wyobrażenia o sobie samych. Faktycznie odbywała się swego rodzaju inwersja stereotypów: kolonizowany naród pod naciskiem kolonizatorów zmuszony był przejąć – i przyswoić jako swój własny – każdy system stereotypów, i to nie tylko cudzy, ale jawnie wrogi i poniżający. Wyobrażenie kolonizatorów o kolonizowanych jako o „barbarzyńcach”, „podludziach”, „nosicieli chaosu” różnymi metodami narzuca się kolonizowanym i stopniowo staje się o nim ich własnym wyobrażeniem o sobie, staje się krajową negatywną i wyniszczającą auto-stereotypem. Kosmos kolonizowanych w ten sposób ulega zniszczeniu i oni naprawdę stają się nosicielami narzucanego im „chaosu”, z którego mają być nie tylko wyjście – asymilacji i integracji z kosmosem kolonizatorów, z cudzą i w istocie wrogi, nieprzychylną im cywilizacją, albo – muszą daleko wypełnić narzucaną im „chtoniczną”, „destrukcyjną”, „podludzą” rolę.

W terminach jungowskich te negatywne stereotypy mogą być potraktowane jako swoista materializacja „zbirowego cienia”<sup>2</sup> – mrocznej części świadomości, tego wszystkiego, co negatywne i destrukcyjne, co nieświadomie istnieje w zbiorowej (jak i indywidualnej) psychice.

Kiedy ten cień okrutnie przyswaja (rozwiązuje koncepcję Junga Oksana Grabowicz) negatywne aspekty podświadomości aktywizują się i energicznie nie kierują się na zewnętrzne obiekty... Im społeczeństwo jest bardziej przycięgnięte, tym więcej w nim hipokryzji (tym bardziej niebezpieczne okazuje się przeniesienie jego własnych negatywnych jakości na zewnątrz, gdzie kierują się na jakości innej osoby, grupy czy narodu).<sup>3</sup>

W ten sposób, twierdząc, że kolonizowany naród nie tylko zmuszony jest nieść na sobie mroczną część dominującej kultury, ale i działać w jej granicach. Co więcej, ponieważ kolonizowany naród, w następstwie swej politycznej, ekonomicznej i ogólnej zależności od kolonizatora, nie ma możliwości projekcji na jego swego własnej negatywnej jakości (zbirowego cienia), zmuszony jest do projekcji ich na siebie. Przejmując system wartości kolo-

nizatorów, kolonizowane społeczeństwo wstępuje w o wiele bardziej ostry konflikt z samym sobą.

Aborygen zaczyna nienawidzić siebie i tym samym pogłębia własne poniżenie i zniszczenie. Zniszczona grupa staje się w końcu pogardzana mniejszością swojej własnej ziemi.

Ukraińskie doświadczenie świetnie mieści się w określonym wyżej teoretycznym paradygmacie.

I pod polskim, i pod rosyjskim panowaniem Ukraincy przejęli i zinternalizowali negatywne projekcje dominujących kultur, w szczególności – kompleks niepełnowartościowości (kulturalnej, cywilizacyjnej, moralnej). Najbardziej zrozumieli ze strony rosyjskiej stały się obraz „nieprawiejszy i pląsający prowincjonalny Molotow”, „chytrość Molotowa” i „niekierowność, nieśmiałość, niecierpliwość, ale rzuć, szachrajawość i zdradliwe” i „chochliwiej pyć” (coś na podobieństwo określenia „negr” w USA). Jednocześnie ze strony polskiej stworzył się (i uświadził w licznych utworach – od Krystyny Piarek do Gerharda i Władcza) stereotyp Ukraińców jako bandytów, gwałcicieli, anarchistów, głupich, niekierownych barbarzyńców, których nie należy cywilizować.<sup>4</sup> Początek własnej niepełnowartościowości i nieśmiałości (zwłaszcza podległości) zmuszając przez kolonizatorów w ciągu długiego czasu na Ukrainie, jest działkiem z którego nie ma najważniejszą część kolonialną spuściznę kraju. Głęboko internalizowane w zbiorowej psychice (wzjęcie na wiarę) i przetransponowane we własny negatywny obraz (self-image), poczucie to w istoty sposób komplikuje przejście do nowych, demokratycznych form istnienia.<sup>5</sup>

Faktycznie, w dającej się poświadczyć Ukrainie mamy dwa diametralnie przeciwstawne anastereotypy: hipofrezyzowane i – jako jego przeciwieństwo – hipertroficzne poocytyny. Pierwszy – jak już wspomnieliśmy – jest prostym rezultatem internalizacji „zbirowego cienia” narzucanego przez kolonizatorów. W literaturze jest on dostatek dokładnie opisany jako „kompleks małosyjszta”<sup>6</sup>; uznania przez znaczącą część ludności własnej wtrótności i podrzędności (genetycznej, historyczno-kulturowej, politycznej, ekonomicznej, intelektualnej) wobec „starszego brata”, wobec „wielkiego narodu rosyjskiego”.

Ten kompleks kształtowany był przez rosyjskich kolonizatorów przez wiele stuleci i z pewnymi korektami został przejęty i rozwinięty przez ideologów bolszewickich. Stosownie do tego stereotypu naród ukraiński traktowany jest jako „uboczny produkt” rozwoju historycznego, co w rodzaju historycznego nieporozumienia, wynik zewnętrznej inwazji (polsko-niemiecko-austriacko-węgiersko-żydowskiej), podczas gdy Rosjanie są (i byli nie jednym to przynajmniej) głównym spawalnikiem Kasi Kijowskiej, „wielkim narodem”. Oczywiście w czasach caryzki, ostoją swawolnego ruchu rewolucyjnego w czasach sowieckich, czyli narodem o specjalnej misji historycznej – zjednoczenia wokół siebie wszystkich Słowian („słowianofilstwo”), Europejczyków i Azjatów („euroazjactwo”), całego świata (bolszewicka „światowa rewolucja”) i „Zromale”, że w kontekście takiej ideologii Ukraincy automa-

<sup>1</sup> Zob. też Franz Fanon, *The Wretched of the Earth* (New York 1963); również V. W. Oksyn: *Lang and Politics* (New York 1983).

<sup>2</sup> Dokładny wykaz tych stereotypów przedstawił Myroslaw Truchan w książce *Negatywny stereotyp Ukrainców w polskiej literaturze powojennej* (Manshieln, Łwów, 1992). Zob. też artykuł Oksana Hryciuk: *Nieświadome rzeczy* („Sztetnia” 1993, nr 5).

<sup>3</sup> O. Grabowicz: *The Legacy of Colonialism*, s. 4.

<sup>4</sup> Zob. zwłaszcza E. Malanuk: *Mechanizmy*; [w:] *Księga poświęcona*, t. 2 (Toronto, 1996), s. 229-246; Roman Scherbak: *Little Russia and the Ukrainian Russian Relationship* [w:] *Ukraine: From Chernobyl to Sovereignty*, (London: Macmillan, 1992), s. 19-20; Mykola Riabczuk: *Literatura ukraińska i „swoboczny obraz” [w:]* *Dziwna Ukraina* 1998 nr 5 s. 251-254; Jewhen Swerchok: *Bladny sry Ukrainy* (Kijów, 1993) s. 12-18.

<sup>5</sup> Zob. L. Greenfield: *Seython Rome: Russia* [w:] *Five Roads to Modernity* (Cambridge, 1992); T. Hunczak (ed.): *Russian Imperialism. From Ivan the Great to Revolution* (New Brunswick, New Jersey, 1974); R. Conquest (ed.): *The Last Empire. Nationality and the*

<sup>1</sup> Zob.: Carl Gustav Jung: *The Undiscovered Self* [w:] *The Collected Works of C.G. Jung*, t. 10, (Princeton University Press, 1970).

<sup>2</sup> Oksana Grabowicz: *The Legacy of Colonialism in Contemporary Ukraine: Some Key Issues*. Wyprzedził na II kongresie Międzynarodowego Stowarzyszenia Ukraińców (Lwów, 1993). Ukraiński przekład zob. „Aha”, 1994 nr 2.



który jakby zastąpił gdańsz w czasach hemańszczyzny – akurat w przededniu ostatecznej kolonizacji Ukrainy przez Rosję – kiedy wszyscy byli „Ruscy” i wszyscy „prawosławni”.<sup>27</sup>

Wiedle mości przybliżonych szacunków, tylko jedna trzecia ludności Ukrainy ma wyrażną narodową samoświadomość i jednocześnie utożsamia się z ukraińskim politycznym narodem.<sup>28</sup> Dwie trzecie – to nie Rosjanie i nie Ukraińcy, to „miejscowi”, „hutejcy”, to ludzie, którzy dotychczas przeżywają na przednarodowym (i przedkrajowym) poziomie i wciąż (chodzi o nowożytną historię) pozostają rozwinięci. Potencjalnie mogą się stać i Rosjanami i Ukraincami, i nawet obywatelami Księżstwa Kijowskiego, a mogą również wytworzyć jakiś swój doboski, czereski czy krzywocorci naród (na wzór „krymskiego”, jaki, podobno, tworzy się na naszych oczach).<sup>29</sup>

Bezwarunkowo, z jednej strony istnieje ukraińskie państwo, rzecz jasna, sprzyjające procesowi narodotwórczemu, ale z drugiej – istnieją stare kolonialne struktury i stare kolonialne kridy, które zawsze robiły wszystko, co możliwe, żeby do tego procesu nie dopuścić i oswajaciele jeszcze długo będą to robić – chociażby dlatego, że nie przypuściliby do robienia czegoś innego i nie potrafią. Inercja starych biurokratycznych struktur i starożytno ukrajinofobicznego myślenia jest dość silna, więc skutecznie przeciwstawia się wysiłkom słabego postkolonialnego i postkomunistycznego państwa z niedorozwiniętym społeczeństwem wyobełskanym i nieuczestniakującym narodem.

Przeżywanie krańcowo negatywnego autostereotypu, w szczególności milionom wynarodowionych Ukraińców przez kolonialną władzę, nie wygląda w każdym razie na tak łatwą i szybką sprawę, jak wydawało się wielu w pierwszych dniach niezależności. Otóż socjologiczne badania przeprowadzone na Łuhanszczyźnie pokazały, że tylko 24 procent tamtejszych Ukraińców wprost, że w regionie kiedyś przeważa ukraiński język i kultura, natomiast 80 procent Ukraińców jest pewna, że Dobusbas stanie się regionem czysto rosyjskim, a jeszcze 55 procent uważa, że utrzyma się stan aktualny – czyli wazszobocnej i dość agresywnej dominacji rosyjskiego języka i kultury, w zasadzie zbliżony do moim zdaniem do stanu językowego apalcika, a nie dwujęzyczny, jak tak to, niestety, zdaniem niektórych badaczy – określba w duchu sowieckiego interakcjonalizmu i zaprzeczania tak zwanej (!) rasyfikacji Dobusbasu.<sup>30</sup>

A jednocześnie ci sami uczeni (J. Wileńska i W. Pokład) przynajmniej wprost szczerze zgodała rolę językowi jako sposobowi samoidentyfikacji Ukraińców – w odróżnieniu od rosyjskojęzycznych, surżykocmonych (albo w ogó-

le pozbawionych języka), „hutejczych”, kiedy na przykład piszą: „odmienności w myśleniu uwarunkowane są głównie przez język, jaki respondentzi uznawali za swój” (w. 53), „czynnik narodowościowy nie jest tak znaczący jak czynnik ojczystej mowy” (w. 54), „wśród rozmaitych czynników, które określają wybór, dominuje mowa ojczysta” (s. 55), „inne społeczne charakterystyki praktycznie nie wpływają na sformułowanie wyboru” (s. 56), „narodowość w dużym mierzonym stopniu wyznacza osobiste orientacje niż ojczysta mowa” (s. 58). Autorzy jednak nie mają odgórnie za słusznych obserwacji wyciągniętych z badań ankietowych – że w przypadku Ukrainy, ukraińskiej tożsamości „ojczysta mowa” to, z reguły, także „narodowa” i „narodowość” to „ojczysta mowa”. Ani Dobusbas, ani Ukraina nie jest dwunarodowościową wspólnotą, jak to stwierdzają autorzy, a jest co najmniej wspólnotą trójnarodowościową, której główne elementy stanowią: 1) Ukraińcy jako członkowie ukraińskiego politycznego narodu, który przeszedł już albo przechodzi „dobę nacjonalistyczną”, 2) Rosjanie i ukraińscy, ale do ukraińskiego języka i ukraińskiej kultury podchodzą z szacunkiem i wznoszą swą ukraińską tożsamość, 3) Rosjanie jako członkowie rosyjskiego politycznego narodu niekiedy niekiedy mieszane z etnicznymi Rosjanami i nawet mogą nie być rosyjskojęzyczni, nie zawsze, zresztą, do ukraińskiego języka i ukraińskiej kultury odnozą się pogardliwie, głównie – identyfikują się z Rosją, z narodem rosyjskim albo z jego imperialnym substytutem – „narodem radzieckim”, 3) „Malorusini” („chochyl” jako etniczny substrat, kiedy nie stał się nowoczesnym narodem – ani rosyjskim, ani ukraińskim, ani domiecko-komunardzkim, a przeżywa w stanie „hutejczy” („odessanie”, „kijowianie”, „dobusbasianie”), czyli jest średnio-wieczną etniczną masą, która nie przeszła „doby nacjonalizmu”, zakonserwowała się na feudalnym, przednowoczesnym i przednarodowym etapie rozwoju.<sup>31</sup>

Ta masa nie utożsamia się ani z Rosją, ani z Ukrainą – ponieważ w ogóle nie myśli w takich kategoriach, w znacznej mierze żyjąc jeszcze w mitologicznej, a nie historycznym czasie i przestrzeni. Samoidentyfikacja jest niemożliwa bez pewnej intelektualnej refleksji, do jakiej owa masa jest zasadniczo niezdolna przez swoją historię niedoroży. Na poziomie tak „niefabrycznych instynktów nacji „hutejcy” mogą mieć wszystko całkiem „po narodowemu” nie kołach prawdziwych Rosjan (kacapów), ani prawdziwych Ukraińców (banderów, nacjonalistów, szczerzych patriotów). Tych ostatnich z reguły nie bójna nawet bardziej – właśnie dlatego, że oni, będący też „hutejczy”, zachowują się jak „miejscowi” – mówią gramatycznie, książki czytają, wypytują o Ukrainę, jednym słowem – sądzą się. Na ile ogólnie przyjętego, silnie podtrzymanego za sowieckich czasów narodowego indyferentyzmu, intelektualnej nieważności i emocjonalnej wrogości do wszelkich przejawów narodowego (nie mylić z oficjalnie narzucanym radzieckim) wszelkie odchylenia od tej normy i ustalanie własnych kulturowo-języcznych i innych prynci traktowane było jako patologia – coś w rodzaju narodowego niepokoju (narodowa czułość) w terminologii dzisiejszych ukrajinofobicznych publicystów.)

Zatem ani w XIX, ani w XX stuleciu na Ukrainie nie odbyło się charakterystyczne dla większości europejskich narodów przekształcenie chłopów w naród, odwołanie – stworzono jak najbardziej sprzyjające warunki do tego, aby miliony „hutejczych” przeżyli od kolonizatorów ich nieważność i pogardę do wszystkiego co ukraińskie – przede wszystkim do mowy jako głównego prze-

<sup>27</sup> Zob. W. A. Sroński, O. I. Gurej: *Jak i koby poczko formowatysia abrahama nacija* (Kijów, 1991) i ciekawą polemikę z nim: S. Gorzko: *Lekowany iłko, Bohusbas*, [w:] „Politoloziczn” 1992, nr 1. Zob. też M. Rubczok: *Od peryferii do centrum: nowoj abrahamskij iustawość narodowosť w Łwowie XVII wieka*, „Mijl Filozoficzn i Socjologiczn” 1993, nr 1. N. Jakowienko: *Schokot abrahamskij od kowca XIV do pobory XVII wieka* (Kijów, 1993); Frank Sysyn: *Between Poland and the Ukraine: The Dilemma of Adam Kiyi* (Cambridge, 1985); Stephen Yenser: *Shaping Identity in Eastern Europe and Russia* (N. Y., 1993); *Concept of Nationhood in Early European Modernity*, „Harvard Ukrainian Studies” 1986, 3 nr 34.

<sup>28</sup> Zob. na ten temat mój artykuł *Two Ukraines*, „East European Reporter” 5, nr 4 (1992).

<sup>29</sup> Amerykański badacz Oleksandr Mijl, określający naród jako wspólnotę ludzi, świadomości powiązanych pewnymi kodami semiotycznymi (nami, symbole, do których może należeć też mowa, historia itp.), stwierdza: „Ważnym elementem jest świadomość, że naród nie jest tożsamością, ale nie jest tożsamością narodem. Przed Ukrainą stoi trudne zadanie stworzenia nowego człowieka. Tak stworzyć wspólnotę zło semiotyczną, która odpowiedzialność wzywa? Wtedy nie jest, że naród jest takto symbolika. Cóż, mójba mowić o tworzeniu nowego ukraińskiego albo jakiegoś innego narodu, jakbym kiedyś postawił ten „prowadzący czerpy” naród. W tym przypadku, „czerpy” naród może się przekształcić, nie postawienie naki same. Wtedy: *Patwosť i naród* [w:] *One wołi, Ukraina? Materialy trzeciej (zimowej) sesji Międzynarodowej szkoły abrahamskiej* (Odessa, 1993), s. 105.

<sup>30</sup> E. Wileńska, E. Pokład: *Narodowość i abrahamskie orientacje mieszkańców republiki Łuhanskiej*, „Mijl Filozoficzn i Socjologiczn” 1993, nr 4, s. 53-54.

<sup>31</sup> Wiedle szacunkowych obliczeń Ukraińcy stanowią dziś 30% ludności (ze przybliżenia tyle, ile Rosjanie w 1960 w czasie I wojny przeciwko gerbożowizmowi „odnowionej filozofii”), kołowe – 10% (ze przybliżenia tyle, ile głosowało w grudniu tego samego roku przeciwko niepodległości), pozostałe 60 procent szacujemy „hutejczy” – ludzie, którzy mogą potencjalnie stać się „narodowość” (ale razem z przydatkami Kawa-czami) i kiedy we federacji skłoni się poprzez wszystko, co im się góry słży władza, bo nie potrafią samodzielnie myśleć ani wybrnąć (co właśnie jest jedną z cech „Jedno socjalizm”) nie należąc ani do narodu, ani do społeczeństwa wyobełskanego, są jak na razie przedmiotem historii a nie jej podmiotem.



jawu i symbolu ukraińskiej tożsamości. Stąd właśnie nieustanne marzenia Ukrainców na to, że nawet dzisiaj w jakoby niezłym umiarze ukraińskim paktuifem, w jego stylu, gdzie mieszkają prawie 80% „tutejszych”, państwowej mowy praktycznie nie słychać, a zdanie by się nią podługując publicznie naraza na połytkowaną odpowiedź: „My tego krowiego języka nie rozumiemy” czy bardziej proste: „Mów po ludzku!”.

W istocie, sami Ukraincy generują teraz tę nienawiść, jaką zarzuli ich kolonizatorzy i sami dbają o stosowne podtrzymanie stereotypów, które pozostawiła im w spadku kolonialna władza. Jedną z największych zdobyczy kolonialnej administracji to zaszczenie wschodnioukraińskiej ludności własnej zoologicznej nienawiści do zachodnich Ukrainców jako najbardziej nieugiętych w swojej ukraińskiej tożsamości i nie pasujących do przepisanego im negatywnego autostereotypu. Dzisiaj dla wschodnich Ukrainców nie ma, zdaje się, większego wroga niż Ukraincy zachodni. Haliczanie, banderowcy, którzy chcą, jak mówią, przodkować w swojej władcy całą Ukrainę i ponowić...

W istocie, mamy tutaj klasyczny przykład prądków kolonizatorów własnego zbiorowego cienia na kolonizowany naród, czego efektem staje się nie tylko wytworzenie w kolonizowanych negatywnego autostereotypu, ale i przyswojenie przez nich kolonizatorskiego negatywno-stereotypowego stosunku do tej części narodu, która kolonizacji się nie poddaje.

## Eksterjalizacja własnego kompleksu mniejszościowości

W tym kontekście – w kontekście antykolonialnej walki – całkowicie zrozumiałe staje się pojawienie się jeszcze jednego, diametralnie przeciwnego stereotypu, o którym już wspominaliśmy – hipoteczności politycznego. Ten stereotyp zbudowany jest na czysto romantycznie idealizowanym obrazie narodu jako swobodnego wcielacza „ducha świata”, Najwyższej Idei, która jakby implícitue założona jest w historii i tylko szuka drugo drogę jej przejawienia się, inkarnacji, za pomocą, rzecz jasna, odpowiednich mediatorów, podczłanków – z grona niezaprzeczonych politycznych i intelektualnych elit, szczególnie czułych na tonyki światowego ducha.

Ta fichteancko-herdersko-hegłowska koncepcja w różnych swoich odmianach dominowała w Europie i Ameryce wstępnie do połowy XX wieku i dopiero w ciągu ostatnich dziesięcioleci ustąpiła miejsca bardziej trzeźwym i realistycznym nastawieniom.<sup>22</sup> Na Ukrainie, w wyniku jej ogólnego zapóźnienia, trwałej hermetyczności i zastwoju wszystkich społecznych i intelektualnych procesów – romantyczna koncepcja narodu dominuje, w istocie, do dzisiaj, częściowo w szałach, na wielką skalę – w zamyśleniu, i bezwzględnie – w poczuciu, w prozie, w publicystyce literarckiej.

Romantyczna koncepcja narodu ukraińskiego ma swoję powiązanie w pierwszej połowie XIX wieku – w twórczości Szewczeni i zwłaszcza Kostomartowa (*Księgi życia narodu ukraińskiego*). Niezależnie od pewnych późniejszych modyfikacji – w bardziej realistycznym kierunku (Franko, Chwylowy, Wymyńczenko) czy w kierunku jeszcze większego idealizmu i wolontaryzmu (Dowcenko, Michnowski) – zasadnicze idee tej koncepcji pozostały niezmiennie. Po pierwsze, to swobodny mejsjanizm, przewodząca wiera w „Wielką Przyszłość” narodu ukraińskiego na tej tylko podstawie, że dostatecznie duży

pracocierpal, wypłd do dna swoją cząść i teraz zasługuje na szczególną nagrodę od „Boga” lub „Historii”.<sup>23</sup>

Drugie, to wszecznarówno idealizacja własnej historii i nieustanne jej przedłużanie w najdawniejsze czasy – do Scytów, Antów, Trypłiwów, Kameńców, „Indoocyprejczyków” – przy czym wyższość oni, prawie że i neandertalczy myśleli tylko o tym, jak stworzyć ukraiński państwo.<sup>24</sup>

I po trzecie, to idealizacja narodowych cech narodu ukraińskiego – w przeciwieństwie do rasistowd „Jesteśmy pracowici, a oni wszyscy lenie”, „nigdy na nikogo nie zwałdaliśmy, a oni cały czas nas grabili!”, „Jesteśmy twórcami starożydnej kultury łocwej, przedstawicielami cywilizacji, którą stworzyli w całej Azjaci, koczowniczy, barbarzyńscy”, „obroniliśmy Europę przed hordami ze wschodu, a ona nam nie dziękuje”, „stworzyliśmy pierwszą w Europie republikę (kozacką), a nikt nas za to nie ceni” i tak dalej.<sup>25</sup>

<sup>22</sup> Mijsja Ukrainy – długie drogi krężyłowa w imię życia na ziemi, Bohdan Czerniak: *Ukrainy* (Lwów, 1991) s. 4, *Księdzi Kieprzkówi* (Kieprz Awieny + Guszat (uk w cyrylicy: „Antony” – MR), wybitni filozofowie historyków za to, że umieli, że Prowidencja wzięła panie tryj był jak windy, kiedy nie było jeszcze Francji i Hiszpanii. Filozof nie znał historii narodu ukraińskiego! Pracoję Ukrainy był jak windy, kiedy jeszcze nie było Ukrainy ani jako państwa, ani jako pojęcia politycznego i nowsi – geograficznego. To wyklepiły narodu, może nawet narodu w spłony przez Boga, jak Żydzi albo Ormuzci, narodził się, zarysował; Pawło Zagrebnyk: *Sumer naszej przetrzeźbi* (w książce Iwana Bityka, *Nie dziękujcie grzybowi* (Kijów, 1993), s. 3, *Przeć długie stadoło swego latwieńa narodu ukraiński ciężki katar, samotny byłoby i tak, a jednak, nie płonyj jak stał, jak złoto w ogniu, wygnęłszy cężył i niewody, wyszedł męgi i wiatry, uduławiający i rozowy, Narodu był rasitka – do im kłopotów obywatel, który gdy opółli na swego, podobnie był jak ego sty – a gdy obłądził, sika rosół i rosół, wzięł szatę na wędz i wzmógł... Iwan Goryun: *Ukraina i Kława* (Kijów, 1992), s. 138. Pótemyż, egalitawo sty – to charakterystyczna cecha podobnych wykładów, których autorzy wciągają wsięj przychylają do poetycznej magiety, niż do faktów i argumentów.*

<sup>23</sup> Scytynskie i sarmackie czasy, opoki bagna, wczesny antyk, wczesny pomad cywilizacji cywilizacji Kasterwe były spólnymi etapami rozwoju, drógowskiazami powolnego tworzenia się duży narodu, który powoli zyczał miłość ukraińszczyź. Przyrodzono z duży zarzęj kultury i cywilizacji i dlatego dzieje i paradyksów w tym okresie były pierwszymi etapami rozwoju bycia, że jedno z najwazniejszych cywilizacji Europy Wschodniej sącego długiego okresu swego istnienia nie miało wladzej podstawowosci. Artur Isazekow: *Ukrainy, kto jest*, „Buzecz” 1993, nr 9-12, s. 121. Mijsja Antów, powolnie sika i sarm, Antów (... Antowie... To przekradki na startowisko naszywładni Ukrainców-krajan, wogólnych uczynił Ukrainców... U światło antycyplotej plynie z Ukrainy... To powiatło pierwsze miast, Mijszno Oriens – w sercu Europy, na wogólnych brzozech Ukrainy Ukraina – popiół stworzenia iwasz, kadawskiej mioszowicy, z którego kładowiszcyj kadura powoli iwasz, Wschód i Zachód, Północ i Południe... **Jednostkowo UKRAINA – baktowisko wielkości. Siłoty wladzy kadury Ukraince – na czym istnieje... Wspólczesny oficyalizacyi naszowidno-starejstarycy (Tourajczycy), których za dany i wogólnieści swobodnie wolowiszami postawy, w ogólnokazy, pomyślności, z kładowisko osławieno na głołowe W. Czapano, *Antów*, s. 7-11). W zaden sposób nie kontestację przywobnych nawiszów (kontestację sta ty, myśle, zbytożenie, zaznaczenie tytoż, że ukraiński kulturalowidno – „indoocyprejczycy”, opanowiszcyj w kładowisko miast „Indo-Europa” i wioteritacji mi „Ononowy”, demostrowanie aktawiszowyj filozoficzny polet, nie tręjej pręty tytoż iwasz, uduławiający na pejskich i imiecyj języku, nie mówiąc już o sankcyjnie. Dzieki temu idaje się nie potoczny sów „kolonizatorski pałaz” na Ukraince, i na Jeruzalem (do w obu tych akładowisk był riden – „Ru” – jakoby Rus-Ukraina) i na Wadolatno (ze wokolstwa na Ukraince – antów) i nawet na Indian Koczni, którzy numerowiszki wzięły smoko na trykterium obcapano Piersu (nazy – „Tary-artawia” (nób. W. Czapanko, s. 10).**

<sup>24</sup> Ani kładowisko, że tak przopowiadano do swojej iwasz, do jej przędzy, Antówi miast byłoby dawno, tryj obowid i pochodzenie, rozuid, nie wypięrio i wywołaj kulturalne. Będym nie umawiał, że Ukraincy podobnie do Indu, Iranu, czy podobnie. To z dawno ciwizyjny, kulturalno obrotowy, głołowe demokracji i dęprzył był – jedyni z samopodsięziwiczki kładowiszki w swojej iwasz, który charakterystyczny był odwoławie skapizacji miastu i okładowiskach do najbliższych dężył ciwizyjny (W. Czapanko, *Antów* cyt., s. 10). W języku ukraińszczyź (... „nawizorszowszowa jest wladzej przywobniej demokracji wotowiczki, gospodarskich siloty oraz specyficznie wotowiczki, koczowniczy, postacybiemski, miteryczny symbolomem: kładowisko z cężyłem, dochowidno i bezkładowiszki, naturalnie cężył i okładowiszki z zaprawionym układowiszki w cężył całej historii. Pracoję bycia to wladzej dołony z cęży, zbył z antycyplotej (*Antów*, s. 5).

<sup>25</sup> Zob. na przykład, E. J. Hobsbawm: *Nations and Nationalism since 1870* (Cambridge, 1990); W. H. Inge: *Politysticy and National Unity in World History* (Toronto, Buffalo, Londyn, 1986); A. D. Smith: *Theater of Nationalism* (Oksford, Oxford, Cambridge, 1986); E. Gellner: *Nations and Nationalism* (Oksza, New York, 1983); K. Pemius: *L'Europe et ses nations* (Paryż, 1990); J. G. Kollas: *Politics of Nationalism and Ethnicity* (Londyn, 1991); B. Anderson: *Imagined Communities* (Londyn, New York, 1983); Roman Szporuk: *Communism and Nationalism* (New York, Oxford, 1988).

Wszystkie te stereotypy są hipotroficzną pozytywnością zmierzającą do zneutralizowania analogicznych negatywnych stereotypów, krzewionych przez kolonizatorów. Naprawdę jednak sama swoja hipertroficznosc, pseudonaukowosc, propagandyzm nieradko wywołują przeciwny efekt – przynajmniej w oczach bezstronnych, a tym bardziej – negatywnie nastawionych odbiorców.<sup>26</sup>

Nie ma nic nagannego w tym, że pisarz buduje, powołując, cała powieść na hipotezie, że wóda Hnadowa Ahtyła był w rzeczywistości ukrainskim kniazem Hatyla. Ale kiedy bez żadnego boczaka humoru i bez cienia wstydzenia się swą słuszność po dyktando podbudowuje te „teorie” licznymi pseudonaukowymi przypisami, to wyraża tym samym kulturę ukrainskiej przyrędkę przeciwną do tej, jaką zamierzał jej zrobić. To samo można powiedzieć i o innym literacie, który swąd zachwał charyzmatyzm, pogostwem i naukami Wschodu postanowił wyrazić w pretenzalnej doktrynie „Ukrainskiej Duchowej Republiki” i uczęszczał ją na swoich współrodaków – jakoARB posebom rozwiązaniam wszystkich ich problemów.

Każde z wymienionych zjawisk ma prawo do istnienia i w rozwiniętej postnowatorskiej kulturze można znaleźć ile się chce podobnych hipotez, mistyfikacji, awanturkizacji projektów. Ale na tym właśnie polega diabolizm, pchnowatorskość kultury, że łatwo i bezboleśnie absorbuje ona różnorodne idee, natychmiast dokonując ich stratyfikacji: jedne marginalizuje, inne adaptuje, rozwija i podnosi trzecie – i wszystko to staje się częścią wielkiej dialogowej przestrzeni, wielkiego kulturowego wielokłosa.

Co innego – kultura kolonialna, niestrukturalizowana i nie tetratyfikowana. Angdzie każda idea widzie swoje solo i nie ma żadnego dialogu, żadnego wielokłosa. To drobne fluktuacje mogą nabierać wielkiego znaczenia, zjawiska marginalne – stawać się centralnymi, istotne – gubić się wśród nieistotnych. I wszystko to odbywa się nie w całej kulturze, ale w jej kultu jako całości i w kraju

kolonialnym nie ma), a w niewielkich jej segmentach – swego rodzaju etnicznych gettach ze swoim systemem wartości, hierarchia, kanonem, swojam „językiem” (własnym monologiem) i swoim, jako reputa, zmistyfikowanym wyobrażeniem o własnym znaczeniu i wpływie na (nie istniejącą) kulturalną calosc.

W odróżnieniu od pchnowatorskość, calosciowej kultury, która funkcjonuje jako homostatyczny organizm – z rozmiętym systemem wewnętrznych (i zewnętrznych) powiazan, z wypracowanym mechanizmem doboru, klasyfikacji, przekazu, analizy informacji, kultura kolonialna w ogóle nie jest systemem dialogowym, a raczej zbiorem monologicznych elementow, dość słabo albo i wcale ze sobą nie powiazanych. Dlatego na poziomie calosci kolonialna kultura wykazuje znaczną inercję i skłonność do stagnacji, a na poziomie elementow rozkwitanie i tendencję do „zakomunikowania”. Etnokulturowe „getta” regularnie niedokładnie reagują na informacje: hipertrofiają mało istotne i nie doceniają albo i nie zauważają istotnego. (Podobnie zjawisko można zastosować i w poszczególnych segmentach calosciowych kultur, ale tam funkcjonują lagodzący system powiazan z innymi segmentami i z innymi kulturami, stwarza konieczny mechanizm korekcyjny, minimalizuje ekstremalne odchylenia i stabilizuje calosc).

### Od przednowoczesności w ponowoczesność

W kulturze ukrainskiej dwa podstawowe stereotypy – hipertroficznosc negatywna i hipertroficznosc pozytywna – są regularnym produktem kolonialnej i antykolonialnej świadomości. Jest zrozumiale, że żadne pojednanie, żaden dialog między tymi dwoma podejściami nie jest możliwym. Na poziomie ideologicznym nieprzejędanymi antagonistami, oddziaływaniami których skierowane jest nie tyle jedno na drugiego (to praktycznie niemożliwe), co na posiadaczy przedkolonialnej i w naszym wypadku, postnowatorskiej świadomości – wszystkich tych „tutejszych”, którym, wedle ich wypowiedzi, wszystko jedno, w jakim języku mówią i z jakim narodem się utożsamiają.

Trzeba jednak pamiętać, że owo „wszystko jedno” nie jest całkiem szczerze: większość „tutejszych” wbrew formalnie deklarowanej ambivalentności, całkiem jednoznacznie skłania się ku „językowi powierzchnie zrozumiałemu”, a nie „miejscowemu”. Faktycznie „owo „wszystko jedno” nie jest przyczyną ich kolonialnej, „malorożycyjskiej” świadomości, a jej następstwem, szczególnym sprawiedliwym kapitalizacji wobec nieświadomości presji potężnych mechanizmow asymilacyjnych. Formuła „wszystko jedno” w istocie tylko kamufluje raczej mało pojącającą z czystego punktu widzenia fakt renegecysty – wyrażenia się uciemiężonego narodu na rzecz panującego, wścizki od upodlegzonego języka i kultury do języka i kultury dominującej.

Zrozumiale również, że renegecysta świadomość uparcie nie przyjmuje kolonialnego charakteru dookólnej rzeczywistości – ponieważ czułaby się w takiej rzeczywistości za swoim renegecystwem zbyt niewygodnie. Zamiast tego tworzy się świadomość mitologiczna, formuła „wszystko jedno” akurat jest fundamentalnym założeniem tej rzeczywistości, podobnie rzecz o jak sama kamuflująca formuła „Rosjanie i Ukraina – to jedno i to samo” – „to prawie jeden naród”.

W takiej sytuacji ideologia antykolonialna nie małaby praktycznie żadnych szans by walcząc z ideologia kolonialną, ponieważ nigdy nawet w przybliżeniu nie dysponowała takimi środkami i mechanizmami oddziaływania na obywateli, jakie miała na poziomie partystowszym jej antagonista (nie mówiąc już o tym, że na Ukrainie ideologia antykolonialna w tamtych czasach wcale istnieć tylko nielegalnie, doznając ze strony kolonialnego aparatu najokrutniejszych prześladowaw) – gdyby nie znalazła nieoczekiwaniego sojusznika w podwójniowości tegoż obywatela – a jego wewnętrznym, głębokim przywiązaniu do „rodziny (przeważnie wiejskiej) chłap”, „matczynej (czy ojcowskiej) mowy”, „Judejczyj piew” i innych archaicznych „znaczących symbolow wspólnego dla Ukrainskow semiotycznego kodu.

<sup>26</sup> Pokazano pod tym względem jest, na przykład, książka polskiego pisarza Aleksandra Znamo: *Rzeczy ukrainskie* (Warszawa, 1991), gdzie mimo wyraźnego testowania i niezamierzonej ukrainskiej rodniny, formułuje się wiele z absurdalnych pytań i uwag: *Znamienitje, a wiewielje dołanie, nie jest do pojetye, że nie z z ukrainskich aczynnych, piary i oryatyw nie perobow w ciele dziatełstetw iedynow: ghełby i ceryłbyw w te wlekie przetył, iedynow sprawy iedny następnie ocenił je krytycznie, to spacyje znowym rozumem i sercem. Nie mogę – zdawobyli się – omawiać tych spraw (jedne nowsze koncepcje narodow, jedn tylko nie chcą sądzić, żeż jeszcze w stoach starych kłis: pchnowatorskie, które ukazywają Ukrainę jako przetrwała bez wzruchów wnie, ofiary zwyciężkich zryw łowic i egotystycznych sprawców (z 97-98), brzożycyjskie, bezczarzyste, bala, zolgie w granice rzecy powiarywaly i łowcy, alimowa w swarobie przez intelektualnawo istotywni zapodiatowani wewnętrznymi krym, przez, które powolioby na łowitli pchnowatorski, jedn łowcy i bardo krytyczny sprawy. Składowi zaś tego było dwiczenie o ciele dziatełstetw dzianow dziatełstetw Ukrainski od krajow wsciołnowatorskich, które także utrzymywali w niewoli oby czerwie (z 107). Dziecięcy, spacy dalej piaraz, ukazywały intelektualnawo tak malo dolo o pogłebienie politycznym i społeczno-kulturalnym problemow, zadawajemy się pytkami ogólnymi? Dlaczego z bezczarnym zwabytym jest podobnie do „grubowatego, zafingowanego, wielokrotnego, wielko-dziannego, pełnego abo, samowolnych cnot i pękna ludu”, spacy spekcjanie nie zastanawiał się nad jego wewnętrzny problemami? Był w ich oczach niewolnikiem – nie z i dołone. Cypel w rodzaju powiarywacz (z 109). W czym łowcy przyczyną wszystkich ukrainskich nieszczęsć? Istotna kluczowe pytanie. A Znamo. Mało w tym, że akrobacjy historycznej, białe malego formatu, nie stępnł – bo nie mogł – na wywołanie wydarzeń? Odełt jest to miedzytym cępie prawdy. Wzrosty orytko nie pomogł natępnawim, jak przodkowi, łowego „dołobitwie przez powiarywacz”. Historyczny publicysty, specjalistę od psycho-moralności mało zgodził się przodawimie. Je kłisze „nawet” jest niekorzystne. Wzrostowej powiarywacz w je spokoju, w jego stereotypy, które zawlecia białe niezajanych przodawimie. Lepiej nie rozwinąć kłis – jakkolwiek by jej było, a jej. Bole uchowy – funkcjonalne znaczenia i. Ujęty tym samym „pchnowatorski” słowo „nawet” pchnowatorski, zracznosc, niekiedy nawet dalszką starość, aby dalsko owo powiarywacz. Na myśli, ocwiczenie (z.130-131). Wipe, chociaż ratna myślowa kłisze, zwaczasz na wsciołnowe Eurazji, przetrzyni woty za władne kłiszy na których i chociaż mocny sągład z Polnowy zrodził wsciołnowe, aby udowodnić powiarywacz niepodległej Ukrainy (z. ) wrzba powiarywacz, że opór, że wielką te stępnę, jedyną od wrzcha kłis, zaprzeczając słowo Ukrainscy (z.135).*

To podświadome przywiązanie dawało antykolonialnej ideologii nie tylko pewne szanse i pewną społeczną bazę, ale i zdumiewająco przetrząsało ostatecznie przetworzonymi bezrefleksyjnymi "Ukrainców w perspektywicznych Rosjan", "zastarchach chodźców" w "intencjonalistycznych Rosjan". Psychologia Malorutina dramatycznie rozszczepiała się między podświadomym pościąganiem do "swego" i miewiadomym, ale codziennie przyswajaną od kolonizatorów pogardą do tegoż, "swego", miewiadczą do "świadomości ukraiństwa", strachem przed codziennymi szykanami i represjami – na poziomie prozę Pawłowa, a których za pomocą kultury i elektrowizualną wytworzą się potężne odzyski w warunkach

"Maloronyjskość" stała się właśnie świadomością tego rozwoju, dramatycznego rodzenia własnej psychiki, kiedy miłomy, miejscowych i już nie mając odwagi utożsamiać się z Ukrainą i ukraińskością, ale i nie odważając się całkowicie swej ukraińskości się wytrzeć, bez zastrzeżeń utożsamiając się z Rosją i rosyjskim/tradzieckim narodem. Właśnie z tej tragicznej narodowej ichotrozności pochodzi owo kompromisowo-kamizalno – "Rosjanie i nie Rosjanie i nie Rosjanie i nie Rosjanie, kijowianie, dobszanie", stad i owe znieuczulające formuły "wszystko jedno" i "prawie jedno narod".

Przed kilkoma laty ukraiński kulturolog Oksana Hrycenko podjął dość ciekawą próbę przeniesienia klasycznego freudowskiego podziału psychiki indywidualnej ("id", "ego", "superego") na kolektywną świadomość narodu. Przy tym pod "id" rozumiał "najwcześniejszy", pierwotnie macierzyński, miewiadomy składnik, którego spominacienne porwy odznaczają się nie świadomym patriotyzmem, a "wewnętrzny" na kolektywny świadomości narodu. Id

Same w sobie obecnie ukraińskości "id" nie czyni jeszcze człowieka Ukraincem, ani nawet nie Malorusem, a tylko "intencyjny" ukorzeniony w ukraińskim gruncie. Wicie, być może, znaną było, że nawet nie-Ukraincy wyleśli na Ukrainę, często tylko pobieżnie znający "prawdziwy" ukraiński język i kulturę, podświadome uważają za swoje właśnie ukraińskie pieśni ludowe, właśnie ukraińskie brzośli i kapuzniki. Dalej następuje rusyfikowane "ego", skłania rusyfikację obywateli, następuje potężny wpływ rusyfikacji kultury, nie tylko oficjalnie narzucającej, ale i naprawdę bogatą i różnorodną... Jak widać, storkunki ukraińskości, "id" i rusyfikowane "ego" całkowicie mieszczą się w klasycznym freudowskim schemacie: "ego" musiało gasić wszystkie podświadome czy półświadome pragnienia, "id" do "rodzimego, ukraińskiego", aby nie narazić swego nosiciela na poważne nieprzyjemności... Właśnie "aktywność" rusyfikowanego "ego" uratowała życie wielu Ukraincom... A jeśli ktoś się nie uratował, winić trzeba nabyty wpływowe "świadomości ukraińskie super-ego".

Usunięcie wszystkich opisanych wyżej sprzeczności możliwe jest, oczywiście, tylko w ramach postkolonialnej kultury, postkolonialnego społeczeństwa, które według szeregu badaczy powstaje obecnie na Ukrainie. Tylko postkolonialne podejście, uważając oni, jak podejście naprawdę dialogowe, daje możliwość włączania w siebie obydwa antagonizujących, nieprzejdanych i jednakowo monologicznych podziałów kolonialnego i antykolonialnego.<sup>22</sup> Włażać" nie może stworzyć jakąś ekologiczną mieszankę rusobit i ukraiń-

<sup>22</sup> O Hrycenko: *Charkivskie Edypty i mołotowski sfinks*, "Suczennia" 1992, nr 1, s. 141-142.

<sup>23</sup> Zjawisko kulturalne (historiograficzne, literackie, kulturalne, prozowe) w życiu kulturalnym społeczeństwa można nazwać kolonialnym, jeśli przyjętyj osnowieniu do siebie strażą bi, co imperatywne władzy, zwiększa pole aktywności, ograniczając żywotność, a także strażą bi, co imperatywne, autochtoniczne skłama - organizację, podległość, godność, świadomość, w sposób umożliwiający "materialność" tego, co stonownie, cennie. Antykolonializm się więc zjawisko kulturalne. Inne zjawiska kulturalne, podległość, podległość i podległość od niej ideologicznych konstatacji. Używającj przymiotnik, podległość i bezprowocno kolonializmu i przymiotnik wprost alternatywny czy przeciwstawny. Niezależnie wartości i ideologii są nieprzejmione narodem. Tak kolonializm jak i antykolonializm

fobii, "indoeuropejstwa" i "maloronyśtwa". Chodzi o ich osnowę - o uznanie siebie za spadkobiercę obu spadków kolonialnego i antykolonialnego, i o stworzenie nowej tożsamości nie na podstawie bezgranicznego chwelenia jednej z nich, a na podstawie krytycznego przemyślenia każdej.

Kolonialne, i antykolonialne dziedzictwo powinny zostać w historii – znanymi ocenami. Nie "aktywizować" jednego z nich i nie "przebudzić" tej tradycji we współczesność, a tylko wziąć to owo niebezpieczne i wyciągnąć niezbędne wnioski – to, zdaje się, wszystko, czego wymaga podjęcie postkolonializmu.

To dość mało i jednocześnie dużo: chodzi przecież o demityfikację historii i trzeźwy, realistyczny pogląd na współczesność, zdemaskowanie jednych mitów i wytworzenie odporności na inne, przetrwanie.

Jeśli chodzi o nasz konkretny problem – narodowych stereotypów, to tutaj, myślimy, należy w porę odnieść się do pokusy, aby wybić kłm klientom – zamienić hiperfocifność negatywny autostereotypu na hiperfocifność pozytywny. Postkolonialne podejście zakłada demityfikację stereotypów i ich wyczerpaną eliminację, a ściślej, marginalizację w zbiorowej świadomości. Na ideologiczną, refleksyjną płaszczyźnie proces ten oznacza przed wszystkim wyjaśnienie natury stereotypu i podanie maksymalnie szerokiej i objektywnej informacji z różnych źródeł, szczególnie tych "stereotypowych" – jak historia narodów, ich kultura i życie, osobliwości charakteru narodowego, natura narodu i etnosu. Na płaszczyźnie politycznoideologicznej, nierefleksyjnej trzeba zadbać o powszechną atmosferę politycznej poprawności, co możliwe jest tylko w otwartym, pluralistycznym, tolerancyjnym (nieterańcyjnym) tylko dla porzejmów ksenofobii i nieterańcyjności) społeczeństwie. Szczególną rolę w tym procesie może odegrać kultura artystyczna, która z jednej strony zdolna jest pogłębiać stereotypy i zaostrzać ksenofobię, a z drugiej – demityfikować stereotypy, wszechstronnie je ogrywać, osmieżając i udużniając.<sup>24</sup>

Dla Ukrainców przerezywanie obu autostereotypów jest dość złożoną sprawą, ponieważ Ukraina jeszcze nie stała się ani naprawdę pluralistycznym otwartym społeczeństwem, ani naprawdę postkolonialnym państwem. w niej

<sup>24</sup> Zjawisko kulturalne (ochrójne argumentacji monologicznej) i dążenie do określonego politycznego, społecznego i kulturalnego rezultatu: subtelny i maksymalnie asonansogeniczny imperium, na przykład, albo nieistniejący i samowolnowo naradzony podstęp. Marko Pawłuszko: *Co się przetrwało w Rekonstrukcji Jarja Andruszowycza*, "Suczennia" 1993, nr 1, s. 116.

<sup>25</sup> Postkolonialne odwołania sobie teologiczności kolonialnych i antykolonialnych stereotypów a więc i ich wywołanie (historycznie doświadczenia lub tylko potencjalnej) pryncipie i dążeniu tegoż nie buduje sprzeczną wobec wszystkich schematów i symboli wzornic imperatywnej, jak i antyimperatywnej władzy. Istotnością jednak postkolonializmu uznaje realność historii z jednej strony – rzeczywistości i doświadczeń wyprzedzonych kryzysu, a drugiej – nietyrannywalności współczesności bez wszystkich elementów jej wczesniej historii, lub antykolonialnej, lub kolonialnej. Postkolonializm w istocie jest otwartą i tolerancyjną, tworzący nowe, wybrzytując jako źródło całej dialektyki kulturalnej. Jest otwartą wobec przetrzanych historii, przetrzanych kultury, wszystkie objawiającej miłość i jednoczących historię i kulturę i aktora naczy do irracjonalnego potężności na świat. Przy tym wszystkim to nie destruktywne walkę zwracając, filozoficznie do postkolonializmu, a programicznie doświadczenia i doświadczenia, jakkolwiek dominacji. W miejsce dominacji kolonializmu nad kolonizowanym postkolonializm pragnie postawić nie nową hierarchię władzy a stan wolności i równości, który w jednolitej mierze obejmując wszystkie (tamże, s. 116). Zob. też: Marko Pawłuszko: *Prze-Postkolonializm w Contemporary Ukrainian Culture*, "Annuaire Slavique and East European Studies", vol. 6, nr 2, s. 42-46.

<sup>26</sup> Najwyraźniej dotychczasą gwiazdkiem ukraińskiej kultury postkolonialnej jest bez wątpienia "Aksandrija" powieści Jarja Andruszowycza *Rekonstrukcja* ("Suczennia" 1992, nr 1). W tym kontekście na uwagę zasługują również proza W. Dłubrowy, B. Zakhada, I. Wymywnicza, antyka O. Ljuchet *Druta i Lu, brata Du Fu*, powieści O. Iwanowa, W. Noborka, S. Zada, "Propoły brzośli", malarsko i grafika M. Kuzmynskowycza, W. Kaufmana, I. Kocha, teatrnie akcje A. Zakhada, koncerty rockowe "Martwego powina", "W. Zada (Gadukin)", Sirotyczki; Wiol, autorka prozka A. Mikolajczuka,

i dziś dość chimerycznie łączy się z niemało cech neokolonializmu, autokolonializmu i wewnętrznego kolonializmu. Negatywny autostereotyp wciąż podkreślamy jest przez dawną metropolię poprzez wspólną (w wielkiej mierze) podtekst informacyjną i kulturalną, a także przez dawną kolonialną administrację, która pozostała praktycznie niezmieniona, mimo formalnej zmiany szyldów i flag, przede wszystkim zaś – negatywny autostereotyp ma kolosalną historyczną i polityczną inercję i dość skutecznie jest odzwierciany przez maiorosyjkiego obywatela. Wszynko to, z kolei prowokując jeszcze większą hipertrofię pozytywnego autostereotypu, którego twórcy wreszcie mogą swobodnie propagować swoje idee. Społeczństwo formalnie staje się niby pluralistyczne, jednak pluralizm, nie wzmocniony charakterystyczną dla zachodniej demokracji tolerancją i świadomością prawną, zmienia społeczność w jeszcze bardziej konfrontacyjną i ksenofobiczną.

Postkolonialne podejście w takiej sytuacji wygładza na dość problematyczne, ponieważ jego zwolennicy regularnie pozostają w stanie konfrontacji z twórcami kolonialnych i antykolonialnych stereotypów. Tymczasem zaś zasadniczą cechą i – powiedzmy – metodą postkolonialnego podejścia jest jego konsekwentna niekonfrontacyjność, jego dążenie, aby stać i postawić innych ponad pojedynkiem. To niezmiernie trudne, kiedy pojedynk jeszcze się nie skończył, ale to być może jedyna szansa, żeby zakończyć go mniej więcej szczęśliwie.

Mykoha Rabczuk  
przetłoczyła Natalia Jurak

film W. Kustelli *Dolej* ze skarbów herosa *Plabotka*, gazeta „Post-Postep” i czasopismo „Czerw” itp. Postkolonialne podejście stopniowo wzmacnia się również w ukrainiejskiej kulturze, filozofii, politologii, literaturoznawstwie – przede wszystkim dzięki zapraczonym uczonym ukraińskiego pochodzenia, do których w ostatnim czasie dołączają wielu humanistów z Ukrainy.

## Książki nadesłane

### Wydawcy różni

Jerzy Fiorowski. *Dobrodziejstwo imitowania*. Fotografie Stanisław J. Wes. Wstęp Krzysztof Czyżewski. Olsztok: Pogranicze, Sejny 1999, ss. 118, 21.

Jakub Malukow-Danecki. *Dama miłota i inne opowiadania*. Obserwator, Poznań 2000, ss. 93.

Jurij Andruszowicz, Andrzej Stasiuk. *Meja Europa. Dwa aspekty o Europie zwaną Środoków*. Czame, Wolowice 2000, s. 139.

Jakub Deml. *Zapomniane światło*. Powieść. Przetłoczył Andrzej Czaban-Pietrowski. Czasze, Wolowice 2000, ss. 205.

Dawid Szpilewski. *Historie w Kurtyce*. Nowy Świat, Warszawa 2000, ss. 196.

Mariusz Karczmarski. *Dobrak*. Humoreski i miniatury prozatorskie. Polihymnia, Lublin 2000, ss. 90.

*Miejscze rzeczywistości – miejsce wyobrażenia. Studia nad kategorią miejsca w przestrzeni kultury* pod redakcją Małgorzaty Kitrowskiej-Lysiak i Elżbiety Wołkiewicz. Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 1999, ss. 434. Seria: Prace Wydziału Humanistyczno-Filozoficznego TN KUL, t. 78.

Małgorzata Kitrowska-Lysiak. *Ślady Słowca o szlache polskiej po 1945 roku*. Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 1999, ss. 255. Seria: Prace Wydziału Humanistyczno-Filozoficznego TN KUL, t. 79.

Henryk Sikwarczyński. *Sweensy wśród słowików*. Opowiadania. Fundacja „Anima” – „Typki Kultury”, Łódź 2000, ss. 111.

WOŁODYMYR CYBULKO

## Sobotni samolot z Paryża

co sobotę gdzieś między piątą i szóstą kiedy wszyscy  
zchirają się do kolacji nad naszym terytorium przelatuje samolot

stamtąd wieszcie dziesięć ton rozhabowanych pasażerów tutaj  
sto ton nostalgii bo to samolot z Paryża ni mniej ni więcej

w tym czasie wszyscy spoglądają w niebo i kozy i obłożone  
podatkami jabłonie i śliwy i dzieci i babcie pod kociamił i miedze

na miedzach różnie czamy bez i kalina i wszelka bezimienna  
trawa

tu czas zgęstniał jak kogucik na patyku słodki wisniowy  
kogucik to terytorium naszej duszy

a ścieżki Pańskie biegną aż hen za górami

jakśółczą robotę tu niekiedy wykonują ludzie bo jakśółki zbudowały  
kościół wtedy kiedy ludziom zabronili

i oko z dzwonnicy na wszystkie strony patrzy szukając śladu  
Pańskiej stopy

a że chodził tędy Pan to starsi ludzie mówią że to prawda

a jeśli nie Pan to chodził to Dziewica Maryja na pewno  
stał pod śkad by się tutaj wzięli ludzie

ale i ludzi tu nie ma jakby nie widać tak zjawiają  
się co sobotę koło cerkwi

a miedze tu są i kozy są

niekiedy w dzień można spotkać kamień co sobie dokądś idzie  
pijany gdzie się idzie

wybrał nie powie jak to kamień

niekiedy sam z siebie jedzie wóz

co roku w czerwcu kwitnie lipa

a babcie i dzieci pod cerkwią tylko w soboty gdzieś tak między  
piątą i szóstą kiedy nad naszym terytorium przelatuje samolot

tutaj nikt nie wierzy że człowiek pochodzi od małpy bo nie ma  
z kim o tym porozmawiać  
ale co sobotę na dachu cerkwi ukazuje się  
Pismo Święte

i babacie te które umieją latać czytają go i przekazują  
dzieciom

niebo ma tutaj właściwy kolor bo innych nie ma a czwartek  
czysty choć mówili że był jeszcze jakiś lecz o nim już zapomnieli

kalina tu też jest skrzydłata a kwiaty same siebie malują na  
ścianach chat

to terytorium naszej duszy i dusza oddala się stąd dalej  
niż na pięć kilometrów zamienia się w glinę

głina tutaj jest biała przeważnie zdarza się również ruda

ale naprawdę ruda nie jest to trzmielce ją tak przemalowują

o jedzie wóz sam z siebie i macha skrzydłami samolotowi  
więc to sobota gdzieś tak  
między piątą i szóstą

o świcie w studniach widać gwiazdy więc pochylać się w stu-dnie  
nie należy bo można wypaść z tamtej strony ziemi a wtedy  
czyż wrócić z powrotem

od ciszy czasami dach idzie na chatach dokąd i po co nikt nie wie  
ale w tym czasie z reguły nie ma deszczów

deszcze tutaj zrzucają żabki ale żabki szybko  
dorastają i gdzieś się wynoszą

od czasu do czasu ptaki podracają komuś złoto kołczyki  
obraczki itd.

wybijając się tutaj przemieniasz się cały w pyłek kwiatowy i  
odlaty już przaczyły od ciebie się nie odczepią

to terytorium duszy nic nie poradziś a samolot w soboty  
leci i już

## *Tekst nr 1*

o bezkresny o niewyczerpany o niewysłowiony świecie form  
wykrzykuje Miłosz ukłuwający się o kaktus  
metalewo kochanki pieszcą ten twórcy przyrody

szkując się do czegoś bardziej metafizycznego  
wszystko odbywa się w czasie teraźniejszym i śnieg  
zbija się w płucach brązowych dni epoki  
a miejsca tam jest dosyć tylko dla spowiedzi

bo Duch zstępuje jedynie na wąskie grono wybranych  
i jeszcze na paru redaktorów Bożych pism i obywatelskich  
testamentów odkieśtrowe marze krwi wśród szaczą Europie  
że od dawna już nie jest dźwięczną  
schody zarastają trawą wszystkich tych metafizycznych przysięg  
piwo piszczą potop narodami  
na Mojusza zstępuje  
błogosławione milczenie a więc  
przez czas milczenia można patrzeć w  
w intymne szczeliny zamka

oto za tymi drzwiami toczy się bitwa  
za tymi śpi złoźniej czasu  
za tymi bohaterki obrońca księżycą przed kobietami  
przed złocistymi złodźnikami którzy spiją popiół pod  
drzewa które strzelają zębami i paznokciami  
w gardło ostatniemu kódy ich nie lubi  
w oczach złotego kamienia wspomniany i wieczny  
napój byłem takim kamieniem szarym  
upilem się miłością i czeka mnie piec dantejski  
dantejski krag z siwym i senym Dantem  
który delikatną pinetką wyjmuję z  
puszki serca dobijam z nim targa  
jest kapłanem zapomnianego kultu  
chwalo- czy falloterapeuta

na mój turceki uśmieшек fałszywie  
odważa gruszek i trochę suszonych morci i  
trochę chałwy wam niebiosa pastuszce  
wam przydałby się koci ser i postne wino  
bo wódka to tłuszcz chłopskich spowiedzi  
to biała kurewska krew kiedy rozwiąże język  
jak szalak czy rakawiczkę

weselną finałną smutną zielonościwą  
złotone świętki nasze dni w zielone  
świątki to smutne i brązowe konie  
które mają płucia zapchane śniegiem a w nas  
zchrzanie lwy oskarżonych na wieczny  
i senny Karzek a w stronę Golgoty już  
odjechał postelacy więc i my też tam  
umownie obeci bo oglądamy  
parade kolorowych karłów a także  
samonakładwanie się metali i innych...

wszystko jest wieczna harmonia cała jet wieczna harmonia  
o niewysłowiony świecie form  
nie dotykam kaktusa kłującego łogosa  
możesz się we własnym głosie jak

grudki wspomnianego złotego kamienia  
w torbie posznikawca złota który z nami stwarza czas!  
zawsządną ciągnie się włoka  
jeszcze nie zebrałono przeze mnie dla ze znamienitego pola  
pole odplacilo mi niedobrem ale chata wyobraźni  
napolnia się tym czym teraz i sto lat temu bogaci się  
jeden człowiek nawet i ochraczony tylko imię jego zwierzę  
zwierzę bo głupiec bo walił pierzamiem o skałę  
ze słowami nikogo nie skrzywdziłem skrzywdził!  
Imię Pańskie i czas i to wydzierzawione pole  
jestem kamieniem złotym i milczącym o świetle form  
sam jestem dłużnikiem ale i zbieraczem długów  
nadaje się do wymierzania winy i pierza głosu i głosu  
popołu i krematoryjnego rytu państwa  
i jasności słoneka na Arteriz

nie chcą szturmować fortecy  
która sama padnie pod nogi wrogom moim  
nie chcą paść owiec  
po to by dzięki nim rośli w siłę moi wrogowie  
ten który błądów uznał za filozofów  
a filozofów przekonuje że są błądźnami  
jeszcze nie wie jaki kamień spadnie na jego miasto  
jakie fortece zostaną zbudowane z tego kamienia  
jakie latające świątynię omną te źródła  
jakie spóźnione przejrzenie  
zatrzyma filozofa co już ustąpił błądźnowi

jednak szturmuje fortecę  
która sama padnie pod nogi moim wrogom  
klnę uparcie suchych wrogów  
jednak paść owce  
w nadziei że wypasę wilki

o świetcie form! o formo spowiedzi!  
chwałę obrzędowi zbierają uszy Bacha  
jak stasli motyle tak wiecie ralsusa  
filtrują czas przecodając przez kapelusiaki  
żelaznych pianienek ostatnie sekundy cnoty  
tak ryba szepcze w uscho Güntera Grassa  
zieleną piosenkę o trawie i lebidzie  
w ukraińskim słowie „step” i o radości owczarków  
na widok człowieka czy człowieczka

o formo krzycz! czerwonym kwadratem wprasowano w pierś  
milcząca maszynę maszynę porównań i ogólnień  
Karola Marksa i Friedricha Tampaska pod tłumą  
polewą z czekolady dla odciążenia swych ofiar  
i wieczne zgubne kamoterstwo gotowe nas dalej wolać  
w bagno tam pochowały się różowe jelenie z

prymitywnych chłopskich obrazów i labędzie spod  
cerkwi Jesteśmy biedni jak cerkiewne labędzie a czego to  
nie nachwaliliśmy w oczekiwaniu na Chrystusa ten cukierka  
dla niego ten orzeszek ten zalik i rękawiczki  
ten przetrzawiały a ten miniaturowy model miejskiego ratusza  
i bulawie ABBA OJCZE! nasi władcy już  
dozrekali się ciebie i nuczycy i egzorcyzmy  
oderwały się od nuczycy

kiędzy w pijanym widzie opowieź  
i zrozumiesz okno wciąż jeszcze otwarte nie dla tego kto  
przychodzi codziennie zrywający jak sół  
gdyby z obciętych paznokci  
zakopanych kogo progu przebyły się różę  
gdyby szafanowym proskiem przypalaly powieki  
i ty znalazłby swój wiek  
wszystkie nerwy byś spalił za tydzień czy nawet za rok  
a potem dopalibyś reszcie dni

władza popiwszy obkłada cię podatkiem  
za krzywdę którą sama wyrządziła  
podatek gruntowy zapłaciles tylko połowicznie  
spłacisz pokrywane kwają

tak skazany na karę śmierci  
staje się krwiodawca dla swego chorego kata

rozpalony stalowy pierścien baroku  
spadł ci na dłoń i wypalił oko na dloni  
kiędzy po pijanemu i teraz dawno już martwy  
dłoń podnosisz i każdy widzi

— kultura  
karmelkowy kogucik na patyczku którego już do zrudzenia  
naliz się zahukany naród

biedny Hector Berlioz  
tak przychodzi pamięć z niepamięci jak Chrystus  
O świetcie form! O państwowe herby drzew! O opłani!  
O-O-O-O-O!

z takimi okrągłymi O! sąsiadka kwoka siedziela  
wysiadując słonce a nasza kwoka kszycę  
a jeszcze byłem malecki a ludzie wicy i dumni  
ale to było tak dawno! tak dawno!  
tak dawno i tak okrągło  
gdzie ci ludzie są teraz, takie kragle ich mogli  
gdzie ta duma teraz płacze z pamięci krapolami  
kobieta to niedorobiony nieczyżna żartował Tomasz  
Akwinata, moja skochana to niedorobiony ja  
nasza krzywdza to niedorobiona przez nas prawda –  
a to wszystko Ty Panie! my przecież ufamy

tam na niebie blyszczą kamień złoty przez kogosi  
porzucony ja o świecie form!  
brunatne fale chloroforma tylko nam  
odstąpił od kół  
a wysycha ciało pod opadniętym słońcem mędrkowania

głby rowieści na wietrze jak lotniczy rękaw  
dżyny Allena Ginsberga zgraja impotentów  
jak latające ryby przeleci koło nich  
jak przez magnetyczną ramę ust Buddy  
ruski bałajkarz Rawi Szkanr siedzący na podwiniętych nogach  
metr nad ziemią i w budownicwo

wskaze Ty zapisałeś się?  
marsze karzełków dalej zgęszczają krew  
do koneystencji mleka świt przez hupe historycznej  
niepamięci spostrzegą jak w bańce z pajkami  
pozerają sieb Ukrainicy  
duzo mniejsi od pajaków bo Ukrainicy  
to takie motyle z oberwanymi skrzydłami  
skrzydła mają bardzo kolorowe i kształtem  
przypominają kontury ich ojcowizny  
zagubionej niepolitycznej przez biografów tzy matki Bożej

ta smutna narkotyżność na dworcach ta ojczyzna-walizka  
te wytrenowane gesty kalek i symulatorek jeśli ja grosz  
to w mnie nie ma mnie i nie w smak wam mój płacz  
i nie dom wam mój płaszcz płaszcz kamienia

takie słowa wkładał święty Tomasz w usta osmalone  
przez prawo i bezprawiem połykał ogień i lyk  
poczynania zwątpienia w stare lustro  
że te słowa stawały się potem w czyskich ustach błękitnym zębem  
z kropelką trucizny dla każdego kto krywo się uśmiechnie  
w stronę ojczyzny i Chrystusa

i jeszcze lilii i jeszcze zielonym makiem  
i makowym mlekiem  
o Allennie Allennie twoje dzieci to kwiaty na dzinsach

czy dżika róża języka owinie się krzyż i  
winia w krajach gdzie startowane motyle skrzydła  
lubią właśnie sadzić na cementarzach

stery motylskich skrzydeł pełną we mgłę  
wczesna zima jak wczesne dziecko docepiona i niechciana  
o świecie form! w takiej zimie  
poeci przeczodzą się przez siebie a poeci to żłudne gardła  
piaskowych zegarów  
pod hurkot kroków Mikołaja  
twi bezdomni świecie powycinani jak tyton  
twi skrzywdzeni świecie to dzieci deklaracyjnej prawdy  
ich ręce krucha makowina wyciągają się do nieba

twoje szczęście świecie to jak najdorodniejsza Ewa  
Medea czy jakaś inna suka czy jeszcze jakaś forma prąd  
bo takie uroczyto kolorowe dymy upajają w płacach  
i efekt odwróconych okularów jest ostatnim ratunkiem  
aby oddalić siebie wybielić siebie przełać  
siebie w nowusięnką formę jeszcze pachnącego mlekiem Ja

Włodzimyr Cybulko  
przełożył Bohdan Zgoda



Castro Gárcia Humberto: *Serie białe i czarne nr 1*, rysunek, 1984  
Fot. Andrzej Polakowski (I.Triennale Sztuki Majdánek 1985)

OLEKSANDR IRWANEC

## Zaginięcie Golana

– Tu, tu, jeśli można, proszę się zatrzymać. Tak, już. Dziękuję. Proszę wziąć. Ależ dlaczego, proszę, chociaż na piwo. Teraz, wie pan, takie czasy, że nawet kury za darmo się nie noszą. Chodzi o powodzenie!

Kłapanę drzew, zawarzał silnik. Teraz jeszcze przepuścić przypadkowego zika i przebiec na drugą stronę drogi. I od razu w zagłębienie rowu. Równocześnie. Co to takiego? Śrocy? ... Diabli wiedzą. Słowo francuskie. Mniejsza z tym, wszystkich i tak się człowiek nie nauczy. Za ogrodzeniem, które ograda budkę transformatora (ogrodza – ogródek – uszlachetnia, cha-cha) można ściąć ze dwa kilometry lasu.

– Halo, halo Nataszko? Dzień dobry!, coś słabo słychać. Dawno już przyjechałaś? Tak? No w końcu do ciebie dzwonię! Skąd? Z portierni, z internatu. Halo, coś słabo słychać! Halo, słyszysz mnie? Już byłam na obozie, cały turnus. Oj, tam było takie wyzwanie! Jeden chłopak... Dobrze, potem opowiem. Za pół godziny na przystanku! Dobrze?

– Oj, Nataszka, ale pie-ekne... Klasa... Rodzice ci kupili? Po-darował? Figę... A u mnie... To chodzą na lawkę, póki nie nie jedzie, sądziemy, opowiem. Tak. No więc. Tam na obozie, był jeden facet – no, istnie cudo. Czarny, wysoki, oczy niebieskie... Wszystkie markowe, aż do spodenek. Wyobraź sobie, widziałam. A cóż to takiego. Steriota mu było. Włanie tak. Nie przerywał, daj po koleci opowiedzieć. Chociaż nie, po koleci się nie uda. Przyjechałam, on tam już pracował, od początku sezonu. Jako wuefista. Rano wstanie, zaprawę przeprowadza i do obiadu się spi.

– Tu można ściąć ze dwa kilometry lasu. Pod tamnymi piaskzystym pagórkami z młodymi sosnami. Nacokoło – żywej duszy. Można po prostu sięść w tych zarosłach szarozielonych badyli, jakby zakurzonych, wyciągnąć nogi, wyciągnąć palperosa. O, białomur. Rano kupilem w wagonie restauracyjnym leningradzkiego ekspresu, który całe cztery minuty stoi na naszym obradrapanym dworcu. Boże, zapominamy zapach intensywności lasu na naszym obradrapanym dworcu. Boże, zapominamy zapach intensywności lasu na naszym obradrapanym dworcu. Boże, zapominamy zapach intensywności lasu na naszym obradrapanym dworcu.

Z tytu, za chwilę, jeszcze niewiedząca pojawia się Izabella. Cała pod kolor tych zarosł, w jakimś lekkim ubraniu, koloru zakurzonej zieleni... Rękawy to łokci i cienkie smagłe ręce, jak pędy, z tych rękawów. Wyciągnięta spódniczka trochę za kolana. I nogi z drobnyimi białymi zadrapaniami od burzańców. A najwazniejsze, że tam, pod ubraniem, nie ma niczego... nie ma. Krew uderza do głowy, jak pomyślił o czymś takim. Bzykanie gza w oleistym leniwie poobiedniego upалу – Izabella.

– Tak, od razu się poznałiśmy. Przez pierwszy tydzień pracowałam na myjni naczyń, dopóki nie sformowali jeszcze jednej brzydy. On jak na obiad przyszedł, jak się uśmiechnął – wszystkie dziewczyny się rozpatwały. A on mówi, dziewczęta, dawajcie jeść, bom głodny, na śniadaniu nie byłem, bo

zaspalem. Tamże, co były na kuchni, od razu biegły – ta barszczu nalewa, ta gulasz czubaty talerz nakładła. A on do zmywarki podchodzi, zajrzal w okienko i do mnie: – No co, mala, wszystkie lyżki już obliżalaś? Daj no czystą. A ja stoję jak sparalizowana, choć tak w ogóle to nie jestem nieśmiała, ty wiesz. Tylko wydukałam: – A palcami nie możesz? Sama nie wiem, co mnie naszło. No, on się uśmiechnął, przechylili się przez okienko, wziął sobie lyżkę z myjni, jeszcze raz na mnie spojrzal i poezdzi. I już stamtąd, z sali krzyknął do mnie przez ramię – Palcami to ja tylko takie, jak ty, złotko, hamkam.

– Gazele i lamie w zielonym tonie lasa – Izabella. Wymarzyłem sobie ciebie tak dawno, że już nie pamiętam kiedy i odtamniał jesteś ze mna. Dobrze, że zawsze pod ręką i nieustraszo ci zawołał. A wiesz, Izellino, jutro sobota, w mieście dzień wolny od pracy, w najgorszym razie – pół dnia, świądownik, wystrojeni, z bukietami kwiatów, białe wołgi, przybrane wstążkami, fafcuchami, misiami i lalkami, ustawione przed urzędem stanu cywilnego, krzątają się teściowie i świryki, drętwiwię w ciemnych garniturach teściowie, przalają w rękaw narzeczeni, poga się pod pachami narzeczonej... Jutro na ja wnieście na ostatnich schodku ona lekturko dzwonek, już po świętej rytualnej ceremonii, kiedy w imieniu, zgodnie z prawem i ustawą, no i tak dalej, i przy wywołaniu na ostatnim schodku ona lekturko dzwonek, już po świętej rytualnej ceremonii, kiedy w imieniu, zgodnie z prawem i ustawą, no i tak dalej, i przy wywołaniu jej wyrwać w górę, ona ma takie dobre warunki, z takimi mocnymi nogami, sylwetka w dół rozszerzona, „królowa szachowa”, jak ją nazywał...

– A wieczorem tego dnia była dyskoteka, dla kadry, wiesz, bez dzieci, już po apelu. W dyskotekowej sali mają superaparaturę, światło i dźwięk... Co prawda znałam się na pierwszym dniu i braku przyzwyczajenia, ale poszłam. Ubrałam się w tę swoją bluźkę „lambada”, wiesz którą. A on sobie przychodzi, co jemu tam, wyspój się w dzień. O, nasza trójka, wstajadmy. Czekał, ja biletę wyciągnę. Obywatelu, podajcie do skasowania. O, dziękuję. No więc przyszedł na dyskotekę, a ja na oknie siedzę, taka zmęczona!... I widzę, przez całą salę idzie do mnie. Podchodzi taki wołny tanius puścił, ten, z amerykańskiego filmu, gdzieś tam był napis, o boże, jak ten film, no muzyka taka: ta-ra-ra-ra, ta-ra-ra, ta-ra-ra! No, wiesz? A, dobrze, potem sobie przypominę, i ja z nim krzątam się powoli, wszyscy inni jakby gdzieś znikli, on taki wysoki, spokojny, młody mi!... Język ci nie zabolal tak cały dzień lyżki obliżywać? – no, żartuję jednym słowem, a ja do niego – „Nie ty tylko, – a i talerze, czteryś sztuk, z całego obozu, po pierwszemu i po drugim”, – a on do mnie: „I kubki po kieliszki też na pewno” – a ja do niego: „A jakże!”, i wtedy on nagle nachylił się do mnie i szepnął do samego ucha „Chodźmy się kapać na stare koryta...”. Oj, Nataszko, wstajadmy, już Dem Oficerów.

„Szachowa królowa”... w patowej sytuacji... Chociaż – dlaczego? Wiedzisz, Izellino, widzisz, jak otoczyły ją tury i słonie, niby czerkono na plaży przed urzędem stanu cywilnego? O, bieda, białomur tak szybko się pali, a ma długi ustnik, to nawet tego nie widać. Odzyszczailem już od nich, wszystkie teraz z filtrem. No cóż, ruszadmy dalej pomaluczką. Za tym pagórkami, na którymś sosnu, można wyjść na leśna drogę, takie sobie paszeczki kolejni, którymi przejadają ze dwa pojazdy na dobe, albo i nie. Tam też dokola sosnki, las bez trawy, tylko grzyby jesienią dobe, tifu, ohyda, biały, rozedyt trup dzikiej świni, samochód jak zabli, czy co, smierdzą na pół kilometra, robu-ki po nim lażą, no cóż, minęło się, dobrze, że choć wiatr nie stamtąd, a stąd,



— A właściwie, to o co chodzi, dziewczęta powinny wychodzić za mąż, prawo natury, można powiedzieć. I świat się nie zawali, bo nie na niej on przecież się opiera, ale... Ale — dlaczego sam się okłamujesz, sam siebie uspokajasz, przecież wiesz, że jutro to się stanie i odberze ci ją na zawsze. Na zawsze. Dzwine, jakos nie masz najmniejszej ochoty, żeby lecieć, biec tam zaraz, do miasta, coś zrobić, szukać szansy, możliwości, by wyrwać ją na przykład z wesołego orszaku przed drzwiami USC. No właśnie, co można zrobić? Pomknąć w czarnej masce na podziemiach, porwać ją, przetrząść przez siadło? Porwanie Sabinki? I w ogóle żadnej ochoty, żeby wracać do miasta, jakbym? No, to siedziałbym tutaj, w ciemności. Prawde mówiąc, żeby okazać, żeby się, a nawet się polozżyć — ładna wysoka trawa, poniżej piaszczystych kolein, sony trochę się przeredzeli. Gdzie ten nasz balon?

— No, tak od razu się nie spodziewałam, że on coś takiego zaproponuje, a potem myślę sobie: a co to takiego? I mówię mu: „Pójdziemy, tylko trochę później, za parę minut”. Tutaj jest portiernia, a zaraz stolówka, o, już ją widać. Dzień dobry, to nowitka, do pracy u nas, w kuchni. Chodźmy. Nataszk. Dział kadry jest tam, pospiesz się, czekam w przebraniach.

I co, podanie napisali? To oni powinni się cieszyć, nikt u nich nie chce pracować, jedźcież z miasta na to oddziale. Oficerskie miasteczko? Phi, tylko nazwa... Co potem? A w obozie... No tak, odczekaliśmy parę minut, rozegraliśmy, czy nikt nam się nie przygłodził, i wyszliśmy niespostrzeżenie. Do koła cicho, może jeszcze ci degeneraci pionierzy nie śpią, ale przecież oni w budynkach, a w obozie cicho. Bezwzględnie. Sony pachną. A my idziemy w dół do dziury w ogrodzeniu, do starego koła. I nie ciemno — kłębiący światło, od topól nad rzeką takie cienie... Ale trochę strasznie, i wzięłam go za rękę. Ręka też taka chłodna, spokojna. I nagle mówię: „Chcesz, przodem wieszcie” — albo — „wieszcie”, a „stychy”. On w ogóle bardzo pięknie mówił, wyszukał. No, mówię, czytaj. Przecież coś takiego, po ukraińsku, niewiele zrozumiałam, jakaś para sobie chodzi, no, chłopak z dziewczyną, po bardzo starym domu, gębony wiszą, potem jeszcze jakieś niezrozumiałe słowa, potem oni sami siebie oglądają w lustrach. On dookola, ja dosłuchalam do końca, a wtedy mówię: „Ja to bardziej Asadowa lubię. Znasz jakieś wiersze Asadowa?” A on tak dzwinię kaszlnął, jakby się zadławił, i mówi ochrypłym głosem: „No, tego należało się spodziewać”. Chciał on, rzecz jasna, powiedział — jak to było? — aha — „Tęgo należało oczekiwać”. Potem pomalczal i mówi: „Zresztą, ten poeta też na literę A...”

Ten nasz balonem. Fabryka Uruckiego, tak zwane „try banany”. Chociaż nie, popatrz, zmienił emblemat. Kiedy wróciliśmy z wojska, miałem jeszcze parę paczek. Właśnie je dopalałem, kiedy się z nim poznałem. Zanosilo mnie na dyskotekę do politechniki. W sali było durno, błyskawic światło i dźwięk, coś jęczała Tina Turner. Wyszedłem z zapalnic na schody, a tam stała ona, wyszła z zachrypniętą powieścią, rozgrzana, w swojej zabudowanej. Stałem się stonkiem niej, oparłem się o poręcz, dmuchającym w ustnik, przelazłem go na pół, żeby tytuł nie wlażył w usta. Już nie wróciłymi są na sale, a trochę chodziliśmy po parku wokół politechniki, potem odpowiadaliśmy ja do domu przez stary cmentarz, który wchodzi klinem w nową zabudowę, ale ma historyczną wartość i dlatego nie można go zagrzebać buldożerem, i to dobrze. Pod samym ogrodzeniem w trzech szeregach betonowe niemieckie krzyże, jeszcze z czasów I wojny światowej, a w głębi, za nimi anioły, genuście, dzie-

wice upadają na polskie groby. Dobrze, że cmentarz jest wąziutki i dobrze odwieziony latarniami z ulic po obu stronach, byloby strasznie. Tam, koło jednego z aniołów przystojniejszego, ja za rękę, przysiągnęłam do siebie za ramiona i z rozpeda pocalowałem w rozchyłone usta, zadzwoniły zęby o zęby.

I przez cały ten czas, przez cały czas wdziałem o nim, lecz nie nadawałem mu żadnego znaczenia. W jej szafce na książki w domu, koło stołu, między szkami średniej półki stało kolorowe salomonowe zdjęcie dzielnego sierżanta-kursanta z jasnowłosa czupryną i odznaką „Mistrz sportu”. Nawet zapętyłał ją wtedy usmiechnięty — Bokuś? — Pływania — odpowiadała, nie chwyciwszy dżemowcu i z niepokojem popatrzyła na jakieś swymi szarymi oczami. Kursant-sierżant zberzywał miesiąc na ciebie odległym poligonie, po czym przywolał na swoje regulaminowe trzytygodniowe wakacje przed ostatnim rokiem. A ty te trzy tygodnie przesiedziałeś o ciotki w Młdwiawie, zalewając się domowym winem i codziennie trzedeś w dieślach do Odessy, żeby się wykapkać. Potrafiłeś wrócić w przeszedzenie jego wyjazdu i z ciekawości namówiłeś Gdynię Gurdynką, żeby podwoził ci swoją „Lada” na dworzec. Oni, naturalnie, przjechała trolejbusem na pół godziny przed rytmicznym pociągami. Dymka zaparkował tuż przy przystanku i ty schowawszy się za gazetę dobrze mu się przyjrzałeś: barczysty, dęgopęci, zeskokczył z stopni trolejbusu, trzymając w wyciągniętej ręce walizkę z nalepkami, natychmiast się odwrócił przy drzwiach i wyciągnął do niej wolną rękę. Wspierała się na niej i zeszła — w tej samej czerwonej spódniczce, w jakiej pozowała ciębie, obszła walizką i wzięła go pod ramię. Nie spieszcie się, weszła schodami na peron. Odczytyłeś gazetę: „Jedziemy, Dym”. Jeszcze tego samego wieczora całowaliśmy się na podjeździe koło krzyżem na listy.

To ona, ona sama nie chciała niczego zmieniać. Ha, usprawiedliwiwasz się tam przed sobą! Przecież nie nalegałeś. Jakoś któregoś z księżyctwowych wieczorów wszystko ci wyjaśniła: spotyka się z nim od dawna, już od szóstki klasy, po ósmym po osiedzi do surowców, potem tam, w Warszawie uczelnia, wojskowo-polityczna... Dala mu słowo. A ponieważ czekać długo i ciężko, znalazła sobie ciebie. Nie gniewaj się, ale ona mówi czysta prądkiem. Możesz nawet natychmiast wstać i pójść, na zawsze, ale to tak jest. Nie wstałeś, nie poszedłeś, i tylko, zrozumiały wyraźną aluzję, bez słowa ja przytuliliś, już się przyzwyczaiłeś, już potrzebowałeś tych krągłych ramion i dużych ust, i opowiedziałeś jej o Zielinie.

Balorem znów dopalił się do pustego ustnika, ale nie chce się wstać i iść, tu jest tak ładnie, ciele, można rzucić ustnik w trawę i przekroczyć się na wznak. A tam już z głową przy twojej głowie leży Zielina. Tam razem ma na sobie sukienkę koloru dojrzalej trawy — zieloną, aż niebieską.

I wtedy opowiedziałem jej o tobie, Zielino, bo o innych kobietach nie miałem niczego do opowiadania. I dlatego opowiedziałem o tobie. Musiałem przecież coś powiedzieć w odpowiedzi na...

—No więc, przysiężny nad stare koryto. Tam tak ciebie, woda nie szmerze, bo nie ma nurtu, tylko łódki w niej tylko miejscami, krzaki jakies przy brzegu i nad topolami wiszące księżycy. Stał koło mnie, odwrócony plecami. „Noc — mówi — jak jej tam... a gogolowa”. Ja, prawde mówiąc, nie rozumiałam do czego on tak, no, na pewno Gogol w takie nosi pisał swoje utwory. A on przechylił się do mojej twarzy i mówi: „Tylko ruszał brakuje... Nie szkodzi... — mówi — zaraz — zaraz...”. I gdzieś za rękę, na drugi brzeg, krzyczy coś takiego, jakby imię Izabella czy Elżbieta... Dzwine jakies imię. Niczego nie rozumiałam, ale nagle po tamtej stronie pojawia się jakaś dziewcz-



Alte to jeszcze nie wszystko, słuchaj dalej! Jakis tydzień, a może więcej po tym, już się wszyscy trochę uspokoiłi, jeździłam na wolno. No, dzień w domu pobylam, odpoczęłam, wieczorem wracam do oboru, ostainim autobusem. A to sierpień, już się ściemnia i przy portierni, koło budynku administracji, widzę, takśówka stoi. Światłoko na niej zółte, zajęta, znaczy się, opłocna. Idę do bramy, przechodzę obok, nagle mnie z tej takśówki ktoś woła po imieniu, nie za głono, wy taka a taka to pomyślniaka, mówię, że tak, zatrzymuję się. A z samochodu wychodzi taka dziewczyna, w czerwonej sukience, taka przy kości, a potem to jeszcze pierścienko na palcu zobaczyłam, obacząc, nie dziewczyna jest, jednym słowem, młoda kobieta. Chciałabym, mówić, z wami porozmawiać. No nie przywiliam, mówię, że mnie mówili na wy, ale proszę, mówię, porozmawiamy, słucham. Mówi, że chciałaby porozmawiać o Siergiju. Z początku nie zrozumiałam, o jakim Siergiju, a potem do mnie dochoz. A co ja mogę pani powiedzieć, mówię jej, sto razy już powiedziałam i komendantowi, i milicji, niczego nowego nie powiem. A kto pani, jeśli to nie sekret oczywiście. A ona mówi, nie sekret, po prostu bliski mi człowiek i chce zrozumieć, co się stało. I try w głosie, słyszę. A potem jeszcze mówi, jak nie chcecie niczego mi opowiedzieć, to chociaż zaprowadźcie mnie w to miejsce, gdzie to wszystko się stało. Mówię, co, od razu teraz? A ona - "Tak, teraz". Mówię, no to chodźmy. Zaszłam do budynku, zostawiłam torbę, wyszłam, a już się całkiem ściemniało i noc nie taka, jak tamta, kiedyśmy z nim szli, a całkiem ciemna, bez księżycy, i chmury, nawet gwiazd nie widać. Ale ona mówi, chodźmy No, poszliśmy. Ledwie doszliśmy do dziury w parkanie, taki wiatr się zewiał i deszcz, jak lunie. Mówię, może się wrócić, a ona tak że złościła, nie, idziemy. I pochyłone, przez błonie, do tej plaży. A deszcz jak z cebra, burza, błyskawice, strasznie nie! No, doszliśmy gdzieś tak za pięć minut, stanęliśmy w krzakach, mówię, to wszystko, zobaczyliśmy, wracamy. A ona mówi, nie, poczekałmy. A na co czekać, i sama bym poszła, ale samęj strach wracać, w deszcz i w ciemnicie, I wtedy ktoś jakby nas zawołał z drugiego brzegu, ale tak niejasno, przedy deszcz i wiatr, że nie było słychać. Rzecz jasna, się przestraszyłam, a ona się wzdrygnęła, pyta mnie: "Słyszałaś?" I widzimy, że z drugiego brzegu po wodzie idzie do nas ta dziewczyna z Izelnia! Zgroza, Nataszka... Skamienialiśmy, stoimy, deszcz na nas wali, na niej sukienka całkiem już oblepiona, włosy... A ta Izelnia podchodzi do nas, ale idzie tak powoli, wydawało mi się, że pół godziny do nas szła. Ale w końcu przychodzi, wychodzi z wody do nas na brzeg i prosto w twarz mów: - Siergi Golan zagina!

- Co, już obiad? Idziemy, idziemy, Co to, już poczekać nie mogą?

KAP. 1. 30. 1961. Podkarpacie, wsi huculackie

Oleksandr Irwanec  
zobozował Bohdan Zadara

## Ruch do przodu

MYKOŁA CHOŁODNY

## Wiersz, do którego tytułu nie wymyślił

Na szybkim tasmociągu  
oddalał mi się  
w biały dzień w sobotę.

I wytrzeszczył na nas gąy  
Donbas cally,  
Donbas cally,  
wstrzymamwazy robotę.

Donieck, 1964 r.

## Data

Jedna tylko data w pamięci mi została -  
ten dzień, gdy po raz pierwszy żołnierzowi dałaś.

Phykie, 1969

## Śpiewak, przypisany do żony

Zycie wisi na porozumieniu kawałka drwa,  
niezapisać - i, może, niebo ranie

Pietro Perebyszyn

Ciągną gaz w czarnobylskiej zonie.  
Mówią, długo jeszcze będą ciągnąć.  
Wraz z postępkim, tak jak bizony,  
my kopyta też mamy wyciągnąć.  
Śmierć głodowa nie grozi nam tutaj,  
karcze jaskółki nie grozi nam tutaj.  
Bo nam tu od nieczyścigo ducha  
przysyłają stale prowianty czyste.  
Za złotymi mglami, gdy się szczy  
świt, po Dnieprze płyna flisaczy.  
Kto wie, może to nasi obrońcy  
transportują do ziny swe chaty?  
Zwyciężywszy w figlach z jedyną,  
samogoni czepakiem nabieram,  
Jako człowiek się urodziłem,  
jako żołnierz, niestety, umieram.

Będzie śpiewał w chórze z owadami  
w sadzie, w którym kwiat już opadł z drzew.  
Niech towarzyszą gdańczę tam za szachami  
uroczyty mój ulubszy śpiew.  
Mówia, do mnie on też na wideo  
się uśmiechnął po pańsku odziany.  
Nie to: z Rzymu także Owidiusza  
władziciele niewolników wygnali.  
Jednak jego przepięknie Lady  
mimo wszystko rzeczka nie zmieliła,  
kapral wyгна nas ze stolicy,  
lecz z pamięci nie zdolał nas wygnać.  
Ścieżki gromy ponad stolicami.  
Konstatuje naród: oto oni.  
A gdzie tamci, ze złotymi naszywkami,  
którzy o nas napisali tom?  
... Opasili zagajnik nadbrzeży  
i nikogo ten gaz już nie wzrusza.  
I uloci w światy niezalazne  
niezależna śpiewalka dusza.

Onze 21.12.92

## Doświadczenie

Chodzą nasze wiersze po Londynie i Pradze.  
W Kijowie nas już zapili miedzy wrogi.  
Pociwiliby i wierszom szczerągólna uwagę,  
gdybyśmy nie mieli choćby po pół nogi.  
Nagle janość nad tobą wybuchła niespodzianie –  
i oczom zapach rozlewa się aż!  
Lecz redaktor powie: „Niedobrze to pacnie...”  
Konsultant go wesprze: „Doświadzenia brak...”  
Ile byś nie siedział nad wersami z rana  
i tak usłyszysz: „Ty nam nie rodzina”.  
Bo grosza nie warta twa praca wytrwała,  
gdy w loczu jednego dnia nie przepędziłaś.  
Chcesz, by krytycy twe wiersze chwalili,  
to owiń się jakąś stara płachtą  
i krzycz z trybuny: „Gdzieśmi się zbudzi!”  
I wołaj głośno: „Idziemy dziś na dno!”  
Nie mów: „solone w muzyce osły”.  
Głowy nad pieśnią nie lam o Wenecji.  
Dbaj by złamali ci szczeręc na wieceu,  
by cię lekarze do historii wnieśli.  
Gdy do stolicy idziesz ze swej wioski –  
z stań w progę, żeby jeszcze raz rozważyć,  
czy masz w portfelu potrzebne womości  
i czy twój багаż ile trzeba waży?...

Oster 19.12. 92

## Ruch do przodu

Z kłóskiem skradzionego żyta  
nie jeden raz, narodził, drżałes.  
Włodzimierz, Łazar i Nikita  
włoszczy życzyli ci wspaniałe.  
Do przodu nieśli cię nogami,  
bo ruch do przodu wszak przyrzekli.  
Jako wrogowie umierali,  
co do Kanady nie uciekali.  
Kto nie był w krymickiej zaś niewoli,  
ten był w kolchozie... Co ja mówię?  
W spodenkach jakby na stadionie,  
już biegam w każde lato siódme.  
I nikt nie widzę już, nie słyszę,  
by czyjaś rka brawo biła.  
I sam już nie wiem, dokąd jeszcze  
mnie poprowadzą wyższa siła?  
Śmierć chodzi po poleskich łakach.  
Chodzi po biurach urzędników wielu.  
Gdy nieś ich będzimy nogami do przodu,  
drzwi szereż otwórz, przajciech!

## Oster, spacer po bazarze

Spodnie przypiąwszy na szelkach  
na bazar sobie ruszam.  
Sprzedaje plucka i zberka  
nickiepiaka z Kozar dupa.

Zadowolony ze szkapcy  
zagłada pod ogon Cygan.  
Na bazarze wraz z diakiem  
wyższego sensu przybywa.

Facet harmonie trzyma,  
parszywe jakiejś ma basy.  
Ciotka diukowi lamie  
na pół pęto kielbasy.

Młody kramarczyk bosą  
obuwa nogę na desce.  
Słychać krzyk – Szesł ton mazur!  
Kto weźmie, spuszczać jeszcze!

Kobiety jak pod sznurtek  
do długiej kolejski się garną,  
Jaja najlepszego gamtuku  
rodzaje chłop za darmo.

A ja mam żonę i dzieci,  
wszystkiem od Zetesa – eReR dostał.  
Dęde z żoną się cieszy,  
ze Naser bohaterem został.

## Na barykadzie!

Jam w niewoli, miła, jam w niewoli  
Gdzieś na Ingul twoje oczy wabią  
Już za Morze Czarne mi w dłonie  
Nie wlepi partia wagarów

Dmuchany materac – to barykada,  
Gdzie nie ma klasowego tarcia.  
W tobie następnej dekady  
Odszukam punkt oparcia.

Odbędziemy w objęciach naradę  
Racjonalne ziarno w tym jest.  
Ty nad kilem obejmiesz władzę,  
Ja z nadzieją chwycę za ster.

Jakie szczęście wśród dni powszednich  
Tak we dwoje w objęciach płynąć.  
Zapoczątkuj kabinowych zbłąkaficow,  
Po co oni na tym świecie żyją?

Nie biegne zatwierdzać planu?  
Co po planach mi i programach,  
Ody w twym szczęściu jestem zakochany,  
Nilyb Pietro Masocha w stu gramach.

Na Kinbarni, droga, na Kinbarni  
Pocznę w tobie coś bardzo wielkiego.  
Boże, jacy ci ojcowie durni,  
Że na zmianę nocną się spieszają!

Pod czerwona flagą maszeruje,  
Kto od dawna ma już oko na nas.  
A mnie do czego innego prowokuje  
Bez niebieskiej za domem, kochana.

Ja na twojej, kochana, wstrze  
Spłone bardziej niżeli w poździe.  
W teatrze na lody popatrzę –  
– Chcesz?

– No jasne – ty mi odpowiedź.

05.06.95

70

## Składanie ikry

Z nieba ciepłem wionęło na świat,  
Radość zmian wszędzie to rodzi.  
Chłop barczyty w ruskiej siermiędze  
Z deską w dłoni po rzecze chodzi.

Kropła rosy Wielkanoc odbija,  
Kogut gamy durowej próbuje.  
I świąteczne płomie wzrok Rusina  
Gdy się w białą wodę wpatruje.

Przeznegł łową nogą  
Niemał niczyje to strumienie.  
Płyną samce pod par  
Na tarło, gnane pragnieniem.

„Męskość swoją potwierdzam w tej wodzie” –  
W planie życie rodzi się nowe,  
Lecz wciąż ryby po staremu myślą  
Nie brałyby deski po głowie,  
Gdyby kiedyś straciły naiwność.

W planie życie rodzi się nowe,  
Lecz wciąż ryby po staremu myślą  
Nie brałyby deski po głowie,  
Gdyby kiedyś straciły naiwność.

Wsiadom do kolejki, gdzie w najlepszej  
Głaja w karty nieukli i spece.  
Jeszcze chwila – i nie ma potoku,  
Ani Rusina z deską w ręce.

Godałynie, 27.04.95

## Góra Krzyżowa

Na górę Krzyżową Turczyknie zobaczyłem  
I poczułem, jak zdjąć w środku budzi się lew.  
Soczysta czarownicia dłoń jej zakrawała  
I kora się odłupała ze wstydliwych drzew.  
Do Turka się wprost i w góścinie leciec,  
Byndry kupie, fiasoli strząceć i ogórka.  
Nie zobacze córki, przy toalecie trzecim  
Ię konspirację niechaj wybaczy mi córka.  
Ona kocha moduzy, ja się w Lorcie kocham.  
Różnimy się wzrostem i różnych bogów mamy.  
Lecz natychmiast zmika dwóch istot dysproporcja,  
gfy do rak ręce, a uśda do ud przykladamy.  
Na jej miłość otworzę się jak okno, wypuszczę  
ją i powiędam nad nami wiatry młode.

71

Boże, podaruj noc, ja w Niej się rozpuszczę,  
jak kryształ cukru topi się w gorącej wodzie  
Bo u Księcia Życia – jesteśmy tylko warstwą luku,  
zblakniętymi i zgątniętymi jak wieczorne szorce.  
Innowiercy mnie pochowają, pogrzebają jak Turka,  
na górze Krzyżowej, na górze Krzyżowej.

*John, wiersz Richelieu, 5.6.93*

## Życie w bagnie albo imperator w Kujalniku

Znowa idę, Świeciano, na borowinę,  
Jak wampir sobie w borowinie poluję.  
To w każdym razie ciekawsze,  
Niż na Luku Kurskim gdzieś leżąc.

Sam imperator z tych kaluz  
Korzystał, przekazy są o tym.  
Jak jego nadworny pisarz  
Pościągł sobie w błocie.

Podolak nieście walizy,  
Przybywają luzańskie pany,  
Wszędzie leżą obywatelce  
W borowinie, niby kabany.

Nie wierzę już astronomowi,  
Ze istnieją światy bez chorób.  
W bagnie zbawicznym polieciał  
Rolnik stary na studenku młody.

By posuchać lupnowskiej nuty  
Po co jechać aż do Nadymu?  
Niejedną dla całej rotty  
Za młodu sprowadziłem.

Teraz piegniarańsk słuchać muszę.  
Och, te siostry. Te siostry i miód.  
Ogrzewa borowina duszę  
Jak popatrzę za siebie i wprzód.

Markowski i marksistowskiej nauce wdzięczny,  
Po gromnicy im wielkiej funduję,  
Bo przyrzódło społeczeństwu zwiérczciu  
Analiza moczu tu dyktuję.

Lekarz dziwnie wywoździ oracje,  
O bogatym białku gada ciągle,  
Mówiliśmy kiedyś o bogactwie,  
Obrzuwając listki z gałązek...

Na maulęci pójde z cudzoziemką,  
Zapomniałszy matki przestrogi,  
Obejże się zimną wodą;  
Ona dobrze na nerwy robi.

Przemęży wodą każdą kieszeń  
Och, mić owe południowe stołki!  
Z Niczczerdą się przejdę po Odessie  
I w Karpaty wpadnę do Skupca.

To poeta, lecz także orator,  
Ulubiłenic wierzchowieńskich róz  
Opowie, jak to pewien imperator  
Do kujalnickich jezdzil wód.

25.07.95

## Marzenia na noszach

W zoe wpadłem w oko ryfaffe.  
Siwizna, siwizna, siwizna.  
Pod nogami moja biografią,  
jak kieliszek rozlanego wina.  
Kiedy szansał przelanieć mój opór,  
to mi czaszem żni się coś takiego,  
że samolot wprowadzam w korkociąg,  
potem w górę znów wychodzę z niego.

Do Ameryki nie polecę teraz,  
teraz nie ma czasu na rozjazdy.  
Drugi rok audycji o bogatych  
w telewizji słucham jak każdy

Pamiętam leci przekaz  
z przekazania w KC portfeli,  
a ma dusza uparta, przomniacza  
czeka na to w piwnicznej celi.  
Bez wziętej odwiedzila matka,  
ile wody wypitem słonej.  
Na noszach mnie niby Czemięnkę  
ponieśli w szeroki związkowe

*John, 4.6.93 wiersz Richelieu*

*Mikołaj Chotolody  
przetłóczył Bohdan Zadara*

## Kalendarz 1996

(fragmenty)

3590 kwietnia 1986 roku, niedziela

Biała Róża Finlandii

Pierwsze płótno podpisał: „Na Kremlu podczas wręczenia Gwiazdy Bohatera Niemieckiej Republiki Demokratycznej oraz Orderu Wielkiej Gwiazdy Przyjacieli Narodów: 13 grudnia 1979 roku”.

Drugie nazwał: „Na Kremlu podczas przyjmowania Złotej Gwiazdy Bohatera Mongolskiej Republiki Ludowej oraz Orderu Suche (Zob. na odwrocie) 18 grudnia 1979 roku”

Batora. 14 grudnia 1979 roku”

Trzecie zatytułował: „Na Kremlu podczas otrzymywania orderu Lenina oraz Medalu Złotej Gwiazdy Bohatera Związku Radzieckiego 15 grudnia 1979 roku”.

Czwartej dał nazwę: „Na Kremlu podczas otrzymywania Orderu Odrodzenia Polski z Krzyżem Wielkim 16 grudnia 1979 roku”.

Piątę ochrzcił: „Na Kremlu podczas otrzymywania Orderu Lenina oraz drugiego Medalu Złotej Gwiazdy Bohatera Związku Radzieckiego 17 grudnia 1979 roku”.

Pod szóstem przylepił: „Na Kremlu podczas otrzymywania Wielkiego Krzyża Orderu „Białej Róży Finlandii” z łańcuchem 18 grudnia 1979”.

Cykl ten wystawiany był w najlepszych galeriach kraju. Pisano o nim dużo w prasie. Artyście nadano tytuł i przyznano nagrodę. Wreczał ją, nawiasem mówiąc, sam bohater wszystkich szesciu obrazów. Teoretycy sztuki napisali monografie, dotarli do wczesnych płócien. Jednak pierw-

(Zob. następna kartka)

3591 kwietnia 1986 roku, poniedziałek

Biała Róża Finlandii

(dokończenie)

szy obraz przez dłuższy czas pozostawał niezany. Właściciel tylko mieszkańcy dalekiego czernihaskiego miasteczka na brzegu zbiornika wodnego, gdzie urodził się autor, mogli w miejscowej kawiarni zachwycać się tym dziełem.

Obraz wisiał nad kasą. Przedstawiał chłopca i młodzieńca, być może ojca i syna. Ojciec siedział na łóżku pod oknem, puste rękawy ko-

(Zob. na odwrocie)

albo 29 stycznia 1996 roku

szuli miał spięte szpilkami, puste nogawki spodni wepchnięte za pasek, syn przyniósł ojcu do koszuli medal, za szyją widać było ośmieszoną drogę, ojciec patrzył na drogę, obraz nosił tytuł „Biała Róża Finlandii”.

Powinąda, jakoby artysta-malarz ta jada ostatnią w swym życiu kolację. Przejechał ze stolicy na Boże Narodzenie, zostawił walizkę w hotelu, zajął tutaj, pił piwo i wciąż zerkał ponad głowę kasjerki, która od czasu do czasu wymywała lusterko i poprawiała sobie urodę. O zmierzchu opuścił kawiarnię. Chwiejnym krokiem powłóki się nie w stronę hotelu, ale w dół krętą alejką do zalewu. Następnego dnia rano zorientowali się.

A odnalazli go wiosną, kiedy puściły lody. Csało zidentyfikowała kasjerka. Jak się okazało, chodzili z denatem do równoległych klas, a on swego czasu nawet ją adwował. Nikt jednak tego nie pamiętał i kasjerka przestała się upierać. Pochowali artystę na miejskim cmentarzu, niedaleko grobu jego rodziców.

3592 kwietnia 1986 roku, wtorek

wyjście z życia

Jej: zaścielić łóżko wykrochmalonym prześcieradłem, położyć się nago na brzuchu

jemu: umieścić jej na posładkach tort

prześcieradłu: napiąć się, wyglądać do ostatniej faldki, zмирuchomić

jemu: zanurzyć narząd płciowy w tort

jej: rozchylić posładki

kremerowi: trysnąć na prześcieradło

prześcieradłu: zbiec się, posmutnieć, obrazić, ukradkiem spróbować kremu

kremerowi: raz po raz trysnąć na stare wykrochmalone prześcieradło

prześcieradłu: w ślad za tym wchłaniać krem, nasycać się, westchnąć, wymyknąć swój brzeg spod czystych płócien, nie bardzo cierpiąc, że materiał się rwie, spleznąć na polepie, okropić się kolo nogi, zasnąć

albo 30 stycznia 1996 roku

3593 kwietnia 1986 roku, środa

albo 31 stycznia 1996 roku

TU MOŻESZ POCHWALIĆ AUTORA:

(Tu możesz nawracać autorowi – patrz kartka 3581)

3597 kwietnia 1986 roku, niedziela

albo 4 lutego 1996 roku

Do użytku higienicznego

3598 kwietnia 1986 roku, poniedziałek  
w pudełku ma być 60 zapalek

Kto jak kto, ale my, prości ludzie, musimy być w pogotowiu. Politycy najwidoczniej bawią się w rozbrojenie, podpisują traktaty pokojowe, urządzają dla wczorajszych wrogów luzne przyjęcia i uważają, że to w porządku, zagrożenie nie istnieje. Tymczasem Amerykanom wystarczy wysłać swego człowieka do fabryki, gdzie produkuje się koperty i wszystkim nam koniec. Czym kleimy listy? Przecież, językiem. Warto podmaszać do kleja *(Zob. na odwrocie)*

albo 5 lutego 1996 roku

kropkę trucizny. Może tylko niepiśmierni przeżyją.  
A weźmy telefony. Jakich to jeszcze nie ponawozili: i z pamięcią, i z automatacznie sekretarkami, i bezprzewodowe. Taki właśnie kupilem. Zatelefonowałem. Jeden jedytny raz. Następnego dnia ucho mi spuchło. Poszedłem do lekarza: skrofuloza. Skąd się wzięła? Jasne, słuchawka była zakazona.

A zapalki? Jeszcze nieboszka matka mówiła: nie dłoń w zębach. A ja, dureń, nie wierzyłem. Teraz oto jeszcze sześćdziesiątki nie mam, a już dwa mi wypadły. I trzeci się rusza. Jasne, dywersanci popracowali. Nawiasem mówiąc, fabryka zapalek w zasadzie państwowa, a co wyrabia. Wyobrażacie sobie, nie dokładają zapalek do pudełek. Za każdym razem liczę, kiedy kupuję. To 55, to 57, to 59. Nigdy nie ma 60. Nie inaczej, sam rezydent w fabryce się okopala.

Dłatego czujność. Kupione koperty nieście przedko do szafki na analizę. Telefony przed użyciem oblewajcie wrzkiem. A zapalki liczcie. Nie odchodźcie od kasy. W każdym pudełku ma być ich 60. No passaran! Nie przejdą!

3599 kwietnia 1986 roku, wtorek  
albo 6 lutego 1996 roku

skrótowy epos  
*(czytać śpiewając)*  
abode, kgb, gru, kpzr, wil, minczarnet, nh, cska, wasgnil, kpz, bam, abba, akm, komsofol, elat, wrpzs, kriiv, mchat, zsr, krb, dna, rwpg, bg, lsd, ddt, ihm, i-i ch-s, ufo, nko, m m m, gkczp, ouw, wkwv, asid, inkombank, ihm, bmw, bu-ba-bu, bbc, byzk-bzyk, pzu, tt, jotpceeste.

chwila wielkiej ulgi  
Śpiła pekińczycy, kijowianie, londyńczycy, rzymianie, libończycy, telawianie, antwerpczyzy, hulacy śpiła pokotem, kto gdzie może, rozchylisz usta i chrapiąc na cały świat, ostrożnie, żeby nikogo nie obudzić, przysięgając przez nich i nie zapalając światła, skradam się koorytarzem, zabaczam o dziecięcy rower, polizując się na kaluży, która zrobił stary pies, otwieram drzwi łazienki, przetracam w ciemności plastikowy dzbanek, z którego podmywa się żona i inne kobiety, nastawiam ucha, już nie sposób wytrzymać, ale, zdaje się, że nikt się nie obudził, nikt nie usłyszał, wznoszę śpiła, żona na brachuku, obejmując poduszkę, koszała się jej zadartą, mzyczyły tym sapie w drewnianej kołysce, felczer jeszcze w wczoraj roku karał usnąć mu mięgdalki, starszy mamrocze na metalowym połowym łóżku, gazeta, nowa kaniowska

gazeta, kupujcie gazete, pies wzdycha na podściółce koła proga, przestępuje przez niego, wchodzi do łazienki, szybko zamykać drzwi, zapalam światło, upstrzona przez mudy „czterdziestka” miętnie oświetla wąski kąj z żółtym sedesem, drepcząc podchodzi do sedesa, rozpinam rozpek, chwila wielkiej ulgi – i jednocześnie z dźwięnieniem wąskiego strumienia wkładam się do wszechświatowej komunikacyjnej sieci, jeden po drugim podłączają się do mnie abonenci z wszystkich zakątków planety, nasze strumienie się łączą, kanalizacja niesie je do rzek, rzeki do mórz, morza do światowego oceanu, łącząc się zamyka i – jest połączenie – choćby na niedługo, choćby na jakąś chwilę, ale póki nie wysychł strumień, jesteśmy razem, koniec samotności, koniec pecha, koniec rozpaczy, daj rękę, bracie, wszystko mi jedno, jakiego koloru masz skórę, jakie jestes wiary, jakiego narzecza, w tej chwili jesteśmy razem, chwala Bogu, wiele nam nie trzeba – postać tak, odczuwać, tak jak strumień, a na szybkożenie, kap kap, więc już, zegar okazuje czwarta, jutro do pracy, pociągami za smurek, wychodzę, pod drzwiami czekają sennie dzieci, żona, inne kobiety, sąsiedzi, pekińczycy, kijowianie, londyńczycy, rzymianie, libończycy, telawianie, wszyscy czekają, na swoich kpiach przyparło, nawet starego psa, który cicho skłowyży, czepkając na swoja kolej.

3601 kwietnia 1986 roku, chyba czwartek  
Wczoraj był ciężki dzień.

albo 8 lutego 1996 roku

TU MOŻESZ NAWRZUCAĆ AUTOROWI

*(Zob. następný arkusz.)*

3602 kwietnia 1986 roku, piątek?

TU MOŻESZ NAPISAĆ KRYTYCZNĄ NOTATKĘ  
DO GAZETY „LITERATURA UKRAINA”

*(Zob. na odwrocie)*

TU MOŻESZ NAPISAĆ DRUZGOCĄCY ARTYKUŁ  
DO MIESIĘCZNIKA „OJCZYŻNA”



3611 kwietnia 1986 roku, niedziela  
albo 18 lutego 1996 roku

### Kłęska monsieur Cardina\*

Cardine, przestań, ty, Zajciew, nie kręć się, a ty, Judaszkin, sopło obetrzyj z nosa, te wszystkie wasze wstążki, reglany, kłapy, pilsy, rūszi, mini, bikini, falbanki, zaboty, batysy, twedy, beże, kolce, klipsy, bransolety, pierścionki wsadźcie sobie w dupę, dzisiaj muzykę zamawiamy my, nasz styl najpiękniejszy, nasze sylwetki najprostsze, nasza moda dla narodu, job wasza mać, no pioranem wciągnąć galoty, zapinać bluzy, ściągnąć się pasem, owinać omu- ce, założyc kamazee, zasznurować, uwaga, baczność, w lewo zwrot, w prawo zwrot, naprzód marsz, bie-e-gi-em, no co, Pierre, stary atmatyku, zady- szalesz się, a ciebie, Sławka, jaja ciśnie, Walentyńco, oj słabiułko, nogi do krwi podzieralesz, nie zatrzymasz się, podciągniesz, za mną na a-przód, wróć, naprzód, wróć, raz-dwa, raz-dwa, ja was nauczę, zastrączy, jak się onucz owija

\* Cardin Pierre światowy projektant mody, Zajciew Władysław, Judaszkin Walentyn – także projektanci mody.

3612 kwietnia 1986 roku, poniedziałek  
albo 19 lutego 1996 roku

### seks na pirsach

(kilka prywatnych ogłoszeń kobiet)

- \* Daję macać gruczoły mleczne wszystkim chętnym. Cena do uzgodnienia.
- \* Poznaję fotografom. Młoda, bezpruderyjna.
- \* Wezmę gorący natrysk z trzema.
- \* Po porodzie. Karmię piersią. Należność w dewizach.
- \* Atrakcyjna biseksualistka. Świadczę usługi w komunikacji miejskiej: petting, masturbacja, orgazm. Ceny przystępne.
- \* Bawię się sztucznyimi penisami, wibratorami. Bardzo miło. Nagram się na wideo.
- \* Daję, a rubensowski ciele, w sutkach – masywne złote kolczyki; najchętniej uczennice.
- \* Cieżarna. In oris, intermammal. Dropo
- \* Zapraszam chłopców. Rozbiórę się, pozwolę dotknąć.
- \* 17-latką. Chcę mercedesa, najnowszy model.
- \* Dam się katować. Mam ładne ciało.
- \* 45-letnia, zmęczona dziećmi, pracą, mężem, domem. leczę wciąż atrakcyjna, pragnie spotkania. Marzy o czymś takim... O nocy, rozszalałym morzu, pirsie, bryzgach, awarii statku za morską latarnią, albo o czymś w tym rodzaju. Oddałabym wszystko.

3613 kwietnia 1986 roku, wtorek

Obiecuję zmartrzeć i dalej jak tak nie pisać. Słowo honoru. Słowo pioniera. Słowo komunisty. Słowo pederasty...  
(Zob. na odwrocie)

albo 20 lutego 1996 roku

### sto legend

o słowie honoru

Słowo zucha.

Słowo pioniera.

Słowo komunisty.

Słowo pederasty.

Słowo burżuja.

Słowo chłopca.

Słowo prostytutki.

Słowo kolonisty.

Słowo zebraka.

Słowo monarchisty.

Słowo lewe.

Słowo prawe.

Słowo trzeźwe.

Słowo pijane.

Słowo głuche.

Słowo nieme.

Słowo kapitalistyczne.

Słowo nacjonalistyczne.

Słowo onanistyczno-marażmatyczne.

3614 kwietnia 1986 roku, sobota  
albo 21 lutego 1996 roku

### Do użytku higienicznego

3618 kwietnia 1986 roku, niedziela  
albo 25 lutego 1996 roku

### flepe komie

we mgle

pasą się

gryzą

3619 kwietnia 1986 roku, poniedziałek  
albo 26 lutego 1996 roku

### chwala dioniom, które pachną chrzanem!

(notatka do rejonowej gazety)

Jak informuje centrum hydrologiczno-meteorologiczne, stan na 3619 kwietnia, w N-skim rejonie, na Czerkaszczyźnie, skoszono 900 głów du-

zego byłaby rogata. Przeprowadzono zatrzymanie śniegu na plantacjach krzewów gojących. Wymłócono pięt ton strązków gorzkiego pieprzu. Kończąc się zbiory arbużów ozimych.

Ale wiele też jest i niedociągnięć. I tak, z 7000 doprowadzonych nasyżono tylko 7 worków wlewy. Zagrożony jest plan skupu mleka pingwiniego. Napytał biedy huragan: niemal cały płon mikołajka przenosił się na pola sąsiedniego rejonu. Flota wojskowo-morska, narzuwszy zobowiązania do wody, nie przydzieliła kolchomom żadnego okrętu podwodnego dla korekcyjnych wodorostów.

Nieporządki również na plantacjach chrzanu. Z czterdziestu helikopterów do zbierania chrzanu do żniw gotowy jest tylko jeden, a i ten bez sruby. Tak więc żniw w pole wyjdą nasze sławne kobietki-robotnice i będą wyrwać chrzan swoimi sławnymi kobiecymi rękami, i w deszcz, i w śnieg. A więc jak zawsze zbiorą do chrzanu. Chwała dioniom, które pachną chrzanem!

3620 kwietnia 1986 roku, wtorek

album dworskiego fotografa

proszę spojrzeć, tu krupaska w łaźni namydlła plecy leniniowi, proszę spojrzeć, tu stalin zdjął buty i obcina paznokcie u nóg, proszę spojrzeć, tu chruszczow daje wróblom figę, proszę spojrzeć, tu brzezniów przymierza nową szmachną szczękę, proszę spojrzeć, tu andropow, bawiąc się nadmchuje przerzwywacie, proszę spojrzeć, tu czerniemoł w rozpiętym szlafroku wlecząc się korytarzami kremła, proszę spojrzeć, tu gorbaczow w parku buckinghamskim zadziera spódnice pani

(Zob. na odwrocie)

albo 27 lutego 1996 roku

thatcher, proszę spojrzeć, tu jeclyn pije kiłna jednym haustem, proszę spojrzeć, tu krawczak w swoim roboczym gabincie wyjada ze słoika równieśnik smalec, a tu ja, proszę spojrzeć, trzy parady, obwieszony aparatami fotograficznymi i orderami, stoję pomiędzy pierwszymi osobistościami państwa i przyjmuję gratulacje w związku z nadaniem tytułu „Fotograf nr 1 wszystkich czasów i narodów”, a tutaj wjeżdżają mi nagrodę państwowa, a tu gwiazdę bohatera, a to ja z kosmonautami, a tu wśród żołnierzy dwiżył tamasięski, tu na festiwalu w berlinie, a tu w gołcinie u fidela castro, a tu z chińskimi pionierami, a tu z madagaskarskimi komunistami, a to zdjęcie z wystawy osiągnięć narodowej gospodarki, a oto i ostatnia fotografia, proszę spojrzeć, dziewięćdziesięciolenni, i wybacicie, goły, stoję w atelier przed reflektorem, zasłoniwszy rękami grzeszne miejsce i pozując młodym fotografom, pozwalając obracać się i zdejmować to tak to siak - trzeba przecie starszuszki zarobić do śniadanka na filiżankę kawy z cukrem

3621 kwietnia 1986 roku, środa

albo 28 lutego 1996 roku

Pociąg do rowerowych przejażdżek w niepogodę

Bez przerw tyje deszcz. Ani śniegu, ani wiatru, ani słonecznego dźwięka. Tylko sam deszcz. Zawsze, kiedy przyjdzie na wieś. Swoją rodzinną Kryżaniwkę. Może tu i bywa czasami sucho. Moja stara matka mówi, że bywa. Ale kiedy bym nie zawiał (poszczę na wsi przeważnie jesienią), pada deszcz.

Matka mówi: wyjedziesz i przestaniesz. Rzeczywiście. Bywa, poęgnamy się, a on już cichnie.

Tak to jest. A ja wybierając się do matki planując za każdym razem objechać Kryżaniwkę na rowerze. Dawne marzenie. Najpiętrzązokoła, międzami, polami, zagajnikami Potem główną ulicą. Dalej zaankami. Potem po zapłocia. Objechać do najgłuchszego zakątka. Rodzinną swoją wieś Kryżaniwkę. Ale deszcz nie daje. Leje i leje.

Jakos w gniewie napospawałem kola, zrzuciłem z siodełka kurzy postad, wyprowadziłem rower za ogród, stanąłem na pedaly... lanchy się zerwał. Zanim naprawilem, zmokłem. Wróciłem do chaty. W nocny lato. Rano lato. Ale uporu mi nie brakuje. Po południu znowy wyprowadziłem rower za ogród. Przejechałem kilka metrów. Kola się załapały, w szprychy nabiło się listki. Straciłem równowagę i przewróciłem się do rowu z wodą.

(Zob. następną kartkę)

3622 kwietnia 1986 roku, czwartek

albo 29 lutego 1996 roku

Pociąg do rowerowych przejażdżek w niepogodę

(dokorczzenie)

Nazajutrz miałem wracać do miasta; rower zabrałem ze sobą. Grzebiałem się całą zimę: przelożyłem łożyska, odczepilem bagażnik, zdjąłem błotniki, rozzerzyłem wustki tylnego kola, wymieniłem łańcuch. Wiosną w roztopy trenowałem na pastewku za miastem, latem jeździłem na ryby nad jezioro - i po tamtejszych moczarach dobrze chodził. Jesienią zacząłem zbierać się do Kryżaniwki. Kupilem zawczasu bilety, przygotowałem rower. A tu raptem zadzwonił z gminy, ledwie udało nam się pana znaleźć, są kupy na dom, przyjazd nieobowiązkowy, matka już pochowana, a co do domu, to potrzebna tylko pańska zgoda, niech pan ja przylecie telegramem poleconym, formalności załatwimy sami, Kryżaniwkę już sobie ogłosiłem deszczem.

3623 kwietnia 1986 roku, piątek

Pieśń o powiatowym centrum

Z wszystkich kociatynów najpiękniejszy jest dla mnie koreczen ale nie porównywałem się mu z szyszakami ażbest także niczego sobie miejsce nie gorszy w zasadzie i antracyt jednak tak-tak, przypominam sobie też kobyłaki, kochane, piękne, młode, wonne i niedrygających, rodzimych niedrygajów (a o chersonie w ogóle milczę) tak samo lubię wszystkie konotopy, mańkiwki, gadacze, ciurpnyki, charcziki (Zob. na odwrocie) albo 1 marca 1996 roku lecz z wszystkich tych myśli szepcietówk najmilszym z wszystkich na świecie... boże mój bądź się i płacz, nie przypominam sobie rodzinnej.

kochanej, pięknej, młodej, wonnej  
- mojej alupki  
jednocześnie pamiętam  
przeświecone twarze rodzinnych alupczan  
a przy tym nie mniej prześwietałe twarze  
zdobniania, krematorczan, samian  
koziatyńców, antracytan, czorkozwian  
zmerian, gadian, herjan i korostjan,  
- wszystkim dzięki, wszystkim pokłon do ziemi,  
za chleb, za wodę, za słoneczko jasne,  
za szczęście całego naszego narodu,  
za to, że wyprawdzali mnie na łoda!

3624 kwietnia 1986 roku, sobota  
albo 2 marca 1986 roku

Do użytku higienicznego

3625 kwietnia 1986 roku, niedziela

anomalnia

Detecz zalewa przednią szybę „Normalne położenie szlabanu - podnie-  
siony”. Z tyłu trąbią inne auta.  
albo 4 marca 1986 roku

SI-SI-SI

można zawołać kici-kici-kici, i kotek  
zrozumie i podejdzie nawet w warszawskiej kawiarni

można zawołać cip-cip-cip i kurka  
zrozumie i podejdzie nawet na istambalskim bazarze

można zawołać fiu-fiu-fiu i pies zrozumie  
i podejdzie nawet w moskiewskim metrze

można zawołać si-si-si i koza zrozumie  
i podejdzie nawet w amsterdamskim porcie

będę spływał krwią w wiwocie w nocy o  
trzy kroki od swojego domu i nikt się nie znajdzie

chyba tylko koza wyjdzie z komórki, chudnie  
cieplem w policzek, obwącha na ostatek

3627 kwietnia 1986 roku, wtorek  
albo 5 września 1986 roku

82

wybrane miejsca

ucho czy guzik?

W Humanium na dworcu kolejowym wpadła mi do rąk książka. Nazywa się „Radzieckie prawo kryminalne. Praktyczny podręcznik dla studentów wydziałów prawa”. Podobają mi się, wicie, wszystkie podręczniki. Smakuję je nie z mniejszą uciechą niż powieści kryminalne.

Sawa ukrał w sklepie myśliwskim strzelbę i postanowił ją wypróbować. Późnym wieczorem wyszedł na ganek swego domu i trzy razy palnął w bok lasu. Jeden z tych strzałów zabił sąsiadkę, która uciekła do lasu przed mężem, który chciał ją poabić.

Pijany Gumia spotkał na ulicy miasta Żyranowa, która mu się spodobała. Zaczął się do niej zalecać, usiłował pocałować. Dostawczy kosza, zaczął grozić nożem. Przy czym mówił, że może do wyboru odciąć jej kominuszek nosa, ucho albo guzik.

Odbywający karę w obozie wychowawczo karnym Chłus okresowo zwracał się do lekarza z żądaniem zwolnienia go od pracy. Zbadawszy Chłusa dwa razy lekarz powiedział, że ten  
(Zob. następną kartkę)

3628 kwietnia 1986 roku, środa  
albo 6 marca 1986 roku

ucho czy guzik?

(dokończenie)

Jest zdrowy i zwolnienia od pracy nie dostanie. Wówczas Chłus chwycił stótek i uderzył nim lekarza po głowie.

Robotnik Zmaczenko ukrał w fabryce jedną parę gumowych butów. Sąd skazał go na grzywnę 80 karbowców, a buty skonfiskował. W ciągu miesiąca Zmaczenko ukrał w fabryce jedną parę gumowych butów.

Przechodząc ulicą osiedla pijany Dowgwał i Nosań spotkali Grizcznaka, też pijanego. Grizcznek zaczął szczać na nich psa. Wówczas Dowgwał i Nosań wylamali z płotu sztachety, którymi zabił najpierw psa, a potem Grizcznaka.

Machno otoczył grządkę z cebulą nagim drutem i podłączył do linii elektrowniczej o napięciu 220 woltów. Wyrosstek Usyk podszedł do drutu, chwycił ręką i umarł.

3658 kwietnia 1986 roku, piątek  
albo 5 kwietnia 1986 roku

globtrotter

Dali ma do zrozumienia. Mówią, że dobrze byłoby. I stosownie do daty Okraglej. Tym bardziej że kompozytor już kończył heroiczną kantatę. A pisarz nakreślił brudnopis powieści. A rzeźbiarz rozmięsił glinę na popiercie. Jednym słowem, kasza się ugotowała, a starsuszek jeszcze nie umarł.

Oczywiście, nikt go nie zmuszał. Ale, poza tym, trzeba mieć sumienie. Dookoła tyle ludzi zawiędzionych. Powinien zrozumieć. A on ni, ni, ni, ni. W śniegach Finlandii marzył, na Łuku Kurskim płonął, pod Berlinem trafiony w pierś - i dotąd żyje. Wszyscy pomicrali, a w nim żadnego defektu. Jedynie palec u nóg odmrózłone, zimą kołdrą ich nie nakrywa, chłoda nie czuje. A poza tym zdrowie ho-ho! Nie starsuszek - aktsakal jakis!

83





szezo syna (młodszy nie jest zdolny do bezcelestw), przyprzeć do ściany, obmacać kieszenie, znaleźć procę, wyrzucić, na siłę zalotić mu kaptcie, wskazać wzrokiem na zielony dach naszego domu  
(Zob. następna kartka)

3675 kwietnia 1986 roku

strategiczne bombardowanie przypadłego miejsca

(ciąg dalszy)

Starszemu: odszczekać się, umilknąć.

Żonie: z progu zawołać na obiad, spojrzeć na dom, oprzeć się o futrynę, zacząć osuwać się na ziemię, stracić przytomność, ma puchline mózgu, lekarze mówią, że nieczłowieka

Głosińkowi: raptem ożył, zahuczał,

(Zob. na odwrocie)

albo 22 kwietnia 1986 roku

że stopień skażenia na terytorium nie przewyższa normy, urodzaj piękny, pogoda wspaniała, zgodnie z postanowieniem rządu na miejscach zaczęły się przygotowania do święta.

Mniejszemu synowi: bawiacemu się pod płotem na kupie złotego piasku, z daleka spojrzeć na matkę

Mnie: wciągnąć nieprzytomną w tatynek, samemu popędzić do szopy, wziąć piłę, szpadel, kawał dykty, puszkę z farbą i prosto przez zarosłe burzanami pustkowie sąsiada (dał drapak aż na Chersowszczyznę; pół wstę tego roku wyjechało) zaulkiem dostać się do szosy, ściąć w parowie młoką akcję, przeciąć na dwa pale, wkopać przy wejściu do aulka, przegrodzić drogę żerdzią, przytwierdzić kawał dykty, namalować czerwonym „objazd”, czat by ich wziął.

(Zob. następna kartka)

3676 kwietnia 1986 roku, wtorek

strategiczne bombardowanie przypadłego miejsca

(ciąg dalszy)

tych letników, przyzwyczaili się i szastają. Jeszcze coś sadzą, zbierają, odwożą, wiejski świat za oczy wyśkają, a ci – niby miodem ich tu posmarowano, rzucić niedopałek, zadepnąć, wrócić do domu

Żonie: z głową, omotaną mokrym ręcz-

(Zob. na odwrocie)

albo 23 kwietnia 1986 roku

nikiem wyjść od fiutki naprzeciw mnie

Głosińkowi: powiedzieć, że on w sprawie domu

Mnie: zdzielenie zorientowanie zerknąć na żonę

Głosińkowi: zapnąć, ile chemy

Mnie: pokrobać się po potlicy

Gościowi: powiedzieć, że sadyba jego zdaniem nie za bardzo, chata pod blacha, blacha zarzewiała, ubikacja z desek, piwnica płytka, ale on gotów dać duże pieniądze, tak czy owak czterdzieli arów ogrodu, a ziemia teraz, sami wiecie, i żywicielka, i karmicielka; pomilczawczy, kaszka, a prawda to, że truskawki w waszych krajach rosną większe niż pięć?

Mnie: zależy, bywa, jak pięść, bywa jak dwie, a bywa jak moja głowa

Głosińkowi: wyszelecić, że stopień skażenia w normie, przygotowania do święta idą pełną parą, rząd przygotowuje nowe decyzje, pogoda cudowna  
(Zob. następna kartka)

3677 kwietnia 1986 roku, środa

strategiczne bombardowanie przypadłego miejsca

(ciąg dalszy)

Gościowi: powiedzieć, żebyśmy podali cenę

Mnie: wpatrzeć się w jego marynarkę

Gościowi: wyjaśnić, że wjazd na podwórkę ktoś przegrodził szlabanem, i jeszcze znak przypieczętowało malowany

Mnie: wzruszyć ramionami

Gościowi: zauważyć w piasku młodszego, masz cukierka, jak się nazywasz?  
(Zob. na odwrocie)

albo 24 kwietnia 1986 roku

Młodszemu: z dala popatrzeć na gościa (chłopiec od urodzenia nie mówi, lekarze mówią, że z tego wyrośnię)

Żonie: spróbować się otruć

Gościowi: zjeść swojego cukierka, powiedzieć, że samochód postawił koło sklepu, nawiasem mówiąc, sklep też szybko zamkna, jak zamknęli szkołę i młyn, słyszał pogłoski, ludzie spodziewają się i wyjeżdżają, ale jak my nie chcemy, jak nam grozę niepotrzebny, to on poszuka gdzie indziej.

Mnie: zrzucić ręcznik, potrząsnąć ciężkimi workami, spojrzeć na chatę Gościowi: o, a mówili, w wiosce ptaki nie gniazdują i włożywszy dwa palce w usta, zagwizdał, w dzieciństwie ganiał gołębie, ciekawe, jaki zysk można mieć z bocianiej fermy, z pewnością nie mniejszy niż z truskawek; mówią, że bocianie jaja to delikates, potem znów głośno zagwizdał.

Mnie: wytrzeć czoło kaszkietem

Żonie: zacząć osuwać się na ziemię.

(Zob. następna kartka)

3678 kwietnia 1986 roku

strategiczne bombardowanie przypadłego miejsca

(dokończona)

Młodszemu: z daleka pokazać coś na róg!

Starszemu: napiąć procę

Gościowi: zapaść się za oko, powtórzę

Głosińkowi: ogłosić, że zgodnie z postanowieniem rządu trwałość okresu polowicznego rozpadu (16000000 lat) uznano za taką, która nie odpowiada rzeczywistości, faktycznie wszystko już dawno się rozpadło, pogoda wspaniała, rząd przygotowuje pakiet nowych ustaw, skierowanych na polepszenie warunków itp.

Bocianom: zacząć walczyć nad objeściami kolo

Głosińkowi: ułożyć kozackiego marsza

Bombowcom: wypędzić niebo lukiem, dokonać pierwszych zrzutów bomb, drugich, zrzucić cały ładunek na przekleństwo terytorium, na przepade miejsc, zniszczyć, zrównać z ziemią, spalić do szczytu







będziecie rżnąć – och jak strasznie – zamknięcie ostrze  
będziecie strzelać – ha! – a ja w pancerniu  
weź mój pancerni, Ukraino

3691 kwietnia 1986 roku

globtrotter

Dali mi do zrozumienia. Mówiące, że dobrze byłoby. I stosownie do daty. Okragłej. Tym bardziej, że kompozycja już kończył heroiczną kantatę. A pisarz miał już gotowy szkic powieści. A rzeźbiarz rozmielił głowę  
(Zob. na odwrocie)  
albo 8 maja 1996 roku

na popierisze. Jednym słowem, kasza się ugotowała, a staruszek jeszcze nie umarł.

Oczywiście, nikt go nie zmuszał. Ale, poza tym, trzeba mieć sumienie. Dookoła tyle ludzi zawiedzionych. Powinien zrozumieć. A on ni, ni, ni, ni. W śniegach Finlandii marzą, na Łuku Kłamięc płonął, pod Berlinem kula przeszła mu pierś – i dotąd żyje. Wszyscy pomiciarli, a w nim wady nie ma. Jedynie to pałce u niego odmożone, zima koldą ich nie nakrywa, chłodu nie czuje. A poza tym zdrowie ho-ho! Nie staruszek – aksakal jak!

Już dwukrotnie przez niego odwoływano wspaniałe uroczystości. I lekarze dochodzili do wniosku, że z jego sercem i wątrobą nie tyle jeszcze można przetrzeć. „Wiadomości Rolnicze” bez okularów czysta, do obiadu wypija kieliszek, a baba, kiedy ją spytali, od jak dawna śpią osobno, tylko zacierwieniła się, machnęła ręką i nie powadziła nic.

Wyobraźcie sobie? Już wszyscy na uszach stoją. Na białych kolchozów obraca się specjalna antena. W ośrodku zdrowia przez całą dobę czuwają luminarze medycyny. Wjazdy i wjazdy: że wsi kontrolują oddziały milicji. Niebo śledzą wojskowe reflektory. W okolicy na pola rozbiła obóz czoła kompani honorowej; żołnierze  
(Zob. następną kartkę)

3692 kwietnia 1986 roku

globtrotter

(dalszy ciąg)

całymi dniami maszerują z orkiestra po kurzonych drogach, wieczorami pija i robią napady na klub, starszy oficer w poniedziałek po pijanemu zastrzelił dwanaście kur sąsiadów.

(Zob. na odwrocie)  
albo 9 maja 1996 roku

A ile najechało się piszących, fotografów, telewizjonistów – huk. Do domu się pchają, w okna widać, przez komin przemiąka.

Wreszcie staruszkowi obrydło to całe zamieszanie, po obiedzie przyszył radio w chacie, potoczył się na lawie pod obrazami, zawołał babę, pożegnał się, złoczył ręce na pierśsiach i oddał Pann ducha. I się zaczęło. Poszło w ruch wojsko, zakrzętały się lekarze, helikoptery zdźwierały nad samą chatą, kanałami łączności specjalnej popłynęły depesze do rejonu, województwa, do stolicy, stary wreszcie wywinął kosa! I to kiedy, ósmego maja.

w przeddzień święta Zwycięstwa! Ale będzie pogrzeb!

Maszyna wyla, nabierała obrotów. I niptem krach. Orkiestra zakrzętała się na północie. Warta honorowa zdjęła palce z języków spustowych. Helikoptery pospadały na wygon jak pobite kaczki. Strzykawki z balsamującym roztworem zamaryły w rękach pielęgniarek. Zgasy reflektory, wyłączyły się kamery filmowe. Zabelkotal niezrozumiale teleks. Zapadła cisza. Wszyscy czekali... No cóż – „pochować jak zwykłego śmiertelnika”. I kropka. I żadnych wyjaśnień.

Staruszka pochwalił. W rodzinnych wisienkach. Jak zapowiadał, bez transmisji telewizyjnej! Dopiero po  
(Zob. następną kartkę)

3693 kwietnia 1986 roku, piątek

globtrotter

(dokończenia)

dziesięciu dniach staryk wyjawiał wdowie i krajanom, którzy zebrali się na mszę, że tam na górze staruszek nie przeszedł z powodu jednego parametru: przewieszka. Żeby jakies inne. A to – globtrotter. Tego trzeba. Ujawnia, napisz  
(Zob. na odwrocie)

gazy, poda radio, transmituje telewizja: pogrzeb ostatniego weterana Wielkiej Wojny Ojczyźnianej! tak by było. Na cały świat. No, co by nie mówić, na górze dobrze rozważyli, nie dopuścili do skandalu.

3694 kwietnia 1986 roku, sobota

albo 11 maja 1996 roku

Kartka lecznicza

(Zob. na odwrocie)

Zasady użycia: przez 10 minut uważnie patrzeć na kartkę, następnie wypić szklankę surowej wody i przez kolejne trzy godziny nie jeść i nie rozmawiać; kilka seansów wystarczy, aby pozbędzić się niewydolności serca, chronicznych wrzodów, jak również kamicy nerkowej.

Odezwą do narodu

Rozpakowaleś

mój kalendarz

możesz

przezczytać go

do końca

powiesz mi gwoździu

w ubikacji

w szubienicy

na śmietniku

rób, jak uważasz

mi nie wystarczy

że potrzymasz

mój kalendarz

w rękach

i to wszystko  
bądź zdrow, narodzie  
Jewhen Brushlynowski

3711 kwietnia 1986 roku, wtorek

### Fragmenty dymu Nr 1-8

Nie ma co mnie szarpać, sam wiem. A przecież i okulary założyłem i w binokle patrzyłem, nawet w teleskop zaglądałem – nie ma tam niczego. Niczego! Pustka. Wiem, niektórym słonie się pokazują, żółwie, wielkocyb, wszelkie egzotyczne majaki. Przyjaciel opowiadał, że jama nawet „Tytanik” się przywidział. Pokład, kotwica, mostek kapitański – wszystko na-

*(Zob. na odwrocie)*  
albo 28 maja 1986 roku

turalnej wielkości. Z kominą dym nawet wylatywał, ot co! Takich rzeczy naopowiadał, aż uszy postawiłem. Ty, mówię, nie z tego miejsca prowadzisz obserwacje, nie o tej porze i nie w tych okolicznościach. Ja w tym celu, mówię, specjalnie jedzę do miasta. Sznakam bezładnego pola (pazneczne, żytnie, owsiane, różniczy zadnej nie ma), idę na środek, kładę się twarzą do góry i obserwuję. Jakich to cudów nie widziałem.

No, pojechałmyś do miasta.  
Przejechałmyś. Znaleźliśmy odpowiednie pole, weszliśmy po pas w jęczmień, połotyliśmy się dziesięć metrów jeden od drugiego (żeby sobie nie przeskadzać). Leżymy. Patrzymy w niebo. Już nawet zaczęliśmy drzeć. Kiedy nagle... Widzę, krzycz, widzę! Co? Gdzie? Głowę Puszkina, krzycz, widzę. Z bokobrodami, płaskim nosem i wyołbistym oczyma. Widzę głowę Puszkina? Guzik widzę. O, powtarza, a tyto Bohdan na koniu bulawa wycmachuje, nie czysto jak na placu w Kijowie. Popatrzy, a oto słoty. Z trąbą. Z uszami. I z jajami. Jaja widzisz? Nie chujta, mówię, nie widzę. Minęły wspólnie trzy godziny w jęczmień. Przyjaciel wciąż wrzeszczał i jęczał, rechotał i drygał nogami – takie chimery widziane mu się zwidywały, a ja jakbym bielmo miał na oczach.

*(Zob. następna kartka)*

3712 kwietnia 1986 roku, środa

### fragmenty dymu Nr 1-8

*(ciąg dalszy)*

Nawet już do okalsty chodziłem. Znalazłem starego, doświadczonego, mówił, poradzi. Ze wzrokiem, mówi, u pana wszystko w porządku: trzeci od dola rząd liter pan rozpoznaje, daj Boże każdemu takich oczu. Na tym audycją się skończyła. Mimo wszystko poprosiłem, żeby jakieś kropki mi przypisał, albo co. Nie ma, mówi, takich kropki, tu inne leki są potrzebne. Ale jakie, nie powiedział.

*(Zob. na odwrocie)*

albo 29 maja 1986 roku

Pewnego razu do matki na wieś przejechałem. Trzy dni rąbałem drzewo, a na czwartą zęczyłem się i mówię: mam, spójrzcie w górę, czy mama co widzi? Matka podniosła głowę, patrzyła, patrzyła, a potem jak głupia: widzę, mówi. A co mama widzi? A hen zza jawora nasza stara chatka wypływa, dwa

okna, komin przekrzywiony, przybawa w ziemię wrośnieta, poznajesz? Poznaję, mamrocze. A sam ślepy.

W instytucie, gdzie pracuję, jest też jakaś. Nic nie robi, tylko w okno patrzy. No co ty tam takiego zobaczysz, pytam, że każdego dnia wytrzeszczasz oczy? A to, mówię, sam popatrz. Gdzie? To on: Widzisz? Piersi jak u Sofii Loren, nogi jak u Miszy Rasputinowej, włosy jak u Natasy Korolowej, widzisz? Z tą kąką to by się w łobka pobawił! Maniaku, mówię, a kto za ciebie kwartalne sprawozdanie napisze? Może Natasa Korolowa? Kpię, a samego mnie przecież korci, tak korci, żeby ci zobaczył. Cokolwiek! Niech nie znała aktorkę, niech nie gwiazdę estrady – choćby podobniostwo kobiety, własna żona itp. Ale na próżno. Jakkolwiek bym się wpatrywał, wszystko próżno.

A przecież kiedyś było. W dzieciństwie. Pasujemy, pamiętam, jako chłopczy krowy. W karty się nagramy, w stawie się wykapiemy, zjemy co matki

*(Zob. następna kartka)*

3713 kwietnia 1986 roku, czwartek

### fragmenty dymu Nr 1-8

*(ciąg dalszy)*

do tereb nakładły, więc i leżymy sobie w trawie, brachy na słońcu grajemy. Aż ktoś przyłożył do oczu dłonie krymickozju i powie: no co ty kł chmurach rozpoznaje? Dziwnok ładny, ciepły, niebo błękitne, chmury płyną rozkoszne. I się zaczyna. Ten patrzcie, struś. Ten: zamek. Ten: o, wieloryb. A to: czółg. A to: Afryka. A to: słoty. To Baba Jaga. A to: parowiec. A to... to... to...

*(Zob. na odwrocie)*

albo 30 maja 1986 roku

Przebiegałem wzrokiem z chmury na chmurę, z figury na figurę, pozna-  
wałem i się cieszyłem, kiedy to, co zobaczyłem, rozpoznawał inni. To  
wszystko było, żyło w mnie: chmury, zwierzęta, czółgi, ptaki, domy, koni-  
ny, słonie, strusie, kobiety, konie, parowce. Żyło i nagłe gdzieś zmiko. Na-  
wet nie zauważyłem. Zjawily się jakieś kłopoty, jacyś ładnie, jacyś oba-  
wiążki. Zapomniałem o niebie. W taki mój wypad, że nie miałem czasu  
w górę popatrzeć. A potem spojrzalem i nitego nie zobaczyłem. Wyo-  
strzałem wzrok, naprzęłem uwagę, wytrzeszczałem oczy. Ale tylko -  
chmury. Szare, mętne, postrzępione chmury. Niczego mi nie przypomniały.  
I nie przypominają Absolutnie. Chyba że - zniemacka, fragmentami -  
dym. Ale bardzo, bardzo rzadko. Moje raz czy dwa na rok. Sa mi drogie, te  
fragmenty. Na tyle drogie, że założyłem sobie specjalny zeszyt i zaczęłem je  
numerować: fragment dymu Nr 1, fragment dymu Nr 2, fragment dymu Nr  
3 i tak dalej. Wszystkiej naliczyłem osiem różnych fragmentów. I nawet  
namalowałem je w tym zeszycie. Kto wie, może to dym z kominą starej  
chaty, która widzi w zarysach chmur moja matka. A może z kominą białe-  
go parowca, który widzi mój przyjaciel. A może to dym z tychleś się li-  
ci, które ja widzę.

*(Zob. następna kartka)*

3714 kwietnia 1986 roku

### fragmenty dymu Nr 1-8

*(dokonczenie)*

On śni mi się co noc, ten sen. Idę jakby przez ojcowski sad i grabię zeszlō-  
nocne liście. Dużo już nagrabiałem, całą kupę, koszała przylepiła mi się do  
pleców, liście mokre, pała się kiepsko, nie pali się, a ti, pocieram zapalki,  
zapalki gasną, z kupy wydobywa się dym, a ognia nie ma, pocieram zapalki,  
pocieram i się budę.

(Zob. na odwrocie)  
albo 31 maja 1996 roku

Fragmenty dymu... Chwała Bogu. Niech będą fragmenty. Niech będą  
Kiełdy przecież się rozpal!

3715 kwietnia 1986 roku, sobota  
albo 1 czerwca 1996 roku

### JUŻ WKRÓTCE!

Wybrane miejsca z utworów starszoklasistów  
czytajcie na str. 3722

3717 kwietnia 1986 roku, poniedziałek  
albo 3 czerwca 1996 roku

### archiwum

#### nonsens

a w wiosce Ponikwi w starcy wieży cisnieli  
dwóch pierwszoklasistów zgwałciło nauczycielkę  
przyjechali strażacy zaczęli gasić  
tymczasem w Kywio dom spłonął do szczytu  
lekarz w ciepłej kucepce popiołu  
długo mierzyl ciśnienie

tego samego dnia w Lwowie ni z tego ni z owego T-34  
zjechał z postamentu przetożył się skwerem  
tuz obok zoolgu biegł rozchlestanty starszerek  
usiubując wetknąć kij między gaisniencę  
ogniś się dopalal Dniepr płuśkal  
chrypiąc z natężenia  
modliłem się do Pana by mnie co prędzej zabrał  
sznurtek się urwał kąsały komary  
przyjechali strażacy zaczęli gasić

3719 kwietnia 1986 roku, czwartek  
albo 6 czerwca 1996 roku

### JUŻ WKRÓTCE!

Wybrane miejsca z utworów starszoklasistów  
czytajcie na str. 3722

3720 kwietnia 1986 roku, czwartek  
albo 6 czerwca 1996 roku

#### dźwięki

lamie się kość szaszka pies śpiewa dziecko lamie się kość jęczy kobieta

szmerze strumyk lamie się kość rzy koń dzwoni dzwon lamie się kość płonie  
ogniś buczy ledewizor lamie się kość ryczy bydło biją w bęben lamie się kość  
skrobie myśz lamie się kość płacze człowiek leje deszcz wyje wyl lamie się  
kość skrzypią wozu trzeszczy krąg lamie się kość szaszka zamek drze się  
kantała lamie się kość bębni radio sunie buildozer lamie się kość wiruje sadza  
kicha przydełt lamie się kość skwierczy słonina krzyczą młodzi lamie się  
kość zamyka się brama kaszła starzy lamie się kość

3721 kwietnia 1986 roku, piątek  
albo 7 czerwca 1996 roku

#### strzępy czyjejeś wywiadu III

Alci się przyczepli – jak rodzą się opowiadania? Jak się rodzą, jak się ro-  
dzą? Poproś kobietę, niech rozłoży nogi, pokaże.

3722 kwietnia 1986 roku, sobota  
albo 8 czerwca 1996 roku

#### wybrane miejsca z utworów starszoklasistów

„Ja rosyjskiego uczylim się tylko dlatego, że mówił mi Lenin.”  
„Das Deutsch ohne Zogern erlern’ ich mit Fleiss, denn Wand in Berlin ist  
zerbrochen.”\*\*

„El Espanol yo queria aotenderpara gritar en las corridas „Hoi!”\*\*\*  
„Je voudrais le Français etudier seulement pour cela raison que „Chanel”  
en le monde exist.”\*\*\*\*

„I should study English only because „The Beatles” were singing in  
it.”\*\*\*\*\*

„Ukrainsku ja wyczylił by tołko za to, szto ce moja rjinyk jazyk”

\* Rosyjskiego uczylim się tylko dlatego, że mówił mi Lenin.

\*\* Niemieckiego uczylim się tylko dlatego, że upalił mój berliński.

\*\*\* Hiszpańskiego uczylim się tylko dlatego, by krzyknąć na corridzie.

\*\*\*\* Francuskiego uczylim się tylko dlatego, że jest na świecie „Chanel”.

\*\*\*\*\* Angielskiego uczylim się tylko dlatego, że „Beatles” śpiewali po angielsku.

Jewhen Brusnynowski  
przełożył Bohdan Zadara

## Książki nadesłane

### Wydawcy różni

Jacek Sachacki: *Lapsus Dei*. Powieść. Lampa i Iksra Błota oraz Czarnie, Warszawa-  
Wolowiec 2000, ss. 107.

Justyna Usarek: *Patry’ Jest*. Powieść. Agencja Literacka RJS Publika, Warszawa 1999,  
ss. 228.

Barbara Koferekwa: *Lotarnia*. Przygotowała do druku Anasztazja Śniechowska, „Izrama  
Grodzka – Teatr NN”, Lublin 2000, ss. 173. Seria: Biblioteka „Scripturae Scholarem”.  
Aktuozie wspomnień.

## SIERGJ ZADAN

### Warszawa

Z majowych białych wierszy, deszczów i poluści  
Zawsze wychodzimy jacyś sparszywiali  
Dziecinio, następitwami jesteimy rewolucji,  
Spójrz, jakie światło bije od zgniełej Warszawy.  
Bo słonce każdej nocy ucieka do Europy,  
Bo zjawia strachu jeszcze drzęcy ciało  
Dziecinio, to wątpliwe, czy coś da się zrobić,  
Kiedy pragnienie wciąż nie odciążało.

A mamy wodę z dłoni piłą tylko.  
Owożda wśród palców dziurawych przybywa  
I patologiczna nieobecność Egiptu  
Wszelką próbę ucieczki nam uniemożliwia  
To ten brak w nas posłany pewnie winny temu –  
Ta potrzeba drogi, do któregoś przywykli.  
Dlatego zwiń przysięgając się bez problemu,  
Rozbite drogi i kosze starych motocykli.  
W przyszłości na nas żaden nie czeka, kochanie,  
Szacunek ludu czy ojców miewająca.  
Wierz mi, jest zawsze końcowy przystanek,  
Choć nie wiem, czy to akurat Warszawa.  
Przecież rozumiesz, że popuste krany  
Nie odpowiadają za wodę wylaną  
Jodyną znaczący otrzymane rany,  
Modlitwę sennie czytasz, do smu się zbierając:  
O przyjdź i uswięć wszystko to, cośmy robili,  
Na niesylżalną liczbę spojrz przychylnym okiem...  
I moje dłonic, jak dwie ryby,  
Spragnione przywierają do wilgotnych okien.

\* \* \*

Dwudziestego kwietnia spadł deszcz.  
Z trudem otworzyłem niemalowane drzwi,  
Lepki bruk kleił się do podszew,  
I my jak muchy godziiliśmy się z twardością

Do tego był okres czasu – długi i przerywany,  
Powolne czekanie i pusty pokój,  
Podwózca chłodna przepelniona wanna,  
I kropłe deszczu – ciemne, nitby nafta.

A potem był autobus, co mknął na południe,  
Rzucając się jak ryba w deszczowych potokach.  
Byli sąsiedzi, których wypadło zmocnić,  
I było jakieś idiotyczne przeczące potopu.

I jechałem, na półkę zrzuciwszy torbę  
Jakby chcąc, żeby deszcz narazicie ustał,  
I wygrał się starym robakiem autobus  
W ciężko padające jabłko deszczu.

Narastała depresja – powoli, ale wyraźnie,  
Chciało się pić i ciągnęło do ugnieńcia.  
Bo niedawne umieszczenie na nic się zdało,  
I w oczach sąsiadów pojawiło się błaganie.

Wszystko skończyło się, jak zawsze, całkiem prozaicznie –  
Kuliłem się przed mrozem i przed światłem, jak szczur.  
Była przestrzeń, wypełniona wilgotną nieością,  
I był deszcz, który wcale nie ustał.

\* \* \*

*Przemijno wiosna!  
Płaczą psaki, a ryby  
Icy mają w oczu  
Matteo Basbo*

Po tym jak  
roztopy usnęły  
w lodowych  
płaszczczykach wody  
wstuchiwalymy się w bezgłoźny  
placz ryb  
kóre przepływały nad naszymi  
zatopionymi statkami  
I patrzyliśmy  
jak leciatko kołyszą się  
przytwierdzone do ich oczu  
srebrne kolczyki  
leż

### CASANOWA

Nr 1  
Czerwona cegła  
to ostatnie co  
nie pozwala ci  
pozbyć się ostatecznie  
kompleksu spierzchłej  
skóry

Ostatnio  
przez okoliczną akustykę  
coraz częściej się przebija  
jazz twojej rozpacz  
zółta muzyka twój  
ozębności

Tej jesieni wasz pies  
ciężko zachorował  
I z głowy jak  
z rozbitego jajka  
powoli wyciekła mu  
zółtka języka

Nr 2  
Często patrzac  
na to stare zdjęcie  
sama już rozumiesz  
że w swoim starannie  
wyprasowanym gimnazjalnym  
mundurku wyglądałaś  
odrobinkę śmiesznie

Nie wiadomo czemu  
najlepiej zapamiętałaś  
właśnie to:

Siedziałś (już sama)  
w gabinecie ojca  
a naprzeciw ciebie na stole  
stoi na pół opróżniony kieliszek  
z odliczonymi szminkami do ust  
który Casanowa zostawił ci  
na pamiątkę

Nr 3  
Przez te parę miesięcy  
zawsze spotykałście się  
gdzieś pośród rozbitych  
samochodów i na pół zrujnowanych  
domów

Gdy witaliście się  
wasze gorące dłonie  
czerniwialy niedopalkami  
z rękawów  
Jeszcze i teraz  
motyle płaczu  
wylatują z mroku  
twojego ciała na lichterze  
oczu i ich pipoid  
trzmi ścieka  
po twarzy

102

Nr 4  
Teraz nawet  
nie próbujesz odnieść  
od siebie pisa pokusy  
który pożałdliwie liże twoje  
na wpeł ogolone palce

Rano odcychasz  
na łutro i twój  
wydech rozbiły  
i ciężki jak po rozstrzelaniu  
spółza po zimnym  
szklanym murze

Na pewno ludzki będą  
wspominał was  
mniej więcej tak:

to ci co żyłi długo i szczęśliwie  
a potem umarli  
jednego dnia i w jednym  
getcie.

\* \* \*

Padali deszcz.  
Potem ich zabrakło.  
Odchodzili ciężko, jakby szły umierać.  
Ze starego podjazdów rozbite drzwi  
Wyszedł różowy degenerat.  
Biała koszula

Na piersi dzwoneczek  
Czego więcej trzeba dla ładnego chłopca?  
W dzień laził po śmietnikach, wieczorem wychodził  
Pokłonić się różowej makłowecze słońca.  
Po nocy błądził  
Głuchymi stępami,  
Zawzięcie bił się w księżycu promieniu,  
Ustami w locie machy łapał,  
Co dnia wprawiony lepiej w tym ćwiczeniu.  
A rano wracał

Do pustego miasta -  
Jak zawsze wesół, lekki jak motylek,  
Dla swej kochanej różowej babuni  
Ostu jaskrawy niósł w dłoni badyłek.  
No i świetnie,  
No i idylla -  
Babcia, wnuczek, chwile jak marzenie  
I w cichy pokój przez żółte firanki  
Słońce sypało różowe promienie.

103

z poematu *NEP*

2.  
Irenko, to wszystko naprawdę jest bardzo ważne,  
To wszystko, nie wiem czemu, przypomina mi salto –  
Ty masz ruchy dorosłej kobiecy, skarbie,  
I usta o posmaku asfaltu.

I to jest jak zapłata za dawnych błędów grzechy,  
Kiedy, po słowie rozpyłając słowo,  
Dziewczynka luska sobie włoski orzechy  
I dlatego pewnie czuję się odlotowo.

A mimo to jest droga – przez dwanaście godzin  
Mknie na Zachód pociąg polykając przestrzeń,  
Tam, gdzie żółtawi Chińczycy łowią  
Na długie wędkę ryby w Dnieprze.

A Rusinki-rusalki swym bluesem...  
Akustykę nocy napelniają,  
Dusz rybaków rajnując słuzę  
Pod powierzchnię lepką ich wabiąc.

Nie słuchasz mnie – fatalnie jesteś wychowana,  
Pół doby to różnica między nami.  
Dlatego nie zobaczysz, jak pierwszy śnieg nerwowo  
Ugina się pod twoimi nogami.

## Harcerka N.

Tak odchodziło twoje dzieciństwo –  
głos się ustawiał, ubywało dźwięków,  
wysoko w niebie, mocno i pewnie  
wisiało życie, jak kolczyk w uchu.

Głotni i słabi – tak zyliliśmy wpięci  
w czasie zdobywczy taśmę kotylionem,  
błdnie ryczące boogie-woogie,  
dzieci moonego portwina skurwione.

Ty nacigałaś wojskowe buty  
biegłaś do szkoły – z piórnikiem, z kredkami  
Jeszcze przed tobą: pierwsze skrobanki,  
ojcowski dziny, binostonaz mamy.

Jeszcze wysoka fala się wznosiła  
Srebrna rozbita klawiatura  
wciąż kształtowała podstawy stylu –  
tak się rozdziła kontrkultura.

Z ciepłymi gilzami „Białomorów”,  
z kocami rozbitych studenckich akcji  
uporczywie podrywał się w górę  
zmęczone blues twych menstruacji.

Co nas łączyło? Zablężnione gniewy  
znikały w nocy, niby w wodzie wiata.  
Odkrywalimy się, tworzyli sparki.  
Ciepłe wiatry mimo woli niosły

smutek w dusze, jakby miód w plaster  
Aleśmy się, chwala Bogu, trzymali! –  
wbrew wszystkim szalonym zryzotom,  
na przekór radzieckiej władzy.

Tak się skończyło: pogodno gnicie,  
ściszona fala, jeziora tafla.  
Jak żarna rozciera czas chybiony  
wspólnych doświadczeń ciemne ziarna.

Wiem tylko tyle – kiedy ostro wieje,  
kiedy wicherami wstrząsana biosfera,  
to tylko wtedy warto jest oddychać,  
to tylko wtedy warto drzwi otwierać.

Do ust się lepi cząsteczka morfemu –  
alternatywna przezroczysta woda.  
Tego, co było, na tematy nie podzielisz.  
Tak kochałimyś. I nam się uda.

## Generał Juda

Spadł śnieg późnym wieczorem

Na piersi bandażami brudu.

Na wąskim łóżku zgnojone

Liże rany swe chorey Juda.

Słono-zimowy smak pustyni

Siada na wszystkim i z sufitu

Zwisają wspomnień pajęczyny

Starego Judy aż do świtu:

Nerwowe ruchy, żrąc oracji,

Butny uśmiezek, że się uda –

W bój na bagnety swoje pułki

Podrywa już generał Juda.

Zwałity mury się doszczętnie,

Wisieli wstęli wysoko.

Do miasta, zalanego gorącym deszczem,

Wchodziło czarne wojsko.

Białala sól, którą kropił.

Krew – Sądu zapowiedź budzi.

I ludzic pospiesznie padali w pył  
Do nóg wielkiego Juły.  
Marzenie tak się zściło,  
Zwyczajnie, jak wszystko się stało.  
Już nie wie, kiedy ją zmija  
W ciału zakradła się starość...  
Niesiła na cmentarz chorągwie zniszczone,  
Ciężko, okrutnie płakała,  
A jego maleńki potomek,  
Pustymi łuskami się bawił.

### z cyklu *Ateizm*

Nr 1  
Zawsze podchodził do tego podejrzliwie  
Mario

Ale oto wymię jego serca  
ścieka milkliem bólu

I przesiedziawszy przy nim  
noc na deszczu i wietrze  
czujesz jak twoja skóra  
zamiast opalenizna pokrywa się rdzą  
zwątpienia

Uważnie oglądasz  
bliznę od pocalunku ucznia  
zrzwieniającą na jego nieogolonym policzku  
jak ślad tego ostrza

I twoje dłonie jeszcze długo  
będą pachnieć benzyną  
która paliłaś  
nasze miasta

Nr 2  
Zdaje się  
powiedziałś kiedyś  
że często wyobrażasz sobie  
aniola – wielkiego białego ptaka  
z ostrym mocnym białobrem  
do rozbijania twardych  
orzeczków Bożego smutku

Sól zapiekła się  
na twoich palcach

przećciez słowo Boże omo  
jak taranika – smaczna  
ale się nie najesz

Wieczorami długo siedzisz  
na progu  
zdrapując z rybich grzbiotów  
srebrne monety łuski  
A nad twoimi drzwiami  
blyszczą w świetle księżycy  
maleńka podkowa  
z diabłskiego kopyta

Nr 3  
Całujesz go  
i wraz z twoją słoń  
na jego ustach  
zostają  
mikroby zdrady

Na podęgnięcie  
mocno ścisnąsz  
jego kościście ręce  
i spod twoich palców  
ptak zdrady  
śliski i spocyny  
wzbija się w góre

Jeszcze nim  
wyjdiesz od niego  
wypowiadasz  
kilka słów  
i twój język  
wciąż się jak ryba  
składa  
łknie zdrady  
w twojej krtani

I jedyne  
co ciebie może zdradzić  
to chyba tylko  
ten sam język  
który  
w przeciwieństwie do twojej  
bladłej twarzy  
długo pali ze wstydu.

Siergij Żdan  
przełożył Bohdan Zadara

LUDMIŁA SIRYK

## Adam Mickiewicz w krytyce i przekładach Maksyma Rylskiego

Analizując bibliografię tłumaczeń utworów polskich na język ukraiński, można zauważyć, że na przestrzeni ponad 150 lat zadania z polskimi pisarzami nie był na Ukrainie tak popularny jak Mickiewicz. Zestawiono prawie kilka bibliografii jego tłumaczeń, z których najwcześniejsze są W. P. Wiedniej: *Bibliograficzny pokazczyk przekładów poezji A. Mickiewicza na ukraiński mową (1927-1955)* (Kijów 1955) oraz H. D. Werwesa: *A. Mickiewicz w ukraińskiej literaturze* (wyd. 2, Kijów 1957). Świadcwstwem stałej obecności Mickiewicza na Ukrainie są więc tłumaczenia, eseje, artykuły literaturoznawcze, prace doktorskie i inne o charakterze naukowym i popularnym.<sup>1</sup>

Geografia ukraińskich mickiewiczologów obejmuje różne miejscowości: to nie tylko Kijów, Lwów, Charków, Odessa, Użgorod, ale również Zytomierz, Luck, Kamieniec Podolski, Petersburg, Tbilisi a nawet Orenburg i Wilujak – miejscowości syberyjskie, dokąd los zapędził ukraińskich i polskich pisarzy. Niezaprzecznie, każdy z badaczy lub tłumaczy był związany w jakiś sposób z Polską, bądź rodzinnie i kulturalnie, bądź sentymentalnie poprzez kontakty przyjacielskie.

Pracowało w tej dziedzinie wielu poetów i literaturoznawców ukraińskich: Ambrzej Mełniński, Lesia Ukrainka, Iwan Franko, Aleksander Nawrocki, Mykoła Kostomarov, Maksym Rylski, Hryhorij Werwes, Serhij Rudzewicz, Mykoła Zerow, Stepan Sawcenko.

Świadcwstwem aktywnego oddziaływania Mickiewicza na twórczą, społeczną i patriotyczną myśl ukraińską w drugiej połowie XIX stulecia jest stwierdzenie ukraińskiego pisarza Iwana Franka, który w 1885 roku w artykule *Adam Mickiewicz w ukraińskiej literaturze* pisał: *Wielki Mickiewicz na literaturę ukraińską można wwołać nie tylko za ogryzmy, lecz równieżże, w momencie znaczącego i szerszego rozwoju tej literatury przetrwałby się on w nieprzerwanym i zdrowym planu, jakim geniusz polskiego poety zasiał w mentalności szeregu pokoleńi narodu ukraińskiego* [Ihmo. moje – L. S.].

Konstytuatorem literackich studiów polsko-ukraińskich i recepcji literatury polskiej na Ukrainie był Maksym Rylski – wybitny poeta, tłumacz, krytyk literacki, publicysta i językoznawca. Rylski za życia opublikował 53 tomików poetyckich. Był autorem kilku zbiorów artykułów krytyczno-literackich i pub-

licystycznych, redaktorem ogromnej ilości różnych periodyków wydawniczych.<sup>2</sup> Niedawno ukazało się nowe 20-tomowe, pełne wydanie jego utworów.

Żadziectwo twórcze Rylskiego na kulturalnym pograniczu polsko-ukraińskim jest bogate i godne badań naukowych. Na przestrzeni czterdziestu lat ten wybitny poeta ukraiński nie tylko promował literaturę polską na Ukrainie, ale również w latach 50-60 stał reprezentantem ukraińskiej literatury w Polsce. Był również uczestnikiem mickiewiczowskich konferencji organizowanych przez ośrodki naukowe i kulturalne Polski. Jako mickiewiczolog Rylski ujawnił tajemnicę większej popularności droжку Mickiewicza na Ukrainie: *Mickiewicz jest nam drogi nie tylko jako twórca niezmiernieżytych poezji, nie tylko jako genialny mistrz słowa, który wniósł język polski na nieosiągalną szczytę, stworzył dzieła o takiej sile wyrazu, malowniczości i melodyjności, jakich jest niewiele w literaturze światowej. Mickiewicz jest nam drogi jako gorący patriota, jako wytrwały wojownik o narodowe i społeczne wyzwolenie narodu polskiego, jako niezrównany działacz społeczny, który gwarantując wolność i szczęście swojego narodu widział w walce o wolność i szczęście wszystkich narodów, która dopiero w czasie obecnym nabrała właściwego rozmachu i właściwej głębi.*<sup>3</sup>

Rylski słusznie uważany jest na Ukrainie za najwybitniejszego tłumacza i badacza literatury okresu 1920-1960. Z największą miłością poświęcił się literaturze polskiej, szczególnie twórczości Mickiewicza. Jego pamięć dedykował m. in. wiersz *Człowiek*, w którym domagał się szacunek stałe się alegoryczna postać poety-rybaka.

Zainteresowania Rylskiego inspirowało kilka czynników: własna praca literacka, wykształcenie humanistyczne oraz tradycje rodzinne (ojciec Maksyma Rylskiego był synem bogatego polskiego ziemiaństwa (Rozewia Rylskiego i księżnej Trubcekiej).<sup>4</sup>

Rylski był poliglota, przefundował z trzynastu języków ponad 250 tysięcy wiersów poezji. Jednak najwięcej uwagi poświęcił Mickiewiczowi. Zaczął go tłumaczyć jeszcze na początku lat 20. W 1925 r. opublikował artykuł *Adam Mickiewicz i ja* „Pan Tadeusz” („Żyła i rewolucja”, Kijów 1925, nr 3). Aktywnie zajmował się *Panem Tadeuszem* także po drugiej wojnie światowej. Świadcwstwem tego jest monografia *Pro poezję Adama Mickiewicza*, która ukazała się jako samodzielna publikacja w 1955 r. w Kijowie. W roku 1960 Rylski napisał obszerną przedmowę do książki *Szczeciński polski pymenty*.

W 10-tomowym wydaniu utworów Rylskiego (Kijów 1962) tam słodcy poświęcony jest tłumaczeniom poezji Mickiewicza. Na 450 stronach książki zawiera m. in. takie utwory jak: *Pan Tadeusz*, *Konrad Wallenrod*, 17 utworów z cyklu *Sonetny krymicki* (W istocie rzeczy wszystkie „Sonety krymickie” są cudownym malarstwem – M. Rylski) oraz trzy ballady (ukr. *Do drzewca*, *Łobuz i Czaj*). Do tomu nie wchodzi przedmowa wczesniej *Pan Tadeuszem* (pierwszym jej tłumaczem był Piotr Hulak-Artemoski).

Najpopularniejszym utworem w dorobku translatorskim Rylskiego jest pełny przekład *Pana Tadeusza*. Przetłumaczenie zostało także wyszczególnione i objaśnienia podane przez Mickiewicza do teksta głównego. Epopeja jest także największym osiągnięciem translatorskim Rylskiego stanowiącym nieodłączną część ukraińskiego procesu literackiego. Znany ukraiński literaturoznawca, badacz literackich stosunków polsko-ukraińskich Hryhorij Werwes napisał: *Jed, pierwsze wydanie (tłumaczenia Pana Tadeusza, 1927) kosztowało bardzo wysoko ocenione przez krytykę krajową i zagraniczną. Czytelnicy postrzegają: tłumaczenie Rylskiego ze znajomych wierszy przekładami po-*

<sup>1</sup> Powstały prace naukowe np. J. Trześni: *Pro wpyw Mickiewicza na Szewczenko* (Krańków 1892), O. Kolbasa: *Tyma Szewczenko i Adam Mickiewicz* (Lwów 1894), I. Franko: *Adam Mickiewicz w nastільки literaturze* („Kny” 1885, nr 46), A. S. Sarenko: *Adam Mickiewicz w przekładach ukraińskich* (Charków 1967), Z. Agnieszka: *Do perelubowania Mickiewicza na Ukraini* [w:] *Mickiewiczologia literaturna wczorajszy* (Kijów 1958, s. 97-98), W. P. Wiedniej: *Bibliograficzny pokazczyk przekładów poezji A. Mickiewicza na ukraiński mową w latach 1927-1955* (Kijów 1955). Niezrealizowanym badaczem twórczości Mickiewicza i jej recepcji na Ukrainie jest H. D. Werwes – autor takich prac jak: *Zastępca A. Mickiewicza* (Kijów 1968), *O mowywanych udradach w twórczości Mickiewicza* (Kijów 1966), *Mickiewicz w ukraińskiej literaturze* (wyd. 2, Kijów 1955), *Pierwsze kontakty Mickiewicza* [w:] *Tym, gdzie they zrodzili faly poezji* (Ważawa 1972, s. 25-69), M. Bata: *Paul iuday*, Kijów 1969, s. 65.

<sup>2</sup> *Ukraińskie słowo*, Cherefnastka, Kijów 1994, t. 2, s. 95.

<sup>3</sup> Maksym Rylski: *Adam Mickiewicz a ukraińska literatura* [w:] *Materiały zjazdu naukowego poświęconego twórczości Adama Mickiewicza (1855-1955)*, Warszawa 1956, Przekład refektu Rylskiego, niezatytułowanego, na prawach rękopisu dokonała Ludmiła Siryk.

<sup>4</sup> *Ukraińskie słowo*, Cherefnastka, Kijów 1994, t. 2, s. 91. W pomociu *Mandrytów* w modolii (1940) Rylski wspomina o swoim polskim pochodzeniu.

<sup>5</sup> Maksym Rylski: *Pro poezję Adama Mickiewicza*, Kijów 1955, s. 97.



matu na języki zachodnioeuropejskie i słowiańskie (np. z rozrywkim tłumaczeniem Berja i Blandakowa, czeskim Kravohorkie), chorwackim Martetica, bułgarskim Karanowa) uważali przekład ukraiński za najczystszy.<sup>11</sup> Wiadomo, że *Fan Tadeusz* cieszył się ogromnym zainteresowaniem czytelników. Wciąż powstają nowe tłumaczenia, a dawne są ponownie publikowane. W literaturze światowej dzieło to należy do najbardziej znanych i najczęściej tłumaczonych z literatury polskiej. Stwierdzają Pięgoń w przedmowie do poematu w 1967 r. informował o 44 przekładach pełnych *Pana Tadeusza* na 25 języków. Ogłoszono je w 76 osobnych wydaniach, a gdyby policzyć fragmenty tłumaczone i opłacone w czasopiśmie i antologach, trzeba by powiększyć liczbę języków o 5, a liczbę tłumaczy całą podwoić.<sup>12</sup> W ciągu ostatnich 30 lat liczy się to z pewnością wzrosty.

W 1948 r. ukazało się drugie wydanie *Pana Tadeusza* w języku ukraińskim. Przekład otrzymał Nagrodę Państwową w 1949 r. Podczas pracy nad drugim wydaniem Ryński wziął pod uwagę najnowsze osiągnięcia mikiewiczologii, wprowadził wiele poprawek do pierwszego wydania, stworzył własnościowy nowy przekład. W warunkach totalitarnego systemu sowieckiego, pod presją oficjalnej cenzury, musiał dokonywać pewnych zmian, także z powodu swego polskiego pochodzenia.<sup>13</sup>

Ryński przyznawał, że *Fan Tadeusz* pociągał go bogactwem myśli i pragnień, szerokością sądów społeczno-politycznych i niepowtarzalnością stylu poetyckiego. Inspirowały ukraińskiego poeę-tłumacza idee patriotyzmu i braterstwa narodów. Właśnie patriotyzmem – zaznacza Ryński – ogromną miłością do ojczyzny podkorywane są wszystkie znakomite opisy przyrody: początek księgi I II (*Kto z nas tych lat nie pomni*), literwickie lasy w księdze III (opis ten przedstawiałyśmy jest zachwytem Hrabiego i Telimny nad picknem włoskiego królobraza), początek księgi VI (szary, mglisty poranek), fragmenty księgi X (cichą gwiazdziastą noc i pełna dzwinków noc w Soplicowie, burza, zmaganie się wiatrów, walka żywcółów, drobny gęz deszcz). Wszystkie to Mickiewiczowskie pejzaże zawsze związane są z dziejami ludzi przedstawionych w poeancie. Nawet opisy kolacji, obiadów, bankietów podprzodkowane są u poety wyrazom patriotycznych deklaracji. *Nie możemy nawet – pisze Ryński – przyjąć za żart wypowiedzi poety, że inne łaby nie-erają* – tak słodko jak polskie.

W monografii *Pro poeziju Adama Mickiewicza* Ryński zauważa, że Mickiewiczowskie opisy (przyrody, kostiumów, czynności) urekują bogactwem barw, ale przy tym jest im właściwa naturalność, że opisy przekomają. Tłumacz wskazuje, że autor łączy najrozmaitsze odwołanie, nie bojąc się wpaść w dyotanas, jak nie boi się tego sama natura, czasem stawia obok siebie absolutnie „przeciwstawne” pod względem estetyki kolory, uzyskując tym samym niespodziewane i nie zawsze zauważalne na pierwszy rzut oka efekty. Na przykład Mickiewicz, jak zaznacza Ryński, „farbami maluje” portret niemożliwej kokieta Telimny, która w „stanie marzeń” odgryzowała w lesie po grybobranzu. Nieoczekiwane efekty postrzegamy w opisie narodowego sbrania Zosi w dzień jej zaręczyn. Ukraiński krytyk zauważa, że ubranie Zosi to nie tylko opisy, ale całkiem oczywisty akcent patriotyczny. Ryński pisze, że już w młodości zaczynał tłumaczyć *Pana Tadeusza* od strof najtrudniejszych. Pierwsze przełożone przez niego fragmenty to opisy poloneza oraz namłchionej gry Wojskiego na rogu myśliwskim – gra, która *przeżyła słuchaczy, czystością, dźwięną harmonią pieni* (ks. IV). Odwołuje się tutaj. *Cy tymidnie jest osiągnięcie takich efektów na rogu myśliwskim – pytanie zbyszczne. W poezji wczystko jest możliwe!*<sup>14</sup>

<sup>11</sup> Heryhor Werwes: *Tam, gdzie Bkwy problemo jake plynj*, Warszawa 1972, s. 289.

<sup>12</sup> Stanisław Pięgoń: *Wstęp* [w:] Adam Mickiewicz: *Fan Tadeusz*, Ossolineum 1967, s. 132.

<sup>13</sup> Michajło Nijemko: *Mikievyj Ryński pro polsku literaturu*, „Warszawskie Zeszyty Ukrainoznawcze” 1998, nr 6-7, s. 332.

<sup>14</sup> M. Ryński: *Pro poeziju Adama Mickiewicza*, Kijów 1955, s. 91 (tłum. moje – L.S.)

## Oto dla porównania fragmenty tekstu polskiego i ukraińskiego:

*Natomiast Włóki chwycił na szanie przysięgły  
Swoj róg bowoli, długi, epikowany, krępy  
Jak wąż, bos, otworzył do suti go przycimną,  
Wzrost polski jak banie, w oczach krwaw zabłysnął.  
Zawiał wzdół powiatki, wyśliznął i głębi pod brachą  
I do jęku wypluł z niego cały zapas ducha,  
I szagrał: róg jak wicher nieważymym dechem  
Nieświe w puszcie machnął i powojła echem.  
Umiała strzelać, stała szczerząc zaciwieni  
Mocą, czystością, dźwięną harmonią pieni  
Szarej, coby ławca, krótkim nęgielny w lasach szynął,  
Jeszcze nie wrzał, wazni miłowidny rozciął,  
Napolek wznosił, szwał kniewie i dąbrowy,  
Jakby krakwie w nie wpuścił i rozpozzył łowy.  
Bo w grani była łowów historia krótką:  
Znosi odzów dzwieleży, rzeki – to pobił; a;  
Patom jęki po jękach skomlą – to pociw gnias;  
A póżniejście ton światłacy jak grzywo – to szarłanie  
Przeczwał, lecz róg trzymał, wczystkiem się odważał,  
Ze Włóki wciąż gra jeszcze, a to echo gra.*

*I Włókiem tym moji łowczyści w tej krumpli,  
Na młodym przynurzeniu, zupruchym, ak żmiał,  
I przynurła do uści dżony łowu ruzani.  
Krowak biskupa w szach. Z waznym przodaki,  
Wiazakami wozami, eń z łowami wozami,  
Do rogu szłidłani i łowami zapraw,  
Ak poruchim szupim, uci pomieć grozo,  
I stał szidłidłani sztrawidłani dżony.  
Młocym obawkami: uci rogu łowu łowim,  
Uci wazurkami młocim, przynurci łowim,  
Armist szowakim z łowami krumpli szidłidłani,  
Na szarłani z łowami szowami szidłidłani.  
Wła szurłani i szł szawakami do dnia,  
Nemom szurłani: uci i łowu łowim.  
U szł – szurłani dżony szawakami.  
Oci młocim wazami – to łowu do wazami,  
Oci dżony szidłidłani – now łowami do szidłidłani,  
Oci nłocim szurłani – to łowami w dżony,  
Szidłidłani i przynurci. Szidłidłani, nłocim szurłani,  
A to łowu łowu i łowu szidłidłani,  
Młocim dżony dżony łowami,  
Szł ak wazurkami szarłani dżony.*

W opisie gry za czarnące uważał Ryński przekazane słowem połączenie muzyki z malarstwem, niemal za niemożliwe odwołanie tej cudownej muzyczności w innych językach. Muzyczność utworów Mickiewicza zawsze przeżywała uwagę kompozytorów. Jeden z bibliografów naliczył 1580 utworów muzycznych inspirowanych tekstami Mickiewicza, np. z polskich – Lipińskiego, Szymanowska, Chopina, Meniuszka, Paderevskiego, współczesnych Żeligowskiego, Sikorskiego, Węchowskiego, z rosyjskich – Glinkę, Rymskiego-Korsakowa, Kiui, Borodina, Czajkowskiego, z ukraińskich – Lysienka.<sup>15</sup>

Ryński nie był pewien, czy potrafi przedłmucażyć *Pana Tadeusza*. Próba powiodła się i jego przekład uważany jest za kongenialny!

<sup>15</sup> Zob. op. cit., s. 93.

Ryśki potrafił przekazać takie właściwości Mickiewiczowskiej poezji jak połączenie ruchu, rytmiki obrazów „wzrokowych” z grą obrazów „słuchowych”. Spostrzegamy to w opisie chładowski, skcon z życia szlachy (zabawach, polowaniach, sporach, intryguach, miłosnych spotkaniach). Zachował także rytmomelodykę twórczą ogólny obraz i nastroj, przede wszystkim napięcie emocjonalne. Utwór tłumacza cechuje „prawda psychologiczna”, tłumacz przekazał najzobowiązanie z innymi zmysłami dotychczas zapachem, węchem. Tym sposobem ożywia opisywane wewnętrzny świat człowieka i świat go otaczający. Porównując tekst polski i ukraiński widzimy, że tłumacz przestrzegł zasad składni oraz rytmu i melodii charakterystycznej dla języka ukraińskiego, uczuł się do nowych środków wyrazu przy odzwierciani sylabiki polskiej. Uważał bowiem, iż nie można siłą naginać własnego języka do obcej mu struktury, nie można deformować jego ducha. Żeby wiersza nie ukraiinizować, stosował weryfikację miarową. Ale jest to tylko jeden z aspektów w odzwiercieniu weryfikacji oraz doskonałej improwizacji, w czym i Mickiewicz „był święty” (według świadectw współczesnych Mickiewicza).

Ryśki był zafascynowany opisem gry Jankeła na cymbałach, „koncertu nad koncertami”, „szczytu muzyczalno-poetyckiego namatchenia Mickiewicza”. Porównując zatem oryginał z przekładem:

*Jankeł z przyrządzeniem na joby ocyma  
Młczy i nieruchomo drży w polkach tryzma.  
Spścił je, zrazu bijąc taktem rytmofalnym,  
Potem gępcie sieki strmy jak deszczem nowalnym,  
Dziwł się wższy – lecz to była tylko proba,  
Do wnet przewał i w gępy poddał strycki oba.*

*Znowu gra: już drg drżnki tak lekkimi ruchy,  
Jak gęby zdołowało w stronę strzykło machy.  
Wysięgł ciche, ledwie słyszalne brzęczenia,  
Mistrz zowazę patrzył w niebie, czekając namienienia  
Spójrzył z gępy, instrument dymnym okiem zmierzdzał,  
Wznosił ręce, spuścił natem, w dwa drżnki uderzył.*

*Zdambeli się słuchacza...  
Rozem ze stron wieła  
Buchnął dźwięk, jakby cula janczarska kapela  
Odwaś się z dźwiękami, z zębami, z obębami,  
Bzmił Polono, Trzeciego Maja! – Skocze dźwięki  
Radocię oddajęcy, radocię dach poję,  
Dziwki chcą kaczęć, chłopcy w miłośna nie dostają –  
Lecz starców myśli i dźwiękiem w przedziśle się umioty,  
W owe lata szczęśliwe, gdy smot i poroty  
Po dwa Trzeciego Maja w ranatowej sal,  
Zgłoszono z narodem króla Helowali,  
Gdy przy tańcu grzybowo... Włwiat król kochany!  
Włwiat Sejm, włwiat Marek, włwiat wszystkie Szany!”*

*Wła, nie wprężaniem, niepięknym, bepodanym,  
Uroty namucha młodzi, niewse namucha –  
I wesołomno dźwięczą smęty dźwięczak,  
Spowinacj młotom nie uderim pertrypachom,*

*A daci, moe dozem, rozpaczasz wialnym,  
Grzymo bryze wzrok, zarokow...  
Aż ranomoc namucha smętyj młodzię młodzi,  
Bo nie młodzi nie, to nie brym lapa proby,  
Gra znowu. Tęty daci, moe dalszj nuz żalobu,  
Je daci po skuryi dźwięczom b' b' krumczem –  
I z dżobim, oswałim niedziestem muzem,  
Napiętnikom otoczonim, oburyi nie zdorow...  
I znowu strycki, nie tyli dżobim mario  
Wasa wiskowocj strycki z wżobitaj tryzma  
U bryba młodzi męczy, wżobim tryzma  
I Mał Trzymoła b' wżobim zarowy  
W młodzi otoczonim. Młodziom weteranem  
U młodzi wżobim muzki porowa,  
A i strycki nie tyli dżobim mario  
Tęty młodzi, moe otoczonim młodzi  
Użoż i wżobim dżobim młodzi  
Kaci, wżobim swoim porowa,  
Głumim: Wżobim kaci młodzi imie młodzi,  
Nemaj żem kaci, młodzi młodzi wci stani!  
I w młodzi wżobim młodzi młodzi.*

Zestawienie pokazuje, iż tłumacz odzwiercili w przekładzie ducha i styl poematu, potrafił odnaleźć w języku ukraińskim środki ekwiwalentne w płaszczyźnie artystycznej. Sprzyjały temu talent poetycki Ryśkiego i jego wiedza encyklopedyczna. Niewykluczone, że społeczeństwo polskie, jego kultura i historia pojawiały się stale w wyobraźni Ryśkiego-poety. Mogły mu kojarzyć się także obrazy przyrody podobne do Mickiewiczowskich. Zresztą znajomość języka polskiego oraz tradycji narodu polskiego wymusił z domu, dobrze znał Polskę, do której często był zapraszany na imprezy kulturalno-artystyczne, przede wszystkim literackie. Niewątpliwie sprzyjało to doskonałej translacji *Pana Tadeusza*. W przekładzie jest ta sama „lirka poetycka” co w oryginale.

Ryśkiemu udało się przekazać tak charakterystyczną cechę poematu jak humor – lekki, dobroduszny, nie przechodzący w sarkazm. Autór przedstawiał odchożący na zawsze świat – społeczeństwo drobnej szlachty ograniczonej i zapalczywej (bezsumienne żądni „zaskiankowej” szlachy w karczmie, kłótne i bojkni panów w pałacu Horzyszków, narada szlachty przed najazdem na Soplicowo). Humor przejawia się w opisie na temat bohaterów utworu, w opisie wydarzeń, w samym tonie opowieści. Np. fragment przekładu Ryśkiego, w którym Rejent opowiada o łowach, jest dokładnie taki sam jak w oryginale. Nie ustępuje mu także opis Asessora, o którym mówili, że umie wymyślać takie żarty, które można byłoby przykułkować w kalendarzu.

Tłumacz odzwiercili Mickiewiczowskie sposoby łączenia rzeczy śmiesznych z złośliwymi, przenoszenia bohaterów z wżym romantycznych do zwykłych codziennych okoliczności. Odzwiera także semantyczne warianty wiążące się z praktyką języka polnocnego. Unika nadmiaru synonimów, metafory, pryzaf, retorycznych powtórzeń, zastępując je rozszerzoną personifikacją oraz wprowadzeniem natarczy (np. humorystyczny ton). Tłumacz, podobnie jak autor, unika krótkowzrostwa, bezbarwnych ogólników i zbydnych ornamentów, z wżim możliwością wybrania ten wariant, który najlepiej oddaje istotę wydarzenia, zjawiska i stanu emocjonalnego bohatera.

Stosując zasady ekwiwalentów Ryśki interpretuje, a nie powiela. Zamiana obrazu oryginału na ekwiwalenty bliskie im duchem i charakterem. Jednak częściej interpretując obraz oryginału, pewne obrazy i zwroty, opuszczone w jednym miejscu, trafnie kompensuje we fragmentach sąsiednich. Stają się tym sposobem jak najpełniej zachowując piękno i treść oryginału. Jest przeciwny doświadczeniu, szlampowości, konsekwencji których jest

mala wyrazistość, niezrozumiałość tekstu. Sukces może przynieść tylko znakomici dwujęzyczni. Pragnę znaleźć równowagę między i swobody, obrzędy poetyckie i rytuał, dba o zachowanie „jedności artystycznej” i czystości. Dlatego jest bardzo wymagający w doborze leksyki, śmiały w stosowaniu nowych konstrukcji syntaktycznych, pomysłowy w przekazywaniu odcieni znaczeniowych, aby miały one swój wdzięk poetycki oraz nieoczekiwane trafne odcienie semantyczne.

Do tej pracy i dokonania Ryńskiego jako mickiewiczologa są przykładem dla wielu twórców oraz badaczy ukraińskich. W przedmowie do „Pana Tadeusza” dokonany przez Maksyma Ryńskiego jest świadectwem nie tylko wysokiego poziomu współczesnej sztuki w ukraińskiej kulturze poetyckiej, ale także wspinałymi akordem prawie stuipiędziesięciolietniej historii recepcji polskiego poety na Ukrainie.<sup>11</sup>

Profesor Mychałko Najenko, dziekan fakultetu filologicznego Uniwersytetu Kijowskiego pisze: *Najogólniejszą i wspólną cechę wszystkich studiów Maksyma Ryńskiego nad literaturą polską można określić jako odczucie siły. W każdej pracy pragnie on ukontakować przede wszystkim piękno twórczości i interaktyw. W „Pana Tadeusza” np. widać on ten cud oczami Stanisława Worcła, który powiedział, że „poemat ten jest mogiłym kamieniem polonym ręką geniusza na naszej starej Polsce”.*<sup>12</sup>

Wspomnienia polskiego ukraińcoznawcy Józefa Lobodowskiego, który działał w latach 30-80 XX wieku, uzupełniają wysoką ocenę dokonania Mickiewicza i Ryńskiego w dziedzinie literatury i w kwestii świadomości i emocji nie tylko społeczeństwa ukraińskiego ale i polskiego. Pamiętam, w roku 1937 Henryk Józewski wziął z półki „Pana Tadeusza” w przekładzie Ryńskiego i pokazując mi powiedział, wyraźnie wzruszony: „Gdy czytam tę książkę po ukraińsku, czuję się dumny, że jestem Polakiem”.<sup>13</sup> Relacje Lobodowskiego z lat 50. podejmują próbę oceny Ryńskiego-tłumacza, który potrafił wczuć się w duszę autora *Pana Tadeusza*, w sposób właściwy pojąć jej istotę i po mistrzowsku to zinterpretować w języku ukraińskim. *Dla Polaków Mickiewicz to przede wszystkim „władca autor”, „Pana Tadeusza”, „ukochany” książki na całe życie (obok „Trylogii”), „Dziady” stanowiący obowiązującą (i nudną!) lekturę w szkole i poza szkołę nie wychodzący. Gdy się czyta przykład ukraiński Mickiewiczowskiej epopei, widać od pierwszej strony, jak bardzo tłumacz ciesz się swoją pracą, jak smakuje – i to nie po artystycznym – każde zdanie, jak bardzo czuje się u siebie wśród kłótni wylachy dobroczytelki i pod wylachy się stropami zamku Horezko. Ciekawe – zwraca na to szlachy zważy Maliniek – że na twórczość Ryńskiego nie znać najmniejszego wpływu Słowackiego, którego na pewno przecież czytał. Widocznie liryczny, nie uświeconie się i mistyczne głębie krzemienieckiego archaizacji, który przyznawał się do synostwa „Matki Ukrainy”, mało odpowiadały klasycznie zrównoważonej postawie tłumacza nie tylko „Pana Tadeusza”, ale i – nie zapominajmy! – „Orleńskiej Dziewicy” Woltera.*<sup>14</sup>

Wydaje się, że opinii tej można znaleźć, bowiem Lobodowski na przestrzeni pięćdziesięciu lat poznał i przetłumaczył wielu ukraińskich, roryjskich, białoruskich poetów i jest autorem obszernego artykułu pt. *Strapieniia tłumacza* („Kultura” paryska 1975, nr 6), który może być ciekawą lekturą nie tylko dla początkujących translatorów.

Ryński-badacz i Ryński-tłumacz uzupełniali się zawsze. Przy czym w swojej praktyce przekładowej ukraiński pisarz występował nie tylko jako święty znawca życia, działalności i epoki Mickiewicza, ale także jako znawca języka

polskiego i ukraińskiego. Ponadto odczuwał on najdrobniejsze niuanse semantyczne słowa jako środka artystyczno-stylistycznego w obwydu językach. Jego przekłady świadczą, że sztukę przekładu opusował w sposób doskonały. Uznaje się go za jednego z najwybitniejszych ukraińskich tłumaczy i badaczy literatury polskiej.

Ludmila Siryk



Pavel Wurchol: *Złotnik* b. J., rysunek tuszem, 1999.  
 Fot. Piotr Mławicki (VI Triennale Sztuki Majdaneck 2000)

<sup>11</sup> H. Werwas, *Tom, gdzie ślęzy srebrne fale płyną*, Warszawa 1972, s. 292.  
<sup>12</sup> Mychałko Najenko, *Makym Ryński pro polską literaturę*, „Warszawskie Zeszyty Ukrainoznawcze” 1998, nr 6-7, s. 332.  
<sup>13</sup> Józef Lobodowski, *Scylie i Charybdy ukraińskiej poezji*, („Kultura” paryska 1954 nr 5, s. 41).  
<sup>14</sup> op. cit., s. 41-42.

## WASYL MACHNO

\* \* \*

Ta noc była wolna, niby wolny wiersz.  
Mrówki twojego ciała się krzątały,  
gryziły mi wargi. Jaz był wolny miód  
pełne ich usta. Żył pompowały  
nieprzerwanie do skroni wciąż klując krew,  
brzękły, bez miary tak się rozszerzały  
I ręką sen twój odwracałem  
do moich snów. A ptaki wiary  
nad naszym sadem. I te ptaki  
i marmur nieba, jak płytki podłogi,  
niezgrabne ręce, nieporadne nogi  
w tym chłodnym świetle. My niczasyćni  
niesicy ich, i spłoty się korony  
głów potrąconych, wessały się dni.  
I wolna noc nas, nierozączone sennyh  
w wodach swych kąpie, kąpie w gestym winie.  
Ach jakże słodko, miód powoli płynię  
I szumi ogród. Cieszymy się w snach,  
ta nasza noc, co wojnom stawia tamę,  
gdzie mrówek pełne usta. A świat pachnie  
mrówkami, ich trujących kwasem.  
Jeszcze śnieg bliższy. Sen nam spieszy znów  
z pomocą i bezsilni znów się szukujemy  
do wszystkich wolnych wierszy ust, oczu i nóg.

## Dyptyk na temat poezji

I

pytają  
– po co jest poezja –  
jakbym był poganiaczem ich wiatru  
pastanchem ich wody

przynożą misze żdźbła  
szalenstwa  
obmurwiają nimi swoje wiotkie  
lodzie  
i spółkują jak głuchoniemi

po co poezja  
chyba mogę zdradzić tajemnicę  
jaką czasami w sobie odkrywam  
w jasnych pasmach złotej wody

po co drzewo  
po co ptak  
po co złota skorupa słowa  
rozłupana na dziecięce zabawki

pytają  
milczą  
milczą  
pozostawiam to pytanie  
zapisane jakim topoli  
na piasku  
może woda go nie zmyje

ale białogłowa fala  
zabiera je w pierwotną  
głębię morza

II

kilka pytań pozostaje bez odpowiedzi:  
biały papier – czy łatwiej pisać na piasku  
na kamieniu w powietrzu Być poetą  
księgi powietrza poeta księgi piasku  
poeta księgi wzgórz. Lepiej być  
białymi szatami – zakreślona literą –  
ważne być ziarnem piasku –  
żrenicą ryby – pamięcią rośliny –  
ciągnącą się krwią kaktusa

ważne iść manowcem z kijem  
łocić motylem światła – jeździć ciemności –  
amfiteatrem morskiego dna – głuchym dźwiękiem  
ważne iść do domu – wejść do domu – mieć dom  
przywyknać do przedmiotów do zapachów do siebie –  
jakich odpowiedzi szukasz jakie znasz jakimi  
rozetną mieczami – na jakiej wojnie –  
czyjego żołnierza jakiego wojska w jakie czasy  
czy poetę – ale ważne iść i ważne patrzeć

zaczynasz patrzeć wewnętrzny wzrokiem  
pisać o spowodowanym myśleniu – widoczny odczuciu  
jeźdźców w białych szatach – księgi egiptskie  
rzymskie powietrze – chybliwa kładka wiary –  
świetlista linia szlaku – polyksilne kolory  
ziemskich łuk i polań – owoc ziemskie – i zwierzęta  
chyba nie na komu przykładać muszli do ucha – i słuchać  
porywistych potoków morskich wiatrów – i twojej  
samotnej pieśni

## W barze piwnym Gosser

Po trzeciej halbie piwa  
w kotach papierosowego dymu  
z kudłaty m rzcziarzem  
gadamy o cieniu złotej kobiety.

Rzeka rozmowy pieni się i przelewa  
przez brzeg okrągłego kufła  
ściąkając złotymi kropkami  
na ziemię stołu.

Pamięć przynosi głoty.  
Delikatne tosy jak sad wiosna  
gdzie pachnie wilgotną ciemnością  
lepką krwią sosny  
i ojczyzn każdego mężczyzny –  
ciałem upragnionej kobiety.

Ta kobieta stoi w oknieku  
które kołysze się w pianie piwa  
gorzka

Afrodyta piwnic

to prawic wraça  
: ciepłą formą słowa

: gorzkim piwem

: grubymi liniami monstrualnego ciała

\* \* \*

stać w jaskini światła – i patrzeć na proch Rzymu  
w stodę lichtarza łapać spożerzenie niby rybę

być piwozem smutnym – chodzić ziemskimi łakami  
słyszcząc pełnączną zmię – myśleć ciała ruchami

astronomiczną teorię wykładac przy pomocy zapalek  
pociemnić Chin czytać – wyjąć zza pazuchy kamień

widzieć wszystko jak jastrzęb: wiosny i lata zmianę  
pisać językiem znaków przejrzystym jak dzieci male

być rośliną – miarstem – i mierzać w celli maku  
okien tego mierzkamia nauczyć się jak napły

i dziwić się wszystkim – i mieć pić bechówm chleba  
nimb łamać jak obwarzanek – nakarmić kogo trzeba

nużyć się światem – przy świetle pisać w wierzach powieść  
czasem patrzeć na rzekę – czasem w oczu piaskowi

## Elegia wody

Te łęcze wypily wodę – i ryby latają w powietrzu  
wielka jama światowego oceanu – czarna dziura – pył zamysłu –  
który wyżłaniał się ryba z rak – i powoził pićcioma chlebami  
powroci smutnym wzrokiem wyblęconego jak żagiel światła

rybakcy podchodzą do łodzi przewróconych jak mizurc  
które dźwiczka minowitym, tynek wody –  
wilgotny zapach i pięgi soli – obrydliwie meduzy –  
rozplaszczonymi płamami pokryły linij brzegu.

Poskrzypują łodzie – wiatr suszy im żebra –  
a pozostale sieci kołyszą cieniami zniastat drzew

Warył Machno  
przełożył Bohdan Żadara

## Książki nadesłane

### Poezja

Anna Janke: *Światłość cnaferzenie*. Prószyński i s-ka, Warszawa 2000, ss. 39.

Janefa Dwozdowska: *Rzeka Sólce*. Wojewódzka Biblioteka Publiczna, Białystok 1999, s. 54. Świętojańska Sreńa Poryteka, t. 17. Pod red. Jana Leontowicza.

Zdzisław T. Łazkowski: *Schizofrenia*. Staronajski Dom Kultury, Warszawa 1999, ss. 52.

Dariusz Kostewicz: *Anatomia chwały*. Staronajski Dom Kultury, Warszawa 1999, ss. 92.

Irena Orłowska: *Zmianst korali*. Naczytelni Klub Literacki, Białystok 2000, ss. 31.

Andrzej Stechny: *W chorobie*. Tomaszowski Towarzystwo Regionalne, Tomaszów Lubelski, 2000, ss. 35.

Jan Mąkowski: *Plan pejzazki*. 60 wierszy o przejmowaniu. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2000, ss. 79. Seria: Biblioteka „Toposa”, t. 9.

Tadeusz Dąbrowski: *E-mail*. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2000, ss. 48.

Wojciech Wencel: *Odle chwały dączy*. Biblioteka – Fundacja „Archiwum”, Kraków-Warszawa 2000, ss. 30.

Zdzisław Toczyński: *Psalmi i powieści*. Część druga. I-Print, Lublin 2000, ss. 60.

Paweł Pawłowicz: *Self*. Lampy i lakra Bota, Warszawa 2000, ss. 48.

Karol Malinowski: *Rak w drodze*. „Ruta”, Walbrzych 2000, ss. 47.

Barbara Kłocka: *Wzrostliwe*. Płocki Ośrodek Kultury i Sztuki, Płock 2000, ss. 48.

Dmytro Pawelczuk: *Napawaczki*. Poezja. Przel. z ukraińskiego Bohdan Żadara. Wydawnictwo Literackie: Bibliotekę Wyznaczy Szkoły Humanistycznej, Koszalin 2000, ss. 190. Tekst dwujęzyczny: ukraiński i polski.

Jerzy Ficowski: *Wyższo to czego nie wiem*. Wybór poezjiw. Piotr Sommer. Pogranicze, Sejny 1999, ss. 218 i 182.

Beata Myszkiewicz: *Miejscu*. Stowarzyszenie „W stronę szkół”, Lublin 1999, ss. 25.

Urszula Michalska: *W kolebce czasu*. „Biblioteka”, Łódź 2000, ss. 114.

Krzysztof Liszcz: *Z melodii do ludzi*. Pełhymna, Lublin 2000, ss. 153.

Łucjan Jan Okon: *Niegrający płomień*. Miłocin, Lublin 2000, ss. 58.



rainoznacznych", wygląda na to, że nie znają tam twórczego dorobku na polu ukraińszawstwa R. Luźnego [artykuł] i rozpraw o Akademii Kijowskiej-Mohylańskiej, o literaturze polemicznej okresu unii brzeskiej, hasel w przywołanej już *Encyklopedii literatury polskiej* o twórczości T. Proko-powycza, St. Jaworskiego, P. Mohyly, L. Baranowycza, S. Kosowa, L. Gorkiego (tego ostatniego, nawiasem mówiąc, nazwem *Luźny* pisarzem ukraińskim, w odróżnieniu od hasła o Gorkim w drugim tomie *Ukraińskiej encyklopedii literatury*, które określa go jako pisarza ukraińskiego i rosyjskiego); rozpraw o chrześcijańskich motywach sakralnych w twórczości G. Skowrody, Lesi Ukrainki, wreszcie o znaczeniu i historii literatury ukraińskiej i problemach polskiego ukraińszawstwa, do tego trzeba dodać studia W. Mokrego o ukraińskim romantyzmie i przepiekną interpretację motywów biblijnych w twórczości T. Szewczenki w tym czasie, kiedy na Ukrainie niekiedy nawet nie miał odzwierciedlać relacji między Biblią a literaturą (zob. *Taras Szewczenko w kręgu lektur biblijnych*, w *Zeszytach Naukowe KUL*), 1982 nr 2/4 s. 115-147). Zresztą, o czym świadczą fakty, nieprzełanymi w Kijowie pozostały także „Warszawskie zapiski ukraińszawcy”. Otu publikacji wspomina się w hasle o profesorze St. Kozaku w drugim tomie encyklopedii, ale żadnego odświadcza do „Zapiszków...” nie znajdujemy. Chociaż jak można w encyklopedycznym artykule o modlitwie nie wspomnieć rozprawy *Ukraińskie modlitwy literackie (okres Rusi Kijowskiej)* W. Mokrego z pierwszego numeru wspomnianych „Warszawskich Zeszytów Ukraińszawczych” (Warszawa, 1989, t. 5, s. 55-73), w którym również jest artykuł R. Luźnego *Wier religijny w dawnej poezji ukraińskiej (1775-1647)*, jak też studium J. Hryckowycza *W kwestii „Młodej muzy”,* też nie wspomniane w hasle *Młoda muzyka*. Milczącej już o nowszych osiągnięciach polskiej, zwłaszcza warszawskiej, ukraińszawczy. W omawianym trzecim tomie *Ukraińskiej encyklopedii literackiej* nie ma żadnych odniesień do czasopisma „Slavia Orientalis”, które w ciągu całego swego istnienia (niemal 50 lat!) drukuje materiały ukraińszawcze (i to nawet po ukraińsku!).

W ogóle logika przy układaniu bibliografii w encyklopedii jest niepejsetna. W tym tomie (jak i w dwóch poprzednich) brak bibliografii obcojęzycznej (oprócz dwóch trzech par), w szczególności o twórczości M. Kulisy i M. Kocubinińskiego w języku angielskim i polskim i przestarzałych prac na temat modernizmu. I to wtedy, gdy nawet w rzadziejszych encyklopediach podawano obcojęzyczną bibliografię (przypomnijmy *Małą encyklopedię literatury*). Chyba tak powinna być poziom nauki uniwersyteckiej? Do niedawna wprawdzie ukraińskich studiów czasami dotyczyło. Oto w artykule o Janie Kochanowiczem nie wiadomo czemu nie wspomniana jest ani rozprawa M. Rabczaka *Jan z Czarnohoru („Wieswyt”, 1980 nr 10, s. 159-167)*, ani liczne uwagi T. Szewczenki o twórczości tego najwybitniejszego poety polskiego Odrodzenia i jego wpływie na literaturę ukraińską (w szczególności o echu polskich *Pracek* Kochanowicza w *Dioptryi* Witajli). I w zasadzie cała literatura o Kochanowiczem sprowadza się do jednego artykułu M. Bazana. W bibliografii do encyklopedii w ogóle nie wykorzystano materiałów harwardzkiej studium ukraińszawczy, choć jeszcze w 1992 roku w Kijowie opublikowano indeks do tomów 1-15 (1977-1991). W hasle o profesorze F. Nicuważnym nie wspomina się o jego książce *O poezji ukraińskiej od Iwana Kotlarewskiego do Liny Kostenko* (Białystok, 1993).

Nie mniej dziwne wydają się i własne zasady naukowego wydania. I tak w hasle *Nastawienie* nie ma żadnej wzmianki o niemości (odczelnego artykułu o niemości też nie ma). Jakby możliwe było teoretycznomożliwe wyłączenie nastawienia bez antycznej kategorii niemości. W hasle poświęconym mitowi czytamy: *Mity o Chrystusie znaczenie różnią się od poprzednich mitów – to człowiek miał określać swą życiową orientację w drodze wolnego wyboru, a nie pod presją świadomości zbiorowej... Przejście chrześcijaństwa przez państwo Rurykowiczów oznaczało użycie przewagi na pola piśmiennictwa właśnie mity o Chrystusie jako ontologicznej i estetycznej osnowy tego piśmiennictwa, absolutnego panowania w nim staro- i nowo-*

*testamentowych modeli świata... Mity Chrystusie w ukraińskiej literaturze pięknej i myśli filozoficzno-politycznej okresu baroku stały się fundamentem idealnego świata postępczej ludzkiej duszy i całego historycznego bytu... Mit chrześcijański w pełni zachowuje swe znaczenie w literaturze ukraińskiej XIX wieku (wszystkie podkreślenia moje R.M.)*. Jakby Pismo Święte w kulturze ukraińskiej przyjęło się jedynie w paradygmacie mity. A może dla ukraińskich pisarzy epoki baroka Biblia była mitem? W tym samym artykule o micie nie ma wzmianki o takżanaj na dzisiejszej Ukrainie i poza jej granicami praktyk, jak książka G. Grabowycza *Szewczenko jako mitotwórca* (ukraiński przekład opublikowano w Kijowie w 1991 roku).

Wreszcie przykłady zupełnie niepejsetne. W hasle *Krytyka literacka czytamy, że jest to jedna z trzech głównych gałęzi nauki o literaturze, rodzaj działalności twórczej, ściśle powiązanej z historią teorii literatury* (s. 63). A w hasle *Nauka o literaturze* (tego samego autora – W. Brychowińskiego) mamy: *nauka o literaturze pięknej, która łączy dwie główne gałęzie: historię literatury i teorię literatury*. Dlaczego w jednym przypadku dwi, w drugim trzy – nie wiadomo. W hasle *Narodowe i międzynarodowe w literaturze czytamy o dyalektyce współzależności między narodowymi i międzynarodowymi, że w ich jednolitości realizuje się to, co ogólnoludzkie i żadnego (!) słowa o idei narodowej w literaturze ukraińskiej, żadnego nawiązania do idei I. Franki, D. Doncowy, J. Lypy, J. Malanuki, o problemie narodowym*. Zauważmy, że wszystko to w czasie, kiedy na Ukrainie toczą się na ten temat ostre dyskusje, drukowana jest poważna literatura, kiedy praktycznie w każdym ukraińskim czasopiśmie można znaleźć odgłosy polemiki co do idei narodowej.

Z niewiadomych powodów do trzeciego tomu encyklopedii nie weszły hasła o kulturalno-historycznej szkole w nauce o literaturze (choć inne szkoly mają osobne hasła), o metafizycznej poezji angielskiej i mistycznej niemieckiej, o całym szeregu wybitnych poetów literatury ukraińskiej (literatura antyczna – Ksenofont, Lukan, Lwiusz Andronikus, Lwiusz Titus, Mimenzenos, Lukrecjus, literatura europejska: Kotebuwe, Labé, Labruver, Laclot, Lafajet, Lastrucmont, Luter, Marinetti, Mermeie, literatura żydowska: Majme-Tides, Mendelsobn. Nie ma wzmianki o klasykach literatury wschodnich: Nasipie, Muzakow, Mestropo, Mastroio (wybitny ornamiści krzewiciel orszpacy, twórca ornamiści alfabetu), o jednym z największych rosyjskich filozofów XX wieku, filozofii klasycyzmu O. Losiewie (jego prace, nawiasem mówiąc, drukowane były po ukraińsku). Dodam, że prawie wszystkie wymienione nazwiska występują w dodatkowym tomie do zbranych w pięcioczęściu tomach dzieł Iwana Franki (Kijów, 1989). Czyż wypada nam dzisiaj być mniej otwocymy, niż w przeszły czas był Iwan Franko? Czy mamy wszystkie nazwiska nalezy również do jednej z najznakomitszych postaci naszej kultury?

No cóż, wróćmy do problemu stosunków ukraińsko-polskich. O ile poemiście całego szeregu wybitnych polskich pisarzy jakoby można zrozumieć (chodzi, powiedzmy, o ukraińska encyklopedię literacką, a nie polską czy światową), to jak wyjaśnić nieobecność w encyklopedii artykułu o Miriamie (Zanemie Przesmyckim), którego wiersze przekładał Zerow, o którym pisał I. Franko? (*Dopowiedzenia Miriamy*, w I. Franko: *Dzielo zerowca w 50 tomach*, t. 29 Kijów 1981, s. 116-121).

Nie ma w omawianym tomie hasła Jana Lechonia, jednego z tych poetów, dla których los stosunków między Polską i Ukrainą był w tymże czasie, że znalazł wyraz i ich twórczości. Dziwi to tym bardziej, że wiersze Lechonia były tłumaczone na ukraiński i drukowane w znanej dwutomowej antologii poezji polskiej (Kijów 1979, wiersze Lechonia w drugim tomie w przekładzie W. Zetkowi Myjle, ze historyczną retrospektywą i historyczną perspektywą stosunków między Polską i Ukrainą za wypianale ukazane w znanym z antologii wierszu Lechonia *Sen srebrny Salomei*, napisanym na motywach dramatu Słowackiego pod tym samym tytułem z mottem ze Słowackiego *Ach, Ukrainy nie będzie...*

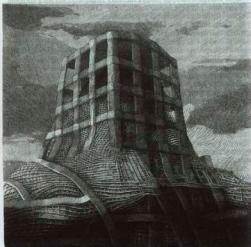
*Przyzy kolpak sobowi nasz zachwylą głow,  
Czaple pióra z ogromną brzozą brylantow,*

*Rzecz diamentowa, co żupan z ałtisu żapina,  
I wielka krzywka łata jak morze konula,  
I jęki konających powoli na palu,  
Moja wina i twoja. Nasza wielka wina.*

Ważnym wyznacznikiem w duchu świętej spowiedzi (mea culpa), które swoimi korzeniami sięga imperyumu moralnego Kanta i które w naszej całkiem niedoległej przeszłości zostało ogłoszone jako dewiza powszechnego zbawienia – Przebaczymy i prosimy o przebaczenie – oto co wyczytujemy w słowach polskiego poety. To właśnie, czego tak nam brakuje przy rozmowie o polsko-ukraińskich stosunkach w przeszłości.

Moje uwagi nie wyczerpują braków trzeciego tomu *Ukraińskiej encyklopedii literackiej*, ale dotykam tylko polskiej tematyki na jej kartach. Bronię Boże, żeby w tych gorzkich uwagach o stanie ukraińskiej akademickiej nauki o literaturze dało się odczytać zniewagę lub snobizm prowincjusza. Tym bardziej że w publikacji tej znajdujemy także święte hasła o P. Kuliszu, Mazepie (dodam tylko, że balladę o Mazepie napisał B. Brecht), F. Korszu, o wielu zapomnianych czy mało znanych pisarzach z XIX wieku, twórcach ukraińskiej kultury, represjonowanych w XX wieku, wreszcie mamy przepięknie wzmiante o Kryworówniu, gdzie schodziły się i schodzą „krzyżujące się ścieżki” ukraińskiej kultury. I tylko chciałoby się wierzyć, że kolejny, czwarty tom będzie naprawdę naukowy i naprawdę akademicki.

Roman Mnich  
przełożyła Natalia Jurak



Kryzostof Skórczawski: *Krew*, miedzioryt, 1996.  
Fot. Piotr Maciński (V Triennale Sztuki Majdaneł 1997)

LUDMILA TARAN

## W kwestii postmodernizmu

Marii Zubryckij

Fanaberie Fryderyka Barbarossy  
Spory imperwów o Konstantynopol  
Teorie ironii Richarda Rorty'ego  
Plany Rorschacha  
Ulica Czynną październikowego  
Shupy pobitełone nieświęte gamki  
Nic zycie a ogólny postmodernizm

Ostrzał przyzrydekcyjnej rezjendencji  
Wyposażonej w bojową broń  
Perystaltyka peryskopów skurczona diaspora  
Akrobaci na wielbłądach wielbłądy na akrobatach  
Trochę codziennej Apokalipsy  
Koniec świata za każdym rogiem  
Zaprzysz się rogiem i sobie dalej żyj  
Postmodernizm gdzie twoja skóra  
Palimpsest kilku epok i reżymów

Umberto Eco: *Opera Aperta*

\* \* \*

Fajerwerki, lizanie lodów i oblatpianki w połamanych krzakach –  
Taki jest program ludowego święta?  
Boże, Boże, i ty dopuszczasz  
natrze dusze na Twoją ziemię –  
I teraz tutaj mnoży się tylko podłina...

To linieca, rozkwitające picikło, gdzie pokury  
wabią niezmiernością,  
I szalczyno leci do święcy  
Nasze ciało zaśpiciłone, ciemne, które rosło i starzało się na próżno:  
Tylko proch, i popiół, i rozkład...

Marmosć i marmosć, i gonitwa – aż w oczach zapłonę czerwono,  
Lecz żenia się zyczące ogniem charty,  
Opamiętawisz się i duszę objawisz jak dziecinę, spytasz;  
No i czemu ciągle płaczesz we śnie?



\* \* \*

Ukryta mechanika liście,  
Archaiczna podstawa skrzydła  
Wieczna optyka oka i łuski  
Jak trwała – nie wiemy.  
Ze środka – skrótowy perspektywiczne ciała i pulsowanie krwi.

Popatrz:

Fotografie snów i fabula  
Robaczyczości,  
kroków koślawych,  
Co zostawiają koronkowy haft,  
Kiedy zając obcą kórę.

Dzieci śmierci we mchu czstują,  
Ale ja ich nie słyszę. Na drie –  
Zastopione zakwaszone resztki  
Okrętowych awarii, ulamki  
Snów, obraz zaskorupałych.

Oblatują wyrwane skrzydła.  
Tam – kretynka, ochrypla od krzyku,  
Która nie wie, do kogo wola  
I o co błaga.  
Obejrzyj się –  
Tylko cieżciwa w tobie, tylko plazma,  
Jeżycze nie nazwana, pływa niema –  
W oceanie ślepe ziarenko ikry.

\* \* \*

Topografia snu: młoda, niecierpliwa pomarańczowa  
nitka,

Co smuje się między nami. A strach –  
To siostra moja młodsza czy brat?  
Uciekam za róg i biegnę –  
Spotkane gąłczę smagają po oczach.

Topografia snu – korytarz, migotanie  
niepochywnego losu,  
Rozblysk i plusk wodnego ocha.  
To, czego nie było, ożyje  
I się zamknie. Ryba smutna  
Wpływa do serca i płacze.

Topografia snu – rzeka, podświetlona  
przez delikatny kamień,

I cień blakający się po piasku,  
Płynne ciało i dotyk wody,  
Przemiana wodorostów i istnień –  
I zawsze bardziej ostra, niż naprawdę.

126

\* \* \*

Dochodzący z daleka głosy, padają do doliny  
i się sączą

Drzenie i zmosfera obsiadają wies  
Każdą jej żyłkę ocapiwszy rękami  
Wszystko miękkie i rozmyte, podane i młode –  
Ciało lata.

Nasze ciepłe korony i miódopłyna usta,  
Nasze pełne stoly, nasze ręce, płynące i szacere –  
Echo ciagle jeszcze dolatuje tutaj,  
Na czubeczek zimy.  
To przyniesione, noc i szklana zamarmaznia droga...  
Wiesz – bąk, nie księżyc, nise śnieg i nie linia rąk  
A ciagle trwożne milczenie struny  
I chyba żeby się zwinąć i spać, ale co to za sen –  
Bestiariam i tłum, i z wnętrza rwa się na wolność  
Nieoswojone psy...

Ludmila Taran  
przetłumaczył Bohdan Zadara

## Książki nadesłane

### Poezja

Ela Ostrowska: *Światłem być*. Norbertinum, Lublin 2000, ss. 37.

Piotr Rogalski: *Figlarny Aśd nieświatości*. „Magazyn Literacki”, Warszawa 1999, ss. 63.  
Lesław Jan Urbaszek: *Czerwona plonka krwi w szarobliwej wierzchołcinie*. *I nasse alone del sangue nell'incontrauto del mondo*. Tharmaczenie na język włoski Mira Michalska-Costa „Safetina”, Szklawa Wola 1999, ss. 99.

Agneska Sobót: *Całe Łana park*. ZLP, Kraków 1999, ss. 65.

Wojciech Śmigajski: *Skrzypce Maryjuzje*. Rybniki Magdalena Gryka, Mazurzy Zemi Lubuskiej, Zielona Góra 2000, ss. 61.

Jacek Koszowski: *W Baska nowy*. Polihymnia, Lublin 2000, ss. 104.

Kazimierz Koszowski: *Szopy szpitolne*. Polihymnia, Lublin 2000, ss. 36.

Agneska Wolny: *Miemo pasażażowa*. Oficyna Wydawnicza ATUT, Wrocław 1999, ss. 48.

Władysław Klepa: *Bordilawa z akontem*. *Wiersze dawne i nowe*. Pro Libris, Zielona Góra 2000, ss. 66.

127



tajnej opozycji. Smakali takich form autoekspresji i takich idei, które stawiają poezję poza granicą polityki, ale nieustannie wywierającą wewnątrznie sprzeczną istotę człowieka, który musi żyć w niesprzyjających warunkach społecznych i ideologicznych i onadzać sobie nie zawsze szlachetne uczynki zgodnie z ogólnoludzkimi zasadami moralnymi.

Przyjmując za aksjomat walkę dobra i zła w duszy ludzkiej, skupili uwagę na upragnionym, idealistycznym zwycięstwie dobrego początku nad złem, a na tym, że zła nie można pokonać, bowiem w zasadzie stwarza ono pewne dło, na którym i dzięki któremu swe właściwości – również niezmieritelne – ujawnia dobro.

Ironiczne spojrzenie na historię, myślenie paradoksalne, charakterystyczne dla polskich poetów nie wyklucza oczywiście oczywistego faktu – właśnie słowo poetyckie jest nośnikiem niezłomnej polskiej świadomości narodowej.

Intelektualizm polskiej poezji, jest, na szczęście, nie zawsze tylko ironią i paradoksem. Ma on w sobie ukryta bolesność, wrażliwość, a więc działa tak, jak powinna działać prawdziwa poezja.

Dla nas ważne jest do najwybitniejszych postaci polskiej literatury należą pochodzący z Ukrainy. To Juliusz Słowacki, Leopold Staff, Jarosław Iwaszkiewicz, Zbigniew Herbert i Andrzej Kuśniewicz. Ten ostatni, co prawda, bardziej znany jako prozaik. To oczywiście, że wybierając utwory do tłumaczenia, brałem pod uwagę i ten aspekt.

Znajomości polskiej kultury, w szczególności polskiej poezji nigdy nie będzie Ukraincom za wiele. Ukraina i Polska, nierzadko, po stuleciach trudnych i nawet krwawych stosunków mają wspólny pogląd na swą przyszłość w zjednoczonej, demokratycznej Europie, razem tę swoją przyszłość budują, jako dwa równoprawne i jedno drugiemu niezbędne do życia państwa.

Jestem przekonany, że istnieje coś takiego jak stażowski literacki między narodami i że mają one wielkie znaczenie dla prawdziwego porozumienia między nimi. Ale nie chciałbym ograniczać ich do politycznych czy ideologicznych ram. Istnieje literacko-artystyczna jedność Europy, w którą w przeszłości my, Ukraińcy często wypisywaliśmy się dzięki wzajemnemu oddziaływaniu ukraińskiego i polskiego piśmiennictwa. Właśnie na to obliczona jest moja księga przekładów – tworzę razem z Polakami nie tylko wspólne wartości polityczne, ale i artystyczne o ogólnoeuropejskim znaczeniu.

28.02.2000, Warszawa

Dmytro Pawczyko  
przełożyła Natalia Jurak

## Książki nadesłane

### Wydawcy różni

Piotr Gziesik. *Kormoran. Rysunki Piotr Pociuk. Bariń i Suszczyński, Kraków 1999, ss. 88.*

*Universitet w Turku a Pałacy. Rola doradczych w polskiej nauce, kulturze i polityce XIX i XX wieku.* Pod red. Siergieja G. Iakowa i Jany Lewandowskiej. UMCS, Lublin 1999, ss. 214+32 złote.

Roman Honek, Marijona Czyżkowiak. *Antologia nowej poezji polskiej 1990-1999.* Zielona Sowa, Kraków 2000, ss. 368.

## plastyka

LECHOSŁAW LAMENSKI

## VI Międzynarodowe Triennale Sztuki Majdanek 2000 Historia i teraźniejszość

Gdy w maju 1980 roku ukazał się pierwszy numer „Akcenta”, dział plastyki wypełnił w całości obszerny artykuł Ireneusza J. Kamińskiego pt.: *Sztuka przeciw wojnie*. Tekst wziętego lubelskiego krytyka sztuki miał charakter przekrojowy, a zarazem podsumowujący. Pretekstem do jego napisania było otwarcie na Majdanek pięć miesięcy wcześniej – we wrześniu 1979 roku – szóstej wystawy *Przeciw wojnie*. Wystawy o charakterze międzynarodowym, w przeciwnieństwie do pierwszej z 1962 roku spowinowatej nieco przydługim tytułem: *Martyrologia i walka narodu polskiego w latach 1939-1945, zorganizowanej w samym Lublinie, jeszcze poza terenem Państwowego Muzeum na Majdanek (istniejącym już od przełomu 1944/1945)*. O ile w wystawie z 1962 roku uczestniczyło zaledwie 44 malarzy, grafików i rzeźbiarzy z różnych ośrodków w kraju (m.in. Michał Bylina, autor znacznego niemal wszystkich namalowanych szkół podstawowych w tamtym okresie – z reprodukcji w podręczniku do historii – wymownego plakat *Lenino*), to w wystawie z 1979 roku wzięło już udział kilkudziesięciu artystów z dziesięciu krajów (Austrii, Czechosłowacji, Kuby, Mongolii, NRD, Polski, RFN, Rzymu, Węgier i Związku Radzieckiego).

W gronie uczestników pokazu z 1962 roku najwięcej było jeszcze artystów w sile wieku lub starszych, wręcz plastyków kombatanów, o określonej formacji politycznej, których twórczość obfitowała w tendencje figuratywne bliższe realizmowi i ekspresyjnemu kolorystyce. Znaczenie skromnie wygładza natomiast reprezentacja młodego pokolenia artystów, mniej zainteresowanych przynależnością do ZSMP czy PZPR, a bardziej najnowszymi prądami w sztuce światowej. *W rezultacie na wystawie – pisał Ireneusz J. Kamiński – domnowal kronikarski zapis wydarzeń z wiadomego okresu, pod względem formalnym podporządkowany kilku schematom ikonograficznym: pochód leńnych ludzi, monumentalne sylwetki partyzantów i żołnierzy, wieżowiec w postaci lub z numerem obocznym na pierś. Pod tym względem szóstą wystawę z 1979 roku sprawiła wrażenie znacznie bardziej swobodnej, otwartej na wszelkie nowinki formalne. Znalazły się wśród nich – zdaniem Kamińskiego – dzieła przekonywające, sugestywne, o oryginalnej poetyce – mimo że także miały charakter epifonów.*

W tej sytuacji Ireneusz J. Kamiński, słusznie podejrzewając, że w przyszłości wystawa *Przeciw wojnie* – o ile przetrwa – może wzbudzić zainteresowanie nie tylko w Europie, ale i na innych kontynentach, uznał za potrzebę chwili wysmakowane takżaki nowej formuły manifestacji dla wystaw organizowanych na terenie byłego obozu koncentracyjnego. Krytyk pisał: *zasadny organizacyjno-ideowy, które spełniły swoje zadanie w dotychczasowych wa-*

runkach, mogą (...) okazać się bezużyteczne w przyszłości, bo – mówiąc banalnie – świat się zmienia, świadomość ludzka także, a zagrożenie wartości humanistycznych ciągle przybiera inną postać i na odmiennych obszarach życia się sytuuje. Może więc pożyteczne okazałoby się przekształcenie wystawy na Majdanku w cykliczne forum, na którym międzynarodowa artystów wypowiedziałaby się na temat najbardziej palących i niebezpiecznych dla gananku ludzkiego zjawisk współczesności?

\*\*\*

Dwadzieścia lat później, w maju 2000 roku, równoległe z opublikowaniem podwójnego numeru „Akcentu” (79-80), otwarto w Państwowym Muzeum na Majdanku w Lublinie wystawę prac nadesłanych na VI Międzynarodowe Triennale Sztuki Majdanek 2000.

Jak wynika z tytułu było to już szóste Triennale, ale trzecie w nowej formule. A wszystko zaczęło się od decyzji o ostatecznym zrzuceniu wyznaczenia cyklicznych wystaw *Przeciw wojnie* ogłoszona – 1 września 1983 roku – I Międzynarodowe Triennale Sztuki *Przeciw wojnie* – Majdanek 85. Honorowy patronat nad imprezą przyjęli: UNESCO oraz minister kultury i sztuki Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Z nadesłanych wówczas 899 grafik i rysunków 362 autorów z 29 państw międzynarodowe jury zakwalifikowało do ekspozycji – czymże od 9 maja do 15 października 1985 roku – 471 prac 219 artystów, na czele z reprezentantami branych krajów socjalistycznych, a także Kosańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej i Kuby oraz tak egzotycznych – z naszej nadwieloletniej perspektywy – jak Puerto Rico czy Uruguay. Naturalnie, jury przewodniczył artysta grafik z ZSRR – Iła Bogdesko, a niemal wszystkie nagrody, łącznie z najbardziej prestiżowym Grand Prix Triennale, otrzymali artyści z bliskich nam krajów. Grand Prix zdobył – chyba zasłużenie – Czech Jiří Andrler, za zestaw trzech sugestywnych grafik: *Eliša*, *Zobierz z matką i dzieckiem oraz Zobierz i warczona* (wykonanych w technice mezzotinty i collages), w których radość portretowania plastikiej sylwetki ludzkiej sprostowanej do delikatnej kreśli konturą połączona została z interesującą próbą wprowadzenia w przestrzeń kompozycji ekspresyjnych elementów tasiemkowych, wybuchających niczym bukiety drobnych kwiatów na wysokości piersi, tworzących szalenie dynamiczny układ z modylowanymi światłocieniowo twarzami i fragmentami rąk. Pozostałymi nagrodami regulaminowymi podzielili się żołnierze sztuki kubańscy, radzieccy, koreańscy, węgierscy, czeskosłowaccy i polscy; jedynie w dwóch innych znaczących przypadkach uhonorowano artystów zachodnioeuropejskich – austriacki i Niemca z RFN.

Naturalnie trudno się dziwić takiemu podziałowi nagród. Co prawda był to już rok 1985 i generał Jaruzelski oraz jego ekipa z coraz większym trudem walczyli o poparcie dla swoich decyzji i poczynali, w tym również na polu działań kulturalnych. Mimo niechęci do hardzającego z miasteczka na miasteczka społeczeństwa, szlachano z nim dialogiem, w każdym bądź razie stwarzano jakieś pozory. Powołanie do życia Międzynarodowe Triennale Sztuki *Przeciw wojnie* miało być – jak sądzić – świętym wentylem bezpieczeństwa, próba rozszerzenia i przekształcenia dawnych bezwartościowych ogólnopolskich wystaw *Przeciw wojnie* z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych na cykliczne Triennale z udziałem twórców z całego świata. Niestety, ciągle obowiązująca formuła „przeciw wojnie” zawrzała pole wypowiedzi plastycznej, niewątpliwie bliższe pod względem ideologicznym grafikom i rysownikom z krajów demokracji ludowej, niż przywykłym do pracy twórczej bez żadnych ograniczeń artystom z krajów kapitalistycznych. Ponadto Majdanek, jako miejsce kaźni kilkuset tysięcy ludzi z kilkudziesięciu państw, nawsunął zło skojarzenia w tych krajach, gdzie próbowano zapomnieć o haniebnej przeszłości, budując nową rzeczywistość pozbawioną rozdrapania lodow zbliżonych ran. Zachód był więc początkowo reprezentowany dość skromnie i z reguły nie byli to twórcy najwyższego lotu. Mimo to przez ponad pięć miesięcy trwania wystawy obejrzało ją około 110 000 osób z Polski i zagranicy.



Jiří Andrler: *Zobierz i warczona*, mezzotinta, collage, 1985.  
Fot. Andrzej Polakowski

W wieloznaczni dzieł przedstawionych na Triennale zwraca uwagę skąpano, zdyscyplinowana artykulacja treści związanych z przesłaniem wystawy, interpretowanym zazwyczaj metaforycznie – pisal we wstępie do katalogu Ireneusz J. Kamiński, tym razem już komisarz artystyczny Triennale. – *Wstusłowskiu niewielkiej grupie prac do głosu dochodzi mocniejsza ekspresja – czytamy dalej – budowana przy pomocy dynamicznych rozstrzygnięć formalno-semantycznych lub też skłonność do roczniętej narracji obrazowej. Rzadziej niż przed kilka laty artyści przywołują tematykę hitlerowskich obozów koncentracyjnych, jakby zacieraną w pamięci przez dramatyczny*



Jaak Tjebk: *Moje małe apokalipsy*, mezzotintaz 1990.  
Fot. Izabella Maleska

*bieg wydarzeń współczesnych (Salwadory, terroryzm) czy też zatrzęsienia w historii (lata pięćdziesiąte), ale i szasidomowych powodów ciągłe gódnienie. Gdzie rozpoznawających (twoja konstatacja). Pojednacza występują również motywy kryzys atomowego, egzekucji i tarczy strażniczej z twarzą człowieka (...) Głównym tematem tej wystawy jest w istocie jedynostka ludzka, żyjąca w stanie permanentnego zagrożenia, oszołona i zamurzona w cichej rozpacz.*

Jedeli porównany obie wypowiedzi Ireneusza J. Kamińskiego, tę z 1980 roku podsumowująca sześć wystaw *Przeciw wojnie*, a zarazem postulująca potrzebę pewnych istotnych zmian w przyszłości, i tę ostatnią – z 1985 roku – to dochodzimy do wniosku, że w programie i charakterze wystaw na Majdanku przekształconych w Triennale tak naprawdę niewiele się zmieniło. Nadal liczył się przede wszystkim aspekt ideologiczny (wymowa dzieła), choć może w bardziej zakamuflowanej postaci, z pozorami akceptacji sztuki bezprzemyślanej, skierowanej na rozwiązywanie istotnych problemów formalno-warsztatowych.

W efekcie III Triennale (1988) upodobiło się do tego wszystkiego co towarzyszyło miejscu odwołania Triennale, a w szczególności wystaw *Przeciw wojnie* w latach poprzednich. W nadesłanych na konkurs pracach, zwłaszcza tych z państw socjalistycznych, na czele z reprezentantami ZSRR, w dalszym ciągu można mówić o dominacji tendencji realizacyjnej, o figuratywnym i dydaktycznym traktowaniu wątku martyrologicznego, o gloryfikacji problemu walki i męczennictwa. Mimo to jury, zdumiewanie przez artystów polskich, pod przewodnictwem Gabriela Belgemne, artysty grafika z Belgii, przyznało Grand Prix Michielowi von Overbeekowi z Holandii. Ogładanie po latach badań, tylko z nazwy czarno-białych reprodukcji w katalogu wystawy pozwała mimo wszystko uznać decyzję jury za trafną. Wykonane w technice akwaforty

i akwatyny rycin von Overbeeka cechuje świeżość i delikatność, a zarazem swoboda wypowiedzi bliska abstrakcyjno-figuratywnym pracom Paula Klee. Wyraźnie zmniejszyła się jednak liczba nadesłanych prac.

Tendencja spadkowa utrzymała się także podczas III Triennale (1991), drastycznie zmalała zwłaszcza liczba prac ze Związku Radzieckiego, gdzie jeszcze do niedawna motywy antywojenne były uważany za jeden z najważniejszych w sztuce. Z obszaru b. ZSRR nadesłali prace tylko graficy z Estonii i Ukrainy, zabrakło na Majdanku Rosjan, byli natomiast Niemcy, Ale właśnie wówczas po raz pierwszy Grand Prix otrzymał Polak – Jaak Tjebk, autor *Mojej małej apokalipsy I, II, III*, trzech akwafort uzupelnionych o partie wykonane w technice mezzotinty, w których elementem dominującym jest ludzka twarz o dużych, pełnych wyrazu oczach, twarz człowieka cierpiącego, zaszuszonego z rący swego niemieckiego pochodzenia, człowieka samotnego, zapuśnionego w chaosie otaczającego, pełnego okrucieństwa świata. Wśród nadesłanych nie było już ani jednego reprezentanta dawnożywej sztuki politycznej, nie licząc artystów rodzinnych. Tym razem triumfowały Japonczycy, wśród laureatów znalazł się także Szefer, Holender, Belg i Jugosłowianin. Towarzyszący wystawie katalog miał znacznie lepszy papier, dzięki czemu czerń reprodukowanych rysunków i rycin była czernia, b, udało się nawet wychwytać subtelne różnice walorowe. Mimo usilnych starań wielu artystów aby uniknąć dowolności, cały szereg prac nasywano w dalszym ciągu skopozacją z epokami dawno już przeżyłymi. Pod względem tendencji i stylizacyjnych można było odnieść wrażenie, że nadal aktualny jest ekspresjonizm w wydaniu niemieckich reprezentantów grupy „Die Brücke”, a także prosta i sugestywna sztuka figuratywna tak preferowana i akceptowana przez systemy totalitarne, collage i fotomontaże oraz tendencje surrealistyczne sprawdzone do gry coraz bardziej uduchowionych form. Na te trochę bezbarwne prace artystów obcych całkiem niezłe zaprezentowali się Polacy, których kompozycje pozwalały dzielić, że Triennale na Majdanku to nie wydarzenie kulturalne trzeciej klasy.

Mimo że tym razem Triennale wzbudziło nieco większe zainteresowanie na zachodzie Europy, organizatorzy zdali sobie sprawę, że w nowej rzeczywistości (po wydarzeniach politycznych roku 1989), zarówno w Polsce jak i w wielu krajach Europy Środkowo-wschodniej dotychczasowa formuła Triennale nie ma większych szans na przetrwanie. Dlatego też z nazwy kolejnego, IV Triennale (1994) – księż wyślą do Paryża Zdzisław Niesporek, za bezdziej „historyczne” rysunki suchą igłą wyraźnie nawiązujące do środków wyrazu stosowanych w latach 1905-1910 przez twórców ekspresjonizmu niemieckiego – zniknęło określenie „przeciw wojnie”. Zgodnie z zamierzeniami organizatorów formuła Triennale stała się bardziej otwarta, pozostawiono artystom większą swobodę, co doprowadziło do znacznego zróżnicowania stylistycznego nadesłanych prac, które stały się bardziej aluzyjne, mniej dosłowne, bardziej intelektualne na wyobraźnię. Twórcy Triennale konsekwentnie przestrzegali jednego – zresztą od samego początku – aby były to wyłącznie grafiki, rysunki i fotografie lub inne media na papierze, o formacie nie większym niż 100 x 70 cm. Te trzy sposoby wypowiedzi plastycznej stały się obowiązującym kanonem dla wszystkich artystów zainteresowanych udziałem w Triennale. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Już w wspomnianie IV Triennale nadesłano rekordową – jak się wówczas wydawało – liczbę prac: 1958, które stworzyło 692 autorów z 48 krajów.

Tendencja wzrostowa została utrzymana także na V (1997) Triennale, na którym pełnym blaskiem zabłyszał talent Leszka Kijajńskiego, laureata Grand Prix za porwające linoty *Topografia twórcy I i Rekonstrukcja 5*. Mistrzostwo w opowiadaniu pozmie prostej i jednodziejnej techniki linoty, której autor nadal całkowicie nowe brzmienie wyrazowe, wręcz namacalnie przestrzennie pojętych głów ludzkich, głównych elementów obu kompozycji powoduje, że widać mimo woli wkraja w niemożność, pełen tajemnic i koszmarów świat ludzkiej podświadomości, w świat pełen zamięta, a zarazem tęsknoty za ładem i harmonią.



Leszek Kijakowski. *Rokosznikowie*, 3. litoryt, 1997.  
Fot. Izabella Matejka

O tendencji wzrostowej należy również mówić w przypadku ostatniego VI Triennale, na które wpłynęło aż 3148 dzieł, tym razem efekt pracy 1014 artystów z 55 państw. Względy ekspozycyjne zadcydowały, że na wystawie pokazano jedynie 544 prace 302 artystów z 45 państw. Tak więc międzynarodowe jury pod przewodnictwem Zbigniewa Lutoskiego, artysty grafika, prof. ASP w Krakowie, miało w czym wybierać. Ostatcznie Grand Prix otrzymał Paweł Warchol z Polski, przyznano również tradycyjnie kilka nagród specjalnych (które zdobyli: Victor Manuel Hernandez Castillo, Meksyk; Leonardo Gotlieb, Argentyna; Patryk Lutomski, Polska; Jinan Kobayashi, Japonia; Jan Ferenc, Polska oraz Ghislave Sosnowski, Francja), a także równorzędnych (Yuji Hiratsuka, USA; Julia Jarz, Polska; Constantin Jaxy, Niemcy; Masataka Karoyama, Japonia; Maurice Pasternak, Belgia; Monika Pietsch i Grazyna Lange, obie z Polski).

Wspominałem wyżej, że zmiana nazwy (formuły) Triennale doprowadziła do większego zróżnicowania zarówno formalnego jak i stylistycznego nadsyłanych prac. Na wystawie reprezentowane są chyba wszystkie techniki

graficzne (z wyczuwalną przewagą technik metalowych), wszelkie rodzaje rysunków, fotografie czy wreszcie inne sposoby wypowiedzi realizowane na papierze, jak akwarele, gwasze, akryle oraz techniki mieszane i tzw. techniki autorskie. W efekcie przetrzeźn ekspozycyjna baraku, na którego ścianach zawieszono wspomnianie 544 prace nie została zdominowana sugestywnymi plamami czerni i bieli, ale dopłył często pomiędzy klasycznymi litorytami czy akwafortami skrzy się mienią całą gamą kolorów – od żywych, kładzonych plakatowo po barwy stonowane, wręcz monochromatyczne – kompozycje z pogranicza czystej grafiki i malarstwa.

Na pewno VI Międzynarodowe Triennale Sztuki Majdanek 2000 wykazało, że sztuki graficzne mają się dobrze, że wbrew obawom, nie można mówić o ich upadku, wywołanym zbytnim zapatrzeniem się, fascynacją artystów nowymi mediami, zwłaszcza niebywale ekspansywną grafiką komputerową i jej nieograniczonymi możliwościami formalno-wyrazowymi. Prace pokazane na VI Triennale oczywiście są bardzo różne, tak jak różne są źródła inspiracji artystów europejskich czy azjatyckich, ale wydaje się, że trudno znaleźć prace słabe, nieciekawe, takich na wystawie po prostu nie ma. Każdy znajdzie tutaj coś interesującego dla siebie. Dla jednych będą to grafiki z ekspresyjnie skazanymi sylwetkami ludzi, fragmentami ich ciał lub pełnymi smutku i wewnętrznej dramatu twarzami, kompozycje świadome bądź też intuicyjne nawiązujące wprost do specyfiki Majdanka, miejsca kaźni kilkuset tysięcy ludzi. Ale prac tego typu nie ma już tak wiele, jak w trzech pierwszych edycjach Triennale. Na VI Triennale są w zdecydowanej mniejszości. Znacznie więcej jest natomiast kompozycji, których autorzy, posługując się bardziej uniwersalnymi środkami wyrazu, zadabali o odpowiedni klimat, charakter swych prac.

Chłabymy wyjątkiem są trzy rysunki tużem Pawła Warchola, laureata Grand Prix – *Bunkier b 2*, *Bunkier b 3* i *Bunkier 7*, których siła leży w prostocie formy tytułowych bunkrów, ich surowości a zarazem, pomimo znacznej dozy realizmu, ogromnej siły działania tych „betonowych” stożków. Nie mniejsze wrażenie robią *Kryzys klepsydr* (xerografia) Tadeusza Mysłowskiego z USA, jednego z całej grupy artystów zaproszonych do udziału w wystawie jako goście, nie biorące udziału w konkursie (w gronie tym znalazło się blisko trzydziestu twórców, najliczniej laureatów poprzedniego Triennale, m.in. Assadou de Francej, Evgenij Bortnikow z Rosji, Antoni Miró z Hiszpanii, a także liczna reprezentacja rodzimych artystów z Józefem Szajną i nestorem fotografików polskich Edwardem Hartwigiem). Jednoznaczność skojarzeń w stosunku do kawałków papieru w czarnej obwódce, wieszanych na murach naszych kościołów i cmentarzy z okolicznościowymi, pełnymi smutku informacjami, w tym przypadku ograniczonymi do pojedynczych słów: Poles, Poles, Germans, Ukrainians i przyklejonym do drzewiaka w miejscowym na wystawie, wywołując pożądaną efekt zaskoczenia i zarazem zmieszania i niepewności wśród widzów, jak się zachować: obejść klepsydry czy stać po nich?

Różnorodność szkół i kierunków powoduje, że w pewnym momencie po pierwszym, pobieżnym obejrzeniu wystawy mamy wątpliwości czy jest coś łączącego wszystkie nadesłane prace. Można bowiem odnieść wrażenie, że Majdanek stał się dla wielu twórców jeszcze jednym, atrakcyjnym międzynarodowym konkursem dającym szansę zaistnienia artystom bez względu na ich zainteresowania i postawę twórczą. Ale wrażenie to szybko mija, gdy podwiedzimy 544 grafikami i rysunkom nieco więcej czasu. Wówczas staje się zauważalne wyciszenie emocji, skupienie ich autorów, choć podzielenia się z widzami wiedzą o sprawach ponadczasowych, o wartościach nieprzemijalnych, związanych z działalnością jednostki ludzkiej i społeczności na przestrzeni dziejów. I dlatego również daje wrażenie postawia kompozycja Ewy Bieńczyckiej z Polski *Klasa mojej mamy, chusteczki do nosa* (technika własna), gdzie na kolejnych 19 chusteczkach oglądamy sepiowe portrety fotograficzne rozmieszanych dziewcząt, które spotykamy na końcu wszystkie razem na grupowym zdjęciu (20 chusteczek) z lakonicznym podpisem: *Lato*



Masataka Kurayama: *Forma 9*, mezzotista, 2000.  
Fot. Piotr Maciak

1939, jak i praca Elsa Van Den Veyvera z Belgii, *Dzwone owoce* (fotografia), gdzie jedynym elementem formalnym kompozycji jest przepołowiona, jaskrawo czerwona truskawka, okalczona stalowymi szpilkami, gęsto powbijanymi w jej soczysty miąższ.

Wiele pokazanych prac budzi niepokój, może nawet szokuje swą odrebnością wynikającą z ekspresji zastosowanych środków wyrazu. W gronie tym widziałbym ascetyczny, czarno-biały rysunek Nakabayashi Fukiko ze Szwecji *Lifeslin - przestrzeń - wieczność II*, który rozwija się z lewej strony ku prawej, wychodząc poza krawędź kartonu w postaci trójwymiarowych zwojów, czy też bajecznie kolorowa praca Yuji Hiratuka z USA *Kompozycja R* (mataglio), wyróżniona nagrodą równocześnie (ministra kultury i dziedzictwa narodowego), w której pociąga na wschodnioazjatycka egotyka, niezgłębiona tajemnica i swoboda w komponowaniu płasko potraktowanych plam barwnych tworzących elementy figuralny dzieła. Są jednak grafiki, przy których oglądaniu odpoczywamy, relaksujemy się. Na pewno do takich dzieł

można zaliczyć akwafortę *Czerwony płatek* Keiko Sugiyama z Japonii, typowego reprezentanta grafiki Kraju Kwitnącej Wiśni, którego wielowiekowa tradycja, zwłaszcza tradycja drzeworytu kolorowego, wywarła tak ogromny wpływ na rozwój sztuki europejskiej w 2 poł. XIX wieku, a także pracę innego Japończyka Masataka Kurayama (tównież wyróżniona nagrodą ministra kultury i dziedzictwa narodowego), *Forma 9* (mezzotista). Tym razem za pomocą zespołu delikatnych, subtelnie kładzionych kresek artysta stworzył zawieszoną gdzieś w ciszy i pustce, nocy mocno popołudniową abstrakcyjną „tkaninę”.

Żeby jednak nie było wątpliwości, IV Międzynarodowe Triennale Sztuki Majdanek 2000 to nie tylko artystki urodzone w Japonii. W rzeczywistości mamy do czynienia przede wszystkim z czułością grafików z wielu krajów europejskich, w tym także z Polski, reprezentowaną – co znowu miało – najliczniej. W gronie tym jest wielu bardzo uzdolnionych twórców młodszego pokolenia, którzy mają coraz więcej do powiedzenia zarówno w kraju, jak i na arenie międzynarodowej. Dobrze to rokuje grafice polskiej, a zwłaszcza VII Międzynarodowemu Triennale Sztuki Majdanek 2003.

Lechosław Lametki

PS Wystawa czynna będzie do 30 września 2000 roku. Dodajmy jeszcze, że towarzyszy jej efektywnie wydany katalog. Po raz trzeci wykorzystano na jego okładce z powodzeniem – jako logo Triennale – odciśnięty palca Henryka Szulca, niejącego już artysty grafika lubelskiego, pomysłodawcy i twórcy oprawy plastycznej IV Triennale.



Peter Zeller: *Ilość*, sucha łąka, 1993.  
Fot. Piotr Maciak





## muzyka

JOANNA BIEGALSKA

### Za każdym razem ten pierwszy raz (opowieść o Bohdanie Giergielcu)

#### Recital. Prolog

Profesor ma siedemdziesiąt dwa lata, za chwilę zagra swój recital. Do Trybunału Komornego na Starym Mieście przybyli wielbiciele, którzy nie zapomniał o lubelskim skrzypku i koncertmistrzu. Minęło sporo czasu, odkąd przestał pracować w filmarmii. Działają tu na sośnie w elegancko skrojonym czarnym garniturze i kłania się publiczności. Nie wyśledziła na swoje lato. Strząśła, prosta sylwetka. Twarz wyróżnia się mocno zarowianymi kołkami polichłonej i wąskimi ustami. Najważniejsze są błękitne oczy i ich spokojne spojrzenie. To jego wielki dzień, przybyli wszyscy, których kocha: córki, syn i wnuki. Bieda żony. Nie przyjechała z Bydgoszczy, zbyt dużo ich dzień...

Giergiel przygotował się do jubileuszowego koncertu na przekór obcemu sercu i spuchniętej stopie, na którą z trudną wiaśnią odwiążył but. Zamyka oczy. Przykłada skrzypek do brody. Już nie się nie liczy tylko ten dobrze znany dźwięk.

#### Kiedys

Po lewej stronie warszawskiej strony leży wioska Ślawin, a za nią następna, Wola Ślawitka. Na dole przed mostem kamieniznym wiszą kuznie, a obok widać państwa Rozynińskich. Koko kusi sto duży partynowy dzień, w którym z jednej strony mieszka Kowal z rodziną, a z drugiej strony mieszkali się siostra personalna. Dzieci halasują. Na boisku rozgrywny jest mecz. Wiojcy chłopcy biegać na boisku za piłką.

— Gó! Astatk wyład z tej bramki i tak nie złapałeś piłki. Co ten biedziez tak leżał — wychodzi, wysoki chłopak w oblatym ubraniu tręcił nogą leżącego kolegę. Do grających chłopców zbliżyła się dobrze ubrana kobieta.

— Nie wdziałeś Bogusia? — spytała zaniepokojona. — Wielmożna pani siostra paniska. Toż on z piensienką Biegiął pod łepo — odpowiada ten wysoki i chudy.

— Dnieko, pójde go poznaiam.

— Zaszła Buba głziżi gwał. Pewnie chowa się, bo nie lubi tego półmiana na skrzypkach.

— Pójde go. In kiedys słyszał przez otwarte okno — odwrócił się rozmawiający chłopiec.

— Ale w piłkę słabo grao — zdenerwowany chrząstleł kopnął mlego.

\*\*\*

Ojciec grał na skrzypkach jako amator. W starych aktach notarialnych w Monachium zachowała się wzmianka: „Rodzina Giergiel przybyła z Węgier do Niemiec i osiedliła się. W 1826 roku wyemigrowała do Płocka. Dalsze losy są nieznane”. Matka (rodowe nazwisko Fabusz) pochodziła z kresów. Była bardzo muzykalna, śpiewała i grała na gitarze. Podczas I wojny światowej była asystentką w szpitalu. Tam zaraziła się od rannej żółtaczki malarial. Dlatego do końca życia musiała zrywać chinię.

Z reguły każdą niedzielę przeznaczano na muzykowanie. U Giergielców grywał kwartet amatorski, który wspólnie z Bronisławem, skrzypkiem, tworzył jego koleżdy. Doktor — wiodenocelista, mecenas — altowiclista i drugi skrzypek, Adam Domańszewicz. Właśnie on często powiadał, głośniczo malego po głowie: „Boguziu to będzie wielki skrzypek”.

Bohdan, jako pięcioletni próbował grać na skrzypkach ojca. Wywoływało to śmiech, kiedy zbył dudy instrument nie miał się pod brodą chłopca, który smyczkiem wodził od podstawki do prozka. Pewnego dnia ojciec przyniósł małe skrzypek od pana Franciszka Borowieskiego, właściciela sklepu przy ulicy Królewieckiej w Lublinie.

— Tęto dźwiękie! Jakie piękne skrzypek i jak w smę raz dla mnie! — zawołał chłopiec, kiedy tylko otworzył czarny futerał. Wyjął ostrożnie instrument. Małe skrzypek robione na zamówienie miały miodową politurę i hebanowy gryf. Bohdan ucwalał je, po czym rzucił się ojcowi na szyję. Później do wieczora w kamienicy przy ulicy Okajnej redagował się piśkliwe dźwięki skrzypiec. Ku wstąpieniu starszej siostry, Irene i sioślow Bogu ćwiczył wymyślone na poczekaniu prozowe melodie. Po kilku godzinach matka czuńczo weszła do pokoju i delikatnie dotykała ramienia syna, przerażała go. Po kolacji zjedźnięj polichłonej nie chłopiec wrócił do swoich skrzypiec. Nawet w nocy nie chciał się z nimi rozstać. Pokożył instrument na poduszce zał obok swojej głowy i przykrył kołdrką. Tak zasnął.

Pierwszym naczycielem Bohdana był ojciec. Szybko okazało się, że grać nie jest takie proste i przynajmniej, jak się chłopcu na początku wydawało. Miał się wiele nauczyć, a męsetne ćwiczenia szybko dawały mdłość. Zmiesz odważniwą się przysmiłości grania, zmierzła było pamiętać o wielu epowachkowych dźwiękach trzymaniu smyczka i postawie. Nie wiedno było siedzieć. Trzymanie smyczka w tamtych czasach służyło się od drugiej strony układu. Przedramię prawej ręki musiało przylegać do biodra, przez co kolce był opuszczony do dołu. Żeby sprzątać temu zadaniu, podczas ćwiczeń Bogu trzymał pod ręką



Bronisław Giergiel na spacerze. Lublin 1933

kością. Było to niewygodne, gdyż zbyt często opasie tomiska spadało na ziemię. Wtedy opasie zmieniał taktykę. Kąś pod piaską trzymał baler. Upuszczenie krótkiego przedmiotem opasło sfilaszkę. Za to dostawało się łasa. Bohdan robił czwójkę postępy. Okazał się bardzo rękawym i przychylnym uczniem, chociaż nieraz biegał po pupa od opowiadania paska, będącego korpą z ofensywnie białym. Intensywność ówczesnej sprawki, że matura zsumowała była nawet do kupienia nowego serwisa. W tym czasie Giegielowie przeprowadzili się do pięknego domu z ogrodem. Tam اکنون żył nie przekazywał swym bliźniom Bohdana. Irena nie zamieszkała się w swoim pokójku i miała własne auto po prostu stała do ogrodu, gdzie napawała się zapachem wiosennych kwiatów i malowała. Malowała bardzo pięknie.

Irena i Bohdan przejeżdżali jako urzędnicy w letnie Szkarbowe. Po pewnym czasie doszli do wniosku, że jego wiedza na temat gry szarych jest nie tak żywa jak oczekiwano i postanowili zapisać Bohdana do prywatnej szkoły muzycznej. Prowadził ją koncertyjny skrzypek, uczeń Cesara Thomasona (wybitnego belgijskiego wioloncisty i pedagoga w Legie), Wasław Grudziński. Nowy nauczyciel był bardzo wymagający od ojca, a robótka nie miała rozpocząć od koncertów Carla Henricana.

Kończył w końcu niedługo zabrał Bohdana i Irenę do koncerty do Saska Ogród. Tam koncertowa na przemian dwoma orkiestrami. Jedną była, a druga szarytowa, którą prowadził na stojąco skrzypek we fraku. Przedwojenny ogród był wyjednany i czysty. Tuż zabrała się imieniska towarzyska Bohdana. Wśród szarych zieleni drzew i krzewów znajdowały się starannie ustronne ścieżki spacerowe, dominował gwar rozmaitości dzieci, rozmowy wytwornych pań i panów. Na noc ogład zamknięto, a wejścia do niego pilnowali kilku strażników.

Skończyła szkoła pierwszy pięć kilometrów z domu na Starym Mieście. Ze Sławiska do centrum Lublina były trzy kilometry. Koncertująca miejscka nie kursowała. Trasa z domu do szkoły Bohdan przemagał na psocich. Uczęszczał również do Szkoły Powstańczej nr 29 na Wianowie. Z uwagi na wyjątkowe zdolności mógł od razu do drugiej klasy. Po lekcyjnych czasach przyszedł na banku szkolnym. Cenił w piątek, chociaż tak naprawdę wolał zabawy z dziewczynkami. Z dziełami odtąd kłótnie i bijatyki. Z tego powodu przyszedł go „Baba”. Przeważnie przyszedł do chłopca na drugi czas. Nie przejmował się tym zbyt, zawsze kładł, że jest stworzony do rzeczy wyjątkowych. W wolnych chwilach próbował grać na matczynej gitarze.

## Wojna i okupacja

W 1939 roku polscy żołnierze grupkami opuszczali pole piechoty, maszerując na dworzec kolejowy. Z bronią dochodzili do wsi. Na drogach szarych polskie wojska wycofywały się po polsku, kierując się oddziały na wschód. W wojsce oddali dochodziły detaszacje bomb i tektur karabinów maszynowych. W powietrzu rozlegało się dudnienie bombowców. Na zosie warszawskie pokazały się niemieckie czołgi. Grupy pki, który usłoił się o chwieł wołał jeżdżących wołów, powodował lawinę osia. One też zaczęły spoglądać ponuro spod hełmów. Władysław nie pozwalał swoim wychodzić na drugie, więc wyszedł się potężnie. Dostępującego trzymał kilka fałszywych wojska.

- Nie możemy tutaj mieszkać. Jest zbyt niebezpiecznie dla dzieci.
- Władziu, Niemcy bombardują Lublin. My mieszkamy na przedmieściach. Tutaj bomby nas nie dosięgną.

Mówiąc to, Brenał sam nie wierzył w swoje słowa. Świat budził ich słabość. Władysław witała, żeby przygotować imienne. Dzieci szokowały się do szkoły. Te codzienne obywateli przewal dźwięki kadłubowych bombowców. Trudno było go zorientować i intym. W pewnym momencie usłyszeli rozmowy jak. To było tak głośno, że zszedł, a wszystkie szychy w oknach popękaly.

- Maszmy szybko opuścić dom - zaważliwono komu zarządził Brenałow.  
Bohdan i Irena pomagali matce wnieść do związanego przesiadka imięznie i następnie zabieganie rzeczy - Nie bierzcie tego teło. Kto będzie to drwał. Usiekany w pole, nie ma czasu do stracenia. Spokój. Bohdan zstawał skrzypek - głośno oja był stanowczy.

- Nie, zabiorę je ze sobą. Nie chce, żeby bomba w nie trafiła.

Chłapię trawy drapany nogi ludki. Wznowiony rasek był wyjątkowo ciepły. Bięgli przez siebie, było dalej od domu. Z użycia obserwowali, jak samoloty zrywały się lot i zbliżały się do miasta, zrywając bomby.

- Nie możemy tutaj zostać. Maszmy jakonś dobrego do was - zdecydował Brenałow.  
Ruszyli biegiem w kierunku wielkiej stodoły, której tary były wiszące jak przez mgłę.

- W stodołę schroniło się już kilka rodzin z Lublina. Siedzieli w ciemności. Nikt się nie odzywał. Wznowiona cisza między kolejnymi salami przerywała modlitwa.

- Ojciec nasz, który jest w niebie.

Poludniowe odzież zagłębła przez szpary w desek. Bohdan przeżywał futurze skrzypcami. Intensywny zapach siana dosł go. Był już cały czerwony od słonecznej wysypki. Irena przysłała do domu spała. Obok siedział czołowiek przetransportować Bohdana. W pewnym momencie drzew stodoły otworzyły się na oświe i pojawiła się w nich słaba wiodłona pod światło tyłek postawego macierzyzny - No ładnie wychodziła, żył bezpomiernie. Przeszli nadstawy. Wydułiem muszkę, chociaż trochę miła?

- Wychodziła, muratę wóbr światłem dnia. Na podwórku stała wiadomość z miastem. Dzieciaki rzuciły się do niego i łapczywie piły wyrywając: sebni chodzące jeden przez drugie.

Brenałowi i Władysławowi podziękowali gospodarzom. Dwa małżonkowie, które schroniły się z dziećmi w stodołę, chłpi odwołując furmankę do miasta.

Półni obwie wracali do domu. Irena głęboko zamyślała się z tyłu. Miała już 16 lat i zdawała sobie sprawę z sytuacji.

Dom stał nieuczyszczony, z nieczystymi pustka otworzami oknami. W ogrodzie, gdzie rosły jabłonie, był głęboko jak po bombie.

- Boże miłosny. Mamo bekałowa. Mogłiny zagnie! - wykrzyknęła matka.

\*\*\*

Lublin zajęli Niemcy. Wprowadzono godzinę policyjną. Wznowiono naukę w szkołach, a wieś zakładowo została zamknięta. Patroli niemieckie przemierzwały miasta.

Profesor Grudziński został wyrzeczony przez Niemców ze swojego mieszkanka i schronił się u benta Michała w Zemborzycach. Działalniki pedagogicznej nie zaprzestali. Uczniowie jeżdżili pięciami na kole. Trwało to kilka miesięcy.

Pierwszego razu na habelkami dwoje przez megalon zapowiadano opóźnienie postaci. Chłapię z literatem pod pachą skłonił się do wyjścia. W przepięknie kłęb się tam ludzi. Słychać było krzyki. Nad wszystkim głośnie było niemieckie kumandy. Drzewi Młokwiali gęstpowicy z psami. Wliczary warczyły, kiedy tyko ktoś próbował przedrzeć życie bliki. Wszystkie postaci osobowe zatrzymano na stacji. Pamiątki i o godzinie dziesięciu nastąpił gęstpowicy ustawałi ludzi dwojema. Przed dwoje podjechał ciężarówka. Ladowano na nie wystrzałki. Bohdan usłyszał z innymi w kierunku samolotów.

- Ha! Bicie kumant. Dużo pisał Grzeg. Dużo miał. Dużo.  
Kobieta wyciągnęła chłopca energicznie z rżnami i pchnęła w kierunku stojącej z boku ładnej kobiety w średnim wieku. Za chwilę podjechał do nich i łanana polszczyzna uszedł.

- Uczestkowie, bo was wystrzał na Majdanek.

Spokalony Niemiec udaje, że idzie z żoną i synem, odwrócił ich bezpiecznie do bocznego wyjścia. Zadał się na silyci Dwojowicy.

Miasto było przepięknie złowrogą ciarą. Schowali się w ogrodnim i obywatelowski, jako odciążający ciężarówka zaludnowane hażdy. Niemieckie komandy mieszkały się z głębinami ciężej i ciężej. Plac opowiadano. Odeślono ją ulga. Jednak nie mogło być miast, jak uszyteli wachci powozających samolotów. Nie zwlekając, dopadli do najbliższej bramy. Była zamknięta. Po energicznym łomotaniu, ktoś wreszcie się odezwał:

- Kto tam?

- Polacy!

Otworzono bramę i wprowadzono ich do mieszkanek. Tam przekreślił do rasy.

O łapanie na dworcu dowiedział się profesor Grudziński. Od jęchł drzwi zabrakł uczniom jeżdżąc do Zemborzy. Sam zaczął przyszedł na leżkę do Bohdana. Spokojnie cęływały się z Sławisławą kryzostofową mieszkającą na Starym Mieście. Dzwoły okazały się potaż i przytępnienie. Kłęgowi dnia w drodze na leżkę starym w dorocie kolo Brany Krakowskiej.

\*\*\*

Lublin nie poddawał się łatwo koźmowemu okupacji. Mieszkańcy drogo wszelkimi sposobami próbowali zachować swoją tożsamość. Między innymi policy artyści postanowili złożyć otkierkę symfoniczną i pozostaliw do nie muzyków. Spotkanie wyznaczono na niedzielę w kinie „Rialto” za Krakowską Bramą. Bohdan nie zwlekając, spiskował swoje skrzypce i zgłosił się w wyznaczonym miejscu. Tam zastawiono jego generałi i obywateli

zwiadomości o pierwszej próbie. Planu założenia orkiestry nie doszły jednak do skutku. Właściw niemieckie nie wyraziły na to zgody.

Okupację dawała się we znaki. Nie było co jeść. Po zrywaniu, która była rozjuszona na kartki, trzeba było stać w długich, wielogodzinnych kolejkach. Brakowało wszystkiego, jedynie na tow. czarnym rynku można było coś kupić po wysokich cenach.

Irma zmuszona była pójść do pracy w siemnickim browar. Została tłumaczka, ponieważ jeszcze przed wojną uczyła się w gimnazjum niemieckojęzyczne i znała ten język dobrze. Następnie Bohdan zaczął grywać dla pięciorga razem z zamożnym, Kazimierzem Skawinkim po zabawkach, weselach, na podwieczniki. Towarzyszył mu również na basie, poprzedni mąż synowa „Czarna Dolek”. Stopniowo obszar ich działalności powiększał się: grali nie tylko na terenie Lublina. Muzykowali także w Warszawie.

Gradynów dzień, kilka dni przed Wigilią. Na ulicy Ruskiej słychać dźwięki skrzypiec. Chłapy chłopaków w szcapanie grał rzuwano melodie. Wokół, mimo mrozu, skupiła się garstka słuchaczy. Nagle ktoś poklepkał Bohdana po ramieniu. Skrzypce zamilkły.

— Musz tańc! — dźwiękno ubrawny męczyzna skierował się — Chciałbym spotkać się z twórci rodzinną. Gdzie mieszkasz?

— Na Ślawinku.

Następnego dnia męczyzna przyjechał doorka i długo rozmawiał z rodzicami Bohdana. Zaprowadził, że będzie bezpłatnie dostarczał chłopaki gry i skrzypca w Łublinie. Wymaganiem okazał się kompozytor Artur Malinowski, którego zawierucha wojenna przegnała z Krakowa do Lublina. Po odmiennym chłopak przestał „chłapydzi” i zaczął sedlać się uczyć.

\*\*\*

W Lublinie w pierwszym okresie okupacji od 26 października 1939 roku władzę sprawował zarząd Wehrmachtu. Początkowo Niemców charakteryzowała dwucelność postępowania z mieszkańcami miasta. Z jednej strony zwracano na działalność przez dyrektora wybitnego aktora Stefana Jaracza, otwarto szkoły gimnazja, miała nawet miejsce inauguracja roku akademickiego na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Z drugiej jednak strony specjalne grupy tzw. Einsatzkommando, w których skład wchodziły jednostki Gestapo, policji i SS, organizowały pogromy ludności żydowskiej oraz przeprowadzały aresztowania wśród inteligencji polskiej.

W roku 1940 zamknięto wszystkie szkoły średnie, zezwolił jedynie na istnienie szkół handlowych i zawodowych. Zawieszono działalność KUL, większość ciał profesorów uniwersyteckich, a niektórych rozstrzelano.

Mimo wieloletnich naukow bembowych, lapanki i niekoleżeńcy się kolejkę po chleb. Giergiejowie starali się żyć normalnie. Zapisał Bohdana do Polkiej Publicznej Szkoły Zawodowej. Uczył się w tej szkole do momentu, kiedy listonosz przyniósł wzywania, aby chłopak natychmiast stawił się w Zemborzycach.

Chleb przychodził na rano „Juska” sie był lekarskim. Grupa młodzieży w wieku od 14 do 19 lat, przebrana w deszczowe spodnie i kurtki, obraca w twarde drzewaki, przeczekały przy składaniu towar kolejkowych. W banku było cisno. Spali na przyczep. Wazy i inne robaczki gnęzliło się w siennikach i przeproczonych kosach. Rodzice Bohdana nieśli wazy, żeby wydosłać syna z obozu. Nie pomógł interwencje Irmy i profesora Malawskiego. Mierzo lato, jesień, nastal początek zimy.

Bohdan w obocie miał swoje skrzypce. Pozwolił mu je zatrzymać. Władzomy zatrudnienie osiemnasto. Często podczas szkolowych Bagał biegał go w środku nocy i gonił zaspnego do swojej kwatery. Katali grał. Jak młody debur, obywatel się bez szlachoty i boia. Kiedyś jeden osesman warszawcy zagraną przez Bohdana Arię na stranie G Jana Sebastiania Basha dał mu kawalek chleba z masłem. Niemcom nie się odmawiał. Drobna ręką wziął chleb i pobiegł do swojego baraku. Tam czekał golić kolezcy.

Ora na skrzypkach nie zwalniał Bohdana od pracy. Poprosił skania na ręką i nadęgnięta szary sprowadził, że z trudem mógł jeden strzynać instrument.

Przedstawiało mu tylko o słaćcie. Kropotywały wszelkie możliwości. Wreszcie wpadł na genialny pomysł i ufało mu się namówić do jego realizacji przesłać dwóch odwołanych kolegów.

W zime pociąg nowoczesny dostarczał węgiel do oboco. Postanowili, że po wydostawaniu ukryć się w wagonie i w ten sposób wydostać ponu stercu oboco. Zatrza po rodnikami udało im się wkroczyć do wagonu. Nikt nie zauważył trzech uczepłych wagonów, gdyż wagonów było zbyt zajęty spyanym węglem. Panowała straszna zima. Kopo siedzieli

w barakach. Nie nie było władz spozą gręził każdy niemiec. Pociąg przejechał bramę i przelży w stronę Lublina. Wiedzieli, że przed wyjściem moim zawsze zwalnia bieg. Wtedy zamierzali wykroczyć. Tym razem nie zwolnił. Maszki skakał z pedzajnego pociągu. Skok zakolejczył ius da Giergieja rozstrzelankiem skrzypce i wywiezieniu kilkunastu kolejkowych. Złoty zemborzycował upadł. Kolegom strasnił nie się stało. Uciekinierzyli marzka i żarli do domu. Wytrzasznie rodzice kazali mu natychmiast uciekać dalej, do Marysina. Ojciec oddał swoje skrzypce — Masz, synu, tym zarobiasz na chleb.

Na wli przysłał chłopaki znowu gospodarz. Bohdan grał na chłopowych weselach i zabawach. Dowiedział się o nim Edward Wejman, muzyk z Warszawy, pochodzący z Zemborzyc. Kiedy ukrywał się we wsi Markuszów pod Janówkiem. Przyjechał po młodego skrzypka i nabrał do siebie. Muzykowali razem. Wejman był świetnym skoczkoniem.

## Rosjanie

Wydawało się, że nie nie powrozima hitlerowskiej pologi. Jednak pod Moskwa front się załamał. Niemcy wycofywali się, a wojska rosyjskie parły do przodu. Na białych czołkach Niemców polski partyzanta.

Pewnej soboty pod Lublinem rozpętała się strzelanina. Mimo że odgłosy strzelaw nasłady się, znowu jechali autobusy, ciężarówki i prywatne samochody osobowe. Niemcy opuszczali wojowniczo miasta. Państwo Giergiejowice ukryli się w przemyśle swojego domu. Byli razem z Bohdanem i Irma, która kilka godzin wcześniej straciła pracę.

Nowa powstała trudna do opisania chaos. Słychać było warkot motocykli i wylotych pocisków artylerzystych. Bez zważenia oka doczekał do dnia. Wreszcie uciechło. Biała szedła. W pobliżek kołozide były dzwony. Bohdan wychylił się ostrożnie za zrywot okalający dom. W dół na drodze i łace stały ruchy samochodów i ciężarowe, a między nimi leżały ciała nieżywych żołnierzy.

\*\*\*

Wojaka radzieckiego zajął Lublin i jego okolice. Pod parkiem sławinkowski, od strony wsi, Koszary nożbi obok. Wczorazna przy ognisku śmieci się i spiewali. Jeden żołnierz grał na skrzypkach. Zawsze atacała ich spora gromada mieszkańców wsi. Bohdan od jakiegoś czasu obserwowal z ulgą, jak się bawia ludzka tak różni od Niemców. Podobały mu się i pewne dminki i kawałki tańca, mójka w szkie sz i cygańskich zabaw. Kierowni dnia odchodził się i poszedł tam. W okolicy wiedzieli, że jest skrzypkiem.

— Opatrzcie, kto tu przyjechał. Nasz skrzypek — zawałł z daleka chłop mieszający w sąsiedztwie artylerzystych. — Zagraj tym kozłom, nich wiedzą, że my tył mamy wnych muzykantów — dodał trochę podkulony drugi chłop ze Sławina.

Jeden z muzykantów kozłom spozął zaskakawym na Bohdana i podał mu skrzypce. Chłopak wziął instrument do ręki. Obrzwał dookładnie. Był dość zmasowany. To i wódnie odzbił ręką. Delikatnie poczępaj wszystkim po strunach. Kwinty strasny. Przewo chwile zastanawiał się, o moze zagrać. Nagle doznał olśnienia. Opisał smyczek na strunie G i zaczął Czardasz Montego. Kiedy skończył, wybuchła salwa oklasków, krzyków i gwódn. Żołnierze powstali, zaczęli wykrzeszwać do niego i zawałł mocno ścisnąć.

— Towarzysze kacy wojskowej przekramo. Mieniaż zawałł Orisa. Na chłozca, coby wy skanał mienca kaci i grał to dzieło.

Giergiej odczłomnie po pobudnie przywodził do oboco kolejkowego i uczył żołnierza, tak to było kacie gra Czardasz. Było to bardzo mroźna pora, powiewał Orisa, nie miał mu. Nie po kacie gra Czardasz. Było to bardzo mroźna pora, powiewał Orisa, nie miał mu. Nie po kacie gra Czardasz. Było to bardzo mroźna pora, powiewał Orisa, nie miał mu.

Zbliżał się dzień rewanżu. Wojsko otrzymało rozkaz wyjazdu do Warszawy. Orisa przypisał Bohdana na pogodynaj obiad. Przyjechał w umiarkowanym do parku i poszedł na rano na polankę. Konek przyszedł za sobą niedzielną nocy. Chwiał się przy tym, że sam ją ugotował i żeby była smaczniejsza, włożył połowę paczki „Suszarki”. Pod byłby Bohdanowi, uszedł naprzeciwko siebie. — No dru, kusaj.

Zacępił razem jeść z jednej wielkiej miski. Po obiedzie Konek dał polkiemu kolezce dylpce i podziemia. Luczuzemni dru po muzykę — Gryseja Chryszom. Giergiej pokazał mu, jakie mienca, a ten obczwał, że jak wepna się skłercy i będzie wnczał spoz Berlina, to na pewno zajrzy. Nienety, nie doczekał się tego.

W tym samym czasie Bohdan poznał na wijkącej zabawie rosyjską dziewczynę. Przyszły tryz „dźwięczki” w wesołych mundurach. Kąpiel zaprawa, a ona zaczęła tańczyć. Między skrzypkę zaczęła jedną z nich i zaczął rozmawiać. Dowiedział się, że stojącemu pod lasem Dębówka i oblatujący lotnisków reaktorów. Dziewczyna miała ośmieszanie jej, nazywała się Tosia Baklanowa. Kilka dni później wybrał się do niej. Nie wiedział jednak, że tam gdzie ona stała, już ten wesoły i obywatel wzięty w łebniony pod karą śmierci. Kiedy znalazł się pod lasem, został otoczony przez radzieckich żołnierzy i potraktowany jako szpieg. Chcieli go rozstrzelać. Dopiero Tosia wytłumaczyła dowódcy, że to jej znajomy.

Przez kolejne tygodnie spotykał się z radziecką jeńcówką w chałupie starsi Marcowce. Gospodyni przytykała oko na te miłośnicze zady, zjadły zarywki w pracy. Od Giergiewa znalazła kilka złotych za dotychczasowe tajemnicy. Starsi Marcowca mieszkała samotnie w drewnianym chałupie, oddał Niemcy rozstrzelali jej męża za udział w grupie partyzanckiej.

Był zimny wieczór, młot skrzypiał pod nogami. Bohdan uśmieł się z Tosią po speli w chałupie Marcowce. Stał przed drzwiami, zapalił komosa pipki.

Tęga kobieta ukała się w drzwiach. Wzruszyła chłopaka do środka. Zapach gotowanej kapuły zmieszał się po łybie. Było gorąco i duszno.

– To dla Marcowej

Starsza przetrząsnęła i schowała ją na pokotnych romasów dekok. Rozległo się pukanie w szybę ozromionego okna. Filipanowa dziewczyna czołowa w za długi koczki koch-nych wężów do łyby. Otrząpła się ze śmiechu. Szczeniła wielką buranę cople, spod której wywypłyły się kruczożarce, długie włosy. Bohdan przyspał do dziewczyny i przysłał ją mocno. Marcowa wycedła się do niego. Giergiew ledwie dożył, jak mówić, że wychodzi do kocielki wrócić za godzinę. Został sam. – Tośkoś jest tutaj gorąco, obłamy kochek.

– Nic nad, mnie charysm

Dziewczyna uśmiechnęła się i przysłała swój twarz do Bohdana. Dobną wargami jej czoła. Dłrzyła ma kolona. Po raz pierwszy w życiu czuł tak wielkie pożądanie. Powoli całował twarz dziewczyny, a kiedy natrafił na nos, przyszedł do niej mocno. W pewnym momencie Tosia zrzuciła z siebie koczki. Jej nagie ciało ośmieszilo Bohdana. Obłąkał się zakochany tym, co widzi. Jaką była piękna. Proporcjonalnie zbudowana, miała kształt pierśi i delikatną skórę. Dłgacie czarne włosy długiwały wzdłuż ramion. Energi-cznym ruchem głowy odgarnęła włosy. Chłopak nigdy wcześniej nie widział nagiej kobiety. – No szto ty Bohdan. Ja dla ciebie nie kasa?

– Nie to to chodź, Tosiu, ale zakochany mam. Nie chce tak szybko. Ja tego jeszcze nigdy nie robiłem.

– Ja takia lubim

– Ja też się kocham, ale przemy, szubiec się, to zmarnisz.

Bohdan podniósł koczki z ziemi i okrył się nimi dziewczynę. Rozpalił tak i rozmawiali do obłwii, kiedy wróciła Marcowa. Starsi rozczarowała się dookola i paucła porozumiewawczo oko do Giergiewa. Czas było wracać.

Chłopak nie mógł zapomnieć tego wieczoru. Okazało się, że było to ostatnie spotkanie z Tosią. Jej jeńcówka nastąpiła wycieczka do Berlina. Giergiew postanowił ją swoje odjechać z adresem napisanym na odwrótej stronie, ona, podobnie jak Grizina, obłąkała, że jak będzie walczył z Berlinem, to odwiedzić go lub napisze. Wojna się skończyła. Sznosa warchawka była zatoczona wciągającymi z frontu żołnierzami. Kilkrotnie Bohdan wychodził na drogę, wypytując powracających o towarzyszy Baklanowa. Nigdy już nie spotkał urodzi-wego Rosjanin. Prawdopodobnie zginęła na froncie.

## Wyzwolenie

Lublin powoli budził się z koczmaru wojny. Powstawały szkoły, teatry i inne instytucje państwowe. W kilka miesięcy po wyzwoleniu przyjechał z Warszawy dyktant młodoj generacji Zygmunt Szczęsny. Tworzył okrojony kameralny, która była znakłami filmar-stwa. Bohdan podjął w niej pracę dookola i październiku 1944 roku. Zygmunt Szczęsny i przez kilka lat był jej kierownikiem artystycznym i dyrektorem. Kiedy powstał w Lubli-nie Teatr Łalki i Aktora, Giergiew również i to pracował, jako aktor. W tym samym czasie uczył od Prywatnego Gimnazjum i Liceum dla Dorosłych Tomaszyna Szkoły Śred-niej w Lublinie. Kartakcił się w nim przez dwa semestry. Następnie zdał egzamin wstępny do Państwowego Instytutu Muzycznego. Tutaj kołojny raz spotkał pania Wójciana, który osiem przetrzył okupację i objął kier-akademii.

Przy okazji kameralnej powstał kwintet smyczkowy. Z braku aktywności kołojny zaproponował Bohdanowi, żeby przeszedł na albowo. Nie był to wielki problem. Szkoła musiała się czuć z tym w klasie albowo. Po miesiącu grał już z powodzeniem w kwintecie. Występował w różnych imprezach jako Kwintet Smyczkowy Filharmonii Lubelskiej w składzie: Konstanty Bousov – skrzypce, Aleksander Bielecki – II skrzypce, Bohdan Giergiew – albowo, Ryszard Leskiewicz – wiolonczela i Jan Zaprawa – gitara.

Skrzypki albowiastwa w jednej osobie był tak niesymfony duchem, że nawet w gimnaz-jum przetrzątnął mu się zabawa, ale i niebezpiecznie przyspał.

Młoda – to magiczne słowo. Wskazie wstąpić mielci ci, którzy przetrzeli koczmar okupacji i doczekali się tego radoznego dnia. Giergiew z kolegami postanowił godzinie uczucie zdane zabawy. Posuwali przed polskim wycieczki pracował, a szkoła była wieczorna, na zabawę pozostała tylko noc. Radniost panowie wracali niekoniecznie Krakowskiego Przed-mieścia i śpiewali na cały głos.

My młodości, mi młodości  
półkiś nam nie zchołdzi  
my z władz lubelskich kłojny  
na Londyn pociągnij.  
My strasznie leguński  
nie strasznie nam obwicy  
NKWD do tyłu, nie dla nas kochajny

Z bramy wypadło kilku milicjantów i szeregi rozmachaków do komisarza, który znajdował się w bloku za ulicą Wierzbowa. Na piętrze zaczęli śpiewać ich personali. Bohdan stał na uliczce i nie mógł powstrzymać nerwowego śmiechu. Pozostali kołojny wystrzeżeni milicjki. Za taką wpałkę groziło więzienie. Wreszcie milicjant się zrelakso-wał i wskazał na śmieśnika palcem, krzyżując:

– A ten co za jeden?

– Jeden z kolegów wymarnował.

– Skrzypce.

Milicjant zwrócił się do kołojny siedzącego za biurkiem i rzekł:

– Pisz Skrzypce, a miń wasze?

– Bohdan.

Bohdan Skrzypce – powstrzymał milicjant, kalfajfajfaj wrobitno kalfajfajfaj. W tym momencie, wazycykł opaciły nerwy i zaczął się śmiać. Jedynie „władza” nie wiedziała, dlaczego jest tak wesoły. Po ostrej naganie powrócił osłonięto młodzieńcy wrócić do domu.

Niedługo po tym incydencie Bohdan Giergiew opuścił rodzinne miasto na wieś w wieku



Tutaj wo wojnie. Młodzi marzycy: Bohdan Giergiew pierwszy z prawej w dołonym rapicie.

## Do domu wrócić

Po oświeceniu społeczeństwa w Bydgoszy, w tym dwadzieści latach poprzedzających w Filharmonii Pomorskiej, Bohdan prowadzi do Lublina. Chociaż sowa, która nigdy się ugryzła, przetrwała dalszą karierę i okazała skrzywdzić przez jakiś czas żyć spokojnie. Odrzucił sugestię modyków i wyjechał z Bydgoszy. W Lublinie podjął umowę z dyrektorem Adamem Natasiem na trzy lata. Oprócz etatu w orkiestrze na stanowisku koncertmistrza czekała na niego przytulna kawalerka. W Bydgoszy zostawił dorożkę z dziećmi i żoną, która nawet nie chciała dyktować w przeprowadzce.

Całkowicie Partyturę Filharmonii Lubelskiej miał się przy ulicy Opatowskiej (obecnie ponownie Kapucyńska) – tam gdzie dawniej był Pałacowy Instytut Maryzmy. Miejsce to przez okres nieobecności Bohdana niewiele się zmieniło. Jedynie z całą koncertową zwyczajem organy, które niegdyś atakowały cudobę estrady. Orkiestra prezentowała wysoki poziom i panowała w niej miła atmosfera.

Mimo zakazu lekarski Bohdan często występował jako solista. Koncertował w Pałacu Miałowskich w Nidzicy, brał również udział w artystycznych uroczystościach. W 1979 roku wystąpił w orkiestrze związaną z 35-leciem swojej pracy artystycznej. Na fortepianie towarzyszył Giegielowi Andrzej Berezynski. Pracował za trzy lata związków z Filharmonią Lubelską przemienił się w długolągły wójtowiec, aż do emerytury. Mieszkanie w służbowym kawalerce przez Al. Racławickich, które konisła garnizonowa była miejscem spotkań młodzieży. Przez cały pokój pełno instrumentów przewieszony się było uściskami. Często z nich Bohdan widział również lekcji prywatnych.

## Inni Niemcy

W 1981 roku przyjechał z Niemiec były szef Bohdana, Franziszek Ołowski. Pracował w orkiestrze Bad Orb. Przemógł się z całą rodziną do Oldenburga, gdzie dostał posadę w orkiestrze operowej, zaproszono go również profesorową, żeby objął etat w Bad Orb.

– Fanie profesorze. Zna pan dobrze język niemiecki, jest pan znakomitym skrzypkiem. Nie wie się stała w przedkole, żeby pan na jakiś czas wyjechał z Lublina i zarobił trochę marek.

Franszek zalał w Warszawie wszystkie formalności związane z wyjazdem. Niemcy Giegiel w Bad Orb przez pierwsze trzy miesiące miał problem z zamieszkaniem i mieszkał w hotelu. Wszystko, co zdołał zarobić, sło za opłaty i jedzenie. Był jednym Polakiem w orkiestrze.

Posa grę w orkiestrze i dyrygentura polski skrzypek zgarnął się jeszcze koncertowaniem dwóch zdolnych uczennic, jedna dziekanowała z Gleshausen, druga z Westerbach. Jej rodzice zaproszono Giegielowi zamieszkała w ich wille wraz z utrzymaniem i opłaceniem lekcji córki. Akurat zaczęły się wakacje i Bohdan przyjął propozycję. Zamieszkał w Westerbach.

\*\*\*

Przez okres wakacji Bohdan przygotował ciekawą partiturę do egzaminu na studia muzyczne. Komisja po wyłudzeniu programu przysłał dziesięćmy na szacelnik. Kiedy profesorowie dowiedzieli się, kto napisał Siefi tak dobrze grał, zaczęli sobie poznać polskiego pedagoga i wysłali do niego listownie zaproszenie. Profesor Herman zaproszono Bohdanowi Giegielowi objęcie profesury w Musikhochschule, w klasie skrzypiec i doprowadzenie Siefi do dyplomu. Przeważają, jak dawała im pozwolenie i oświadczenie profesorowa wyszła z pensji, bardzo wzrosły polskiego artysty. Wiedziała odezwano się przez siebie. Zauważił wyjechał w szpital. Nadzwyczajne zdrowie nie pozwoliło mu na objęcie propozowanego etatu. Nie zgłosił się też po wakacjach do orkiestry. Siefi nie interesowało, że polski skrzypek zachorował i ma zwolnienie, szkło znalazł na jego miejsce innego muzyka.

Mimo niepowodzeń Bohdan pozostał w Niemczech. Nadal udzielał prywatnych lekcji i mierzył w gotyckim domu pałowa Delmen. Siefi przyjechał z Frankfurtu na kadły weekend i odlatował wyjechał wsiągi podcaz dwunastych lekcji.

Córki z Bydgoszy przekonywał Giegiel, że powinien przynajmniej na tydzień przyjechać do Polski. Wreście dał się przekonać. Akurat kapł sobie nowo sunobchó i zaprzęgnił pochwalnie się nim przed rodziną. Jako święto zapobiegły walczyki zielonego fiala pandy wywołali się w drugą stronę. Przed Berlinem zapobiegły, przez co podróż bardzo się przedzwały.

Wyzerpany dotąd do Bydgoszy. Niedługo jednak cieszył się powrotem. Po tygodniu znova budzio się się poznać. Córki namówiły go, żeby wrócił do Niemiec.

– Tato, jeśli coś nie gra z sercem, to właśnie tam możesz liczyć na fachową opiekę medyczną.

Bez problemu dojechał do Westerbach. Mimo że był już w dość niezgrabny, kiedy tylko znalazł się w swoim pokoju, tym razem padł na łóżko nieprzytomny. Punktalnie o trzeciej po południu pan Delmen przysłał prasę na obiad. Nie miał ani podnieść się z łóżka. O sódziny było jeszcze gorzej. Repe i nioce odmówiły mu poduszeczki. O dziesiątej wieczorem gospodyni wywołała lekarkę. Po zbadaniu zmieszono Ogielgela na ręcznikach do karetki. Na wygnale podjechał do szpitala.

Później, po krzywe, dowiedział się, że przeżył śmierć kliniczną. Nie widział drugiego światła ani tętna. Do Polski wrócił poćmiałym, gdyż sunobchó szpital przed domem pałowa Delmen. Fiał poddał niemiecy chwaligi. Koszty leczenia w szpitalu pochłonęły całe uherzpienie.

## Każdy ma swój czas...

Mieszkanie służbowe jest bardzo małe. Od lat niewiele się w nim zmieniło. W przedpokoju ledwie mieszczą się dwie osoby, wydzieleno tam dodatkowo miejsce na turystyczne kufelki. Na jednej ze ścian pokoju znajdują się fotografie z dedykacjami znanych artystów, między innymi: Janaki Mendisina, Armas Chacourianis, Davida Opatynka. Pozostałe ściany splejąca obraby. Giegiel sam je namalował. Całkowicie znowo, sielankowy znowy pejzaż, głowa konia i najbardziej interesująca płótno, które na pierwszy rzut oka wyobraża ludzką czaszkę na czarnym tle. Jednak kiedy wstąpić się przyjrzyć, wywnia się z niej sielągka postać kobiecy przy toalecie. Dokładnie można wyróżnić stojące filakotki perfum i bieliznę.

W pokoju naprzeciw miejsca zajmują instrumenty, potem stół i piły. W centrum punkcie stołu pałpi, ale żeby do niego dotrzeć, trzeba się pochylać przed wiszącym łóżko, pokładnym zyskałodem, u którego dnośny rubaszny amerek, od lat ten sam. Seda, warka, stołki i kilka krzesel to są jedyne tutaj konieczne elementy wyposażenia.

– Be godzin spędzamy w tym pokoju, możemy ćwiczyć gamy, etapy i kapersy? Dziś wracam do tych chwil z sentymentem. Nie zawazyłaby, kiedy saszce spotkania przekształciły się w opowieść o jego życiu.

– To był lekki spójny lępowy dzień. Profesor Giegiel otworzył mi drzwi. Był w miłym-tonim humorze.

– Dłoni dożył Kocin, czy masz ochotę wybrać się ze mną na wycieczkę. Jest taka piękna pogoda. Sokoła siedzieć w domu.

– Dokąd pojedziemy? – spytałam zdumiona, bo była to pierwsza tego typu propozycja, odłąd się znamy.

– Na Sławimie, tam spędziłem dzieciństwo. Chęć ci pokazać to miejsce.

– Godziłem się w mójim mieszkanie na hablików Sławimie, w kamieniu przy ulicy Obejdy. Dłepem w 1933 roku przeprowadziłem się tutaj z rodzicami i siostrą siostrą. Młodem siedem lat. Dookoła były wszędzie łąki, już zniszczyły nie istnieją, opołał namstwo dom znajdowały się dwa urozce wawozy...

– Za czasami nie było już krzyża, który tam na nowofielim drogi na Krasnie i Warszawie. Po obu stronach szosy zainstnowano nowa, a drzewa wcoś. Na dole przed kamieniem młodem dom Buczyński i kuznie zbrowno. Słaby mój wcoś. Zanim przyjechał do Giegielowa panowie. Wasi Sławimie i Wola Sławimieka przeszły siostrę. Zanim znikły płyny czołachy strumień. W miejscu nie było już zardem ani stawów i rzeki. Tam gdzie stała siostronama, przyk. W niedużo niemieca resurkacja „Lindenhof” pozostał jedynie pustki plać. Po wójnie przyrdużę laka organizowano w tym miejscu kolonizacje dla dzieci. Później ląki z pochłonięty kwiatami i dwa urozce wawozy zastąpiła betnowa szosa...

Giegiel często odwiedzał rodzinę w Bydgoszy. Z żoną od lat żyje w separacji, ale przez wszystkie lata rodki wójpię ją dzianowico. Dłeci walczyła, żeby zamieszkać z nim, jednak on nie chce wyperzawiać się z Lubina. Przewyczerzyli do samotności w weterach łąkach kawalerki – tutaj czuje się najlepiej.

Profesor kocha swoje skrzypce, nigdy ich nie zdrzwał w przeciwnieństwo na gielny płekich kobiet, zaktwojami mi liczne romanse i miłone przygody. Ich zdępcie z dedykacjami sioły na krędenie. O innej sferze swego życia nie chce opowiadać. Na pytanie o kobiecy w jego życiu, odpowiada tajemniczymi uśmiechem...



Bohde Narodzima, 1999 r.

### Recital. Epilog

Głównie brawa. Wokół stoja ludzie. Uśmiechnięci. Dopiero teraz Giergiel powrócił do rzeczywistości. Przed chwilą wytrzymał ostatnią nutę Tatjana wygrywałego Johannesa Brahmsa. Serce kolczące jak oszale. Taki gwar i hałas. Ludzie podchodzą z kwiatami. Gratulują. Ściskają ręce.

– Wypuście pianie koncertantów. To było cudowne. Oni pan tak już dawno w filharmonii – staruszka pusi ze łzami w oczach serce skłoniwie wygładzający bukiet kwiatów. Dziękuję za wszystko.

Kłama się. Oklaski się milczą. Za kulisami czeka syn

– Tato, już czas do domu, jesteście zmęczeni.

– Nie, zagram jeszcze coś na bis.

Wychodzi raz jeszcze na scenę.

Joanna Białogłowa

Profesor Bohdan Giergiel zmarł w Lublinie 24 czerwca 2000 roku.

## przekroje

### Poeci, poeci...

PAWEŁ GEMBAL

### JĘZYKOWA PROJEKCAJA ŚWIATA WEWNĘTRZNEGO

Pisząc o *Tajemnicy twojej twarzy* Dymitra Pawłyckiego w przekładzie Bełładina Zachary nie sądziłem, że twórczość znakomitego ukraińskiego poety zostanie przybliżona polskiemu czytelnikowi po raz drugi dopiero teraz, po dziesięciu latach. Był *człowiekiem porcji* – pisalem wówczas – *to przede wszystkim znaczy: selekcyjność, wybór.* (...) *Wtedy wciąż nie czygał dla siebie, a więc choć nie obieg, wybrał lub odrzucił. Międzykrył się wkręcanymi kręteniami byciał po prostu koczując. Wskazywał nie czasu porównując się koczując, które nie powoli podlegał zniechęci, bo kto ich nie przetrwał, ten podkładał się swojej szorstkiej szorstkości, na którą (wskazanie lub nie) białej w łacie czeka. Taki koczując był dla mnie pierwszy wybór wierszy ukraińskiego poety.*

Czytając najnowszy tom wierszy Pawłyckiego, *Najbardziej*, odnajduję w nim towarzyszący wybuchom zaskakującym przez różne miejsca i czasy, wycieczek podobne duchowe głady czy budzących podobne refleksje.

*W jakikolwiek miejscu*

*był się wrodził,*

*zawsze będzie za późno i za wczesnie!*

*Za późno, bo wszystko, co najwłaźniej*

*na tym świecie,*

*już się stało bez ciebie,*

*za wczesnie, bo wszystko, co najwłaźniej*

*na tym świecie,*

*już się stało bez ciebie.*

(*Za późno i za wczesnie*)

Wybór otwierają delikatne liryki, których tematem są obserwacje raczej z kręgu sociologii niż przyrody. Do przykładu, mimo że Kijów w moim na rzeczliwych rozumieniu, już nie odwołuję spado-brnowski, przeyda „znieka i anielka” to tylko dźwięk literacki, żart, ironia, nieodpowiedzenie-wypowiedzenie, cęgoł, a chyba czegoś takiego... „w swoim życiu ma się już wiele powodów, by zachować dystans wobec tego, co nie przetrza na zachwycał”, bo dalej – to już raczej reminiscencja jedynej z kijowskich ulic w czasie trwania transformacji ustrojowej państwa, kiedy ludzie:

*Idą się za ryce – boją się wypaść z biegnącego Kijowa*  
*w kołmierzny otchłani.*

A także:

*Indrak ludzie nie obawiają się za ryce,*  
*chodzą, chwyciły: oczy jedni przed drugimi,*  
*a kwiat opoda,*  
*spoda,*  
*miasto ślady na swoje miejsce.*

(*Kijów w maglo*)

Albo taka mucha z wierzna pod tym właśnie tytułem:

*Jaka ohydna jest ta  
ziółkawa mucha,  
która siedzi, czerwonochwila, na kwiatach!  
(...)  
A jakże jest piękna  
w kropki burzynie!*

I poeta wiersz ten zakochany deklamuje:

*I czy świeże nie dokonanie  
zaboję samego ciała z ludźmi,  
zamykając ich w jasnym niebie  
perle swych, dobrej  
pomocy!*

(Macha)

Pragnącymi w Naparstku jest gra o zachowanie prawa do wypowiedzi we własnym imieniu, a nie o „autentyzacji” człowieczeństwa, próby wyjęcia poza język schematów, choć nie w świecie nie sprzyja manifestacji prywatności. O odrębnej naturze tych prób świadczą przede wszystkim sposoby wywołania, realizowany w dół spokojnych wiersz-ach, aforystycznej i posmatowej. Z jednej strony zwyczaj, jednorozowa przyjemność paradoksu, napędzające słoboty konceptu, niegotowe, niezwykłybyłowskie formy – tak jakby ułamek zdarzenia notowane były w jednej chwili (wspomnienie należy o umiemości poetyckiego składu), z drugiej natomiast nosiszący monolog ierym, odwołujący się do poetyki onirycznej, kulturowych cytatów, historyzujących symboli (wyszczelwały jest patronat katastrofizm). Niepokój rytm obrazów podporządkowany jednak został indywidualnym prędkościami do światła.

Przeważą w wyróżnianych stylów szaty prezentacji spotrzeżonych uogólnień. Drugi otwiera możliwość szerszego spejzowania, „pojemność formy” pozwala na ukłanie skomplikowanego dialogu między wewnętrznym a zewnętrznym, marzeniem a spełnieniem, autonomią i ingerencją. Monolog liryczny Pawłowskiej dąży do formy maksymalnej szczerości przy czym właśnie ten stan rzeczy nie może zostać osiągnięty. Język, którym mówimy, jest oceanotworny, gwałtownie przyspiesza pod wpływem okoliczności, modelowany wódce potrzebą spobozowania, młody akty przynosi wymyślenie historii na wyłączone wewnętrzny świat. Odrębnie nadziej obejmując także obraz poetyckiego słowa. Poetom pozostaje przekroczenie katastrofizm i wiedza o nikłym oddziaływaniu. Zależa się młodość gestu mierzania, studia autokultury, ubóstwienie prywatności. Tyłko zdania negatywne opijają znaczenie a szkodliwym konceptem.

Wiersz Dymtra Pawłowskiej zamknięty między katagorycznej poezji głębi. Artyściem jednak operuje jednak poeta w sposób swobodny. Ten głód jest powiązany z potrzebą istnienia wędrującej wartości. Chodzi o to, by świat mógł być przetrwany na sposób religijny. By wzbory ładkie miały powstanie konsekwencje. By żyły się znaczeń relatywistycznych. W tym celu stwórcy należy własne miły (na przykład signturywa Wolfova). Czepicie jednak poeta widzi własną sytuację poprzez imitację miły wspaniałej narodowej i kulturowej. Zastanawiam się, czy takie utwory, choćby opiewane przez siebie, są wystarczająco funkcjonalne. W realnym świecie miły niekolekcyjnie, jak na przykład niewiomość:

*Niewiedni być się brada,  
Są jak śnieg, o czepię się igliwia  
Albo konarsu niebistni,  
Żeby nie apęci na śmiecie,  
Ciepła, jak brzoźmiana łobozny  
Ślępa w ślętych fantazjach dzwona,  
I mgale sychać ich bręk.*

*To nie pomody się zaczynają  
To od świętej niewiedności  
Fate jak koci się kąpią.*

(Niewiedni)

Dystans i – rzecz zaciępa – poetyckie poczucie humoru łagodnie wariowały pałos. Wiele w wierszach Pawłowskiej przypomina na próbie różnych wariantów biografii, plynności rol, mnogości autoidejacji, które jednak nie zaciępnąją konstruowanego

wzrostku psychicznego, a krytycyzmowi podlega w omawianym tomie wszystko. Nawet własna artykułowana niezgodą. Dochodzący do osobliwej regaly – w Naparstku prowokacyjny ton miesza się z wyważonym sądną, boli ciępną granicę ze współczesnością dla ośmiępnyczych, wyznacza katagoryczne noszą znaczenia moralis opokowanego w ironię (*Ohle mato / ze kochasz, ożyciwo / do to mado być prawdy / dupiero brady swaracz*).

Tak naprawdę jest romantyzmem. Chce być obiektywny, albowiem redaguje, a jest goręcy, zataną w dół, w moźarzoną rzeczywistość. Z takim samym uporem poeta mówi „jestem” (*Jestem czepią zieni*) i znaczą to słowo tylko „Ja, Jone”, „wybory” – dwa odpowiednio pojęcia w tej poezji, gdyż potwierdzają ich, odzierają z życia powię, potostawiają prawdę krwawej rzeczywistości, przedstawiają racje ludzi dążących do utrzymania łobostwa, broniących prawdy „Ja”, podtrzymujących swoje prawo do bycia z innymi, wielkie tak samo spragnionych władności i prawdy. Można było tę poezję jak rozpiany na wiersz wielki poemat moralny. Naprawdę można. Ja to szczytnym.

Tyle o najnowszych – z ostatnich kilku lat – wierszach Dymtra Pawłowskiej, które kałkąową premię w języku oryginalnym mają również w Polsce. Naparstek został bowiem wiersz dwujęzyczny i trochę szkoda, że przez niezbyt profesjonalnego wydawcę – oryginalny wydrukowano cągniem w jednym bloku, przekładaj cągniem w drugim, mamy więc do czytania nie z jednej książki a dwiema we wspólnej okładce. Oczywiście, jeśli czytelnik także posiadał obce wersje, to odczuła oryginalność. Choć być może nie był przez wydawcę zmuszony do takiego stanu. To jednak, o w tej książce zdumowa, w jakiej przekładzie wzięto, jak się można domyślał tłumaczono z ukrątnego przez Ukrainę, tłumaczonego tak, że pewnie wersja oryginalna jest bardziej zrozumiała, jeśli tylko czyta się cyrylicę. Żeby było wiadomo, o co mi chodzi, pąję co strakowitowych przykładów: „wielki kłaczowych zbawców poezji Pawłowskiej w języku polskim sączywny dwie”, „Słobowim, młody wlecy poeta znalazł się na naszymy poziomie, wazod w literaturę ukrątną własnym brzoźmowaniem...”. Tym razem przeszedł się w obęg nowa książka Bobkowskiego – wiersze brzoźmowe (...). Dabek tkwi w szczególności, oczywiście w książce poetyckiej najważniejsze są wiersze, ale szkoda, że w polskiej wersji zostały one opatrzone tak kurioznie nieprzodną.

Dymtra Pawłowskiej: *Naparstek*, przekłady i ilustracje Duchań Zelen, przeładowe Mykła Zymonyś, Wydawnictwo Ukrątna (Białystok) Wymyś Stydy Ilustracyjowe, Kaniada 2008, ss 190.

EWA DUNAJ

## ZNÓW ZACZYNASZ WIERZYĆ

Poprzedził tom wierszy Anny Frajlich (*Ogrodnem i ogrodzeniem*, Czytelnik 1993) był niezłym elegancją wierszka. Sylabizacja jednordni, wysmakowana, o przemyśle, czytelnicy kompozycji, która podkreślała stylizację szczerą, białą odkaśką. Mówił – jestem! – ale pewnie – „o! jestem” albo „Jaka jestem”.

Po kilku latach – i to nie bez znaczenia – po psukotycznych odwieńdżach w Polsce Anna Frajlich prezentuje nowo, jakie odmienną twarz. Książka *W słowu* Kłopotada ukazała się nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie. Jest całkowicie różna od poprzedniej. Niejednorodna, móżnacowa stylizacyjnie i imitacyjnie, dopowiada i rewizja wtyki i motywy obecne wczesniej. Czynn to jednak w taki sposób, jakby poetka co chwila chciała zwrężyć katedze z wypowiedzianych nadów czy sprzeciwów. Przykładem nich będzie zwrężyć stanowiąc donosiące wczesniejszego tonu „słowo” ugroda, kiedy tutaj pojawia się wzbogocenie o nowe konteksty i pozwala odtrąpnąć się z katastrofobizacji szczerki:

*Męjo Arkadusie obłecna naprudę  
Pomnijcie jedynym a drugim wyznacznym  
Jest również piękna, jest również dostojna  
Jak dwie przystawy z gruszą i z lipami*

(Janiec-miazgo)

Bezdomność „ogrobu wewnętrznego” utrzymuje wraz z odwołanym nagłe poczuciem przemości, podobną przynajmniej być wypędloną czy tabuizacją, staje się turytyczną atrakcją. „Tu i teraz” daje poczucie zadroślenia, czasem szacunku. Miejsce przychodków okazuje się nieprzypadkowe, bo zwłaszcza emocjonalnie pozwala zarzucić lotwiec.

*Pewnie więc tu jest mój dom*

(...)

*a nie tam*

*gdzie moja prababka*

*umarła śmiejąc i wycieczając*

*plegoc chwasty w ogrodzie*

*i pewnie nie tam jest mój dom*

*gdzie wyczyty listy smutni*

*a po ich śmierci śmiejąc*

*nie ma w styczniu jasnoci*

(Ogrody i domy)

Alb i jakby na przekór tej pewnością – w wielu utworach pojawia się próba przeznaczenia pomiotu pomiędzy tym co było a tym, co jest teraz.

Powrót do miejsc, osób, sytuacji i obwłi minoonych nie jest łatwą próbą. Wymaga obwagi i czułości, gotowości podjęcia na nowo dawnych ról, zróżniczenia bogactwa sytuacji i różnorodny niegdzię przetwarzanych. Jedynym sposobem „powrotu” może być wiersz – hermetyczny tekst o klasycznym, starożytnym aże do dotychczas i lekture i przeszłości, będący głosem do przeszłości i dyskusją z kimsi niegdzię bliskim, straconym i odkrywanym na nowo. Kika tekstów Anny Frajlich można uznać za wypowiedź portyku adresowaną w zasadzie do jednego czytelnika, a wżenie to wzmacniają jeszcze dołączone do nich dedykacje.

Różnorodność form poetyckich i przyjętych konwencji oraz wżenie odwołania literackich, w których wżenie była mowa, można w tym kontekście interpretować jako rodzaj dyktum tym też pewna, bardzo kobieca, miła i delikatnie albo wręcz prawie przesłodzona się formą.

Przy tym wszystkim poetyckie „znaki” są przecież ekwivalentne dla bogactwa skali emocjonalnej i tonacji poetyckich monologów. Szepcy, krzyki, amicy, płacz śpiąjący się z echem różnorodny niedokończonych, tworząc polifonicznie, omiemyca muzykę głosów, nakładających się na siebie, przetrzęsających się ze zmiennym następstwem, zamkniętych i wykładających na nowo. To bogactwo skali jest efektem kolejnych odwołań, zakłóceń, obserwacji, satyrycznej radości, czasu – niepaszy, kiedy okazuje się, że nie wszystkie podrobie w czasie można podjąć na nowo:

*by jednak szedł  
na spotkanie temu  
wbrew znakom  
żeby do kiedzi raczonych dorazić*

(Rozwinięcie przy klimatyzatorze)

Był powrót niezłomnego bywa dokonywał, ale przecież każde doświadczenie czegoś nas uczy. Czasem dowiadujemy się po prostu czegoś ważnego o sobie, o wżanych dobach, lekach, przeciwsłabach, odkrytych przepięsniach, przeciwsłabach rządzących naszym postępowaniem, pomagających nas do przodu i równocześnie paraliżujących działość.

*W jednej z tych starożytnościch brum  
wśród zapomnianych dawno otu  
jest cień*

*którego hojność znam*

*który w apule wzięty ten sam*

*otru*

*i obciąża i przyczeka*

*wywichlenie wśród szwarsnego dnia*

*T nie widom*

*co może powstrzymuje*

*aby nam pójść*

*odnieść cień*

*i całym ciałem się omarzyć*

*w cieniu cień*

(Słoń)

• Poznanie – konfrontacja przeszłości i teraźniejszości – daje się. Czasem jest nią mżda niezgoda z tego, co niemożliwe:

*Zupełnie był niegdzię nie wstępną*

*ani on*

*od te zrobinnych stowu*

*ani ja od te zrobinnych stowu*

(...)

*Czyż to dom? – pytam zblizując się do budynku*

*Mój – odpowiada*

*i z ulgą myśle*

*że może się już przyczoćcał*

(W słotku)

Zgodnie z modą, która stała się już niemal zasadą w odniesieniu do książek poetyckich – tem Anny Frajlich został wzbogacony wypowiedzią plastyczną, będącą swoistą interpretacją, pretekstem prezentowanych wżeni. Grafiki Barzka Malyszy, subtelne i wyważone zarówno, oparte są na motywach niemożliwych do siebie plansze. Rozpływające się, otwierane obrazy i strzępy słów – niemożliwe do odczytania, splecione, nakładające się na siebie jak w filmowym montażu, mają urok dobrego snu:

*przylbliły się na gołdzi*

*i w naszym zimnowe puki*

*powoli*

*przenoszą się zok*

*z tych*

*stwach*

*nierozłącznych*

*przypiętych*

*korzeni.*

(Wiersz nowocześnie)

Sną, w którym wszystkie kosmazy dawno odzwały, a lagody smutek porwał z dyktumem i ironią wzięty: w głąb świata i w głąb siebie, aby za chwilę ułomnie, wysięczyć lek, uspokoić myś:

(...)

*tu to tylko*

*boże humor Pana Boga*

(...)

*że zamieszka*

*srebrnego szronu*

*wyściskić odcięcie zlotu*

*z domowskiej zaborowej rudy*

*więz się*

*wokół brzoza.*

(W słotku listopadowo)

Bo na szczęście każdy wżenie, nawet ten o najdokładniejszej i skłóconej formie, jest niedokończoną historią, a każdy powstanie, nawet ten niemożliwy, jest tylko przerwą w podrzędy, której oca nie maży.

Anna Frajlich, W wżeniu Białym, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2001, s. 84.

HENRYK PUSTKOWSKI

## CZY POETA MOŻNA BYĆ PO PIĘDZIESIĄTYC?

Znamu powieść M. Kundery *Zycie jest piękne* i niedziela miała pierwotnie znieść tytuł *Wiek Irzyckiego*. Nie ma to dla nas większego znaczenia, bowiem przez tydzieńowe przywołanie Rimbaldowskiego powiedziana zakres czasowy wieku Irzyckiego został jednoznacznie



określony. Czy można być poetą po dwudziestce? Pytanie nierozwarte, rozstrzygnięte na możliwości debiutu (znanego, książkowego) współczesnego poety polskiego. Ale czy można być poetą jeszcze po pięćdziesiątce?

Krzysztof Krępkant-Ożarnski debiutował po pięćdziesiątce. Wskłonię – otmieścił się swoje „zachcianki liryczne” ujawnić w wieku dojrzałym. Jego tomiki zatem – a ma ich w dorobku już kilka – prezentują niekiedy teksty przywołane z czasowej „liberacji”, pisane od półki lub przedświadczone (pierwszy zapis – 1957 r.), publikowane zaś niemal w latach czterdziestych. Oczywiście poeta tworzył singiel i teksty dawane przepłatając się z nowymi. Taka zmiana jest kompozycyjną dominacją tonu, która małm przed sobą *Pierwszą księgę* (dawne) „Dawne” i „współczesne” teksty nie są rozdzielone jakąś wyznaczną stylistyczną cezurą. Dla jednego może być to powodem do ferowności wyroku, że poeta nie wywodzi poza „zaszaryty”, dla innych uważa (a takie jest moje przekonanie) będzie powiadomieniem wierzności wobec „przedzicia pokoleniowego” – czasu prima każdego autentycznego doświadczenia poetyckiego. Może za szczerą ta przywołanie Dłubiewy – realizującego się bądź to w poetyckim reżimie, bądź (jak u Harasymowicza) w zmianie rysującego się jej poetyckiego paradygmatu „Współczesność” na samowolną, wówczas widoczną jeszcze młodzieńczą „wyróżnioną”. Nie myślę się zatem – a przynajmniej nie za bardzo się myślę, upatrując w tamtej pokoleiowej „zmiennie warty” genazy jawnego sensuizmu wierszy Ożarnskiego. Przyjmując taką postawę „zaprzeczając” wroby (ale i cierpiąc) doświadczeń życia nieopowiadanych (co widzieliśmy) bez próby medializowania tego zapisu poprzez pokoleiową konwencję literacką skłonił się Ożarnski na ostudzenie. Ostudzenie dojdąmy anty-antychizmy (taki proponował Witkowski, pasywności naczej), ale przecież paradoksem zakładający możliwość otwarcia „okienka” w samostatek ludzkiej memadzie. Paradoksalnie taka postawa może dziś nie okazać wielo interesująca. Konfrontując swoją haeoecia z Universum, vita brevis z ars longa, znowa nasz poeta uwaga na podważenie, konwersjonalne – jak to nazwał Chesterton, poważnienie skłódkii ludzkiego doświadczenia. W tym myślny czasie ludzkim wadzi jest i smak jakich artozwolek i wachlate przemysłowych podgłów i zdiaba wiatru. Ci spośród czytelników, których już trochę ujrzyła współczesny jego w literackiej klasie (postmoderniści, brulionowcy, o'haryści czy nowi klasyści?), mają możliwość poznania artykułów bezprętności, bezczelności w swojej „prywatności”, zmuszającej nas często do zapoznanych podobno sentymentalnych w dziecństwie i młodości. Ale przecież jest to artykuł klasa na doświadczenie litrego i tajemniczo Nie-Ja, a nawet tajemnic „Jesteś” czy trawy.

*Jak cięż nieczuć  
ktoś się analizować  
Dziękuję Krępkantowi pozostawij  
w sobie analizować  
mają nadzieję (s. 9)*

Newsiele poetów w latach sześćdziesiątych (a to wiersze z 1961 r.) tworzyły takie „głotaśn zadawane sobie” i niewiele znajdowało taka – narosnąca metafizyka – odpowiedź.

Krzysztof Krępkant-Ożarnski *Pierwsza księga zbioru*, Wyd. Veis, Łódź 1999, s. 32

MARIAN JANUSZ KAWALKO

## NIEPOKOJ I NADZIEJA

Przywołując definicję poety zapisaną w jednym z utworów wierszy Czesława Miłosza, można by powiedzieć, iż Michał Korzan pisze wiersze rzadko i niechętnie, a więc jest poetą. Krytyka wobec wspaniałych dokonań literackich, powołaj z opublikowaniem drugiego zbioru wierszy aż 30 lat. Ten czas swojegoś adwenty kreacyjnej oklazi się dość barwny. Nowy tomik *Przywołanie cisy* (Luźni 1998) jest bowiem interesujący, literacko wartościowy, a przy tym bezpretensjonalny.

Korzan, podobnie jak inni, dawno już utracił pojęcie, postrzega rzeczywistość oczyma wyobraźni wyrażone anizydwulizacyjną, oczyma fryzka wolnego od falsetów innowacyjnej i miodowolności. W Korzanowym świecie realność kryje się w słoty, znikający jest obstru natury, w który wdziera się „Jestemna dżuruga miasta”, zaskakująca i wyznaczająca ludowa, większą tożsamość niedługo i starzego pokolenia.

Wiersze Korzana zakładają niekiedy surkaczem i ironię, skrywanymi w pozornie beznamiętną faktę historyczną:

*pozadłony byłoby  
choć kiedyś dawno temu  
przycięci cięśmami  
sukielki łapcz wznosi  
upadływie: natęj kapuły i ogarki  
podobno wywołano dorodnie...*

(*Kwiaty na Mojdanju*)

Jakże dawka dramaturgizmu kryje się w tym poetyckim komunikacie, jakże kondensacja naszej historiozoficznej świadomości, naszego współczesnego stosunku do martyrologicznych lewonek w literaturze. Taki dystans do bezwzględności ludzkiej cywilizacji, jej wojowniczych pokoleń, może przytrafić się jedynie dojrzałym poezom, nie ulegającym łatwo polskiej tradycji romantycznej.

Literackie obrzyd Michała Korzana niósł się wówczas również wóla, autentycznego zatrokana o ludzką tożsamość oraz niepokój z powodu głośmiana przyby i bezwzględności mał z czołową słabością.

*Król nadziął Niedronkę (...)  
wziwionno rokowania  
wstrzymano dostawy serdeczności (...)  
powezwały martwić i wyspytki  
ogłotniono ofi-jany hromskich  
wyrzucano nadzięć...*

(*Przywołanie cisy*)

Tytułowy, przytoczony tu w fragmencie wiersz stanowi rodzaj lakonicznej komunikacji, zwołując zbitkę prosowych tytułów, w efekcie zaś otrzymujemy taki ładunek emocji, że można by nim obdarzyć kilka utworów. Ma bezwzględność Korzan pisze, iż „Jezulność” była grzeszłem wykłaczem od przeszłości”. Owa bezsilność sprawia – zdaje się mówić dalsi poeta – że świat opowiadany jest przez grzesz. Odkazano na zwołania całą współczesną wywołując, jak też każdego, kto jest jednocześnie więźniem i poplecznikiem władnych murek oraz ideałów.

Wiersze podchodzące do omawianego toniku są znanymi nam pulsującymi czterowierszami swistem, które ma uczelnić nasze społeczne sumienie, przywrócić nam utraconą wiarę i nadzieję wartości uniwersalnych. Właśnie owa wiara ma wzmożnić nas wewnętrznie. Ale jest w utworach Korzana także ironia, ciepło oraz nadzieja. Nawet teksty, które można by nazwać się tybalażem – narzek „zobytwałkami” *Pro memoria „Zastawanie Mojdanek itp.”*, stawaia metodę rzeczywistości, odzwierciedlającą dylematy naszego najgłośniejszej historii. Korzan tylko z pozoru utawia siebie w roli beznamiętnego, nie skłękającego emocjom obserwatora i sprawodawcy. Wykazuje wiersze pomniejszonych w *Przywołaniu cisy* to śliczności czepdo do szupki poetyckie akty oskazywania.

W trybach Korzanowych pojawia się też motyw bezstronijęcej roli miasta, wyznaczający naturalsze, przypisanie rodowi ludzkimowi wrażliwość. Wskazuje współczesna polska poezja Korzanu jako przykład cywilizacyjnych defektów, paratek i pękadeł, także uczucie-

wych. Numerowanie, klasyfikowanie i atomizowanie nitekukodów miast czyti z nich „aportakowane słody” kłótni, „zobaka tylko miękko”, starowici i kłótni urbanizacji.

Bolaler liryczny labalegkiego poety petardi był precyzyjnie oschły, ale też podlegający się gorączce emocji, jego poetyckie wyznania – co już zostało powiedziane – znią z sobą między niepalicy, czasem porównawcze w nich wyrażona językiem kolokowalnym gorycz lub pojawia się wiejski pęd, oscylujący sam w sobie przemieniący tudyjny i ludowy kultury.

Głębki pofobow zakłofikarow Korzania z jego dotychczasową twórczością, postępkij się najlepiej przeznaczy krytykami. In można by go włączyć do grupy autentyzów, z tym jednak zastrzeżeniem, iż ów autentyzm mocno już sasyony porównawkami kreacyjnymi, podburzający zaś – ekspresji i elementami metafizycznymi. Korza jest przy tym wszystkim kameralista, tu i ówdzie sięgający do literackich dowiadów czasu, choć bezsilny wobec okrutnych praw współczesnego świata. Mógłby się z wylusnym przenazem. Bolaler Korzania stawia niewodne diagnozę, ostrzeża, woda:

ostatnie, ostatnie – ostatnie  
władomości, dostawienie, nowy  
ładzie do wias o was dla was  
ładzi  
ostatnie władomości  
ostatni ładzie (...)

(Przezwycięzanie ciszy)

Wiersze Michała Korzania to utwory o defektach, znacwalnia, wrecz zmierzchniost sumień – i w tym sensie jest to poezja znacząca – zmagająca się z dramatyzmem naszej rzeczywistości wadliwej i prawdziwie po ludzku.

Michał Korza: *Przezwycięzanie ciszy*, Wyd. KAN, Lublin 1998, s. 172.

## WACŁAW WIERCIOCH

### CHYCZYŃSKI MIMO WSZYSTKO

Słuszny rabin, Ben Josef Akiba, zawykonalny kiedy: „Wszystko już było”. Dziś, po tylu wiekach, diagnoza żydowskiej obecności brzmi jak niekorzystny zwym. Niemniej przy lekturze ponowoczesnej filozofii „noble-olobol” (dla się tyko) autorów słowa to przypomina się jakby z bolesną namiętnością. Pofobek ekwyalentów poetyckich pojawia się ostatnio rzadko na tyle intrygujący i unikalny, że st. „ogotyżony”. Mam na myśli najnowszą tomik mało znanego poety z Kairu Zuberzydowskiego, Stanisława Chyczyńskiego, zażywałowca *Oktawy mimo wszystko*. Na zbieżności składowej się wyłączenie osłoniem, pominie stałowości i łabędziej, typowy czarna forma kontrowersyjna z poetyką barokku. Szczągłowo oktawy „obalowane” wymyślonymi rytmemi (nadał – nie ładaj, repem – jej sam, kiel baa – kielbasa, tyko była – kobyła, trzmiela – cni Ela etc.) wywołują wyzwyte wrzescie historycznej repetycji: pomijając poebw barokowych, nawiązują skojarzenia z analogicznymi postulatami Brunona Zuberzydowskiego, K. J. Gaketyńskiego czy Stanisława Grochowiaka. Władze zbiedzności z *Rokiem polskim Grochowiaka* są w tym wypadku oczywiste, do czego Chyczyński przycyuje się oficjalnie w w tytule jednego z otkaw:

Do czego więc zmiałyby się sprawałdział wyjątkowo *Oktawy mimo wszystko*?

O tym, że nowy tomik wrecz *Władze polskiego* stanowił pewną nowoz w poezji polskiej nie przesadza wyłącznie fenomenalne precyzyjne (niezależnie matematyczne) słotowanie homonimicznych rymów (ciecz – ciecz, lata – lata, zajęczy – zajęczy, gramst – gramst, przystał – przystał etc.), aplikowane cyfrowek i taka konsekwencja, jakiej nie znajdujemy u żadnego z wymienionych poetów, nawet u autora *Bufoły rycońskiej*, celującego w podobny doborze. Głównym walorem otomówsterów Chyczyńskiego jest podobnie specyficzne turpienie z używą, klasyczna forma (vide np. *Oktawoj*, *Jakie to smasne*, *Jerzy-włoczo-sone*, *Do lewoski*), zakrawające na absurdalną próbę kłapania ognia

z woda. Włesw „prawom fryski” ekspozycyjnie zaprezentowany w *Oktawoj mimo wszystko* jest konceptem niewątpliwie ułamym: turpienie przezwielokrotności nawiązują do woswaw przestarzałe schematy kompozycyjne, z których – zdawałoby się – nie sposób w dobie obecnej wywnosić ani kwantu energii. Najlepsze stasce Chyczyńskiego (przykładowo *Sielona*, *Szczytowanie* (*Labogotocz*), *Elizbieta Never Mind*, *Hiperrealizm*, *Czarna macz*) były wylusnym zyciem i porażką zakoczconego odbiorce silnym skrzemieniem językowo-znaczeniowym. Szczęja temu niezwykła inwencja lirgowistyczna autora, przejawająca się w licznych niedogłębionych (niezależnie od Chłobos, dastarna, opiszona, skłodypność, lipackie dzony, szlach-wampir, morszenie etc.), semantyzujących prezentacjach (przykładowe może być termin „prymordni” użyty w wierszu *Reverswers* w znaczeniu „władczy przędzowie” oraz w żartobliwych przeobrażach popularnych zwrotów (bójka na dołbecie, lary ezodwone, wódka nie stawu etc.). Oparcie na wyuzdanych kalamburach rymy wraz z typowymi dla Chyczyńskiego trickami fonetycznymi, np. alternacjami, wzmacniają genezę i znaczenie rdzonoj i quasi-nierozdzielnej zabawy literackiej, jaka jest w istocie jego poezja. Należy oczywiście i autorskim lirycznym obrazkiem Chyczyńskiego patronie – oprobz Grochowiaka – najwładopodobniej Ryszard Mikcerowski-Bruzo.

Jednak powyższe konstatacje nie wyczerpują potencjału tej ekscentrycznych otkaw. Jestem przekonany, iż wiersz *Hiperrealizm* to stasca klasyczna, otwierająca drogę do zrozumienia całego ich zyciem, pomawiał przynosi istotną częśćki twórczego programu autorskiego. Miniaturowy portret kalamburyjkiego piazta ma ją propozycja hiperrealistyczna motywy, fragmentaryczne kadry, omijające wybrane obszary rzeczywistości w znaczym zblizniu, jakie znaczą się z wielu płociem nowych realizmów amerykańskich (choćby Johna Keacea i czy Davida Parrisa). Ciężką rolę egzemplifikacyjną może być otkawa *Rusa sola* (party):

Swałto na perle? przeciel to kiel baa  
mokry od ślasy z mielczy warg się cnie  
hej wielkie łarcie marzudna wielbasa  
chłobek jak ciolko zszapan wielki ciebier  
...  
luis miłazowe solo łurczko po łrodzie ciecz  
kiel wiodni w łabko przycoczono granie  
złobowcy orgazm zapewnił nam ciecz  
kiedy miśże acyły zarzuce puzacz powie

Jest to wymyślny przykład, w którym znajdujemy komplet cech konastyficznych omawianego zjawiska: kalambury, alternacje fonetyczne, turpienie, nerealistyczne skróty i zjadliwą puentę.

*Oktawy mimo wszystko* nie zawierają żadnej prywatnej, klarownej, calowiczej wizji minimum, co wywala logicznie z hiperrealistycznego podejścia autora do bagażi dowiad-czeń oschłoby, jakim obawiany jest zwykły inżynier. Chyczyński zdaje się twierdzić, że współczesna jednostka, ogłupiona edukacją czasu afektacyjnego, nie jest w stanie swym intelektem ogarnąć i adekwatnie zinterpretować wady, w którym przywołuje jej (por. *Sapozycje*, *Bajka*, *Reverswers*, *Bójka na dołbecie*, *Sterowallo*). Postawę taka mota na by nazwać minimalizmem pomawiamy, ale nie sposób jej odmówić zastawiających nacj.

Portowanie nowy zbiorów wierszy Chyczyńskiego z poprzednim (*Motowy milgijow*, 1994) trzeba porównać. I ujawnia on kłopot, zupełnie inne oblicze poety, naskakujące tak od strony formalnej, jak i merytorycznej. To już nie jest tłumek Chyczyński, aczkolwiek – mimo wszystko! – nadal ten sam zyciem.

Wacław Chyczyński: *Oktawy mimo wszystko*, Wydawnictwo Między Literackie, Warszawa 2000, s. 40.

BOGUSŁAW BIELA

## ŚWIADECTWO POETY, CZYLI LITERATURA UKRAIŃSKA W KRĘGU ZAINTERESOWAŃ PARYSKIEJ „KULTURY”

*Rozstrzelano wiodniczeńką! (Rozstrzelano wiodniczeńką, tak jest tytuł antologii prozy, dramata i esaju ukraińskiego, wydanej w 1959 roku nakładem Instytutu Literackiego Jerzego Olszyny. Redaktor tej fundamentalnej i kluczykowej już dzisiaj pracy, Jurij Lewiński, położyła w podstawie, ze względu na to, że miała się ona ukazać dzięki finansowemu wsparciu „Kultury”, czarna plama polskiego, które podczas wieku lat obywatelskich kontaktów polsko-ukraińskich na emigracji żyłako szanował i zaskazywał prości w środowisku Ukraińców, stojące się jednocześnie wzorem wzornego dialogu dwóch narodów i dwóch kultur. Okazała ta koczująca z charakterystyczną małą kolonią jejową w ukolonyj rzymskiej trzema szesnastoznaczonymi literami I.P.P. na okładce – znakiem graficznym wywodzącym zabołszony jeszcze w Rzymie w 1946 roku – kocy do dawniejszej orientalistycznej stron. Jurij Szwedow (piszący pod pseudonimem Ilerakim Jurij Szewcz) znakomity filolog, mazy czytelnikom „Kultury” dzięki bytkowym artykułom ukazującym się na jej łamach, wybrał do antologii utwory wydane między 1917 a 1935 rokiem. Teksty te opublikowano na tytoirium Ukrainy Zachodniej w latach 1939-1944, ale z licznymi interwencjami cenzury.*

Twórcą antologii przedstawia czytelnikom proces powstawania dzieła. Dowiadujemy się, że części dokumentów przepisał młodysty literatury z rękopisów w bibliotekach uniwersyteckich i publicznych. Jednakże liczące rękopisy zaginęły, inne zaś – opublikowane w rzadko już dostępnych czasopiśmie, wyzerkano z symbolami trendu. Redaktorzy przeżyli krytyczny artystyczny oceny utworów, a nie – jak się najczęściej zdarzało w podobnych wypadkach – polityczne, przeciwstawiając wytworom literatury powstałym z inspiracji partyjnej tej, jedynie ważnej i kluczyowej, są postojącej z potrzeb diachronicznej, odwołującej się do czytelnika silną ekspresji artystycznej, wyszłażni i indywidualności twórczej. Każdemu autorowi (omawianym czterdziestki historycznej Ilerakim, w tym dwadzieżnik sześćsto pięćsto) redaktorzy antologii poświęcił kilka stron opracowania.

Utwory poety i pisarzy poprzedzają więc: Ileraki perłert twojey, w miarę szczerolowego biografii i bibliografii jego dzieł. Można sobie wyobrazić ogrom włożonej pracy redaktorów w przygotowanie i opracowanie przypisów. Wzrost prawa naukowego na emigracji z kofem led 50, wobec ogólnego rozprószenia żywość, lenku dostępu do nowych opracowań krytycznych i jako ograniczonych kontaktów byłowa niezróżnicowanym heterogenicznym stragamiem. Przewodopodane znalazło zawierzyć wczesna w dużym stopniu wyobrażeń i listujak tak:

<sup>1</sup> *Rozstrzelano wiodniczeńką. Antologia 1917-1933. Proza. Drama. Esaj. Instytut Wydawniczy „Pisze” 1959, s. 380.*

<sup>2</sup> Jurij Lewiński – kocył Ileraki i diemierak, wrodził się 3 maja 1905 r. w uokolnicach Kijowa, zmarł 14 grudnia 1978 r. w Nowym Jorku. Po studiach uniwersyteckich w Charkowie (wydział historii i filologii), w latach 1933-1939 był wiodniczeńką emigracyjną i wiodnyim prac.NKWD w obojwie w Buzycyku. W 1950, wycieczając do Stanów Zjednoczonych, jego prac.literatury ukraińskiej w w głowicy niaczo polipolone odrodzenia poezji ukraińskiej w latach 20. Bibliografia pra krytycznych, Ilerakim i diemierakim J. Lewiński Esaj 300 tytułów. Zob. m. in. *Proszty silny opublikowany w mawowym nazwisku „Kultura” w 1959. Ilerakim rękopisów i porównawczy. Według w dużym stopniu polonika z gotowca Cz. Młodziejewicza w *Jejo Złotowierstwu wiojcie*.*

<sup>3</sup> Jurij Szwedow wrodził się 17 grudnia 1908 r. w Lwowie, zmarł w 1992 r. w USA. Był profesorem uniwersyteckim rymańskolich i społecznych. Związka zwołując stronę jego znakomity artykuł *Młodzieży emigracyjnej Charkowa zamieszkałej w obojwie w Buzycyku „Kultura”* 1951 r., publikowany w drukowni kolonizacji 44 46, która nie posiadała się wosierwizacji. Zob. teniż *Jejo Złotowierstwu wiojcie* i *Wielki wój Wschodu* („Kultura” 1952, nr 9), byłaby przymówką analizy mowotwórczości znakomity poety ukraińskiego Andrija Malynki, patrzącoga na Amerykę przez pryzmat mowotwórczości obrazów radzieckiej poezji.

aby mają badawcom magla je szuki i uformować. Rozstrzelano wiodniczeńką, niezwykle udane przedsięwzięcie wydawnicze w tradycji warszawskich emigracyjnego życia, zostało czone zostało sukcesem dzięki bogatym zbiorom archiwów i bibliotek amerykańskich. Te ostatnie dostarczyły niezbyt wielu dokumentów, rzadkich i unikalnych materiałów oraz umożliwiły ich wykorzystanie.

W otytoiriumy już wstępnie do antologii Jurij Lawriński przypomnia również, że 20 grudnia 1954 roku Związek Pisarzy Ukraińskich „Słowo” wydał z Nowego Jorku dzieło następującej treści:

*Moskwa. Dziękuję Radzieckiej. Depesza do II Zjazdu Pisarzy Radzieckich. Pisarze ukraińscy za granicą pociągają podziwianemu Związkiowi i wyszukują prowadząc solidarności i pierserami woszczolich przekładanym narodów w Związku Radzieckim. W roku 1930 było 239 pisarzy ukraińskich publikujących swoje utwory. W 1938 zostało takich tylko 36. Znaczący się przysłał i propagandowemu dochodzeniu przez organa milicji, diażnego w jakich obokowolnych 231 pisarzy opubliko kary literatury ukraińskiej.*

Pisarze ukraińscy z Nowego Jorka nie otrzymali odpowiedzi na tę depeszę. „Słowo” opublikowało więc komunikat, który stwierdzał:

*Strony literatury ukraińskiej mocno obliczy w sposób następujący: 17 pisarzy zostało rozstrzelanych, 8 pisarzy poparliło samobójstwo, 175 deportowało lub układowo NKWD, 16 pisarzy zgolyło bez śladu, 7 pisarzy zmarło śmiercią naturalną.*

Wydanie *Rozstrzelanego* odrodzenia stało się nowym rozdziałem w historii literatury ukraińskiej. Poeci ukraińscy w okresie między 1917 a 1939 rokiem – tak bogata, tak oryginalna i tak blisko zachodniej w obrazowaniu, szanolaki metafor, wiozy artystycznej, dyscypliny i samodzielności oszwanizacji (niezły rzadkości i w imieniu małych nakładów wydawana i rownie rzadko wozawiana) była przez dziełniczeki tenatam analiz i unikalnych artykułów w „Kulturze”.

Dzięki literaturze publikacji, esajom i polemikom toczonym w mieszkaniu J. Maionna-Laffite, czytelnicy w kraju i w zagranicą w pogłępieniu kajakich władzy mogli zrozumieć skomplikowane, złożone i wyjątkowo ukraińskie go. Już w 1949 roku ukazało się w „Kulturze”, w doskonałym tłumaczeniu J. Lubodowskiego, pięć wierszy J. Malynki<sup>4</sup>. Poeta tłumaczył jeszcze będzie widowisko, a w trzydziestolacie działalności Ilerakim jego polski tłumacz polonijni mazy piątky artykuł zabytulowany *Poeci Jerzego Malynki*, „artytyczne podsumowanie dowolki twórczego najwobniejszego pisarza emigracji ukraińskiej. W kwietniu 1968 roku, miesiąc po śmierci Malynki, „Kultura” zamieściła *Wspomnienie o przysłaści pióra Jerzego Stempelkiego*, pokazując tym samym jak ściśle były jej związki z życia ukraińską. Nie ograniczali się one bowiem do tłumaczenia i publikacji tekstu, wyznaczały je było wazno życie przyjacieli, dawne i twórcze znajomości (nawigowane jeszcze w Polsce w latach 30.), a także – nie mniej ważne – wspólnota emigracyjnego go.

Z poezją wiąże się ściśle status egzystencjalny twórcy ukraińskiego. Na przykładzie neoklasycyzmu J. Kłena zwrócono uwagę na dramatyczny dyalekt. Poeta musiał bowiem, poza talentem, dać dowód odwoj i siły charakteru, decydując się przeciwstawiać obciążonej ideologii. Jego warty artystyczne umieszczenia go od razu na podwyższonym terenie najkulturalniejszych. Taką była sytuacja uniwersyteckiej poezji w 1920 roku na Ukrainie Wschodniej<sup>5</sup>. Znaczący w tym miejscu, to o „Kajkach kijowskich” znaczący przed depertem w 1974 roku.<sup>6</sup>

Poezja ukraińska zajmowała w piśmie redaktorów z Maionna-Laffite cieższe miejsce. O jej kulturnym dziedzictwie pisał niezwykle interesująco J. Lubodowski. W artykule *Scyły i Charkubry ukraińskiej poezji*<sup>7</sup> wykazywał, że dzięki kontaktom z Zachodem poeci ukraińscy mogli zachować wrogi i dynamiczny artystyczny. Nie zapomniał jednak o swoim dziedzictwie kulturowym. Dzięki cieżnemu tego wspaniałego pokolenia znakomitości rozumienia i wzbogacenia się poezja. Kasztęj jeją, jego głębiok, szterekłak modybilności i wspanoliki formałna napelszej wymyślił również jej ukraińskoliki. Dzięki kontaktom Jerzego

<sup>4</sup> *Rozstrzelano wiodniczeńką*, op. cit., s. 12.

<sup>5</sup> *Konkretne to okład się w kompletnie J. Brzozki „Tę Samotniejsi” w numerze otytoiriumu z 1951 r.*

<sup>6</sup> *Zob. „Kultura” 1949 i 1961 r., s. 158-159. W tym samym roku J. Lubodowski opublikował tłumaczenia woszczolich poezji ukraińskich. Czytelnikom mogli się zapoznać z wierszami E. Tysyjca, M. Zernca, M. Młodziejewicza, P. Trilakim i J. Kłena i jeszcze mazy J. Malynki i L. Krawczuka.*

<sup>7</sup> *„Kultura” 1955, nr 10.*

<sup>8</sup> *Zob. L. Korzon, Obywateli mowotwórcy – parazytici, „Kultura” 1948, nr 7.*

<sup>9</sup> *Zob. „Słowo Ostańskie”, 3, nr 3.*

<sup>10</sup> *„Kultura” 1954, nr 4-5.*





spoleczeństwa? Dlaczego powinniśmy być z tym samym tak nieśmiało?

Bakula nierzadko pisywał słowa „poezja” o wierszach Piłki jako wartości szlachetnej. Dlatego za przedmiot swojego badania wybrał również formę poetycką (Parasitizm). Swego rozważania prowadzi ku tezie, że Poezja jako Piłko jest potrzebą egzystencjalną człowieka. Z Poezji jako Piłkiem ustąpił się Dobro. Poezja wyznacza i naszkoluje także poddawane potrzeby człowieka jak słuchacz i był słuchaczem (potrzeba komunikowania się) i potrzebą bycia sobą, a nie manekiem w masce.

Autor ponajbardziej odpowiedział na pytanie, jakie znaczenie ma poezja, jakie miejsce wartości obecnej i jakie miała w przeszłości? Dlatego swoich tezę formalizm i utrakim nie wykorzystał ukraińskiej poezji (nie chodzi tu o słowotwórczość w języku ukraińskim). Pomimo że pozostawia głębokie piętno w zachowaniu i myśleniu społeczeństwa ukraińskiego, to jednak mógłby stać się renesans ukraińskiej kultury. Poezja więc nie tylko kreuje, ale także odzwierciedla powtarzające się w życiu wady i chyby (np. Dedala, Bana, Prometeusza). Poeta jednocześnie stał w sobie ma charakter maitewowy. Wynurda, cnota, literatury ukraińskiej jest profesjonizm pracy i prometeizm. Prometeizm – to rozumienie cnoty prometejskiej, w pokoleniach różnych epok. Zmieniając się, cnota, rodzi się serwi Prometeusza. Nieustannie koczując od mta do prawdy, od prawdy do mta.

Czy nasz „prometeizm” ukraińskich mta? Co było istotą buntu pokolenia lat 60? Jak bunt odgrywał Bana, tragiczny śmieślak, jaka burleska Prometeusza, a jaka burleskowiec Prometeusza Dedala? Każdy ma ambicję odłączyć się od znanego świata na konsekwentnie. Najbardziej znaczącymi cechami Bana i Prometeusza są śmiałość i bunt, to Dodał – bez skutowności i odwrotnego – rutynę przed trawieniem wywarów rozkładu, lekowność praca nad sobą i nad realiami w dąpieniu do postawionego celu, ocieplanie go pewna pokusa wrogu. Koczowniczo i twórczo przekształcanie wyliczka i trudny wybór, to – swój wosny wybrany postawie i pragnie być w zgodzie z własnym sumieniem. Pomimo wszystko nie dać się zwyciężyć, zachować swoją twarz (mógł być spotrzany w twórczości D. Pasyłki), *Zapamiętaj swoją twarz*. Myślę, że otki kabury ukraińskiej przefigury na wosku nie w się. Z tejżej literatury Banaa czytelnik wie, że w ep. w latach 60. pokolenie „antiteatralistów” także należało do literatury socjalistycznej i miało to realnie osiągnąć, a także jako funkcjonować w życiu. (...) Bana – owozem, ale nie za waznym cnot. *Oczywiście być wyliczki*. *Wazyt Stał, Dór Kabanki i Bana, ale generalnie „plazir przy korycie”*, przyjętoją do wygodny sytuacji, na bant nie miał ochoty. Wolał wosny swój spracizny i życie czepnym, *dręczył historię, kłopotliwym. Młotem jest mowienie o pokoleniu 60 jako „Bana-wosny, to postawy indywidualizm”*. Wyliczki i na postawie pracy w otoczeniu interaktywnej przez system, uwolnionąją dążyć po prostu przostawia w *Zwężku Piłczy* (s. 177). Autor książki pisał, że D. Pasyłko uświadł jednak otwartej konfrontacji i teatropoglądowej nie przestąpił *fladem Sana, Koficyna, Swerżkita*. *Uczeń w przypływności w gwałtowno, w historię, a także w swobodę obywatelską demokracji, odczytując w gwałtowność odwołanych przez obywateli *dręczył historię, kłopotliwym, „herytyżki”* *otworzył powstaj jest wosny „Herby”* (Głogyn, 1969). *Wędrując wosny na odwołanie Pracyki Włosny 1968. Twórczość Pasyłki* *wosny, w masie prometeizm [Bana] odwołano *Wosny Dwojca, najpóźniej dylemacy, także masal rozpracowania, poezja, była nie tylko słowami, broniąc Dwojca zachować narodową tożsamość, artystyczną i moralną godność w świecie nie należącym do własny wosny i słowa (s. 181)*. Nawrwa się pytanie: *Czy Banaa żyć – to podwójnym czy pojedynem wosny* (s. 56). Tylko jakim wyliczkiem? I to kostrze jak fizyczny i psychologiczny?**

Ważące do głębokiego mta narzucając, że Bana jako syn Dekomunizacji w współtowarzystwie, obchodzi go jednak niecierpliwie, nie uznawaj grama kompromis z koniecznością. W tym kontekście warto przypomnieć jedną z sugestii dydaktycznych Piłki Świętego: *Być ciepłym i wosny. Dlaczego? Może dlatego, by rozumieć, rozumieć, nie pochopnie, lecz konsekwentnie budować lepszy świat. W folklorze ukraińskiej cnoty obecny jest motyw kamienia (np. *Wosny Na kamieni wosny ...*); przykładem „ładzi motywu kamień”. Motyw ten funkcjonuje w twórczości D. Pasyłki, przekazuje mta – by twarzym, motywnym jak kamień – nie dać się zwyciężyć.*

Posta-prometeizm nie był w systemie wosny i honoracji, ogólnym wosny teoty w „samowydawach”. Tym samym wystawiał siebie na próbę losu, w konsekwencji był odznaczony, skazywany i karny. Praktyka pokazała, że prometeizm łatwo nie rezygnował Poezja była dla niego koniecznością, doborowym wyborem, którego nie powiadał się podważać nawet w osrobie śmiechu. Także w twórczości Liny Kostekowej motywem punktem była wosna – wosny wosny, wosny wosny, wyrazem jej buntu były ironia i młotzenie.

Jednym z ciekawszych wątków *Sierżdy Dedala* są rozważania o teodycy. Autor nie zgadza się z poglądem mówiąc „sprawiedliwość zła”, które według Banaa, Banaa-kowa „była wartościową moralną doświadczeniem historycznym”. Bakula wskazuje, że w tej perspektywie teodyca XX-wieczna *jest najpóźniej okrutną i paranoiczną wstęgą człowieka człowieka bez Boga, z jaką przyczołano niekiedyś obywateli, pełniących służbę, obywateli, żelazki, moralności, niwiarę, filozofii zwycięstwa. Tworząc, jeśli powołujemy się na spraciznowalność Boga za istnienie cierpienia, konstatując nie na prowadzenie filozoficznej (metafizycznej wartości), historycznej, egzystencjalnej. Nie rozpaczać z przyby zranieniem sensu zła, także swoje interpretacje poza światem wosny religijności, mta nie zaprzecza, że wosny należało do świata kabury chrześcijańskiej (s. 260-261).*

Bogusław Bakula stara się przedstawić twórczość m. in. Tarsza Swerżkita, Liny Kostek i Wazyt Sana w aspekcie rozwoju „ślachoty ukraińskiej”, w której poezja ogólnie agramiła wosny *Wosny U Sanaa zwracano dźwiele wosny wosny w Banaa i Banaa spraciznowalność, przeproszenie chrześcijaństwa-młotem, jak i obywateli, a młotem wosny młotem. Młotem nad adresem Boga i systema wosny przemocy (...). Wosny dwojca wosny cnoty i wosny czepności, zwanym życiem, zwracając historię, budował wosny swojej metafizycznej wartości, odcierpienie się na twórczości poetyckiej i koncepcji ukraińskiego losu w historii. Są to podstawowe elementy teodycy i wosny w jego Banaa, zwalczając zwalczając wosny i „Pasyłczy” (s. 274).*

Z perspektywy doświadczenia skutków zła spraciznowalność jest budania problematyki teodycy (do dosięgnięcia człowieka nie jest wymyśleniem literatury). Bakula rozpatruje poezję: dobro – zło, Bóg – dabeł, życie – śmierć, ofiarnost – egoizm i wygodnictwo, młot – niemożliwość, Bana – wapienie. Jego rozważania są refleksją nad problemem XX-wiecznej teodycy. Autor zastanawia się nad trezema modelami refleksji teodycy: antropopauza (D. Pasyłki), historiozauza (L. Kostekko), teodyca sensu stała (W. Sana).

Odczytując artykuły poświęcone zwanym klasykom poezji ukraińskiej i wosny Swierżkitemu, Iwanowi Dmochowi, Iwanowi Dziubie, Iwanowi Kaluziowi, Emmanui Andriusowi, Sofii Majchaliuk, poetom „Kijowskiej Szkoły” (Mykola Wodanow, Wazyt Bohar, Wazyt Dornar, Mychajło Hryhorow, Wazyt Holoborak, Mychajło Szaczko), którzy znali się przede wszystkim w wąskim kręgu literatury. Fakt ten Bakula komentuje: *I jest wosny dabeł pomyślności przostawia i wosny, wosny pozorni nieuczelnicy, pojawiające się i zwołanie dabeł, *stworzył artystyczny. Sanaa dżestaj stał się skony. Ale spraciznowalność i pokolenia, podjętych zniszczenia, jest nadal praca *dręczył historię i dżestaj, a także poezję jak Wodanow, Holoborak nie nie wosny, wprowadzając wosny i wosny-tyklowej literaturze ukraińskiej potrzebne – wosny, wosny estetyczne, wosny intelektualny (s. 58)*.**

Książka Bakuli mówi o niepodważalnym prawie literatury ukraińskiej do traktowania jej jako społeczeństwa w procesie walki o niepodległość narodową (głównie o prawo do własnej kultury). Literatura ta wyszła ponad wyściskami na granicę narodowym, kulturowe poezji, wosny wartości estetycznej. Fakt obłądki – jak sięgając indziej – czepność i trudny kultury narodowej spraciznowa ją do rangi dziedziczy wosny. Autor sugeruje, że literatura ukraińska jest w tym zakresie zwyciężca nieporażalnym, wosnym istotną wartość do ogólnowosny wosny.

Autor książki wskazuje na znaczenie kultury rodzimym w zachowaniu tożsamości narodowej i zachowania. Jako filozof i filozof z wykształcenia jest autorem krytyki literackiej był historii literatury wosny okresu, pragnąc zrozumieć istotę faktów, zbrodnic ich powstania i trwania, capiezno odwołano tajemnice współczesnej Ukrainie. Sanaa pytanie: *Czy dażniej literatury ukraińskiej na Ukrainie, Czy nadal jest inspiracyjną *czeka na Ukrainie* (...), czy nadal odczuwa się swobodą bratem bratem obywateli wosny w *Wosny-młotem jednostki był wosny estetyczny (s. 48)*. Capiezno odpowiedź pada z ust Iwana Dziuby: *dżestaj w ukraińskiej kulturze istnieje porażka i konieczność fundamentalnego przemienienia całej problematyki (...)* *obłądki jest wosny spocznym na literaturze (s. 48)*.*

Spis treści: Bakula, Sierżdy Dedala. Zdobit, mowiony poezji i kabury chrześcijaństwa (s. 10, 22 wosny, Wydawnictwo WEL, Paryż, 1999 w. 30)

## TOMASZ OSKAR SOSNOWSKI WEDŁUG LECHOSŁAWA LAMENSKIEGO

Lechosław Lamenski odbył pielgrzymkę do Rzymu, aby odkryć tam dane dotyczące rzeźbiarza, który w ojczyźnie nie zabrał się sławy i chwały, owocem był przynajmniej i wielokrotnie przywykły, ale w końcu sam siebie wybrał – w dwadzieścia pierwszy, chyba że za taką umyślną miłość kresowego ziemiaństwa do Italii artystki i Canovy – emigranta. Co więcej – Sosnowski umarł tam w Rzym, do którego wędz jakżeś sięgał masowo artysty z Polski, choć przedmiotowo w dziedzinie sztuki dawno już przemigł, a Wnieście Miasto dało się w tę dziedzinę wyprzedzić nie tylko przez Parę, Boudoie, Leoty, ale także przez Monachium, a nawet zabszycerę praski Bierne. Nie było bowiem żadnego powoła, aby Sosnowski miał zacząć w Włochach, nawet wówczas gdy przylągnął go do Imperium, okazywać się stał doznającym Prywilejów K. Więcej – artysta wykazywał zawsze słabość do młodych teń świata i można jeszcze zwrócić, że za młodo popadł w porębie „Najjaśniejszego Pana” (zapewne króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV), tudzież, że około 1855 r. wybrał marmurowy konfektami cana Miłogole i, że zupełnie niezrozumiała była służalczość artysty, wykonującego w własnej inżynierii busty generała Iwana Paskiewicza oraz jak najgłębszą pamięci ostatniego namiestnika w Królestwie Polakim – Teodora Teodorowicza Berka. A więc był Sosnowski – młody wytwórca – artysta „dzwonkiem”, a na starość zdziwaczem abnegatem żyjącym w niemo, który sam sobie zaufał, wo piśmie że Nowomalinia nadał napływały do jego rzymskiego „zajęty”.

Nie jestem wielobitem twórczości Tomasza Oskara Sosnowskiego, uważałem go i uważam za powściągnięty, który wywodził się nie od malarstwa, ale od literatury i w swoim kierunku albo wyobraził twórczy i który wykazywał dostrzeżenie, ale niestety nie posiadał i grupy oraz nie miał popierania, ale pozostał daleko w tym w swoją epokę i aż tak tylko jeszcze wyprzedzić Antoniemi Maleyskim. Ale może odosł sprawiedliwie Lechosławowi Lamenskiemu, że podjęwszy temat powołał go usque ad fides solidnie i inteligentnie. A więc dobrze się stało, że Sosnowski doznał się granatowej monografii, chociaż ja cieszę się być bardziej, gdyż tak monografia opracowana została dla Sosnowskiego, Karłowicz, Lamenski czy jeszcze kogos spośród tych, co kroczył do przodu, a może i samego Duszkowskiego.

W każdym razie Lamenski wykazał w swej pracy rzetelny obiektywizm i pracowitość: przebrał rzymskie zakamarki i archiwum, a przede wszystkim zebrał ogrom literatury przedmiotowej i w ten sposób książka stała się nie tylko monografią jednego artysty, ale także przewodnikiem po polskim Rzymie XIX wieku. To jej wielką zasługą, zasługą bowiem szereg prac na ten temat, ale nie dość szlifowny (brzyzo coś miał „pamięć”, albo historyków, dziennikarzy i artystów), a dopiero obecnie pojawia się rozprawa o szerszych horyzontach, historycy sztuki bowiem (a przekazywał o tym wielokrotnie Biuletyn) mają w zasadzie szerszą i bogatszą perspektywę oglądu opisywanych zdarzeń niż najpóźniej nawet przedstawiciele innych „prawdziwych” dyscyplin.

Tak więc po Więpie obiektywnym się bierze i oczywiście pierwszym rozdziale poświęconym, jako się rzekło, polskiemu Rzymowi, Lamenski przedstawił w rozdziale drugim biograficzny rysunek, śledząc dokładnie jego życie i twórczość, a następnie po bliżej twórczość rzymską. Już na samym początku gwarują się owa szerokość która permie naszej lekturze artysty, autorowi bowiem nie udało się ustalić w sposób ostateczny miejsca i daty urodzenia rzeźbiarza, co wszakże nie wydaje się aż tak ważne, bo chodzi o lat zaledwie kilka (koniec pierwszej albo początek drugiej dekady XIX w.), a miejsce – zapewne Nowomalin, chociaż wymieniano też okolice Grodzka. Później filozoficznie nie przysięgnął już Lamenskiemu o nadobowiązkowe strony: dzień lata sąsił i wieloletni mistrzowski w Polsce, w Berlinie, a wreszcie w Rzymie. Bardzo cenne jest w tej biografii obfite cytowanie współczesnych artystów źródło: artykułów prasowych, wzmianek w opracowaniach naukowych, wspomnień i korespondencji. Ja jestem tylko ciekaw, czy nasz wieszacz – Zygmunt nie odnotował gdzieś w swej ogromnej korespondencji, przepięknej zebrał i byłby obserwacja, postaci artysty, który jako młodzieńcze wykonał, jak się zdaje, płasko-rzeźbę z przedstawianiem epki artysty – generała Wincencjo.

Usnął Pietro Tenazariego, najwybitniejszego rzeźbiarza włoskiego z generacji po Canovie, miłośnik tematuł podzielił i znalazłby w powadze swawolę, Sosnowski był pewnie tematuł religijny, mitologiczny, historyczny oraz symboliczny. Ja mam tylko wątpliwość, czy grupa *Tabellaia leżącego ślego-oko* winna być zaliczona do tematuł mitologicznych, skoro dotyczy postaci ze Starego Testamentu? Wyliczyć raszcone przedstawienia, z wyjątkiem *Zdjęcia z Krzyża* (Piety) wykonanej w kilku wersjach, ograniczają się do jednej, a najwyżej dwu osób. Można określić trzy najchętniej realizowanych i przedstawione, pojedynczo – stopę (*Tadusz Czacki, Adam Mickiewicz, Piotr Skrzyński, Miłogole Kępcowa*), śladkę (*Adam Naruszewicz, Kępcowa (M. Głuchowski, Szymon, Pius IX)*) i w tej samej kategorii, wyszły mi marmurowej i antykowej, jest się przedstawianiem osób świętych, jak również postaci symbolicznej, jak *ów do młotniara przawozący Anioł Zwornicychowania*. Ta sama koncepcja zastosowana zostaje do grup dwuosobowych, a więc do takich przedstawień jak *Mieszko II Dąbrowicz* (co bliźniako do niej podobnie *Jadwiga i Jagiełło*, która matka stałaż niewiome dziewczątka na brzońskich Placach). Drugi wariant grup dwuosobowych to *Edy i Awogosto*, czy *Belizariusz i córka Eufrozyny*, gdzie tutaj siedzi w oświecie śladkę portretu, a w tymba coko staż za jego towarzys. Tak więc zupełnie wyjątkowym przedstawianiem jest dyktura rzeźba *Chryzostw w gróbie* w warszawskim kościele Kamelulów, która otwiera Sosnowskiego drogę do karczy, była i jest podziwiana, a nawet w pewnym sensie stała się wyobraźniem kulturowym. Nie dziwny się więc, że Lamenski włączył na okładkę głowę z tego portmoka pełną dotkniętą w Rzymu.

Osobny wice liczny dorobek rzeźbiarza to jego popiersia portretowe, które tworzą piękna galerię dostojnych osobistości, głównie polaków (ale nie tylko). Tędyż wypowiedział się o podobieństwie owych rzeźbarkich portretów, wale że zgodnie z tradycją epki artysty śladkową, a przede wszystkim głosił, że śladkami owych młodych, czyż czynił jak jeden z najświetniejszych portretowców *dzwonkiem XIX w.* Winstabla. Okazuje się z pełnym zaskoczeniem, że przed takimi dziełami rzeźbiarza, bo chociaż dziełność portretowa była traktowana przez artystów i krytyków jako dalszofowa i mało wartościowa, w rzeczywistości to ona gwarantowała niejednokrotnie niezmiernieść ich spozycie. Ja wspomnian z pewnego rodzaju rozczewieniem wykonane przez Sosnowskiego epitafium Józefa Korwin Sosnowskiego w rzymskim kościele Santa Maria Sopra Minerva, w którym zresztą znajduje się sporo pomników polskich. Szymonowski był „artym warumem” – śladki śladkowy w armii rzymskośląskiej, w Kościele św. Polaka w Warszawie, czy śladki generała i wależy w powstaniu listopadowym, następnie emigrant do Rzymu, gdzie wstąpił jako prosty gwardziola do armii papieskiej. Sosnowski wywrzbił jako śladkę portretową, w którym wicej przezebrał się jak rzymski senator w toż, choć w wspomnieniu wynika, że był przewodnym „Samatą” – faeegionem i ofiowskiem ogólnie luba-sym, a nie żadnym mawowym kornatorem.

Nie chciałbym, aby czytelnik miał wrażenie, że nie przypadkowo w rozdziale trzeci sprawił przez Sosnowskiego, nie doznając jego *zadaję*, ponieważ oszacowałem to jako zdrowy rozsądek osterzozy i powołano-krupował rzeźbiarstwa, a historycy sztuki nie mają konieczności kochać bohatera swych badań i zupełnie wystarczy, jeśli już w stosunku do niego obiektywny, Sosnowski był artystą, jak go Pan Bóg stworzył, że wszelkimi włączającami swięj epki w jej lechackiej redukcji i z powrotem na taką właśnie obiektywną, a głowicoma monografię, jaką sporządził Lamenski, w pełni zadowolony.

Lechosław Lamenski: *Tomasz Oskar Sosnowski 1818-1898. Rzeźbiarza polski w Rzymie. Rozprawa habilitacyjna. Biblioteka Wydawnictwa KUL, Łódź 1991, w. 109 i 152.*

### EWA ZABROTOWICZ

## „MIŁOŚĆ DO POLKI”

*Hopei Shoni Aoyama* to wydana przed trzema laty przez nowojorskiego wydawnictwo Pocket Books druga powieść Suzanne Strempek Shea. Autorka, która zdobyła już własnym swoim udanym debiutem *Selling the Life of Heaven* („Sprzedając swawolę niebios”) i umocniła swoją pozycję wydaną w ubiegłym roku powieścią *Lily of the Valley* (to byłaby

pisaliśmy w „Akcentach” nr 2/1997 i nr 1-2/2000), jest amerykańską gwiazdą polskiego pochodzenia i polskimi jest obecna na wielu słynnych filmowcach w każdym jej utworze.

Tywałi powieści oparty jest na grze słów. *Hoops! Shoops! Donna* to angielski żargon polskich słów często pojawiających się w ludowych melodiach – „Jurkup siąpaj duma”. Główna bohaterka, która jest zarazem narzeczona powieści, ma na imię Donna. Słowa „Jurkup siąpaj duma” pojawiają się w refrenie ulubionej piosenki Donny Milewskiej jej ojca. Bohatera wspomina, jak jej ojciec po wykonaniu pierwszych taktów tej melodii, grając na koncertach pod gołym niebem, przorywał ją do tańca.

Relacja pomiędzy bohaterką a jej ojcem jest głównym motywem i osią kompozycyjną powieści, którą oświetla rozmowa Donna z przyjaciółmi niedawno zmarłego ojca. Donna podążając za wolą przemożną decyzję – postawia zrezygnowała z dotychczasowej pracy i zabłądziła zespół grupy polki, ulubioną muzykę jej ojca. Moment podjęcia tej decyzji jest centralnym punktem powieści – do niego znowu powracając się dalej retrospektywna relacja o wydarzeniach z dzieciństwa i młodości bohaterki, od czasu rozpoczęcia się opowieści o dalszych losach Donny.

Bohaterami powieści Suzanne Strempel Shek są, polscy Amerykanie, imigranci z Polski lub ich potomkowie. Adam Milewski, ojciec Donny, został astrylany z Polski dla swej amerykańskiej rodziny przez rodziców, nie mających środków na utrzymanie licznego gromada dzieci. Zena Adamsa także ma polskie korzenie. Ich córka wspomina swoje dzieciństwo jako bez troski, niezajęte, niemal bezkarnie. Spełniała radośnie dziecięce lata w niewielkim miasteczku w Nowej Anglii, w stanie Massachusetts, pomiędzy Kochających rodziców i babcie, ułochających przyjaciół: Theobald i Carolyn oraz leżącego grona przyjaciół i sąsiadów i znajomych. Widzimy element tych szczęśliwych dni była niska gra na akordeonie. Donna sama wybrała ten instrument i zdecydowała, że chce uczęszczać na lekcje. Jej natczytka muzyki, siostry zakonne przeważnie katolicka koleżanka, do której uczęszczała Donna, a także rodzice dostrzegali i chwaliły jej talent. Po kolacji zaskadała w kuchni przy rozłożonych nutach i grała ukochane polskie melodie ojca. Największą nagrodą był dla niej wyjazd rodziców i dany w jego cieniu.

Siedlarko dzieciństwo nagle kończy się. Czternastoletnia Donna dowiaduje się, że jej rodzice, na prośbę siostry zamierzającego się w trudnej sytuacji finansowej, postanowili sprowadzić z Polski i zamieszkać jedno z jego dzieci – sześcioletnią Elzbięte. Wkrótce po przybyciu dziewczynki, narzucaj jej Donna Betty, dochodzi do poważnego wypadku. Donna znowu powierzona jej opiece Betty w domu i bieżące dni maślaczka rzekę na pierwszy w życiu nadziej. Romanizując spotkanie znowu przeważnie przez szkolnych kolegów Donny i Bobby (eg) i bieżące życie do domu własny świat do akordeonu, na którym obecnie wcześniej grała chłopcu specjalnie dla niego skomponowaną melodię. Niepodziwianie pojawia się Betty, która wybrała w domu, by podzielić kartki z nutami. Karta wysunęła się Donna z ręki. Starsza siostra próbuje odgadnąć dziecko spód kurtki nadzierzgnięty ciekawości, nie udaje się to jednak i obie dziewczynki ulegają wypadkowi. Jego konsekwencją jest nie tylko wstrząs spowodowany pobyt siostry w szpitalu rodziców Donny, jej przyjaciółki i siostrzy uczą ją na „zaryzykować”, obojętnie nieodpowiedzialnie, która marzyła sześcioletnie dziecko na szmarlecie niebezpieczności. Betty za bohaterki, która uwolniona ustawiła życie przybrała siostry. Sprawa zostaje nagłośniona przez media, która kreuje wizerunek Betty. Miłota siostra nie pamięta okoliczności wypadku, a gdy Donna sama próbuje wyjaśnić sytuację, zostaje oskarżona przez ojca o kłamstwo. Ojciec odważa się od niej, poświęcając swój czas i uwagę wyłącznie młodszemu dziewczynce. Odłup sióstr między ojcem a Donną gwałtownie się pogorsza.

Motyw skomplikowanych relacji rodzinnych zmieniają głąb miejsce w powieści. Proszę o uwolnienie Donna dla ojca i chce zyskania Jego przepały zmieniający się w uczucie, które ona sama określa jako nierówność i chęć sprawienia ojca blada za wszelką cenę, nawet konfliktami znowa własnymi ambicjami i marzeniami. Po wypadku Donna przez długie lata nie bierze do ręki akordeonu, chociaż w ten sposób „ukarano” ojca, który miał nadzieję, że córka będzie dowodziła się w grze i zdobyła kiedyś swój własny zespół. Pominięcie ojca znowu ostrzegają ją, że jeżeli nie będzie się kształciła, znajdzie się przy tamtej polskojęzycznej fabryce tamponów Safe-Linn, po ukończeniu szkoły Donna właśnie tam składa podanie o pracę. Wyprawdają się z domu budowanego dla jej rodziny z datką pochodzących od ludzi wspaniałych losom Betty i powarona do rodzinnego domu przy River Street, gdzie siostra najpierw znowu chwali swoje dzieciństwo. Ważne jest tylko z tymi męczyznami, którzy mają zła opinie wśród mieszkańców miasteczka i – co dla Donny najważniejsze – jej ojca. Gdy Donna dowiaduje się, że ojciec zakochał się w żwawek z Ericem Bigosem,

jej wielką miłością, bez skrupułów żywa jej majorom. Jednocześnie gładzi w głębi ducha wciąż skrywa potrzebę bycia doznającym i akceptującym przez ojca, wciąż go broniąc kocha, ale świadomości to sobie dopiero na wiadomości o jego śmierci.

Podobnie ambivalentne uczucia znowu Donna w stosunku do swej przybrannej siostry. Gdy tak przez pierwszy spotkanie z Betty modli się przed figurką Matki Boskiej o to, by Betty dobra siostra, nie przyprowadzi, nie na kilka lat będzie miała wspaniałego koleżankę z Betty i odrzuciła wszystkie jej próby pojednania. Betty, jak siostra Donna, postawiła jej miłość i zainteresowanie ojca. Po trzy powroty Donna zdaje sobie z tego sprawę, gdy również, zamiast przychylać się jej oddzieleniu ćwiczeniom na na akordeonie, powołuje siostrę na uczucie Betty obrać. Po wypadku, gdy trwa jej otwarty konflikt między Donna a ojcem, to właśnie Betty przejmując jej rolę. Rozpoznaje naasę gra na akordeonie i tenaj jej młodszym przychylając się ojcu.

Z drugiej jednak strony Donna pamięta pierwszy doznaczenia – w których wysoka troskliwość Betty babcia wythowała na kolizję dwu dziewczęcych światów – w których wysoka troskliwość babcia nienawistnie marzyła. Dla Donny ten obrazek jest symbolem opłak i strachu. Kiedy starsza siostra wspania okazuje młodszą. W swoim dorosłym życiu Donna wspania starała się. Pierwszym krokiem ku nowemu stanowi relacji między siostrami jest śmierć ojca, którego przetrwał oba losy.

Widzimy elementem *Hoops! Shoops! Donna*, podobnie jak innych powieści Suzanne Strempel Shek, są powroty i są często odwołania do Polski i polskości. Bohaterowie powieści przeszli z Polski lub są dziećmi bądź wnukami Polaków. Żyją w dość zamkniętej, polko-amerykańskiej, katolickiej społeczności. Znajdują polską, a przynajmniej kilka polskich słów. Szczerza podoba, do której uczęszczała Donna i Betty, jest prowadzona przez siostry zakonne, aczkolwiek między innymi języka polskiego oraz modlitwy i pieśni polskie. Polskie słowa, nazwy ulic i tytuły piosenek często pojawiają się na kartkach powieści. W dzieciństwie Donna ma kontakt właśnie wyłącznie z członkami lokalnej, polko-amerykańskiej społeczności. Pierwszymi nie mającymi polskich korzeni Amerykanami, jakich poznała Donna, są przedstawiciele stowarzyszenia do Senatu Corwary i jego Zena. Zauważa ich natychmiast brzmienie gęstości dźwięków, przyznającą im do polskich nazwisk. Bohaterka jest początkowo zagmatwana odmiennymi stylami życia polskości Corwary, ale szybko zniechęca się do nich z powodu protekcyjności, a także irracjonalnej młodości. Nawet postacie, które oferują Milewskim po wyjazd do dziewczynki, mają się element kampanii wyborczej Corwary. Drogę, przy której siostry Donna znowu znowu Milewskich, Corwary nazywają swoim nazwiskiem. Rodzice Donny im się jednak wzdęcają za okazaną zwyżką. W sposób symbolizujący przyszujać im miejsce w swojej rodzinie, ustawiają jej zdjęcie na telewizorze, wśród fotografii innych krewnych. Donna jednak postarzała ich życie i młodość, próbując ich kontrowersyjnie żyć Milewskich.

Swoje wiadomości o Polsce Donna otrzymuje z opowieści ojca oraz babcie. Bohaterka wspomina, jak podczas studnia grających przez nią melodii, jej ojciec siedział przy stole, zamyślony i uśmiechnięty. Donna widziała, że jego miły kształt wówczas wskazywał kraje którego o parę tysięcy mil od każdego z nich. W swej wyobraźni Donna tworzy sobie tożsamość ojca Polaki jako kraju, który z pewnością jest wspaniały, skoro pochodzi z niego tal wspaniała muzyka. Matka Betty przynosi za sobą zdjęcie swej najstarszej siostry Anieli, która pozostała w Polsce. Na fotografii Anieli siedzi na białym koniu i Donna zaskazuje dla siebie zdjęcie nieszablonowe do jej podobnie kształtu zia oceanu. Ciepły jej podobie wyobraza sobie Polaki jako kraj słońca, ale piękny i spokojny, że siostrzeńca jak z okładki „National Geographic”. Tajemnicza Anieli stała się dla Donny postacią symbolizującą wolność oraz spokój i nieskomplikowane życie.

Lokalna społeczność „polskich Amerykanów” tworzy dość zamkniętą grupę. Dodatkowa, opiera jąkoby i tradycji, czynnikiem integrującym jest religia. Obrazy religijne, zgodnie z tradycją obchodami katolickimi i wspania modlitwa są najważniejszą ważną momentem w życiu Milewskich i innych rodzin w miasteczku. Osoby wyznające inne niż rzymskokatolickie, nawet jeśli pochodzą z polskich rodzin, są traktowane niecznie. Z drugiej jednak strony w życiu Milewskich widoczne jest pewne przekształcenie wpływów dwóch kultur. Obchodzą oni zarówno tradycyjną polską Wigilię, jak i amerykańską Święto Niepodległości. Między innymi Zena o to, by ich córki pamiętały o swoich polskich korzeniach, ale również wada dla niej, by Donna i Betty przynosiły nuty, po angielsku. Swój wspania czas rodzim dziećmi pomocy słuchania polskiej muzyki i oglądanie amerykańskich oper mydlanych i odczytanie cennych rozmyśli.



Ogromnie ważną rolę odegrały w życiu rodziny Milewskich polska muzyka. Magazynem rodzinnego domu Donny znajduje się fortekl Paula, w którym w latach ledwie niedługo odbywają się koncerty zespołów grających polską muzykę ludową. Mieszkający miasteczka nie wyobrażają sobie lata bez tych koncertów i towarzyszących im tańców, spotkań i rozmów, koczujących się zawsze wspólnym odpowiadaniem „Ood Bless America”, „Išote, coł Polak”.

Adam Milewski jest właścicielem największej w miasteczku kolekcji płyt z polską muzyką ludową. Wiele nagród pochodzi nawet sprzed kilkunastu lat. Ojciec Donny uczestniczył w koncertach wielkości sporządzonej wykonawców tych nagród, a wielu nawet znał osobistnie. Nie wie dzwonek, że prowadzi koncerty w Paulu Polakowskim często zwołując się do niego z prośbą o podzielenie się z nim wiedzą. W domu Milewskich co wieczór realizującej dźwięki płytki – utworów granych przez Donnę na skrzeczkonie lub odzwierciedlających przez ojca z płyt. Ubiórka rzymska rodziny są „koncerty żywe”, ojciec przejmując znowu wiersza na skrzeczkonie melodii folkloru rodzinnego, a następnie odzwierciedlając znowu stworzy, zapamiętał z starszą dedykacją.

Muzyka dla di Donny czyni więcej niż miły sposób spędzania wolnego czasu. Największym marzeniem Adama Milewskiego jest, by Donna założyła zespół grający polską muzykę. Było to również marzeniem Donny, z którego zrezygnowała jednak po wypadku, by w ten sposób znieść ojca. Wiele lat później, już po śmierci ojca, jej przyjęcie wspomina w rozmowie z Donną, jak buntom Adam Milewski kochał jej być na skrzeczkonie. Tęsknił kilka słów wyrażać, by Donna zrozumiała, że to właśnie marzenie chce i zawsze chciała poświęcić swoje życie. Założenie zespołu grającego polki stało się dla niej nie tylko sposobem na symboliczne pojednanie z nieznanym ojcem, lecz również drogą ku samorealizacji i szczęściu.

Mocną stroną *Hoopi Shoopi Donna* są pojawiające się na kartach powieści postaci. Każda z nich, zarówno bohaterów głównych, jak i epizodycznych, jest wykreślona w sposób niezwykle wyraziście i barwny, nierzadko z dużym poczuciem humoru. Autorka precyzyjnie kontrastuje namięt. Wątek psychologiczny – proces dojrzewania Donny, jej życiowe wybory, konflikt z ojcem i siostrą – umieszczony jest na szerszym tle, na które składają się relacje o losach głównych bohaterów i pozostałych członków jej rodziny, przeżył one innych osób, które napotyka na swej drodze.

*Hoopi Shoopi Donna* to powieść nie tylko o skomplikowanej, balansującej między miłością i nienawiścią relacji ojciec – córka. Autorka mówi o znaczeniu wagi rodziny, ich wpływie na drogę życiową każdego człowieka i czyni to bez marnotrawienia i sentymentalizmu. Ona to również opowieść o dojrzewaniu, z której wynika, że poczucie spełnienia i szczęścia płynie z odwołania i realizowania tego, co w życiu jest dla nas najważniejsze.

Jednym z głównych bohaterów *Hoopi Shoopi Donna* jest muzyka, pojmowana jako czynnik jednoczący rodzinę i lokalną społeczność oraz jako trodziek wiedzy do samorealizacji. Warto wspomnieć, że niemal wszyscy przywołani w powieści wykonawcy polskiej muzyki ludowej znacząco wkładali i faktycznie nagrywali utwory, o których wspomina autorka.

Czytelnikom zainteresowanym problematyką rozwoju muzyki mniejszości narodowych w Stanach Zjednoczonych można polecić wydaną kilka lat temu książkę *A Passion for Polka: Old-Time Ethnic Music in America* („Namiętność do polki: dawna muzyka etniczna w Ameryce”), której autorem jest Victor Greene, profesor historii Uniwersytetu Wisconsin. W obskure zainteresowaniu Greene'a znajduje się kwestie związane z tożsamością imigrantów i mniejszości narodowych w Stanach Zjednoczonych.

*A Passion for Polka* opisuje fenomen popularności muzyki opartej na elementach ludowych i etnicznych nie tylko wśród imigrantów, lecz i wśród Amerykanów mieszkających w Stanach od pokoleń. Autor omawia krótko zrodziła tę muzykę – jako jej pierwszych popularyzatorów na granicy amerykańskim wymiarze dziesiętnastowiecznym odkrył dzieje. Najwięcej Greene poświęca do opisu lat sześćdziesiątych popularności polki, czyli pierwszej połowy dwudziestego wieku. Przedstawia zwłaszcza zespoły związane z wędkami kregami odbiorców (czyli mapkę swoich służących w roli określonej grupy narodowej, np. tylko wśród Polaków, Włochów, Żydów czy Niemców), jak i zespoły kierujące swą muzyką do szerszego, wielonarodowego grona słuchaczy. Autor ukazuje rozwój muzyki etnicznej w latach 30, jej rozkwit w latach 40 i 50, spadek popularności w latach 60, za sprawą pojawienia się muzyki rockandrolowej, a następnie jej powrót w ostatniej dekadzie. Tworzyły od 80. cugły wzrost popularności szeroko pojętej muzyki ludowej, której swój

podatek w zainteresowaniu etnicznością, Polka jako gatunek muzyczny znalazła wreszcie należycie zauważenia i docenienia przez krytyków, którzy w 1986 roku utworzyli dla niej odrębną kategorię nagród Grammy.

Opisując twórczość muzyczną pozostałych grup etnicznych w Ameryce, Greene zauważa, że w tych imigrantów z polki muzyki i taniec zajmowały szczególne miejsce, stając się elementem znaczącym pozostałych grup etnicznych i przetrwałymi kulturowo różnicą tradycje. W życiu kulturalnym i towarzyskim imigrantów ważną rolę odgrywały Donny Polak, czył mażysia, gdzie można było podziwiać muzyki i potocznie jej uśmiałem polki, walców i oberka. Autor poświęca sporo miejsca polskim wykonawcom muzyki etnicznej, którzy w dużym stopniu przyczynili się do popularności gatunku w Stanach Zjednoczonych. Opisując ewolucję polskiej muzyki w Ameryce – od mediów granych na instrumentach amatorskich w tzw. stylu wiejskim do pionierskich interpretacji w polku i nagrodzi przy akompaniamencie różnorodnych, niekoniecznie tradycyjnie związanych z muzyką ludową, instrumentami. Greene wymienia takich wykonawców, jak np. Władziu Jagielski, Frank Wojnarowski czy zespół „Trey Galsgro”. Połowy wykonawcy grali swoje piosenki w oryginalnym języku – np. *Deł w Ameryce amano* naon Bratona Krowca, po angielku – np. *Accordation* („Akordonta”) tego samego muzyka, lub nawet łącząc oba języki – można tu wymienić *Jedle Boar* („Jedzio pora”), Franka Wojnarowskiego czy *Wilo Siole the Kowbaitz* („Kto ukradł kisielkę”) Właha Solka.

Greene uwzględnia w swojej książce nie tylko wykonalność muzyki ludowej. Pisze z również o albumach i koncertach zabiegających publiczność w przerwach koncertów, o włączaniu wytwórni płytowych, dla których nagrywają artysty, o sprzedawaniu płyt z muzyką ludową, wreszcie o menedżerach zespołów. Słodzi losy artystycznych piosenek, np. utwór *Bei Mir Blur Du Shon*, który ze skromnego fragmentu musicalu *wjdzie* stał się światowym przebojem, do dziś cieszącym się popularnością i wykonywanym przez kolejne pokolenia muzyków. Książka bierująca anegdoty o ludziach związanych z muzyką etniczną, a dodatkowym jej atutem są reprodukcje fotografii i plakatów zapraszających na koncerty, z dwudziestego i pierwszej połowy dwudziestego wieku. Greene przestawia czytelnika w fascynujący świat polki i radości, którą ta muzyka niesie.

*Hoopi Shoopi Donna* i *A Passion for Polka* opierają, choć w tak różny sposób, tę samą przeszłą historię. To opowieści o ludziach, dla których radość do muzyki ludowej stała się integralną częścią życia. Dla Donny poświęcenie się muzyce oznacza wkroczenie na drogę ku spełnieniu marzeń i symbolicznemu pojednaniu z ojcem i siostrą. Dla muzyków opisywanych przez Greene'a oraz anonimowych artystów i sprzedawców płyt, jest sposobem na kulturowanie tradycji i zarzekom na odwołanie własnego miejsca w społeczeństwie, ale także – podobnie jak dla Donny Milewskiej – niewyczerpanym źródłem radości i osobistych satysfakcji.

Wojciech Szustak, *Hoopi Shoopi Donna*, Prokult Books, Nowy Jork 1993, ss. 236.  
Victor Greene, *A Passion for Polka: Old-Time Ethnic Music in America*, University of California Press, Berkeley 1992, ss. 355.

WISŁAW SŁADKOWSKI

## POLSKY DORPACZYK

Określenie „dorpaczek” w języku polskim ma szczególne konotacje. Oznacza nie tylko absolwent Uniwersytetu Dorpacznego, ale jednocześnie człowieka gruntownie i wszechstronnie wykształconego, o wysokiej kulturze osobistej. Polscy dorpaczycy cieszyli się zaulecaniem i szacunkiem w swoich rodakach. Na zasadzie w zwyczajku o tym pytaniu, kim on był i jak przedstawił się uniwersytet, na którym zdobywał swe wykształcenie, odprawił zborową publikację pt. *Uniwersytet w Turku a Polacy*. Jej redaktorem są znowu historycy, prof. Siergiej O. Iwakow z Uniwersytetu w Turku i prof. Jan Lewandowski z UMCS, który przez dwa lata wykładał na uniwersytecie estońskim i on właśnie jest sprutem movens tej książki.

O polotnym na podłożu Estoński miasteczko Dorpat, obecnie Tartu i znajdującym się w nim uniwersytecie w pierwszym rzędzie zastyłomowem. Wyprowadzenie, pisze interes-

jego S. G. Isakow. Uniwersytet został założony w roku 1832 przez króla szwedzkiego Gustawa II Adolfa, bohatersko w 30-letniej, jako polubiósca Estonia znalazła się pod rządami szwedzki. Otrzymał nazwę Academia Dorpatensis, na cześć założyciela nazwanego po łacinie Academia Gustaviana. Zakładczy zwą działalność w 1710 r. w czasie wojny północnej. Reaktywowano go w 1802 roku za Aleksandra I pod nazwą Cesarskiego Uniwersytetu Dorpatkiego. Przeważała nauka o cztery wydziały: teologii, prawa, medycyny i filozofii, ten ostatni w roku 1850 podzieleno na dwa: historyczno-filozoficzny i przyrodniczo-matematyczny. Uniwersytet był niemiecki, jednak językiem wykładowym był język niemiecki, gdyż należało do Królestwa Prus. Wówczas Król Dalszy, był zamieszkałym w innym stopniu, powołano jego do warstwy językowej, przedłożono niemiecką.

Cieńczy się autonomia i sprawniejszy zakładczych profesorów zyskał Uniwersytet Dorpatki renowacji sławę, mianowano go Altemi Polityki. Wśród jego studentów, eobk Niemców, Rosjan, historyków, leśników, lekarzy, zwą także Polaków, ich zbiorowy portret przedstawił w dwóch lekcjach, mówionych z narazem interesujących sąkawałki. *Student polski na uniwersytecie Dorpatki i Południe organizację medycyny w Dorpatie Arkadiusz Janicki. Według niego w 1802-1818 studował Dorpatce ok. 2500-3000 Polaków. Stanowili oni niecałe 10% ogółu studentów. Wywodzili się głównie z „ziem zabranych” czyli Kresów, które w wyniku rozbiatów znalazły się w granicach cesarstwa rosyjskiego, oraz z Księstwa Poliskego. Największą polonizacją wśród Polaków cieszyła się medycyna, następnie prawo, teologia i ekonomia. Studia były normalnie przez okres 4-5 lat, ale niektórzy studowali znacznie dłużej, tzw. wspaniałych studentów studiujących więcej niż 10 lat było sporo. Wład rekrutacyjny był też duży Polacy: Aleksander Zawasiu studiował przez 25 lat, a Edward Heinrich aż przez 30. Ten ostatni zawiązał po sobie interesujący pamiętnik o swoich studiach także, a miał o czym piisać. W społeczności studentów, w której dominowali Niemcy, Polacy wywalczyli nieco miejsca zwano dobrymi wynikami w nauce, jako udowadnianie okazującym w starzuchu tu mimo zakazów licznych pojedynkach, w których wybitni zwyciężali nie raptury, lecz grzeczność w skrajach polityki. Rekonstruacji był Josef Antoni Dziekoński, który podczas polityki w Dorpatie pożytkował się przez 100 razy. Niektórzy przynajmniej tak skłonności do wypiski. W tej dziedzinie byłowal Michał Karbowiczek, twórca trunks „karbowiczeznaps”, będącego kółkiem z różnych literki i wódkę, oraz dwa trunks = mieszaniny szampana z arakami i kłkiem szarym z dodatkami żółtka. Try „triki”, kadby z innym kłkiem, zwano kłkiem,ogrem, zginęły kłkiem najpopularniejszym. Wśród tych, dla których studia były jedynie pretekstem dla bezkarności, pełnego okrucieństwa, wielu wyszło życia, głosić były narzecza Brodzianka Kulakowskiego i Stawianów hr. Starzeńskiego. Po wypisaniu „trunks” zawiązały się one zstaleniem i zpiętołotów do umieszczenia na swoich głowach kłków. Gdy Kulakowski wyjechał, Starzeński zażął podczas takiej zabawy „swego nowego partnera. Został skazany na rok więzienia i kłosek kłosem. Tak łagodny wyrok tłumaczono tym, iż dziwał po pierniku a sam nie został zabity.*

Wzrosły tego rodzaju, pochodzące do studentów kłkami, nie były oczywiście charakterystyczne dla ogółu polskiej społeczności akademickiej w Dorpatie. Większość studentów, będąc członkami zarobku w 1826 roku korporacji Polonia, nie tylko uczestniczyła w kłkaczach, czyli ucztaach towarzyskich, lecz poposez lekaturę i dyskusję naukową wiodąc o kraju ojczystym i otwierając się w postawach patriotycznych kultywując narodowe tradycje. Na uniwersytecie dorpatkim odnotowano oni przede wszystkim rzeźbny wiodąc, ogólna kultury i ogólnie, porażającym im po ukończeniu studiów na renowicę na różnych stanowiskach i postawach, zarobku w kraju jak i w granicy, owejowej w dokonania działalności w różnych dziedzinach nauki, kultury i życia społecznego.

Właśnie tym znanym i sławnym dorpatczakom polowianom jest zaszczytna cześć książki. Jej głównym treścią stanowią trzy eseje Pietera A. Bawendroinggo, poświęcone naukom przyrodniczym i ścisłym, naukom humanistycznym, myśli społecznej i rachom społeczno-politycznym oraz literaturze i sztuce. Z ogromną erudycją i lekkin pieron przedstawia w nich autor całą gałęź nauki, unikając przy tym sporych zagęszczonego rodzaju opinii i sformułowań wykładkowych metodami. Wypiski naukowe nie sposób tu oczywiście przytoczyć, warto jednak wymienić tak słynnych dorpatczaków jak pionierzy badań naukowych nad geografią, florą i fauną Syberii: Benedykt Dybowski i Aleksander Piotr Czarkowski, będący znanymi autorami. Edward Jungens, przewódca milenarstwa przed powstaniem styczniowym, i Holowal Litwinowski – opłone niepełnoplekowskiego murza w wojaczkach polsko, wybitny filozof Wacław Litwinowski i jego filiarizm: mianowa Marian Zaleskiowski, a także literaci: Josef Weyssenhoff i Andrzej Niemcewicz.

Osobną pozycję zajmuje tu znany językoznawca Jan Niczolski Ignacy Baudouin de Courtenay, który był profesorem Uniwersytetu Dorpatkiego w latach 1883-1893, kierował katedrą gramatyki porównawczej języków słowiańskich, badał też język euboski i interesował się rozwojem ruchu narodowego w tym kraju. W roku 1919 emigrował do Uniwersytetu w Turku nadal mu jako pierwszymi dekanem honorowy.

Znakomitych wychowanków miała też Almas Maria Dorpatensis w dziedzinie medycyny, która Polacy studiowali najdłużej. Ich wytwórni w rżkciu Nauki *medycyna* przedwojenną Leokadia Patyna i Teosa Zaruska. Było wśród nich ok. 20 późniejszych profesorów medycyny. Najbardziej znane postacie to Juliusz Chabrbinski, „odrywca” Turi i Zakrapka, jego bliźni współpracownik Ignacy Baranowski, pierwszorzędny doktor w *Analizy* i *Analizy* Prusa, oraz Rafał Radziwiłowicz, szanując Stefana Zerkowickiego, który stał się dla niego pierwszym zocem dr. *Juliusz i Ludwik Baranowski*. Dorpatczakami byli zwą profesorowie filozofii Akademii Medycyny: Stanisław Mshberg i Czesław Rył-Nadzwany, w latach 1949-61 prorektor tej uczelni. Należał do dorpatczaków był Josef Pilaski, który w roku 1886 po zakończeniu I roku na wydziale lekarskim uniwersytetu w Charkowie złożył podanie o przyjęcie go na II rok studiów w Dorpatce, spotkał się jednak z odmową. Interesujący jest też kłkający rżk pt. *Teologia protestancka* pisał prof. Tadeusza Stegners z uniwersytetu w Odessie. Zasadniczo zapływał studentem z Kłkietawa na ten wydział nastąpił po roku 1830. Zgodnie z rozporządzeniem władz rosyjskich z 1832 r., stanowiska pastorałów w Kłkietawie Polakim mogły obejmować jedynie osoby będące obywatelami wydziału teologii protestanckiej w Dorpatce. Studowało na nim w latach 1830-1918, według obliczeń autora, 156 przysiężnych pastorałów z Kłkietawa i Rzeszypolnej oraz ok. 30 z „ziem zabranych”. Byli wśród nich generałi superintendenci Kościoła ewangelicko-luterańskiego w Kłkietawie. Dwoj z nich z przedmiem XIX, XX stulecia, Polak Karol Gustaw Maninjo i wywodzący się z rodziny niemieckiej Juliusz Hirsche, były gorącymi patriotami polskimi. Burchoże wzięty przy białoruskiej w obocie koncentracyjnym w Sachsenhausen-Osnabrück zmarł w 1942 r. w szpitalu więziennym w Berlinie. I tu znajdujemy także łabełski akcent. Dorpatczakiem był diałogiem i zmlutobu pastor białoruski Aleksander Schoenens, współzałożyciel Biblioteki Lopuszczyńskiego i łabełkiej Masystry Szkolnej.

Tem zamyka studium S. G. Isakow i Tatyła K. Sior. *Zwiazki uniwersyteckie w Turku ze sprawnymi polskimi historykami i politykami w latach 1918-1940* W pięknym opisie samorządności i autoryzacji wybudę J. Jerzego Kapłankiego, w latach 1933-1941 lekturem ogólnego polskiego na uniwersytecie w Turku, propagatorem literatury i kultury polskiej w Estonii, przyniósł się on też do renowacji stosunków polsko-estonskich. W czerwcu 1941 i został aresztowany przez NKWD w dwa lata później zmarł jako wzięty sowietologicz obywatel krajowego w Władze. Autorzy przypominają także, iż dorpatczakiem był Władysław Ruczkiewicz, w latach 1930-1935 mareszałk Szacatu i naczelny Morskiogólny na szwadzie przedwojennej.

Książka nie kończy się ogólnym podsumowaniem, brack w niej zakończeniu. Tylko cieżko i wyzywającego próbe może podjąć renowację. Nawiąza się bowiem pytanie, jakie wartości dorpatczacy, będący określona formacją intelektualną, wnieśli do formującej się w nowożytności w tym czasie nową warstwą społeczną, jako była intelligencja polska, dla której studia dla społeczeństwa i ogólnie stanowiła główne źródło. W polskiej społeczności naukowej uniwersytetu dorpatkiego wartości tu już w latach czterdziestych XIX w. podniósł i uczynił narodowym obowiązkiem Tytus Chałubiński, przewodniczący sejmiku ziemskiemu, burzownikiem słyłowy życia, i kłkietawie dawał więzkości polskiej kłkami. Były one dalekie od oficjalnej deklaracji i postawiano – dla dorpatczaków II połowy XIX w. i przedmiem stali omawiały, ich ich znakomite przygotowanie zawodowe i wspaniała wiedza winy były wykorzystywane w kłkietawie, organizację pracy podług, rozwijając polską dyplomację i kulturę. Wład dorpatczaków w nie znowu i nie należyce docenianą budując i wywołując politycznymi jest znaczący i nie do przecenienia. Kłkietaw, która umiarkowanie w rozciągających się obsze stosunków polsko-estonskich. Jej niewątpliwie wartości naukowe i postawowe idą w parze z interesującym ujęciem naukowym, co czyni z niej lekturem dostępną dla szerszego grona czytelników. Na podkreślenie zasługuje także jej piękna i staranna edycja oraz uzupełniająca lekture i ładnie dobrany bogaty materiał ikonograficzny.

Red. Józef O. Isakow, J. Lemonska, Edycjonerzy w Turku i Pruski Radziwiłowiczowie w publikacji naukowej, wydawnictwo Wyd. UMCS, w 2014 roku.

## LEPIEJ, ŻEBY POZOSTAŁ...

ślawa te uzyskał książę Stanisław Rytko, kapłan przemieł na Połesie, który po skoncercie Anny Czerwoj w lipca 1944 zrezygnował z zamiaru wyjazdu do Płucka. Do końca życia pełnił postać duszpasterką w Łahynszo ko Płucka, gdzie zmarł 1 grudnia 1984 z raka pochodzący. *Dziś kapłan przeżył, nuke życie wlewy Kościoła i Katedra i Jesu i zaciął pochowany. Dziś kapłan przeżył, nuke życie wlewy Kościoła i Katedra i Jesu i zaciął pochowany. Dziś kapłan przeżył, nuke życie wlewy Kościoła i Katedra i Jesu i zaciął pochowany.*

Ks. Stanisław Rytko urodził się 4 grudnia 1920 w swm Włocławie w powiecie Minsk Mazowiecki. Po ukończeniu gimnazjum im. Romualda Traugotta w Włocławku miał Długim szlakiem do Wyższego Seminarium Duchownego w Płucku. Miał prymycję, odprawił w Ostrej Bramie w Wilnie. Pracował kolejno w Nowogródku, Płucku, Hrodzieńcu koło Płucka i Mielodowie, gdzie została go napadł Sowietów na Polskę. Wraz z uznanymi, których był kapłanem, opisał Mielodów i rozpoczął talaszkę przez Kamień Koszyński, Maloryt, Włodawę, Parczew i Lublin. Pod koniec października 1939 roku znalazł się w Wołczy w diecezji kieleckiej. Nie odstraszył go opowiesi o Anny Czerwoj w tym czasie, „choć jest ona pod białokami”.

To trwający prawie miesiąc niebezpieczny podróży detar do Płucka i pozostania k. bpa Karła Niemiry obłą parafii w Hrodzieńcu, gdzie pracował już wcześniej, na przełomie 1938-1939 roku. Tam przeżył pierwszą sowiecką okupację. Przygnębiając wrzaskie noby i na nim ciągle aresztowania i wywieś na Sybir rodzinę pięćci osiadłków, policzanków, wojskowych.

Po niechciw holenderskiej zaczęła się okupacja niemiecka młodziarza dla ks. Rytko i jego parafian okrzykiem doświadczeni. Na ich oczym Niemcy w nadejściu 9 lipca 1944 roku wysłali pięćki księży do wczerniem sw. Anny w Hrodzieńcu, wybudowania w 1662 roku. Po powrotnym wejściu sowieńców Polacy masowo zaczęli opuszczać te tereny.

Zimą 1945 w Płucku ks. Rytko uzyskał od księza kanonika Jana Wasiliewskiego *Lepiej, żeby pozostał, niż wcale pozostał, nie kościoła i parafii bez księży*. Na co odpowiedział: *Jeżeli trzeba, nie mogę pozostać. Zostaję, jako jeden z kapłanów parafii. Długość węgla kładł odpowiadają do Płucka wagon z redakcją. Do czasu aresztowania w dniu 29 kwietnia 1949 r. przez NKWD pracował ks. Stanisław Rytko w Płucku. Przed pierwszym prześladowaniem chciał się, ponieważ: *amiał się wzięć do rąk zachować, jak wyczołował, jak Pan Bóg chce. W wyświecie co cęścić, co trwać, choćby i śmierć, ofiarować za nowotroica dla Państwa.**

Po odczytaniu okazania, na pytanie prokuratora, czy jest za wzięcia radeńka, czy przeważnie nie – odpowiedział: „przeważnie”. Stałano go na 25 lat poprawczego robocia pracy. Kary odbywał w Karczmach i kółce Onka na Syberii. Tam spędził raz zimę podskazywał do niego, ale cod. ja powstrzymywano. *Właściwie Pan, że mogę Ma jeszcze na ziemi ukazyć.*

20 sierpnia 1956 r., po siedmiu latach, ks. Rytko opisał pracę. Tuż przed pierwszym użyciem od współwzrostu i spowiednika, ks. Antoniego Aleksandrowicza. *Książka trzeba mi została, nie ma już dobrej książki. Choć było bardzo ciężko, zdecydowałem się – po raz drugi – na noby w Związku Katolickim. Obał parafii w Łahynszo i mimo że w nieroze nie wzięcia w porządku oraz poznano tego, że ludzie namawiali go do powrotu do Płucka, uśmiechał się i mówił: *czuami karole, żeby wyjechać z Płucka, to będy ja. Spoczął w ziemi, która obca za miesiąc swej pracy duszpasterkiej, z dala od ludzi i stron ozychom.**

Pozostawł w sobie episkopie na prośbę brata Zygmunta, również księdza, orientery, wspomnienia z lat 1928-56, które właśnie opublikowała oficyna wydawnicza „Narbutanum” pod kierownictwem tytułem *Trzeba zostać*, w serii „Duchowieństwo polskie w wężnich, bagrach i na zesłaniu w ZSRB”. Opisał w nich pobyt w seminarium w Płucku, pierwsze lata kapłaństwa oraz przeżycia wojenne i obcowane. Te ostatnią część opublikował już wcześniej tygodnik „Nadzieje” w 26 odcinkach w roku 1990 (od numeru 7) 37.

W bardzo starannie wydana książka zawiera także wyby historyj korespondencji między Rytko i rodziną, wypowiedzi wiernych o swym duszpasterze oraz liczne fotografie. Mimo

— *śdawali się – wraze zuchego stylu, czyta się ją z dużym zainteresowaniem i przejęciem. Uważa uczucie wypowiedzi autora, który w wielu miejscach przyznaje się do strachu, trudności w podejmowaniu decyzji czy wybitnie wladczego zachowania. Nie zaprzecza w nich słów gorzocy bądź skargi. Spokojny natomiast obrazuje iście przycięt siebie przykłych wyodrężyć, niezachodowych kari i trudności, plynące z wiary w ich plynący obrzyd, bo, bo ostawicze jest Pan Bóg chce, obna byty, gdzie jest, to lepiej niż niegdzie być nie może, jak się.*

Zachęcam do lektury tego niezwykłego pamiętnika kapłana-katolicyzta, jednego z grona tych, którzy wiedząc, jaki los ich czeka, świadomie po II wojnie światowej pozostał za wschodnią granicą głosem Długawej do końca życia i doświadczenia. Swym życiem, przykładem i całym życiem dowodzi wierności bliżni i naroc Kościoła.

Ks. Stanisław Rytko: *Trzeba zostać*, „Narbutanum”, Lublin 1999, ss. 308 + fotografie. Serce. Parafialski drukownia, s. 2.

## BARTEK KRUK

## WSZYSTKO, CO CHCIELBYŚCIE WIEDZIEĆ O SŁOWACKIM, A BALIŚCIE SIĘ ZAPYTAĆ

Zakładanie się mogło, że w dzisiejszych czasach, przy antycypowanym naszekaniu na wydawnictwo czystnie polowe, książka poświęcona „życiom słownego męca” jest a góry skazana na całkowite zainteresowanie. Można starać się „podnieść” biografie opisanego człowieka pod który z obowiązujących dzisiaj wzorów popularytury i ten sposób uatrakcyjnić jego osobę, pokazać jego „romantyzowanie”. Ta droga bogrodnie starać się przysłać przede wszystkim młodzież oglądając telewizję i czytając młodzieżowe pisma. Takim przedsięwzięciem wydawcywim kowarskim cępił pewna dzia skąd dany był okrzyk pod adresem autora o fałszowanie rzeczywistości dla lepszej sprzedaży książki. Opisywane postacie niezręcznie stały się nawet karykaturą samych siebie. Nie dał dawać możliwym oglądać współczesny portret Jima Moriana w filmie *The Doors* Olivera Stone’a i, w naszym kraju, w również „aatrakcyjnym” sposób przedstawiono tytułowego poety znanego w Wojocuku. Tymczasem „Świat książki” wydaje biografii poety tak bardzo odległego od dzisiejszych nerek obywatelskich artystów, jak Juliusz Słowacki. Mowa tu o jego biografii pod tytułem *Sławomir Powłoczko życie Juliana Słowackiego* autorstwa Jana Zielińskiego.

Autor już w przedmowie zaznacza, że jego ambicją było stworzyć opowieść, która chętnie zainteresowałyby się pokolenie legocześniejszych matryzów, zatem młodych ludzi w znaczonej mierze wychowywanych na komputerach, kreskówkach i MTV. Cóż takiego może być dla nich poruszającym w osobie jednego z wieszczów, co to widać poety był? Jego biograf przedstawia to już w pierwszych słowach przedmowy: *Pokazał mi, co w nim było i zaktualizuje i, co było anialnie (...)* Pokazał także *faustowskiej młodości i doświadczenia. Młody chłopak, skrajnie ambitny, marcy o jedym: o słowie. Młodo do wleńkiego kościoła i na zwrócić uwagę państwa (...)* *nie było przed grzebem moim nieczego i kładł, że to na grzebie i wyciągnął się spowin”. Temat zastawia, pakła z Diabłem, zawsze był niezwykły „filozoficzny”, przynajmniej w tym. Dziś, kiedy mówienie o epice, oświadczeniach autorysty jest już truztem, był może szczególnie mocno przemiana do młodych ludzi. Nie będzie zatem żadnych analiz literackich, ścieżkami genety takiego czy innego urodźca, lub inisipacji dla uprzedzenia przez poetę form literackich. O czym zatem będzie Zieliński pisał przez swego diabelskiego pakła (...)* o *dmiewaniu. Płacz i konfirmacjach. O obłąpaności i jej huczwawości. O chwałobnej wiarze. O zaprzucaniu narzeczności. O przypuszczonym homoseksualizmie. O skłonności do modyfikacji swego cęci (...)* O *organizowaniu przemiany (na granicy szwajcarsko-francuskiej). O pęk wyciętych rzeźbach, o kątach się na ogół cępkawce w Polsce, w biograficznych wleńkach politycznej teorii. Prawde mówić, od razu przywołują na myśl hasła Sw. Druś Andżel i woi!*

Już sama wyświeca forma książki zdaje się narzawiać do współczesnej epiki Internetu. Karty z dziełamiw rozdziałów położyłony jest na stole cępił tematycznie: *Męstwo, Lektur,*

*Okraszy, Obwasy, Złoty Maczuga, Wygład, Duch Żywo* przypominają to formę emblematykał multimedialnej, gdzie „Alfajazy” – w wyrażeniu najpóźniej motywu tryptyku „Odwiedzenie i adonizacja”. Było to za namydlone czynienia z drzewem zwanym, który, jak kandy, ma określić liniowy porządek. Chwilami doprawdy można się pogubić w masie informacji, jakie przetrza autor. Oto dowiadujemy się chyba wczelnych młodych dusz o miejscu urodzenia poety, Krzemieniów, potem o dokładnej trasie jego młodzieńczych wywiezień i późniejszych podróży zagranicę, dokładnych adresach paryskich, londyńskich czy florenckich, a także stowarzysze o wykładach poszczególnych mistrzów. Za katedrę przechodzimy do również dokładnych biograficznych osób, z którymi Słowicki się spotykał, począwszy od jego rodziców, a skończywszy na obciach jego wstępców. I kolejno wiadomości o pozostałych działach tematycznych. Wynaga to chwiliami od cytowania dzieł dawki ciepłoty, zważając gły sporo sobie obiecywał polekarsze przednowo. Tymczasem po krótkim opisie sławetnego ślubowania w wieloletnich kłótniach, biesimy w całkowicie odległym od niego rejonie, a na nawigację do rzekomego paliku z Szatanem przyjdzie nam dość długi czekak. Wygląda się zatem dzisiaj oczekiwaniem, że tak skomplikowana kłótnia przemówi do młodego człowieka zwałobnego obciachem tylko sensownych wyzweżeń.

Postawa autor najwzajemnie nie dokonal skądś posiadanych i złozybnych przez siebie informacji, musi to uczynić czytelnik. I okazuje się, że możemy się dowiedzieć o wiele naprawdę ważnych faktach. Oto Salomea Słowicka-Elecia żywi się nam jako zaprzeczenie niarky-Półki, ojczym August Elecia jako zaprzeczenie polskiego patrioty, odkrywany wiele niedziwnych wątków w dalszych losach Ludwika Spitznagla (następnie szpizg?) czy Ludwika Świątkiewicza (dowiadka wzięcia za sobą trumny alchokanego żołnierza) i innych bliźnich lub dalekich osób z otoczenia autora *Benewicków*. Zielnickim udało się posiadać dotrzeć do wielu opowiadań wiele współczesnych poetów, na przykład w wydawnictwie Drezna czytamy w relacji Klementyna z Tatarskich Hoffmannów, o obrazach w drzewdzim galerii cytuje znanie Jamesa Fessimore Coopera. Pozostają wstrząsanie, jakie na Słowickim zrobił angielski teatr w 1832 roku (w tym gra sławego Edmunda Keana w roli Rycarza Jit). Uznajawiamy sobie, kiedy poeta zainteresował się dziełami takich autorów jak Schelling, bracia Schlegelowie, Swedenborg, Byron czy Schopenhauer. Tak więc informacji jest naprawdę mnóstwo. Autor często korzysta z związku „Widawkiłł epiki” o darym miejscu czy dawnej osobie, jej wyglądzie i upodobaniach, w związku z czym czytelnik może sobie dość dokładnie wyobrazić wczelnych kłótni chwie i życia wczelnic. Właśnie stwierdzenie *wyobrażamy sobie lub nawet czepio łobdy sobie wyobrazić stowarzyszenie* pewnie, jeśli do się błądzą. Różnicowanie jednak namy do czynienia z wiadoma dygnietą i oparciem daleko wykraczającym poza życie i twórczość poety, jako choćby charakterystyka funkcionowania teatru w Grewesie w XIX wieku. Pona tym chyba tylko nieokremlony autor każala mi przytoczyć z okresu podróży na Wschód szereg przykładowych rozmówek anabek-polek, lub też nagle uraczyć czytelnika takim oto zdaniem: *Skąd to się bierze, że to, co było, wole oświadczyć za pośrednictwem innego, czego nie było, lub z powodów czasowych być nie mogło albo nie było, lub zdarzyć się inaczej, choć przecież również zdarzyło się być tak właśnie zdarzyć... i tak dalej*.

Depnem pod koniec powtórnie powtórnie jakiego wyobrazenia charakteru i życia poety opisanego przez Jana Zielnickiego. Depnem po dokonaniu selekcji i pokładzaniu wczelnych mistrzów wczelnych kłótniach w jedną całość konstruujemy obraz Słowickiego jako niezwykłej osobowości o wielu twarzach, wymykającej się jednoznaczny ocenom. Wygląda się, że to o ile od dowy dawna już panuje tendencja „odbraniania” i „dzwonów poetów, w tym przypadku jest chyba trochę inaczej. Słowicki w Świątkiewiczu jest nam pod widelnią wglądzą jako człowiek, który do współczesnych młodych ludzi, zafascynowanych filozofią New Age i zapamiętanych we wzrocie kultury końca wieku, mógłby się stać kimś w rodzaju guru, którego wytworzył by mogli zupełnie inny pomnik niż wczelnicze pokolenia. Nie jest błowy to zresztą postulat.

Po pierwsze: Słowicki przedstawił się nam jako podmiotu czy nawet bytu. Tak, który jest tylko obciachem i galerym, do jakiego wchodzi się po Alpiach i spaceruje po nam marnie kich fiordach. Opis młodości i dojrzewania Juliusza w trakcie jego wyprawy z rzywizankami „do Polcew” (tłko jej fragmentów, oraz jama) niedługo nastąpiła mógłby zainstrować.

Po drugie: poeta przekazył, utracając korażysty dła bogactwa nakłaniania ze środków znanymiżymi wiadołomok. Analiza *Lembra* pod kątem dogłębnej „znanomok tematu” przez Słowickiego jest naprawdę interesująca. Zresztą Zielnicki bynajmniej nie idzie tu na łatwiznę, stara się przedstawić ten wątek na ile całej epoki, wśród takich słów jak Coleridge czy Quincey. Jeśli dodamy do tego niezamierzone wyjętę pojawiające się w wielu utworach

autora *Krzepkie Moko* to naprawdę niewielki już różnic odzicia romantyzmego poeie od gwiazdy królów iół.

Po trzecie: wprowadził i homoekstazika. Okazuje się, że to cpaż żywa ryska Mielkewicza doskonale pasuje do dzisiejszej swobody obywatelnej. Wielokrotnie milonnych *przeżyć*, nawet jeśli nie skokomozomnych w ten czy inny sposób, choć naprawdę do myślenia. Choć od razu trzeba zaznaczyć, że i tutaj autor biografii nie porzucił na sensacyjnym tylko aspekcie życia intelektualnego, z jednej strony mamy zatem duchową więź z Ludwiką Świątkiewiczką, następnok z Maria Wolszkiaką czy Bliskim romans (w tym demontarze opozitów) z Chłodem Bonaparte, z drugiej zaś zwęził homoekstazyczne z marazem Chłodem Bonaparte i nawet Zygmuntem Krasickim, wreszcie o czymś przycielam Charlesem Feinsteinem-Dubos. Przy czym niezwykle trudno to oddzielić iść bytyma od artystycznej, one się nawzajem przenikają i uzupełniają (co widno w przycielamych wierszach, choćby *Du Zygman*). Sprawa to, że osobowość poety staje się jeszcze bardziej nieprzemierzona.

Po czwarte: awanturizm i polityka. Choć dotyczy to tylko współpracy z „zajmym wywiadem” księcia Adama I. Czartoryskiego oraz przemytu medalu okolicznościowego, jest w tym pewien aspekt świadomości (dopuszczając *przez górę*). *Również głodno łudo, święty amawki* i bóg utorze w wiele ważnych obciachach patrytycznych, jako kato całkowicie niezależny i nie przynajmniej do końca polityką Słowicki zdaje się mówić językiem młodych.

Po piąte wreszcie: duchowy przegrzm – człowiek poszukujący duchowego skrajem i przedowej wiary. Niezwykła okazja się drogą, jaka nastąpiła po dalszym zaprzeczeniu. Słowicki pogodził w kontemplacji na przykładzie Chępcza, czytający na miódwie pie Grybie Prutkim, ulegający sekciarzom zabegom Towiańskiego czy wreszcie zafascynowany stowarzyszeniem wiarę czelnych druiłów dokonał wstępuje się w dzisiejszy religijny chaos Ery Wolszka. O ile jednak dół duchowe poszukiwania rzadko kiedy wychodzą poza powierzchniową i mroim, w Słowickiego wiadołko miało okoliczności miejsce w głębi jego osobowości.

Dla mistrzów 2000 Juliusz Słowicki może stać się jakimś postaciz z plakatu, odpiśnianie ułaskawizantem na jeden z pięciu lub sześciu przedłożonych za przetrza się przez taki gośćk wstępnik. Natomiast jeśli dokona tego autora zważają już biografii przednowo z wieszacz, a także zważają jego twórczość, Świątkiewiczu okazać się w pewności interesującym uzupełnieniem posiadanej wiedzy, niż także inspiracją dla rozwoju na wide nowych tematów. Wygląda się, że pomimo wczelnych wad jednem od Jan Zielnicki osiągnął. Rzeczywiście stworzył wstępnik obraz człowieka niezwykle skomplikowanego, którego życie jawi się z drugiej strony jako pewna zamknięta całość, pozbawione przypadkowości. Stąd bynajmniej nie śmiejąc przyznawana poeie do Chrystusa, z ciekawością dowiadujemy się o lechach jego przyjaciół i wczelnic, na których ogromny wpływ wywierał już pod koniec życia, nie jest też to nam znakomitem momentem jego odjęcia. Wreszcie wiadoł, upodobania, stowarzyszenia i twórczość, czy stan ducha oddają się w spójny obraz. Obciążenie wiele z opowiadań, relacji okazuje się potrzebnych, aby ten obraz był pełniejszy i dawał jeszcze więcej do myślenia. Biografia napisana przez Jana Zielnickiego wygnad od cytelnika dół wstępnik; wirtuozly adresat okazać się chyba niezapelnie trafiony. Jednym dla kogoż pewną łobdy dobrać wole Świątkiewiczu może być interesującym i politycznym źródłem inspiracji do namyłu nad życiem niezwykłego człowieka, jakim był Juliusz Słowicki.

Jan Zielnicki, *Świątkiewiczu. Powieści Erycia Słowickiego*, Świat Książki, Warszawa 2000, s. 274.

## film

ARNOLD DEC

### Mariaż doskonały

Pierwsza edycja Letniej Akademii Filmowej w Zwierzyniecu (13–20 sierpnia 2000 r.) stała się historią. Przyjeżdżając czas spokojnych podsumowań. Na początku pytanie o sens tego typu imprezy – bądź co bądź jednej z wielu w wakacyjnym okresie. Otóż, mimo że letnich filmowych „festiwali” (najczęściej słowo festiwal stosowane jest nie do końca adekwatnie) w Polsce nie brakuje (gdyby dobrze ułożyć program wakacji – to cały ten okres można by spędzić dzielnie wypoczywając z wpatrywaniem się w ekran), to okazuje się, że istnieje zapotrzebowanie na „coś jeszcze” – nie tyle w sensie czasowym, co merytorycznym.

Prototypem zwierzynieckiej imprezy jest odbywająca się od 26 lat na Miroszawach w Uhrskét Hradští Letnia Filmowa Szkoła. Czerpiąc wypracowane metody, która ściga się co roku około dwóch i pół tysiąca kinomanów. Ciekawie, że LFS organizowana jest też po wielkim międzynarodowym festiwalu w Karlowych Warach, gdzie rok w rok akredytuje się około dziesięciu tysięcy widzów – w zdecydowanej większości młodych Czechów. Istotnym jest to rzecz w kilkakrotnie liczącej Polsce nieopłykana, ale faktu ten to oczywisty sposób wiąże się z brakiem imprez tej rangi w naszym kraju. Obecnie te imprezy świetnie się sobą kooportują, a nawet współpracują. Obecni mają od stałą widownię, czasem też samą. Dlaczego takie miejsca pojawiają się w Polsce? Do u nich to dzisiaj? Ciekawie także, że od kilku lat coraz licznie gością tam Polacy (w tym roku była ich ponad trzystaosobka). Zawsze zastanawiam się, dlaczego w Polsce, liczącym ponad sześćdziesiąt lat, nie można zorganizować czegoś podobnego?

Razem wzięty polskie „festiwale” czepią się na własną rękę. Nie starają się o wyniki poziomem repertuaru, korzystają jedynie z tego, co mają w zespole. I legendami. Stargardzki Łągowo z roku na rok coraz bardziej pogłębia swoją legendę w soteriologicznej idei organizacji, ale przede wszystkim w braku ciekawych propozycji dla publiczności. Powstały jako festiwal filmów polskich z biegiem czasu został zdemonstrowany przez Dudusia, a potem Odyńca. Okazuje się, że w Polsce nie ma miejsca na dwa festiwale filmu polskiego. Długo może jednak problem tkwi w braku oryginalnych rozwiązań (pomijam kwestie finansowe, bo polubimy tej materii nie omijając нікого). W siedleckiej Rogi zastaliśmy bowiem paradoksalną sytuacją. Otóż konieczność organizacji się ten 40 (słownie: czterdzieści) festiwal filmowy tylko i wyłącznie naszymi. Tytuł festiwalu jest więcej niż powojną tam filmów w ciągu roku, bo ich liczba oscyluje wokół trzydziestu, czyli na poziomie kinematografii polskiej. Oczywiście, można to uznać za porażkę w drugą stronę. Ale przecież w jaki sposób zachęcamy ten funkcjonalnie. Wracając do Łagowa – od dziesięciu lat Lubuskie Lato Filmowe rozszerzyło zainteresowanie na kraje Europy Środkowej i Wschodniej. Jednak gdzie pojawił się mankament, nie było uszykano odpowiedniego zastępowania ze strony tych krajów. W tej sytuacji Łągowo nie ma praktycznie żadnego poziomu międzynarodowego, ani nawet krajowego.

Swoistym hitem ostatnich lat stał się Festiwal Filmowy i Artystyczny w Kaszniecu Dolnym nad Wisłą. To tam przyjeżdża największej uczelnia (ponad tysiąc), to on jest najpełniej nagłośniony medialnie. Niemniej – wydaje się, że festiwal przesyła swoje możliwości. Despero w tym roku niezawanie dobrem pomysłem w branki miejsce kinowych. Namotnik był tak wielką inwestycją, jak dobowm problemem. Dotychczas bowiem jednoczenie



Lidia Sznajder w towarzystwie Piotra Kotwiczki.  
Fot. Andrzej Młaga

mogło oglądać film 150 osób (liczba obywateli – kilkakrotnie większa), a w tym roku w trzech salach mogło się pomieścić prawie tysiąc widzów. Kwestią do dyskusji jest jednak, czy należki Kaszniczek dobrze znosi taką masę widzów, czy festiwal racie przyczynia się do utrzymania poziomu. Na pewno potrzebne są dodatkowe plasy i siła współpracująca organizatorów z władzami miasteczka. Istnieje bowiem możliwość „zadepnia” Kaszniczka. Jeśli natomiast chodzi o dobór repertuaru, to festiwal w Kaszniecu stawia się głównie na prezentowanie nowości. Są to filmy z ostatniego roku – te nazywają „artyściyczne” albo zupełnie nowe, nierzadko polskie premiery. Do tego dochodzi zwykle jeszcze „seriozytywa” – jakiś górnicy obraz – co zdaje się być największą chlubą festiwalu – zrenicki przegląd kina dokumentalnego i krótkometrażowego, czyli tego czegoś na co dzień niezauważanego, bezczłowieckiego coraz bardziej i więcej się z kina. Programowe „depnietnia” imprezy w Kaszniecu sportywo można w Warszawie śledzić Festiwalu Filmowym. Działalność obu imprez została zresztą zapoczątkowana przez jedną i tę samą osobę – Romaną Gutwin. W Warszawie można zobaczyć filmy – czasem na pojedynczych pokazach w Polsce – które selekcjonowane są na najlepszych światowych festiwalach i w miarę możliwości sprwadzone do naszego kraju.

Oczywiście cały czas mówimy o imprezach letnich, przeznaczonych głównie dla młodej widowni, na które będą zajmujących się filmem profesjonalnie zaprasza się w charakterze gości. Dlatego Festiwal Sztuki Operatorkiej „Camerimage” (dotychczas w Toruniu, a od tego roku przeniesionego do Łodzi) czy Festiwalu Filmów Dokumentalnych i Krótkometrażowych w Krakowie nie można porównywać z wyżej opisanymi imprezami. Toruń, Kraków, Gdynia to miejsca, gdzie tworzy się strażki, to miejsca o ustalonym już prestiżu międzynarodowym, festiwale z prawdziwego zdarzenia – młody widzowie na ogół nie może sobie pozwolić na uczestniczenie w nich.

Inicjatorem, głównym organizatorem i pierwszym rektorem Letniej Akademii Filmowej w Zwierzyniecu jest Piotr Kotwiczki, którego bywaniem doberych lubelskich kin, a zwłaszcza Chłapki Łąka przedstawiać nie trzeba. Za namową i przy obzernych maksymalnych pomocy porażek machając, której – mam nadzieję – nie da się zatrzymać.

Formuła Akademii ma charakter sentymentalny. Zaproszeni krytycy i m. in. Adam Borucki, Grzegorz Pirkulowski, Piotr Wyszczelowski i pryncypalowo filmowi stawali się przybyli, postać reżysera i jego dotychczasowy dorobek, a także powiedzenie kilka słów o samym filmie. Pewnie film, szczególnie to starze bądź też obojętne nam krajów kulturowych wymagają bowiem pewnego wprowadzenia, wytłumaczenia kontekstów. Ono pierwszy wybrórk wydarzeń w Zwierzyniecu. Akademia chce, aby spokojnie wzięty z filmem odbywano się w sposób, w miarę możliwości, jak najbardziej twórczy. Ma prokrować, zachęcać do refleksji. Te natomiast najlepiej wyekwipować bezpośrednio po filmie, czasem mają słaby





"Początek kłopoty z 'Akcentem'"  
Od lewej: Dobrosław Zadara, Irena Kravčíková, Bogusław Wróblewski, Waldemar Michalski.  
Fot. Andrzej Kłopot

nałym uzupełnieniem otaczającej natury. Letniska Akademia Filmowa wnikała głęboko w środowisko organizując nocne pokazy w zwieryzowanym browarze. Jeżeli smaczny przystrojek za coś naturalnego, a kaso za coś jak najbardziej kulturowego, to piwo, czy raczej miód, gdzie się je produkuje, stało się egzystencjalnym obrotowym, godnym obu skrajności. Taki miód, jest cały małolki Zwierzyniec. Teżo to od zabłyśnięć, pensjonatów, a teraz jeszcze pojawiło się kaso na dużą skalę.

Przeważa Letniska Akademia Filmowa w Zwierzyniecu stała się już historią. Wiadomo, że poczuli się zawsze trudni. W tym przypadku odstępstwa od reguły nie było. Wszystko tu bowiem było nowe. Niedociągłości, jeśli się pojawiły, zapewne zostały wyeliminowane w przyszłym roku. Imprezy nie doprowadzono bowiem pod względem technicznym. Sprzęt kinowy, który znajdował się na miejscu, nie spełniał oczekiwań. Przewyższałby byłoby zbyt ciężkie, a cenzura o wiele za długie. Można marzyć także zatrudnienia do loterii spotkań z twórcami filmów (naprawdę dwa). Skromne tygodniowe nakłady finansowi i organizacyjne nie pozwoliły jednak na więcej.

Jedno jest pewne – Letniska Akademia Filmowa w Zwierzyniecu egzystencjalnie, udowodniła, że jest potrzebna. Ja nie widziałem tam nikogo niezadowolonego. Szło pilany za przyszły rok, deklarowana obecność, a nawet chęć pomocy. Haszcy chcieli i byłoby głupstwem odmówić tylko. Tęgo potencjału, jakim okazał się widownię i ich zadowolenie nie wolno zmarnować.

Arnold Deč

Wydawnictwo "Akcent" w Warszawie, ul. Chałubińskiego 10, tel. 022 628 11 11, 022 628 11 12, 022 628 11 13, 022 628 11 14, 022 628 11 15, 022 628 11 16, 022 628 11 17, 022 628 11 18, 022 628 11 19, 022 628 11 20, 022 628 11 21, 022 628 11 22, 022 628 11 23, 022 628 11 24, 022 628 11 25, 022 628 11 26, 022 628 11 27, 022 628 11 28, 022 628 11 29, 022 628 11 30, 022 628 11 31, 022 628 11 32, 022 628 11 33, 022 628 11 34, 022 628 11 35, 022 628 11 36, 022 628 11 37, 022 628 11 38, 022 628 11 39, 022 628 11 40, 022 628 11 41, 022 628 11 42, 022 628 11 43, 022 628 11 44, 022 628 11 45, 022 628 11 46, 022 628 11 47, 022 628 11 48, 022 628 11 49, 022 628 11 50, 022 628 11 51, 022 628 11 52, 022 628 11 53, 022 628 11 54, 022 628 11 55, 022 628 11 56, 022 628 11 57, 022 628 11 58, 022 628 11 59, 022 628 11 60, 022 628 11 61, 022 628 11 62, 022 628 11 63, 022 628 11 64, 022 628 11 65, 022 628 11 66, 022 628 11 67, 022 628 11 68, 022 628 11 69, 022 628 11 70, 022 628 11 71, 022 628 11 72, 022 628 11 73, 022 628 11 74, 022 628 11 75, 022 628 11 76, 022 628 11 77, 022 628 11 78, 022 628 11 79, 022 628 11 80, 022 628 11 81, 022 628 11 82, 022 628 11 83, 022 628 11 84, 022 628 11 85, 022 628 11 86, 022 628 11 87, 022 628 11 88, 022 628 11 89, 022 628 11 90, 022 628 11 91, 022 628 11 92, 022 628 11 93, 022 628 11 94, 022 628 11 95, 022 628 11 96, 022 628 11 97, 022 628 11 98, 022 628 11 99, 022 628 11 100.

## podróże

MARIUSZ DZIEGLEWSKI

### Stara Praga, Kafka i czeskie disco-polo

#### Jedziemy autobusem

Kiedy wysiadamy z pociągu na głównym dworcu Pragi zostajemy natychmiast wchłonięci przez pulsujący tłum. Różne języki, różne odcienie skóry i zgiełk. W olbrzymim hali dworcowym można całkowicie stracić orientację, pomimo kolorowych drogowskazów w języku czeskim, angielskim i niemieckim. Tablice z rozkładem pociągów, powtarzające się co dziesięć sekund komunikaty o odjazdach i przyjazdach, ustawione wokół hali sklepią z milionem różnych drobiazgów, byszczące kiczowatymi neonami salony gier komputerowych, leżący na ławkach zaniebami bezdomni i oblegane kasy biletowe – oto obraz typowego dworca europejskiej stolicy.

Rozglądam się za wyznaczonym punktem spotkania. Jest – automat na bilety do metra, a przy nim Peter. Krótkie przywitawie i już siedzimy w metrze, a później w autobusie zmierzającym do Stetti. Mój przyjaciel Peter mieszka w małym miasteczku – Liběchov, około 40 kilometrów od Pragi. Jest szósta, za szybą autobusu epickie ciemności. Od czasu do czasu tylko, gdy się przejeżdża przez jakąś większą miejscowość, migoczą światła sklepu albo szłył autobusu, przez które pewnie również jeżdżą niemilostemnie brudne szruby autobusu „hospody”. Ciemności potęgają jeszcze poświecone szylidy z rezygnacją ręką, mówi że kicowcy za mycie szyb dostają dodatk w wysokości 5 koron (ok. 60 groszy), więc zazwyczaj myją tylko przednią szybę. Cały autobus śpi – io ładnie powracający z pracy, którzy muszą wstać o piątej, by dojechać do Pragi. Pytam Petera, skąd w tych ciemnościach wie, kiedy wyjdzie. Odpowiada że śmiechem – po prostu patrzy na zegarek i o odpowiednim godzinie wypatruje przez szybę poświeconego szylidy z napisem „Hospoda Beseda”. To Liběchov. Małe miasteczko, o którym wspomina Max Brod w swojej biograficznej książce o Kafce. To tutaj „wzjęzion z Pragi” spędził swoje letnie wakacje jako 19-letni młodzieniec. Później wraz z Maxem Brodem i przyjaciółmi odwiedził kilka razy niedaleko położony pensjonat w Żeliezach, skąd wyruszał na piesze wędrówki.

Peter mieszka wraz z żoną w starej kamienicy na wzgórzu. Odrabnia służbę wojskową pracując w domu starców. Kasia pracuje na praskiej szczytli. Z ich mieszkania dostrzec można dachy dwóch kościołków i małą zamekowaną kaplicę wybudowaną na samym szczyście sąsiedniego wzgórza, widoczną w promieniu kilku kilometrów. Dobrze wierzcie po kilkunastogodzinnej pociągowej epopei uisnąć przy stole w pokoju pełnym starych, ciężkich mebli,

<sup>1</sup> M. Brod, *Franz Kafka. Opowieść biograficzna*, przeł. T. Zabładowski, wstęp M. Wydmuch, Warszawa 1982.





legenda. Lówa miał jakoby stworzyć z gliny postać człowieka, którego ożywił czarodziejski szem-lisł. Postać tę nazwano Golemem. Po drugiej wojnie światowej literatura czeska sporymierzowała Golemia jako postać symbolizującą szerzącą się psychozę zbiorową żydów.

Za cmentarzem znajduje się wczesnobarokowa Synagoga Klauza. Dziśnają możemy oglądać tu szaty i naczynia obrzędowe oraz poznać zwyczaję związane z poszczególnymi okresami w kalendarzu żydowskim. Idąc ulicą Široka przycinamy Parížską i dochodzimy do przepięknie zdobionej Synagogi Hyszpajiskiej, która czaruje swoją olbrzymią kopułą, ścianami ozdobionymi ornamentami roślinnymi i złotocinymi kolumnami. Zarówno na dole, jak i w części balkonowej przeznaczona dla kobiet zgromadono dokumenty i pamiątki związane z asymilacją i germanizacją Żydów w czasowie nurtu-wspierkim.

Kafka wychowany w niemieckojęzycznej rodzinie żydowskiej nie odziedziczył jednak wiary przodków. W swoim słynnym *Liście do ojca* wypomina mu jego nikiła znajomość judaizmu, który operował się jedynie na cierpliwym odbożnianiu modlitw. Miał Franz spędza z nakszą ojca w synagodze długie godziny ziewając i drzemając, a pierwszy wieczór soderowy jest dla niego jedynie okazją do drobnej zabawy. Jednak atmosfera żydowskiego miasta podobała Franza do rozmyślań pełnych niepokojów religijnych. Impulsem do przemiany stały się nieoczekiwane występy wchodniożydowskiej trupy teatralnej ze Lwowa w Cafe Savoy na placu Kozim (Kozí náměstí), na które Kafka chodził wraz z Maxem Brodem. Pisarz zaprzęgniął się z jednym z aktorów trupy – Izaksem Lówą, którego opowieści pobudzają go do studiowania historii Żydów i historii literatury w języku żydów, pociągą go również wchodniożydowski żywioł ludowy. Kafka bierze udział w rozmowach Żydów wchodnich i zachodnich, wspiera nuda działalność szkoły żydowskiej i organizuje wieczór recytacji Lówego w sali żydowskiego ratusza. Długo wplyw wywarł na Kafkę nie tylko folklor, ale i legendy związane z starym miastem żydowskim. Max Brod w swojej książce wspomina wspólną z Kafką wizytę u rabina cudotwórcy mieszkającego na przedmieściach Pragi – Žižkovie. Tocząca się wśród szpieków i śpiewów chasydzkich przedmiotem bardzo porywczą Kafkę. Prawdopodobnie pod wpływem tej wizyty rozpoczął spisywanie w swoim dziełku legendy o Golemie.

Żydowska dzielnica nie straciła nie ze swojego specyficznego uroku. Brakuje jedynie wyznawców Starego Testamentu w długich czarnych chatach...

## Domček na Hradčanech

Z uliczek Josefa kierujemy się na drugą stronę Wltawy. Przechodząc przez most Masova (Monous most) po prawej stronie widzimy stary most Karola (Karlov most) z piętrzącymi się po obu stronach kamiennymi postaciami. Przed nami rysuje się wzgórze Hradčan z charakterystycznymi wieżkami Katedry św. Wita. Wspinający się powoli na zamkowe wzgórze po krytych schodach, na których co kilka metrów rozstawione są male kramiki z pamiątkami i przetrzta czeška „cepelka”. Stopniowo ukazują się rozłożone u stóp zamkowego wzgórza zaśnieżone dachy kamieniczek Małej Strany (Mała Strana). Male domki łączące się w przeróżne kombinacje, kręte uliczki pełne różnokształtnych zakamarków, dziedzińców, ślepych zaułków sprawiają wrażenie labiryntu. Ta niezwykła staromiejska zabudowa odbija się w utworach Kafki bardzo wyraziście. Przestrzeń w jego powieściach to obraz Pragi – magicznego miast, od którego nie sposób się uwolnić. Mijamy brame wejściową i znajdujemy się na wąskiej, brukowej ulicy, skręcającej w lewo i wchodzącej w słynną uliczkę Złota (Złota uliczka). Krótka i wąska uliczka wypełniona jest bastiwno kolorowymi, ciasnymi domkami. Mijamy to obródo w legendy. Uliczkę Złotą nazwano też ulicą Alchemików, którzy rzekomo zamieszkali domki wraz z magami i astronomami w XVI wieku. Jednym z takich alchemików był niejaki Scotus Alessandro (Scota) – historycznie bliżej nieokreślona postać alchemika, który działał na dworze Rudolfa II. Zgodnie z legendą Scota usiłował stworzyć złoto poprzez przemianę metali pospolitych.

Urok uliczki Złotej przyciągał również Kafkę, który w 1916 roku wynajął tu domek (nr 22). Domek ten składał się tylko z jednego pokoju oraz maleńkiej kuchni i poddasza; jak wspomina Max Brod – przypoślony, celę klasztoru. Miejsce to jednak stało się dla pisarza przazymionym azylem twórczym – to tutaj znalazł wreszcie upragnioną ciszę, a widok ze wzgórza Hradčan nappełniał go spokojem. W liście do Felicy Bauer pisze: *Jest czymś niewygodnym mieć własny domek, zamknięty przed światem drzwi nie swego pokoju, nie mieszkania, lecz od razu domo, presto z mieszkania wychodząc na cichą uliczkę w śniegu?*

Codziennie po zmołnej pracy w biurze Kafka pisał się zamkownymi schodami do swojego domu, gdzie pisał do godziny dwunastej. Z trudem przyniósł wiarę, by wrócić po północy do mieszkania na Długiej. Dziśnają domek Kafki stał jako male ksigiemna, a w sąsiednich domkach mieszczą się sklepy z turystycznymi pamiątkami.

Ze Złotej wracamy do ulicy przegłębiającej do zamkowych wzgórz, która prowadzi do gotyckiej Katedry św. Wita – miejscowa katedra, którą czeskie, Monumentalne, strzeżone luki napawają grozą i pokora. Piękno obraznych wizerów powala na kolana. To tutaj odbyła się niezwykła akcja jednego z rozdziałów *Procesu*.

Wietrny spacer uliczkami Małej Strany dostarcza niezwykłych wrażeń. Zępcie z Hradčan schodami zamkownymi przycwłocze wspomnienia Maxa Broda – jego gorzyc po śmierci Maxa Bauma i subtelne mikczanie Kafki pełne zrozumienia i współczucia. Przycwłocze dwóch tak różnych pisarzy była czymś bez precedensu w dziejach literatury. Max Brod dostrzega geniusz Kafki – fascynuje go jego świat – głęboki pesymizm w stosunku do współczesnego stanu ludzkości i radość jaka nappełnia go wszystko co zdrowe, rozwijające się. Dla Kafki natomiast Brod jest źródłem witalnych impulsów twórczych i pobudzającym najintymniejszym przyjacielu, którego widuje nawet swoje samobójcze myśli związane z zlamaniem ojca, który dawał mu do zrozumienia, iż ponownie zająć się nadzorowaniem fabryki, co odciągało go od pisania.

Pisanie było dla Kafki nadawaniem kształtu zewnętrznego ontycznemu życiu. Max Brod twierdził nawet, iż pisarz przycwłocze podczas pisania stary duchowe bardzo bliskie jasnowidzeniu. Pisarz przyjmując w stosunku do literatury postawę religijną tak jak pojmuje religię, a wie; jako pełne życie, rzetelną pracę, która nadaje sens istnieniu włączając je wspólnotę narodu i ludzkości. Brod z niezwykłą subtelnością potrafił uznanować potrzebę samotności Kafki, a jednocześnie dostrzegał jego tęsknotę do życia w społeczności. Naturalny i prosty sposób bycia pisarza, nie poddający się nakłomn utartych form i konwencji, przycwłocze do niego wiele wybitnych postaci. Kafka natomiast szuka kontaktu z każdym, w kim wyczuwa pokrewną postawę duchową. Dwie przeciwne tendencje walczą w pisarzu: tęsknota za samotnością i potrzeba wspólnoty.

Dziśnają, w czynie powrotu z Hradčan ulicą Nerudova (Nerudova ulice), którą Kafka przechadzał się podczas swoich samotnych niedzielnich spacerów, udziela się każdemu atmosfera magii. Waska uliczka sprowadza ostro w kierunku mostu Karola wije się i ginie w zakrętek. Nocą zaśnieżone dachy, światła staromiejskich latarni i zaułki potęgają jeszcze wrażenie magicznego labiryntu. Niestety atmosferę tą bura skrzępać z przetrzonymi „gadaczami” i tandetą wiskiana turystom. Właściciele sklepów z turystycznym kiczem wychodzą ze swoimi kramami na ulicę, gdzie przy dźwiękach głosej muzyki, która bliska jest rytmem naszego disco-polo, zachwycają swoje towary.

Z Nerudovej wchodzimy w ulicę Mostecká (Mostecká ulice) – najbardziej chyba obłożona przez turystów. Jestli skrzępać w prawo, widzimy znowu w tak charakterystyczny dla zabudowy Pragi labirynt wąskich uliczek i zakamarków. Mijamy stary drewniany młyn, z którego zwisają piękne sopek, i dochodzimy do brzoza Wltawy, przy którym pływają łabędzie. Z tego miejsca

<sup>1</sup> M. Brod: *Frantz Kafka. Opowieści biograficzne*, ed. oyt., s. 213.

most Karola i ustawione na nim kamienne postacie wyglądają jeszcze bardziej monumentalnie. Po spacerze podórą przy brzochnych uliczkach wracamy na Mostecką, skąd wchodzić na zapelniony turystami most Karola. Również i tutaj napotykamy sprzedawców turystycznych pamiątek. Obok akwarii przedstawiających praktycznie zakamarki można tu kupić czarno-białe zdjęcia zapamiętanych starożytności ulic. Trudno dzisiaj jednak przechodzić przez most Karola wśród tłumów turystów oddalając ciszę, jakiej pozostawia podczas swojej niezaplanowanej wizyty na Starym Pradze Kafka. We wspomnianych już listach do Felicy Bauer pisarz ciszy się na myśl o wiecznym samotnym spacerze z domu na Hřádkach do domu na Długiej, kiedy ktoś jego nerwy i zapewnia dobry sen. Zapewne też podczas tych spacerów pisarz z charakterystyczną dla siebie skrupulatnością sumienia rozstrzygał w głowie wszelkie argumenty za i przeciw malarzestwu, autozamknięciu się i wyrwaniu spod dominacji rodziny. Wszystkie te zewnętrzne czynniki postrzegł Kafka jako ograniczenia nakładane na najbardziej bliską mu formę istnienia, jaką było pisarstwo. Jak dokonać wyboru pomiędzy miłą meczeną – zalesionem rodziny, odpowiadającą za umiłowane osoby, a miłą pisarza, którego czas i wszystkie wysiłki poddane są procesowi twórczemu? U Kafki są to zawsze wybory tragiczne. Podwójnie zerwane narzeczeństwo z Felicy Bauer i dramatyczna miłość do Mileny Jasenskiej,<sup>2</sup> która również kończy się rozstaniem, to skutki dramatycznych wyborów pisarza, dla którego twórczość była pasją i koniecznością całkowicie go pochłaniającą.

Noca most Karola wciąż wydaje się emanować magią. Monumentalne barokowe rzeźby zdają się być zaklętymi w kamień postaciami z przeszłości, a podświetlone wzgórce Hřádkůn jakimiś bańkowymi zamkami. Jednak gdyby dzisiaj Franz Kafka wybrał się na swój wieczny spacer po moście Karola, przełączyłby go z pewnością głosy tłum turystów i hałasulwa ulicy Karlova a wylotu mostu. Nagromadzone tu sklepy wypełniają przetworzone pamiątki z wizerunkiem pisarza. Można tu kupić koszulki „z Kafka”, kubek „z Kafka”, brelok „z Kafka”, pudełko zapalek „z Kafka” i miliony innych gadżetów „z Kafka”. Można powiedzieć, że niemieckojęzyczny pisarz żydowskiego pochodzenia stał się symbolem Pragi.

Nie wiadomo, jak pisarz, który już od dzieciństwa unikał jak ognia lustra, zareagowałby na widok T-shirta ze swoim wizerunkiem. Nie wiadomo również, co by powiedział na widok napisu „Internet Cafe” obok XIV-wiecznego Kościoła Tyńskiego na Starym Ryнку...

## Personaż Stáid i podróże

W swojej książce o Kafce Max Brod rozprawia się z zmiem, który rodzi się już za życia pisarza. Oczywiście, cytując jego wspomnienia musimy pamiętać o tym, że pisarz je serdecznie przyjał i powiemir pisarza, pierwszy człowiek, który przejął jego spuściznę. Trudno zatem podczas lektury książki nie mieć wrażenia pewnej subiektywności, pomimo iż Brod stara się dokumentować swoje spostrzeżenia materiałem fotograficznym i relacjami osób trzecich. Jednak, być może, czar jego opowieści o Kafce tkwi w świeżości i intensywności odczuć autora tej niezwykłej biografii.

Jedną z cech charakteru Kafki, Brod przeczciwista wiatym sądom, miało być jego umiłowanie do wszelkich przejawów prawdziwego, zdrowego życia. Uwidczniał się ono w fascynacji sportem, zdrowym odżywianiem i podróżami. Brod z sentymentalnym wewnętrznym wspomina przesyłane przez Kafkę kartki, w których pisarz z góry ustalał wydziały przez wycozczyki poza Pragę, wypadła na łódki czy na pokaz aeroplana. Podczas tych podróży Kafka z upodobaniem notuje swoje wrażenia. Snuje nawet na wpol zarobkowe plany wydania przewodnika po europejskich miastach kultury dla skromnych urzadzoków, który zawierałby listę miejsc, które można zwiedzic nawet z niezbyt zasobnym artystycznym portfelem.

<sup>2</sup> F. Kafka: *Listy do Mileny*, przed. F. Konopka, Kraków 1993.

Jednym z miejsc, w którym Kafka spędził letnie wakacje, był oddalony od Pragi załowie o 40 kilometrów Libechev. Czystym miejscem jego wizyt był również pensjonat Sady w pobliżskich Zelitzach, gdzie pisarz spędzał czas wraz ze swoimi przyjaciółmi przemierzając okoliczne wzgórza. Dzisiaj Libechev sprawia wrażenie jednej z tyliczka niczym nie wyróżniającego się prowincjonalnych dziur. Tyłko stara opuszczona kaplica na wzgórzu powołała do myślenia się, iż miejsce to ma swoją historię. Czekała tu jednak na turystów lubiących pieszą włóczkę piękne szlaki. Jeden z nich przechodzi przez Zelitz, zalesione wzgórze, które kryje piaskowe skały i wraza do Libecheva. Ledwie szlaki i piaskowe skały stały się nachwieinim dla wielu artystów. Miękkie i łatwy w obróbce piaskowce zaimilły się góźnienicze w tajemnicze płaskorzeczy, komnaty, grotty, a wyrzeźbione pod koniec XIX stulecia „Czarłowe głowy” (Carthole hlavy) strasz do dziś.

Szlaki wokół Zelitz i Libecheva przemierzał Kafka z Maxem Brodem. W pensjonacie w Zelitzach powstał sáid, ponadstuteczony *List do ojca*, tutaj też zaczęła się druga niezakończona przygoda miłosa Kafki ukoronowana w 1924 roku w Berlinie, a wraz z rozwizem choroby wyjeżdżał do sanatorium pod Zurychem, w Górach Harza, a wreszcie do sanatorium w Kierling pod Wiedniem, gdzie opowiadał się nim dwójka najbliższych przyjaciół: odmalowana wreszcie miłość – Dora i oddany doktor Robert Klopstock. Max Brod wspomina, że właśnie w ostatnim okresie Kafka chciał najbardziej żyć. Niestety, stan jego zdrowia nie pozostawiał żadnych złudzeń.

3 czerwca 1924 roku Franz Kafka umiał. Złowił w załutowanej trumnie przewiezionem do Pragi i pochowano o godzinie czwartej na żydowskim Cmentarzu Straznickim, w honorowej kwaterze na skraju cmentarza, w pobliżu jednego z wielkich bram... Max Brod wspomina, że kiedy kwadrans po piątej szedł do domu załobe – mieszkanca Prana na Starym Ryнку, zauważył, że wskazówki wielkiego zegara ratuszowego zatrzymały się na godzinie czwartej...

Mariusz Dźwiegłowski

## W poprzednim numerze:

Agnieszka Wołny: *wiersze* • Janusz Misiewicz: *Egzystencja jako niewola (o antropologii Wilkatego)* • Bolesław Taborski: *wiersze* • Dariusz Piotrowski: *opowiadania* • Zofia Bessaczynska: *wiersze* • Miroslaw Derencicki i jego twórczość wspomniana Waldemarem Michalskim, Beata Błasiak i Monika Adamczyk-Garbowska • Jan Sochoń: *wiersze* • Jerzy R. Krzyżanowski: *A to Polska władnie...* • Ewa Filipczak: *wiersze* • Kacper Bartczak: *Intencjonalnie odznaczony świat...* • Magda Janowska: *wiersze* • Jerzy Sprawa: *Na zleżbu Aleksandra Szacka: wiersze* • Stanisław Chichocki: *Moja historia/ta sztuki* • Radostaw Szack: *wiersze* • Janusz Słyczeń: *Włgony list* • Piotr Smolark: *wiersze* • Jan Lewandowski: *Polscy w Estonii* • Katarzyna Gorzalowska: *wiersze* • Adam Kalpaczek: *Krytyk na drogach Prawdy* • Ferdynand Goetel: *wiersze* • Aharon Appelfeld: *Badenheim* • Rozmowa z A. Appelfeldem

Festiwal Gombrowiczowski – omówienia i akcje: Magdalena Janowska, Dorota Marane, Krystyna Kotowicz, Ewa Koniczanska, Józef Olejniczak, Janusz Marzajták, Klementyna Suchanow

Lechoslaw Lametski: *Literaty Stanisława Białej* • Magda Opoka: *Przetrwanie na symbole* • Joanna Bięgalska: *Arytmokratyczny Gorgylec* • Ludwik Gawronski: „Italka” na labelstkiej scenie... • Waldemar Dąbrycki: *Przyczek do dziełom AK* • Zdzisław Narecki: *Malopolskie PSL po wojnie* • Sławomir Pokraka: *Pisze káidy moie* • Marek Śmieciński: *Orfeusz* – w pozostawieniu ukrytego tekstu • Miroslaw Wójcik: *Emil Zgólłowicz* – Stefan Zechowski. *Korespondencja 1936-1939* • *Recenzje* • **Noty**



ukraińskiej przynawca się jej rzeczywistą pełną wartość. Odwołanie się barty opowiesione lub niekiedy przez polityków (ze wstępu do antologii).

Warto zauważyć, że młodzi autorzy to często pracownicy naukowi ukraińskich uniwersytetów, nauczyciele, dziennikarze, wielu z nich było na stypendiach w Niemczech, Kanadzie, USA, Hiszpanii. Wielu doskonale włada kilkoma językami, w tym także polskim (Mykola Rabczuk, Oksana Paschowska, Oksana Zahabko, Tamara Słobodanik, Stanisław Szawczuk). Tamara Słobodanik debiutowała w 1988 r. w Polsce. Jej pierwsze wiersze ukazywały się w „Życiu Literackim”, „Piśmie”, „Solidarności Wokółcej”. Był to świadomy wybór i protest przeciw ograniczeniom swobod twórczych w dawnym ZSRR. Wielu tych młodych pisarzy już wtedy traktowało Polskę jako „kraj należący do Zachodu”. Przykład Mykoly Rabczuka jest tu także bardzo wymowny: swoje sątkie literackie od dawna publikuje w polskich czasopiśmie, m.in. w „Literaturze na Świecie”, „Akcentach”, „Twórczości”. Rabczuk srodził się w Łucku (1953), podobnie jak Oksana Zahabko (1960) i język polski od urodzenia nie jest im obcy.

Wiersze poetów ukraińskich ostentacyjnie dwujęzyczne (niezależnie wydają się odwoływać do takich spraw jak miłość, ojczyzna, wolność, sprawiedliwość). Gdyby należało zaopiniować je we współną pojęcie, sążne że odpowiedni byłby fragment wiersza Rabczuka.

Oko i ja  
popadam w ty dzień pokazy  
niepamięta światła  
(...)  
polityczne nasze naczynia:  
nasze serwa  
i serwa objęzky

(Przełożenie wierszy)

W latach 90. ukazało się także kilka bardzo ważnych antologii prezentujących współczesną poezję ukraińską. Rok 1991 przyniósł szybko wyzyskanie poezję pt. „Ukrainańskie wiersze milsze”. Była ona dziełem Stanisława Srokowskiego (m.in. wybór i opracowanie). W 1994 r. rozpoczęła się publikacja swojej wieloletniej pracy Olga Hnatuk publikując: księgi pt. *Rybo-wino-kar. Antologia literatury ukraińskiej ostatnich dwudziestu lat*. W książce znalazły się teksty esejistyczne, także poezja i proza innych autorów. Tej poezji nie można pominiąć w badaniach, dlatego i recepcji literatury ukraińskiej w Polsce. Wiersze sąjnowca, prezentacja poezji ukraińskiej lat 70. i 80. jest antologią pt. *Po samąj zmiestieniu deżuczca. Przygotował ją wiersze przełomowy poeta i jęznowca naukowy sławisty UMCS dr Tadeusz Karłowicz. O publikacji Karłowicza pisał Bazyli Natan. To interesująca antologia może być źródłem niecierpięcej radości spotkania ze światem ukraińskiej znaki słowa w różnych wariantach wiersza poetyckiego, a jednocześnie przy wyrażeniu uwikłania (przez autora wyboru) nadmierne niechęć ekspozycyjnego marku poezji „walczyć”, autorstwa poezji czoła. W tym tomie przeważa literatura liryczna wybitna, w szczególności w materii słowa poezji, będące owocem zwykłego nad przemieszaniem i nad miejscem człowieka w świecie (ze skrzydła odwrotności antologii).*

W wolnym kraju poezja ukraińska wyzwala się ze słabego, społecznego niż „Judzińska narodowego ducha”. Poeci „ważna, obłą wieszno zobczyć”. W tych wierszach miała ma przede wszystkim słodki wymiar prywatności i wewnętrznego. Karłowicz jako tłumacz uzyskał efekt bardzo trudny do osiągnięcia: zachował indywidualność ton i obrazowania wierszy nowoczesnych autorów. To niewątpliwie sukces tłumacza i poety wywarł walec antologii. W książce znalazły się poeci różnych pokoleń (począwszy od wywodzący 20, a nawet zmi czeskiego i przemyskiej).

Karłowicz sam jest poetą, był wyjątkowym. Wydaje własne tomiki po polsku i ukraińsku. Jest członkiem Związku Literatów Polskich, a również członkiem jednym z najbardziej czynnych oddziałów ukraińskiego zjazdu kulturalnego w Polsce.

Należy podkreślić znaczenie zaprezentowania w antologii ukraińskich poetów emigracyjnych (z Belgii, Niemiec, Kanady, USA), m.in. Emmy Andrusiwki, Bohdana Bojczuka, Jerzego Baranowskiego, Romana Bahawowa, Bohdana Rubczuka. Dodatkowym jej atutem jest pokonanie przedstawicieli rarietaskich współczesnych grup poetyckich, m.in. w łowraków grupy „Lubomir” i podkolko-wydziałko-kijowski „Du-Bu-Bu” (grupa jej prezentowała „Literatura na Świecie” 1995 nr 10, teksty członków publikował także „Akcent” 1997 nr 3).

Karłowicz zauważa, że działania młodych poetów organizują się w grupy mając często charakter parateksty – to współczesna cyganeria nieguzująca przeszłość, odwołująca



Flor Wajol Pyslyk

rzeczywistość ze słodkiej. Był może to także pod jej adresem kieruje słowa Ihora Kalynki (rozczark 1939):

Przeżyłbyś i szkole i naciąg pamięci,  
Czy jęznowca słowem, której nima nie lubimy,  
Czy mamy także objęzky, do których nie dorównamy?  
(Chwałow 1967)

Dojdąmy, że antologia *Po samąj zmiestieniu deżuczca* została również wydrukowana przez Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

Florjan Nieowiany publikując przed laty w „Potęgi” (1976 nr 11) swoją o współczesnej poezji ukraińskiej zarytował swój tekst: *Zakończona w smutnej, otwarte na nowoczesność. To bardzo trafnie i odważnie się do dziwiących się i spóźnionej. Potwierdzają to opinie indywidualnie temki poetów ukraińskich, które w latach 90. opublikowano w przekładach na język polski. W 1998 r. ukazał się mój w swój wymiaru tom Tamary Karłowicz-Słobodanik. *Mój pamięć* – wiersza dwujęzyczna, ukraińska i polska. Książka wydana została przez kijowski Mędrkarnikow. Twórczości „Biały Ptak”. Oprócz wierszy własnych Tamary Słobodanik zamieszczała tłumaczenia na język ukraiński wierszy poetów polskich: Stanisława Srokowskiego, Józefa Barana i Waldemara Michałkiego. Notomiast jej wiersze na język polski przełożył Stanisław Pantelak.*

Nie bez znaczenia dla kształtu poezji Tamary jest pamięć i świadomość tragicznych losów jej rodziny. Jej najbliżsi umierali z głodu w latach 30. na Złotywierzycach. Pożnienie bobu i kryzysy etnologiczne z tatarskimi. Tyko wiara w Boga – obywatela Miłdośi. Nadziej – otrawna perspektywa różnowagi między życiem a śmiercią. Mój pamięć: przemle ślady biedy, ale też i szczęścia. Trudno jednak przekształcić pamięć:

Ziemie pokorły ślady  
Buku i nagłębłych ślady,  
Białe wrzaz ich tyranie.  
Ślady to jęzki. Iżama mart.  
Ślady... Ślady... Ze samek,  
Ich nie powtarza ślady dni  
i krewe w nich nie otręgie.

(Ślady)

Łeocel Czudziarnis próbuje wythamować zakodowaną pamięć tragicznej przeszłości pisze we wstępie do książki, że jest to *dyktando w białej i rudki*, „hermetycznego niekaję narodowe”. Istnie zamieszkiwały historięjone cennym *Daruję Iżama po dół, w ich przyskawkach i wsmuchach...*

28 listopada 1999 r. *Młyn powieści* miał uświetnić promocję w salach Ambasady RP w Kijowie. W spotkaniu wzięli udział m. in. ambasador RP na Ukrainie Jerzy Bohr oraz konsul generalny RP Kazimierz Chyc. Liczna grupa młodzieży z kijowskiego gimnazjum nr 48 przygotowała i wykonała pod kierunkiem polonistki Nadziei Suszkiej piękny program literacki złożony z wierszy Tamary Karwowskiej-Słobodianiuk (sprawozdanie z uroczystości zamieszczone „Dziennik Kijowski” nr 24 z grudnia 1999 r.).

Temik wierszy Stanisława Szewczenki (rocznik 1947) – poety i tłumacza, który od dziesięciu lat niesatanie łączy między Ukrainą i Polską, jest świadectwem, że „nigdy na miłość nie jest za późno”. Książko nosi tytuł *Letni deszcz* (Radom 1998), co też jest aluzją do czasu twórczości i dojrzewania nie tylko w poezji. Szewczenko jest poetą, patrzącym przede wszystkim ku przeszłości. Kąpielą szermowa grająca, a tuż Czarnobyl – i w ten sposób „serce dobiło się do prawdy”, ale Szewczenko nie jest optymistą, sfidującym, nie „sumum się schował za sercem”. Poeci co poeci *autora Leszego deszczu* jest przede wszystkim zapisem miłości, w różnych wymiarach i postaciach. Zapis emocji podmiotu lirycznego to nieustannie odwołanie się do natury, pejzażu w wielkim domu, drzew, owoców. To więc ciągle tworzenie paradygmatu człowieka z naturą. Szewczenko jest z wykształcenia matematykiem, wypowiada się krótko, treściwie i obrazowo. Umiał też patrzeć krytycznie na to, co działo się w systemie sowieńskich prawdy, historii i nacji. Z wespólnego domu rodzinnego na Czarnobyl wzięła się wielka globalka uwolnienia na wszystko i to, co kształtuje ludzkie postawy: miłość, przyjaźń, zafascyn. Jego wiersze pełne są motywów ilustrujących te wartości. Pytanie: „czy można żyć bez miłości?” jest kluczowym problemem tej poezji. Wiersze zawarte w tomiku tłumaczył na język polski: Waldemar Smaszcz, Bohdan Urbankowski, Stanisław Szokowski, Tadeusz Karłowicz, Kazimierz Koszicki i Aljeja Patry-Czabrowska.

Promocja tomu *Letni deszcz* odbyła się 25 maja 1998 r. w Radomiu. Wzięli: 23 maja, Stanisław Szewczenko przebywał w Łańcucie na zaproszenie Katedry Nauk o Ukrainę i Ukrainistów Studenów UMCS. Miał to wiecez autorski w wydawnictwie Tabula Rasa NN.

Stanisław Szewczenko to także wybitny tłumacz poezji polskiej na język ukraiński. Autor m. in. dwujęzycznej antologii pt. *Dziękuję, że się (Lwów 1996)*, w której znajdują się wiersze m. in. Miłosza, Szymbońskiej, Herberta, Różewicza, ks. Twardowskiego i ponad trzydziestu poetów polskich młodszej generacji.

Odcięciem dla polskiego czytelnika jest poezja Nadziei Stepluy. Nadrwanie ukazał się w Polsce jej tomik pt. *June niebo* (Radom 1999). To jedna z najgłębszych poetek ukraińskich (debiutowała w 1980 r.). Słusznie zauważono, że jej twórczość jest „zaskakująco różnorodna”, co jest prawdą odnoszącą się przede wszystkim do sfery motywów. W strukturze lirycznej wypowiedzi jest poetką uniwersalną. Znakomicie posługuje się ekwivalentem obrazowym, dominiują to krótkie skondensowane formy, nie ma barier czasowych ani przestrzennych – podejmowane sprawy i problemy są natury „ogólnoludzkiej”. Stepluy, mimo młodego wieku, ma w dowroku urodz. tonalność, a jej poezja wyrażona jest za społecznych i bakalnych postawach, rozrachunków i narodowych uwrażliwieniach. Oto krótki wiersz, który można uznać za poetyckie credo Stepluy:

*Piszącem marańdy krasnoty  
poczułam się i zaczęłam dawać brawkę.  
Chciałam przeżyć spróbować przystyć  
skonej i skłócić jak psoczek.*

Wiersze zawarte w tomiku *June niebo* tłumaczył z ukraińskiego na język polski: Tadeusz Karłowicz, Jan Leńczak, Waldemar Michałski, Romuald Mieczkowski i Wojciech Piotrowski.

Dołączył, że lotny wiersz Stanisława Szewczenki i Nadziei Stepluy zrealizowało społeczne wydawnictwo MIOU w Radomiu kierowane przez Jadwigę Góld.

W 1999 r. ukazały się w Polsce książki dwóch wybitnych poetów ukraińskich brzożej generacji. Obydwoje poezje przygotował i teksty przetłumaczył Tadeusz Karłowicz. Są to: Iłona Kalyciuka *Karpacz lub księga z Pojezja. Zima 1980 – wiosna 1981* (Warszawa 1999) i Romana Babowla *Obkazywanie nocny* (Białystok 1999). Dwa różne zjawiska, dwa różne poetyckie doświadczenia – te same kryteria wartości i podobne widzenie świata. Kalyciuka – zaszła lat wzięcia i łęczy z „złoty-wersyjność”. Babowla (rocznik 1950) od urodzenia w Belgii, wykształcony w Rzymie, członek Nowojęzkiej Grupy Poetów i członek PEN Clubu. Onaj to poeci o ogromnym dorobku twórczym i autorytety moralnym – w wolnej Ukrainie kandydaci do najwyższych nagród państwowych i artystycznych



Fot. Władimir Wytyński

Pejzaż w ich twórczości jest form poetyckich refleksji, słowo pomostem między realnym a przedstawionym światem. U Kalyciuka znaczące role odgrywa natura. Wiersze, a zwłaszcza poetycki obraz często o znaczeniach symboli. U Kalyciuka wybitnie istnieje „ja” liryczne, znanostające się być bezopisadnia o rozbudowywaniu szerszo monologii, a Babowla dominuje przede wszystkim ekwivalentem i metaforyczna kondensacja wyrażenia. U obydwu: liryka czyta, umierała w znaczeniach i wymiarach poetyckiego obrazu. Obydwoje poeci szukają swojego miejsca na ziemi – człowiek współczesny łatwo przełamuje granice i normy, nie tak często popada „w objęcia sięgoj losu”, depresje, izolacje, samotność...

Iłona Kalyciuka swoje miejsce na ziemi wyznacza następująco:

*zamiaruję wiarę  
obłąk brzożę  
z pamięcią  
napisaniem skłony psoczek  
o tobie  
północ  
zamiar twójgę wieszę  
zamiar skłonych psoczek  
nadobitka  
kół... Ukazanie*

(s. 104-105)

Roman Babowla podobną wyrażając karmienie słowami wiersza *nigdy nie burzę nie nie daje rzucić kłótni i się schłoni* (s. 26). Poniżej jego wiersz:

*potwierdź karmienie pamięć mięty  
drzewa kłóć ciębie wstępnicy  
amercję w ognia  
do twójgę kłótni gdzie pada  
karmienie skłony  
pamięć o skłony – skłony skłony  
karmienie pamięć  
i przysięgę  
na zwał wierszów  
skłony  
amercję skłony*

(s. 33)

Obydwoje poeci są mistrzami w stawianiu pytań dotyczących sytuacji klasycyzmu dla współczesnego człowieka, często wyzdołconego, często samotnego. Wiersze obydwu

narzeczony są lekkością za wolną, szczepiła ojczyznę. Obydwaj potrafili pisać o miłości, tak-  
że przekazywał słowem nadzieję. Bo, jak pisał Kalyneć – *trzeba wierzyć w dary przez  
Boga Sena (Pawlyczko)*.

Na Ukrainie niezapomnianie poeta czytany, śpiewany i dyskutowany jest Dmytro  
Pawlyczko. Co stanowi o fenomenie popularności jego poezji? Wszak każdy nowy temat  
przynajmniej tak bardzo byłbyś. Tak jest ziemniaki od dołku, od *Młodości i niezmocności*  
(1953), od *Sonetych podobnie jak jesieni* (1973), od *Złotywnicy twojej twarzy* (1979). Ten temat  
poetą być tytuł wyboru wierszy Pawlyczki na język polski opublikowanego przez  
redaktora „Akcentu” Bohdana Zadura w 1989 r. w Wydawnictwie Lubelskim.

O swoich tekstach Pawlyczko mówi: *Moje wiersze nie są fotografiami rzeź, co uważało  
w rzeczywistości, odwiecyś dotąd nie rozumie, co dzieło się w mojej duszy, kiedy kończąc  
i poczuwalem magię i piękno ziemskiej ludzkiego bycia (ze względu do tematu Napórnek w  
tym. Janolara Hryckowana)*.

Zauważono, że poeta chętnie posłużył się alternatywnymi zestawianiami (młodość-  
niezmocność, dobro-zło, radość-żałoba), kontrowersyjnymi obrazami:

*Dwa kalory moje, dwa kalory  
Czerwony jest niebieski, a czarny – smutkiem...*

Wydaje się w tym być wiernym uczniem Szekspira – wszak znakomicie przeformułował  
na język ukraiński jego *Sonety*. Chętnie – jak mówi – czyta Słowackiego, przynajmniej się  
z Iwaszkiewiczem, przeformułował legion poetów polskich, od Jana Kochanowskiego po  
Daria Foksa. Swego żywota przyniósł z poezją polską finałową obszerną antologię pt.  
*Dziwni zwiastuj (Dziwny w świecie) opublikowaną w Kijowie w maju 2000 roku.*

W czasach pierestrojki zdecydował się spróbować polski i odnieść... został ambasade-  
rem woiłny Ukrainy w Polsce. W wywiadzie opublikowanym w lubelskim tygodniku  
„Cas” (numer z 31.12.1999 – 6.01.2000) powiedział: *Z Polką w szczególnej mierze było  
związane moje życie. W 1979 roku ojciec zapisał mnie do szkoły polskiej w Jabłunie w  
Polsce. Dwa lata przed swoją śmiercią zacząłem się uczyć języka polskiego w szkole i później ten  
język oświetlał mi okna nie tylko na Polskę, ale i na świat. Czytałem po polsku wiersz polscy,  
których ZSRR nie dozwalał. Wiele czasu poświęciłem tłumaczeniu poezji polskiej na język  
ukraiński (...). Młodzi ukraińscy poeciemi są Norwid, Herbert, Szczygiński, Różewicz  
(fragment wywiadu pt. *Lubiń jest w moim sercu* przeprowadzonego przez Krzysztofa  
Wębliewskiego).*

Poeta, polnik, przyjaciel – to słowa, które znajdują swoje potwierdzenie w jego wierszach.  
Właśnie skazał się najzupełniej tam jego poezji pt. *Napórnek*. Z języka ukraińskiego wiersze  
przetłumaczył Bohdan Zadura. Książkę w edycji dwujęzycznej (ukraiński i polski)  
zrealizowało w 2000 roku Wydawnictwo Uczelniane Biblioteki Wyższej Szkoły Human-  
istycznej w Koszalinie.

Warto zauważyć, że Bohdan Zadura stał się już znaną „etatowym” tłumaczem wierszy  
Pawlyczki. Początki były raczej przypadkowe. On jak widać te sprawy po latach. Nie uczył  
się nigdy ukraińskiego, musiał natomiast jakieś takie w wyobraźnię o rzekim i doś – jak  
sobie pochlebiam – przyczołotać o polskie, sławczym abstrakcyjnego poety Dmytra  
Pawlyczko, co zrazo wydało mi się przedziwnym zjawiskiem, w przedzie zaś okazało się po-  
myślenie maie nie najuczciwiejszym, ale wspaniałym. Ten fragment wypowiedzi Zadury  
pochodzi z jego książki pt. *Daj mi sam, gdzie go nie ma* (Lubiń 1996) i dotyczy prob  
tłumaczeń z 1987 r. przy tłumaczeniu *Złotywnicy twojej twarzy*.

Dmytro Pawlyczko przebywał z żoną w Lublinie 29 listopada 1999 r. Na zaproszenie  
redakcji kwartalnika „Akcent” oraz Wachodniej Fundacji Kultury „Akcent” czytał swoje  
wiersze w kawiarni artystycznej „Jules”. Sto kilkadziesiąt osób uczestniczyło w spotkaniu  
i udzielił wspaniałej nagrody poety dialogowej i obywatelskiej. Był jejolem z najbardziej  
świątecznych wierszych literackich w Lublinie ostatnich lat.

Pawlyczko – „poeta obywatelski”, ale równocześnie twórca niezwykle sugestywnych  
brzydych obrazów poetyckich, z odrobiną żartu, ironii, kpin. Taka postawa i optyka  
widzenia świata zapewniły mu niezwykły dystans i smak w społecznych i politycznych  
deklamacjach. W jego wierszach jest wiele motywów i tematów poetyckich. Czyta nikt tak  
nie opisał na waznowski Pałac Kultury i Nauki jak Pawlyczko. Ten wiersz warto zaczy-  
tać w to całości – w roku obchodów rocznicy katyńskiej:

*W czasie świątek Warszawa  
złota obywatela  
kusiłona pisaniami –*

*der Statua dla polskiego narodu.*

*Siedemdziesiąt tysięcy jej kolumnami  
przymiarkowanych nagrobki –  
to siedemdziesiąt tysięcy polskich obywateli  
rozstrzelanych w Katynie.*

*Wczoraj  
w dnach piątnicy  
pojawiają się twarze zamordowanych.  
Tęta ledwie się porusza,  
ale wina –  
spiewają:  
Jeszcze Polska nie zginęła!*

(Pofarmanek Statua)

Man kilka bardzo osobliwych i sympatycznych impresji ze spotkań z Dmytrem Pawlycz-  
ką. Opiekował się nami, delegacją młodych literatów polskich, która gościła w Kijowie,  
Złotywnicy i Łowicze w 1987 r. Związek Sowiecki trzymał się jeszcze mocno. Pawlyczko  
uświadomił nam na przykładzie Ukrainy, czym jest totalitaryzm po czwartej gwiazdy  
i jak ważną rolę pełni język w rozwoju narodowej tożsamości – tylko trzy szkoły w stolicy  
Ukrainy miały wtedy język ukraiński jako wykładowy – swój wywiad zakończył słowami:  
gdyby bolszewicy zajęli Warszawę w 1920 r., myślał, że to was byłoby inaczej! W tym  
zdanziu, w jego zafatu do nas było też pośrednio wyrażona akceptacja tego, co miał za  
sobą w owych latach ruch „Solidarność”. W Pawlyczce mieliśmy przyjaciela, także wtedy  
kiedy na kijowskim dworcu kolejowym w przeddzień Bożego Narodzenia zczył nam,  
odchylającym, „mój świętości atmosfery przy wagiłym stole”.



Dmytro Pawlyczko. Fot. Wajęł Pybytsk



W szkole uczono nie tylko przedmiotów teoretycznych i zajęć praktycznych, ale również zachowań towarzyskich, wydawało białe, uczono fechtunku i jazdy konnej.

Taka działalność Czackiego i Kollataja była podstawowa krytyczna, zaś powodem stał się „demokratyzm i postępowość jej twórców”.

Licium Krzemienieckie wyklade wiele znaczących postaci, m. in. Józefina Lelwela, Alekseja Felińskiego, Antoniego Malczewskiego, Hieronima Korzeniowskiego, kształcił się tu również Tymko Padura i wielu innych.

Po upadku powstania listopadowego, licium ukończyli w 1832 roku. Na bazie biblioteki, kolekcji, gabinetów, a także kadry pedagogicznej utworzono w Kijowie Uniwersytet św. Włodzimierza (na 20 profesorów i 16 pochodziło z Krzemienia).

Opieki botanicznej zabrakło w Krzemieniu i powierzono ją prof. Walahda Basnera który w chwili zamknięcia licium 12 000 okazów i stał się zbiorem ogrodu botanicznego w Kijowie.

Trezeba podkreślić, że działalność Licium Krzemienieckiego należy zaprzeczać fikcje późniejszej polityki rusyfikacyjnej.

#### Okres międzywojenny

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, 27 maja 1920 roku Naczelny Wódz Wojsk Polskich – Józef Piłsudski – wydał rozkaz o ponownym powołaniu do życia Licium Krzemienieckiego. Rozkaz ten został poparty aktami prawnymi, przysługującymi licium dawne majątki ziemskie i leśne.

Krzemieniec był w tym czasie miasteczkiem peryferyjnym o podopiecznym znaczeniu. Żyłki polska na tradycji Czackiego i Kollataja oraz rodziny Szostkowskich, a zwłaszcza Jużiuz. Zarówno władze, jak też kadra pedagogiczna, a przede wszystkim młodzież, chętnie do niej nawigowały. Licium było działalność rozpoczęto od remontu mocno podupadłych budynków, odkrywania majątku i, naturalnie, zdyktowania finansów na działalność.

Pierwszy nabór licium stanowiła młodzież pochodząca z terenów objętych rewolucją bolszewicką, mającą się w tym czasie stawać fizycyzm, psychologizm i moralizm. Pierwszym jej wychowawcą został Polak – były oficer carskich wojsk, emul (miej) Dąbrowski-Laskowski „Madagaskar”. Kierownictwo szkoły powierzono w ręce dyrektora oświatowego z Humania polskiego gimnazjum – dr. Markusa Piekarskiego, polonistę, który okazał się doskonałym organizatorem.

Początki były niezwykle trudne. Pierwszym zadaniem, jakie przysięto zrealizować, była odzyskanie majątku licium przez władze. Pod dowództwem majora Dąbrowski-Laskowskiego stała, do czasu powstania Korpusu Ochotnicy Wpisanego, polska starsi wychowankowie. W wszystkim czasie uruchomiono zaplecze gospodarcze, zgromadzono personel dydaktyczno-techniczny.

Wskazane funkcjonowanie licium rozpoczęło się w 1927 roku wraz z objęciem stanowiska kuratora przez Juliusza Poniatowskiego, działacza PSL „Wyzwolenie”, byłego ministra rolnictwa i reformy rolnej.

W odniesieniu do obecnej szkoły narwa licium miało znaczenie jedynie historyczne, praktycznie było to nowego typu zespół szkół, internatów, zakładów naukowych, ośrodków doskonalenia nauczycieli i uniwersyteckich laboratoriów, utrzymywanych z dochodów własnych. Placówki tej szkoły są dzisiaj na terenie całego województwa. Szkoła dysponowała majątkiem ponad 40 tys. hektarów lasów, parca tysięcy ziemi ornej, stawów i łąk, gospodarstw rolnych, ogrodniczych i innych. Przewadzała własną fabrykę przetwórstwa, jak również ośrodek wykonywarko-maszynowy. Wydawała własne czasopismo „Życie Licium Krzemienieckiego” (potem „Życie Krzemienieckie”).

Nie udało się jednak odzyskać nawet czwartej dziesiątej zagarniętych po kasacji licium w 1832 roku. Do dziś znajdują się one w Kijowie.

W drugim etapie działalności licium stworzono nową bibliotekę, muzeum i Widyłskie Towarzystwo Naukowe.

Na mocy dekretu Prezydenta RP w 1928 r. licium zostało umieszczone za samodzielną kuratorium wyłączone spod władzy kuratorium wojewódzkiego i podlegające bezpośrednio ministrowi oświaty.

Podstawą struktury szkoły stanowiło gimnazjum, a po reformie szkolnictwa dwa licea matematyczno-fizyczne i humanistyczne, a także zespół zakładów mieszanych (sermizium nastawiających i szkółki świeckie, z czasem sermizium zamieniono pedagogium). Do zespołu podlegało również licium rolnicze i leśne w Białokrynku. W latach 30. utworzono licium handlowe. Licium prowadziło również szereg szkół zawodowych różnego szczebla, a także dwa uniwersytety ludowe.

W trakcie trzei ognisk wykazyjących prowadzono doskonalenie zawodowe nauczycieli w zakresie mierzonych, piątymysem, pracy społecznej na wsi i instruktażu świetlicowego. Kursy trwały 3 lata i dawały uprawnień jak wyższe kursy techniczne.

W licium prowadzono nowoczesny system nauczania, który można określić jako daleko wzdłużnie krzemieniecki. Innowacją w stosunku do czystego systemu dalszostawia było wielokrotne powtórzenie dydaktyczna nauczyciela, który nie tylko kontrolował misjęczanie opartowane materiału, ale skłony kontrolować, a także przeprowadzić ocenę i lekcję. Nauczyciele dyktami nadzorowali też indywidualny przebieg zajęć laboratoryjnych oraz prowadzili regulację zajęć w pracowniach. Nofologicznej, fizycznej i chemicznej. Organizowane też były grupowe zajęcia (czego nie przewidywał system dalszostawia) fizyczne i sportowe, do których dołączano uczniów według sprawności fizycznej. Długo system bardzo kontrowersyjny i nie mogło go realizować żadna szkoła finansowana z budżetu państwa.

Nowoczesny system nauczania zmniejszał szczie do samodzielnego, powołanej przez absolwentów licium byli w efekcie najlepszymi studentami, a następnie cenionymi pracownikami. Szkoła nastawiona była na szerokie zakreślenie działalności sportową, muzyczną, teatralną, w organizacjach młodzieżowych, a także pracowniową (pracownia fotograficzna, wyrobę sprzętu sportowego, galerię papierniczą i inna).

Licium ogromnie doborową kadry profesorską. Nigdy nie było w nim nieporozumień na tle etnicznym.

Licium zostało zamknięte w 1939 roku. Obecnie w jego budynkach znajduje się Kolegium Pedagogiczne im. T. G. Szostkowskiego.

#### Architektura Licium Krzemienieckiego (kollegium jezuickie)

Licium Krzemienieckie znalazło pomieszczenie w budynkach kolegium jezuickiego, wzniesionego w latach 1732-1746 z fundacji Józefa Antoskiego i Michała Serwacego Wawnowickiego (fundacja powstała w 1702 roku). Projekt kościoła i zabudowań kolegium wykonał jezuita ks. Paweł Girycki.

W zamyśle fundatorów i architekta kolegium miało być najbardziej okazałą budowlą w mieście. Należało więc, dostosowując się do warunków topograficznych, wykorzystywać je w celu podwyższenia walorów architektonicznych nowo powstającej budowli.

Rozplanowanie Krzemienia w początkach XVIII w. miało charakter trójkątny. Miasto rozbudowało się wokół osi południe-północ. W połowie drugiej połowy istniała rozszalała się tworząc czworobojny kształt. Budowę monumentalne w miejsce stanowiły ratusz, kościół parafialny i cerkiew. Zabudowa mieszkalną była na ogół parterowa.

Przy planowaniu sytuacji kolegium architekt wykorzystywał możliwość utworzenia urbanistycznej osi widokowej, za punkt wyjścia której przejął rzymski zamek na Górce Boreckiej, następnie kościół o. Franciszkanów, niekiedy budynek mieszkalny i niezabudowany dobytek zachodnią pierzeję szkoły. Tutaj właśnie, na przelęgającej do niej wlewy częściowo działało rozplanowanie kompleksu kolegium jezuickiego.

Serno kolegium posiada charakter osiowy: centralnie położony kościół tworzy linię podziału między symetrycznie zgrupowanymi gmachami klasztoru.

Kościół otrzymał wznoszenie Declia św. św. Ignacego Loyoli i św. Stanisława Kostki. Jest trójpramowy, bazyliką z transeptem i kryptą na skrzyżowaniu oraz dwoma wieżami flankującymi nawę. W planie nawigujące do II Gęsi, a także S. Andrea della Valle. Architekt w zakresie opracowania detali korzystał z projektów A. Pozza, Bramante’a i Serlia. Ważnym elementem jest nieopiętne, pełni zastrzeżenie kryteria barokowe. Wypostacie kościoła było skromne. W ofiarę głównym znajdował się obóz przedstawiający św. Ignacego (za czasów jezuickich), natomiast północnej wieżowej kłosa kompozycja szkoły wlokącej pt. „Czerst Chyżyna” i pt. XVL XVII w.

Pod koleściem zaprojektowano trzynowy kościół doły z transeptem.

Do kościoła przelęgają dwa skrzydła klasztorne, z których północne przeznaczono na kolegium, a południowe na szkoły. Kolegium było czterokondygnacyjnym (wraz z podpiwniczeniem) i mieściło na niższej kondygnacji pomieszczenia gospodarcze, wżycie cele zakonnic i ośrodek biblioteczny.

Budynek szkoły odpowiadał budowlą kolegium. W części wschodniej znajdowało się centrum kongregacji mariańskiej, sala teatrów i świątynie.

Budynki klasztorne były skromnie wyposażone i zdobione. Sze ogarnęto pieciami kamiennymi i kominkami. Dekorację stanowiły białe i obramienia drzwiowe malowane „na marmurkę”, a dopełniali ją skromne malowidła ściennie oraz portyfy fundatorów, kar-



dywanów i jemiłów, a także rzęba sakralna. Najbardziejniejsze były refektarz, biblioteka, szatnia i sala świątynna.

W chwili kasacji zakonu jezuitów (1773) kolegiom nie było ukończono. Przeznaczono je na szkołę wydziałową urzędów. W latach 1789-91 odbyła się praca nad koncepcją budynku według projektów architekta Zawadzkiego, został potem kolegiom znowu w popadło w ruinę.

W 1805 roku Tadeusz Czajki prosił o budowę klasztoru na cele gimnazjalne. Sprował architekta krakowskiego Jakuba Kubickiego, który wykonał plan przebudowy i spozn Karmelitanów sprawował nadzór nad pracami. Na miejscu zastępował Kubickiego architekt z Włocławka – Reiter.

Zgodnie z planami Kubickiego przebudowano bibliotekę. W tym okresie prowadzono roboty remontowo-adapteracyjne w skrypcy poddawano wachodzin, na którego strychu założyli obserwatorium astronomiczne.

Prace podjęto w 1821 roku pod kierunkiem Franciszka Macchewicza, dwunasto wychowanka szkół karmelitańskich. Przebudowy zwiększyły funkcjonalność pomieszczeń, nie wpełniły jednak nad poprawę estetyki bryły.

Do chwili obecnej kolegiom zachowało swój pierwotny plan i charakter, a nawet rozkład pomieszczeń, zawsze bowiem było użytkowane na cele szkolne. Kościół jezuicki jest obecnie cerkwią prawosławną.

#### Inne zabiegi

W tekście o miasteczku Juliusza Słowackiego trudno nie wspomnieć o miejscach i pamiątkach z nim związanych.

Tutaj za ogrodzeniem kolegiom pedagogicznym, czyli dawnego liceum, znajduje się dworek wybudowany przez Elezabietę Słowacką, w którym Juliusz spędził dwa pierwsze lata swego życia (dworek ten został zburzony na wólni niekończącym, znajdującym się naprzeciwko dworca dziełków Januszewskich, w którym poeta się urodził, po rezerwacji urządzone na jego miejscu muzeum). Jest to skromny budynek szesnastowieczny, z gankiem na kolumnach. Pięterowca jest otwarcie w nim Muzeum Juliusza Słowackiego, pierwszym krokiem ku temu było przeniesienie zniszczonej się w dworcu biblioteki do nowej siedziby, co nastąpiło w 1999 roku. Dworek wymaga kapitalnego remontu, a sprawy formalne się przeciągnęły i zamian w 2000 roku muzeum być może zainauguracja jego działalności we wrześniu roku 2001. Obecnie zamajętko po powie, do których należą m. in. fortepian Salomei oraz kopie portretów Julka-Ameka (według Kustana) oraz rodziców i dziełków (wykmalna przez E. Waszkowskiemu i L. Krolej), znajdując się w Karmelitańskim Muzeum Krakowskim.

Na malowniczo położonym emencieurze turekimi, który leży na zboczu jawn, po „jawnym”, spoczywają zwłoki Salomei Słowackiej-Becu, matki Juliusza. Grnamiasty obelisk z urną symbolizuje pamięć i przemianę.

W Karmelitanach, tak malowniczo położonym, wieści kościoła jezuitów przepływały się z cerkiewnymi kapłanami, wzniesionymi również na budynkach dawnych kościołów katolickich (w tym os. Francuzów). W chwili obecnej katolicy, w większości białosłowackiego pochodzenia polskiego, uczęszczają do kościoła parafialnego z 1857 roku. W kościele znajduje się pomnik Juliusza Słowackiego z 1909 roku autorstwa W. Szymonowicza, przepięknie marmurowa krypta kopia wykonana w Paryżu w 1872 roku przez T. Brodzkiego, interesujące wizerunki, a także kilka cennych obrazów i konfesyj z kościoła jezuitów.

Niewielki zachowało się pomnik po Żydkach, którzy w czasie wojny ulegli tułaczki niemieckiej zagładzie. Cerkwi z polskimi jezuitami przebudowano na dwunasto autonomicznie obsługiwanej wspólnoty.

Być może moje stwierdzenie wyda się dziwne, ale chyba nie ma miasta, w którym żył przygotowywali znanymi tak urokliwe miejsca spoczynku. W Karmelitanach kilka emencieurze położonych na zboczach jaw, w wzniesieniach, pod dźwignami leżnymi i owocowymi miastu emencieurze polski ze współczesnym poszukiwaniem pomocodawcy profesorów liceum, emencieurze turekimi, pamiątki, żydowski kirkos i tzw. emencieurze koczka z nagrobkami świętego XVII wieku. Niewskazy opierały się o jego geny, dosiadające się w kościołach nagrobkami zarysów „kołczy”, ułożonego przez Kozaków instrumentu muzycznego. Cmentarze te to historia miasta i tego skrawka dawnej Polski.

W Karmelitanach zachowało się już niewiele stary architektury jezuickiej. Jeszcze tylko wprawy zwłami można natrafnić na drewnianą zabudowę obronitęj mławami. Więcej pozostało marmurowej architektury willowej i dworskiej, która tak bardzo odróżnia Karmelitanie w czasach liceum Czajki.

#### Wartuaty, rocznice, spotkania

W dniach 4-25 lipca 1999 roku odbyły się w Karmelitanach w ramach obchodów Roku Słowackiego, przebiegających pod patronatem premiera RP – prof. Jerzego Buzka, VI Międzynarodowe Warsztaty Kulturowo-Artystyczne pod nazwą „...Tam, gdzie lewy wrzeci fale płyną”.

Warsztaty takie, przeznaczone dla młodzieży polskiej (studentów i absolwentów uczelni artystycznych) z Ukrainy, od pięciu lat organizował Wydział Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Przemyślu (dwie pierwsze odbyły w Zakładzie Fejgandri i Arboretum w Bolesławcaży, trzy następane w Muzeum Narodowym w Przemyślu i Arboretum w Przemyślu). Organizatorem VI Warsztatów było Przemyślskie Towarzystwo Kulturowe, a ponieważ odbywały się one w Karmelitanach, wzięli w nich udział również artyści miejscowi. Uczestnicy poznali najciekawsze obiekty historyczne Podkarpacia (Włocyna [Lawa Pocażowa, Obereg, Międzyrzecze, Zbrana, Włocławice, Młynów, Biłokorowa, Lusk, Dabno, Podboże, Oberek i wówa], zwiedzali zanki, pałace, kościoły, cerkwie i inne zabudowy kultury polskiej i ukraińskiej, a także muzea. W trakcie warsztatów odbyły się 400 prac malarskich, 229 z nich zaprezentowano na wystawie popularyzacyjnej, która obwiesiała obok 190 rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego. We wrześniu 1999 roku odbyło się i Spotkanie piąte i naukowe z Polski oraz Ukrainy w Karmelitanach. W ramach sesji naukowych, które obejmowały dwa tematy „Romantyzm a współczesność” i „Współczesna literatura polska i ukraińska”, referaty wygłosili m. in. Maria Kowalewska, Marjan Maciejewski, Bohdan Cwiwiski, Krzysztof Dybek, Inwa Szelek, o obecności literatury ukraińskiej na łamach „Kresów”, „Literatury na Świecie”, „Akcenty” i „Typy” mówili Andrzej Niewiadomski, Bohdan Zadura i Zbigniew Dominiak. Stwierdził skrajnie reprezentowali Jerzych Sworczak, Hryhorij Czopik, Roman Hrimak i Hryhorij Sztet. Przed zwiedzaniem Słowackiego, przy którym rosną dwie brzozy posadzone przez Mykołaja Bażana i Jaroslawa Bawickiewicza, podjęła zwięża sławy Słowackiego wykład wiersze poesa polscy i ukraińscy, m. in. Włody Machno, Stanisław Stewczak, Inwa Łuczak, Ludmiła Maruska, Marian Grzesiek, Mariusz Obrowski.

Tematem sesji w roku bieżącym była „Geografia podróży Juliusza Słowackiego”, mówili na ten temat profesorki Zofia Stefanowa z UD, Danuta Paluchowska i Marjan Maciejewski z KUL, oraz Marek Trocyski i Marek Stasz. Dyskusję przerywał na temat „Maja Europejska” prowadził Jacek Kopicinski, brał w niej udział Krzysztof Koehler, Artur Grabowski, Andrzej Niewiadomski, Andrzej Szmowski i Bohdan Zadura, stawa ukraińska reprezentowana była dotychczas symbolicznie przez Tamarytę Sinię.

Po raz pierwszy w tym roku przyznany został Laur Słowackiego, medal honorujący osoby szczególnie zasłużone w propagowaniu twórczości Juliusza Słowackiego. Podkreślił uroczystą inaugurację i Spotkanie minister kultury Ukrainy Bohdan Sztupa wręczył go Mariannie Maciejewskiej, autorką antologii *Gdzie pośladki mojej dwa życia*, będącej wyborem „głosy lipczyny Słowackiego w oryginalnej i przekładzie na język ukraiński, wydanej przez „Norbartem”. Natomiast w imieniu nielicznego w Karmelitanach Dymtra Powyżni leżał z tak ministru Kazimierza Ujazdowskiego obchody z okazji dwustu latwami Karmelitańskich.

Utworzył Obrowski



# Orkla

press

Międzynarodowy koncern prasowy ORKLA PRESS A.S. posiada udziały w ponad 50 spółkach. Należy do nich Edytor Press Sp. z o.o. – wydawca „Akcentu”. W Polsce koncern jest obecny od roku 1990. Dział jest właścicielem 51% udziałów w „Rzeczypospolitej” oraz udziałów w dziesięciu dziennikach regionalnych: „Słowo Polskie”, „Wieczór Wrocławia”, „Gazeta Pomorska”, „Gazeta Lubuska”, „Kurier Poranny”, „Gazeta Współczesna”, „Nowa Trybuna Opolska”, „Głos Pomorza”, „Nowiny” oraz „Dziennik Wschodni” wydawany w Lublinie.

Jeden z najważniejszych projektów koncernu ORKLA w 2000 roku dotyczy Internetu i publikacji elektronicznych.

Wśród tytułów prasowych, w których ORKLA ma udziały, od 1998 roku znajduje się gazeta wydawana na Litwie („Kauno diena” w Kownie) oraz dwa dzienniki ukraińskie:



„Wysokij Zamok” – dziennik wydawany we Lwowie (nakład magazynowy ok. 200 tys. egzemplarzy) jest liderem na rynku prasy Ukrainy Zachodniej. Ma korespondentów w głównych miastach tej części kraju. Posiada nowoczesne zaplecze poligraficzne.



„Industrialne Zaporożje” – największa gazeta w jednym z najbardziej uprzemysłowionych obwodów Ukrainy. Prowadzi kampanię na rzecz społeczeństwa obywatelskiego i mobilizacji opinii publicznej wokół dotkliwych w tym regionie problemów ekologicznych.

W latach 1992-1999 udzieliły redakcji wsparcia: Fundacja Kultury, Fundacja Batorego, Fundacja Władysława i Nelli Turzańskich z Toronto, Rada Miejska Lubartowa, Rada Miejska Lublina, Rada Miasta i Gminy Zwierzyniec, Rzutoczański Park Narodowy, Rada Miasta Nałęczowa, Ambasada Amerykańska, Ambasada Węgierska.

*Dziękujemy!*

*Wdzięczni jesteśmy wszystkim Autorom, którzy zreczyznawali z honorariów za swoje publikacje w „Akencie”.*

Wschodnia Fundacja Kultury AKCENT składa gorące podziękowania wszystkim, którzy dokonali wpłat na jej działalność.

Byli to m.in.: Ambasada USA w Warszawie, Ambasada Węgier w Warszawie, Aharon Appelfeld, BIG Bank S.A., Stanisław Bask-Mostwin, Tadeusz Chabrowski, Asma Frajlich-Zajac, Krystyna Frelik, Fundacja Władysława i Nelli Turzańskich, Benjamin Harasz, Ferdynand Hebal, Małgorzata Kaczowska, Kancelaria Prawnicza KONSULT R.O.K., Alina Kochanczyk, Adam Lizakowski, Ryszard Lów, Sofia Majdańska, Wojciech Młynarski, Danuta Mostwin, Jack L. Mostwin, Alina Nowicka, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Mira Pucza, Joanna Romaszewska, Magdalena Rudnik, Krystyna Rudka-Przychocka, ks. prof. Tadeusz Styczeń, Western Union, Towarzystwo Miłośników Lublina, Zamojskie Fabryki Mebli, Włada Chalko.

Dziękujemy poetom i krytykom, którzy w całości lub w części przekazali na konto Fundacji swe honoraria za udział w „wernisżach literackich” AKCENTU:

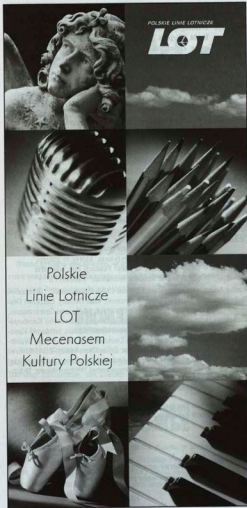
Monice Adamczyk-Gurbowskiej, Elżbiście Cecyli-Czarniawskiej, Tadeuszowi Chabrowskiemu, Markowi Daszczykiewiczowi, Kate Delaney, Leszkowi Dopuszowi, Józefowi Fertowi, Krystynie Glowiań, Marianowi Grześczakowi, Michałowi Jagielce, Ryszardowi Kapuścińskiemu, Tadeuszowi Karabowiczowi, Marianowi J. Kawalko, Tadeuszowi Komwickiemu, Istvánowi Kovácsowi, Henrykowi Kozakowi, Janowi Leonczakowi, Ewie Mazur, Waldemarowi Michalskiemu, Regine Mobius, Edzie Ostrowskiej, Bronisławowi Pietrakowi, Stanisławowi Popkowi, Tadeuszowi Sakolajowi, Jerzemu Świączkowi, ks. Alfredowi Wierzbickiemu, Bogusławowi Wróblewskiemu, Bohdanowi Zadzarze, Adamowi Zielnickiemu.

Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent” serdecznie dziękuje Kancelarii Prezydenta RP za pomoc okazaną w 2000 roku.

BO CR

*Regularne otrzymywanie „Akcenta”  
zapewnia prenumerata!*

BO CR



Polskie  
Linie Lotnicze  
LOT  
Mecenasem  
Kultury Polskiej

Polskie Linie Lotnicze LOT SA są dziś jednym z trzech najstarszych przewoźników na świecie, obok holenderskiego KLM i czeskiego CSA. Liczą sobie ponad 70 lat.

LOT, jako najbardziej znana i ceniona w Polsce marka, angażuje się w szereg prestiżowych wydarzeń artystycznych, sponsorując imprezy o zasięgu ogólnopolskim, europejskim i światowym. Uczestniczy w festiwalach i koncertach muzyki klasycznej i jazzowej takich jak Warszawskie Jesień i Jazz Janinoree. Od lat współpracuje z organizatorami Festiwalu Chopinowskiego. Logo narodowego przewoźnika widać podczas koncertów Filharmonii Narodowej, na festiwalach muzycznych w Dusznikach Zdroju i warszawskich Lanienkach. LOT wspiera działalność warszawskiej Galerii Sztuki Współczesnej „Zachęta”.

W Krakowie, polski przewoźnik od lat sponuje koncerty muzyki Ludwika van Bethovena, których dyrektorem artystycznym jest Elżbieta Penderecka. W 1998 roku sponsorował festiwal Krzysztofa Pendereckiego. W bieżącym roku z kolei, na pokładzie samolotu LOT artysta odbył podróż do Cannes, gdzie odebrał prestiżową nagrodę dla najwybitniejszego współczesnego kompozytora. Logo LOT-u można zobaczyć podczas krakowskich festiwali Muzyki Żydowskiej, Muzyki w Starym Krakowie, Pisenki Studenckiej oraz najstarszego festiwalu jazzowego w Polsce — Zdzuszek Jazzowych. Jako firma uprzęcająca kulturę i polską tradycję, LOT uczestniczył w promocji filmu Andrzeja Wajdy „Pan Tadeusz” dla widzów w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie. Sponsorował również film Jerzego Hoffmana „Ogniem i Mieczem”.

Polski przewoźnik dwukrotnie uhonorowany został zaszczytnym tytułem Mecenaso Kultury Krakowa lat 1997 i 1998. Jest jednym z dwóch sponsorów wielkiego przedsięwzięcia, pod nazwą Kraków — Europejska Stolica Kultury Roku 2000.

Narodowy przewoźnik uczestniczy w wielu znaczących dla kraju wydarzeniach, goszcząc na pokładach swoich samolotów wybitne osobistości. I tak, LOT-em podróżowali szacowni nobliści w dziedzinie literatury Witoldo Szymborski i Czesław Miłosz, laureat Pokojowej Nagrody Nobla Prezydent RP Lech Wałęsa oraz laureat Oscara - Andrzej Wajda. Na pokładach samolotów PLL LOT gościli również państwo Elżbieta i Krzysztof Penderecy, Mściwosł Rostropowicz, Barbara Hendrick, Richard Chamberlain, William Wharton oraz wielu cenionych w Polsce i na świecie uczonych, aktorów, polityków oraz sportowców.

LOT jest firmą reprezentującą Polskę poza jej granicami. Dlatego bardzo często nazywany jest ambasaderem swojego kraju. Ten tytuł zobowiązuje.

**Informujemy naszych Czytelników, że sprzedaż bieżących i dawnych numerów AKCENTU prowadzi m.in. księgarnie:**

<i>Księgarnia Centrum Towarj Knizki „Lotos”</i> Krakowkie Przedmieście 53 20-076 Lublin tel. 532-54-41	<i>Księgarnia Wydawnictw Naukowych „Błękitni”</i> ul. Podwale 6 31-118 Kraków tel. 422-90-37, 422-37-17
<i>Księgarnia „Ecop”</i> Krakowkie Przedmieście 62 20-076 Lublin tel. 532-56-15	<i>Księgarnia Akademicka</i> ul. Św. Anny 12 31-008 Kraków tel. 422-04-11 w. 167
<i>Księgarnia Medyczna</i> Krakowkie Przedmieście 29 20-062 Lublin tel. 532-61-53	<i>Księgarnia ORPAN</i> ul. Miedzyńskiego 27/29 61-725 Poznań tel. 832-43-16
<i>Księgarnia ORPAN</i> Plac M. Curie-Skłodowskiej 5 20-031 Lublin tel. 537-54-13	<i>Księgarnia ORPAN „BIS”</i> ul. Trawda 31/55 00-818 Warszawa tel. 697-88-33
<i>Księgarnia prowadzi sprzedaż wysyłkową „Akcentu”</i>	<i>Księgarnia prowadzi sprzedaż wysyłkową „Akcentu”</i>
<i>Księgarnia „Bibliopola”</i> ul. Narutowicza 27 20-034 Lublin tel. 532-20-32	<i>Główna Księgarnia Naukowa im. B. Prusa</i> ul. Krakowkie Przedmieście 7 00-068 Warszawa tel. 826-18-35
<i>Księgarnia Dominika Uzytycha-Gacka</i> ul. Kołwaska 11 20-109 Lublin tel. 532-60-48	<i>Księgarnia „Ośrodek”</i> ul. Tolsz 19 00-521 Warszawa tel. 621-89-69
<i>Galeria ZPAP</i> Krakowkie Przedmieście 62 20-076 Lublin	<i>Księgarnia „Czytelni”</i> ul. Wąpiąka 14 00-490 Warszawa tel. 621-36-55
<i>Księgarnia „Akcent”</i> Rynek Kościuszki 17 15-421 Białystok tel. 745-59-54	<i>Księgarnia WSP</i> Al. Wolności Politechniki 69 65-625 Zielona Góra tel. 326-35-20 w. 220

**Tu do nabycia m.in. numery:**

z 1995: 1 – m.in. esej Annona Ota, krytyczny zbiór „Jasłogaśniów”, dokumenty wygłoszonego Palditznerka; 2 – wspomnienia o Marku Hlascie; 3-4 – poświęcony literaturze niemieckiej i związkom polsko-niemieckim;  
z 1996: 1 – opowiadania M. Głowitskiego, szkice o Branczku Schulzu i Johnie Cage'u; 2 – artykuły o T. Kornickim, prezentacja literatury „ryboparkowej” i redakcja R. Matucowickiego z Nowogrodzicy; 3 – poematy (A. Sosnowski, D. Foks, W. Wyrupa, K. Brakowicki, W. Machulski, symybilizm K. Głaza; 4 – esej R. Kapucnickiego, prezentacja polskiej literki kablowej i wygłoszonej profesożki Iedim amerykańskich;  
z 1997: 1 – m.in. szkice o twórczości Marce Chagalla i „Noc poetów” D. Zachary; 2 – polsko- i angielszczyzna twórczości „polskich Amerykanów”; 3 – najnowsza esotyczna, poezja i proza ukraińska; 4 – poezja debiutantów i szkice o Herbarciu, Krawcowicowej, Kostantyn;  
z 1998: 1-2 – nowe piosenki W. Mywańskiego, opowiadania M. Głowitskiego, D. Mostwa, M. Pankowickiego, esaje K. Delaney i Ch. Shneruka; 3 – pt. „Kardol Wojtyła – poeta, dramaturg, filozof”; 4 – „Dzielnia – Lipka – Winiad”;  
z 1999: 1 – proza T. Mirkowicza, S. Pokraki, A. Wiedomiana, korespondencja E. Stachury, listy Zofii Kossak do J. Birkenmajera; 2 – sylwetka Witolda Maja, notatki Emila Zagadłowicza, rozmowa z G. Herlingiem-Grudzińskim, grafika Grzegorz Muzarka; 3-4 – 10 polskich poetów, szkice o twórczości ks. J. Tuwowskiego, o kulturze Hucalów, poezja Węgrów z Siedmiogrodu.

Zainteresowani zakupem archiwalnych numerów mogą się zwracać także bezpośrednio do redakcji „Akcentu”.